

MICHAEL CONNELLY Kanał

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału: The Narrows

Copyright © 2004 by Hieronymus, Inc.

This edition published by arrangement with Little, Brown and Company
(Inc.), New York, New York, USA.

All Rights Reserved

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Redakcja: Jacek Ring

Redakcja techniczna: Małgorzata Kozub

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Ewa Wójcik

ISBN 83-7337-913-4

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna Spółka Akcyjna

03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Pamięci Mary McEvoy Connelly Lavelle,
która ostrzegła przed kanałem sześcioro z nas.

Zamienili tylko jednego potwora na drugiego. Zamiast smoka teraz jest tam wąż.

Olbrzymi wąż, który śpi w kanale i spokojnie czeka na właściwą chwilę, by rozewrzeć szczękę i kogoś połknąć.

John Kinsey, ojciec chłopca,
który utonął w kanale,
„Los Angeles Times”, 21VI1956

Wydaje mi się, że tylko jedno wiem na pewno: prawda nie przynosi ulgi. Wprawdzie słyszałem to i sam to mówiłem, gdy przesiadywałem w ciasnych pokojach i celach więziennych i namawiałem mężczyzn w łachmanach, by wyznali mi swe grzechy. Okłamywałem ich, oszukiwałem. Prawda cię nie uratuje ani nie pomoże się pozbierać. Nie pozwoli wznieść się ponad brzemień kłamstw, tajemnic i ran w sercu. Prawda, którą tylekroć poznałem, więzi mnie jak kajdany w ciemnym pokoju, w podziemnym świecie duchów i ofiar, które wiją się wokół mnie niczym węże. Tutaj prawda nie nadaje się do oglądania, do podziwiania. Tutaj czai się zło, które włacza ci w usta i nos swój oddech, każdy oddech, aż w końcu nie możesz od niego uciec. Tyle wiem. Tylko to jedno.

Gdy przyjąłem sprawę, która w końcu doprowadziła mnie do kanału, od razu wiedziałem, że trafię do miejsca, gdzie czai się zło, a prawda, którą odkryję, będzie brzydka i straszna. Szedłem tam jednak bez wahania. Szedłem, choć nie byłem przygotowany na chwilę, w której zło wysunie łeb ze swej kryjówki. Kiedy schwyci mnie jak dzikie zwierzę i wciągnie w głąb otchłani.

1

Płynęła przez mrok, unosząc się na czarnym morzu pod bezgwiezdnym niebem. Nic nie słyszała ani nie widziała. Wszystko było idealną czernią. Rachel Walling nagle obudziła się ze snu.

Patrzyła w sufit. Słuchała wiatru na zewnątrz i skrobiących o szyby gałęzi azalii. Zastanawiała się, czy obudziło ją właśnie to skrobanie, czy jakiś inny dźwięk z głębi domu. I wtedy zadzwoniła jej komórka. Nie wzdygnęła się. Spokojnie sięgnęła na nocny stolik, przyłożyła telefon do ucha i odebrała go już w pełni obudzona.

- Walling, FBI - powiedziała.
- Rachel? Tu Cherie Dei.

Rachel od razu wiedziała, że to nie będzie zgłoszenie z rezerwatu Indian. Cherie Dei oznaczała Quantico. Od ostatniego telefonu minęły cztery lata. Lecz ona czekała.

- Rachel, gdzie jesteś?

- W domu. A gdzie mam być?
- Wiem, że masz teraz spory rewir. Pomyślałam, że może...
- Cherie, jestem w Rapid City. O co chodzi?
- Cherie odpowiedziała po dłuższym milczeniu.
- On znów się pojawił. Wrócił.

Rachel poczuła, jak niewidzialna pięść uderza ją w żołądek. W myślach ukazały się wspomnienia i obrazy. Złe wspomnienia. Zamknęła oczy. Cherie nie musiała wymieniać nazwiska. Rachel wiedziała, że chodzi o Backusa. Poeta znów się pojawił. Tak jak się spodziewali. Niczym złośliwa infekcja, która krąży po ciele, przez

wiele lat niewidoczna z zewnątrz, nagle przebija skórę, by przypomnieć o swojej ohydzie.

- Mów.
- Trzy dni temu w Quantico dostaliśmy przesyłkę pocztową. W środku był...
- Trzy dni? Siedzieliście na niej przez trzy dni?
- Na niczym nie siedzieliśmy. Zabraliśmy się do niej bez pośpiechu. Zaadresowana była do ciebie. Do Wydziału Badań Behavioralnych. Przyniesiono ją do nas, prześwietliliśmy ją i utworzyliśmy. Ostrożnie.

- Co tam było?
- Odbiornik GPS.

Odbiornik satelitarny pokazujący długość i szerokość geograficzną. Rachel spotkała się z czymś takim w zeszłym roku. Chodziło o porwanie. Zaginiona turystka biwakująca w Parku Narodowym Badlands zapamiętywała swoją pozycję na przenośnym GPS-ie. Znaleźli go w jej plecaku i ruszyli tropem turystki aż do obozu, gdzie spotkała mężczyznę, który potem ją śledził. Dotarli tam za późno, by ją uratować, ale gdyby nie GPS, w ogóle by jej nie odszukali.

- Co w nim było?

Rachel usiadła i spuściła nogi z łóżka. Zaciśnęła wolną rękę i przyłożyła do brzucha. Czekala. Cherie Dei zaraz się odezwała. Rachel pamiętała ją jako żółtodzioba, obserwatora i ucznia w ekipie śledczej. Była opiekunką Cherie w ramach programu szkoleniowego FBI, ale minęło już dziesięć lat i Cherie nabrała doświadczenia. Nie była już żółtodziobem i nie potrzebowała opiekuna.

- W pamięci był jeden punkt trasy. Na pustyni Mojave. Tuż przed granicą Kalifornii i Nevady. Wczoraj tam poleciliśmy i znaleźliśmy go. Skorzystaliśmy z kamer termicznych i czujników gazów. Tuż przed zmierzchem znaleźliśmy pierwsze zwłoki.

- Kto to?
- Jeszcze nie wiemy. Leżały tam bardzo długo. Dopiero zaczynamy, a kopie się wolno.
- Powiedziałaś, że to pierwsze zwłoki. Ile ich tam jest?
- Kiedy wyjeżdżałam, odkryliśmy cztery. Ale uważamy, że jest więcej.
- Przyczyna śmierci?
- Za wcześnie o tym mówić.

Rachel w milczeniu się zastanawiała. Pierwsze pytania, jakie się nasunęły: dlaczego tam i dlaczego właśnie teraz?

- Posłuchaj, nie dzwonię tylko dlatego, żeby ci to powiedzieć. Sprawa jest taka: Poeta wrócił i chcemy mieć cię tutaj.

Rachel kiwnęła głową. Zakładali oczywiście, że tam pojedzie.

- Cherie?
- Tak?
- Dlaczego uważasz, że to on wysłał paczkę?
- Ja to wiem. Jakiś czas temu dostaliśmy identyfikację odcisków palców z GPS-u. Wymieniał w nim baterie i na jednej zostawił ślad kciuka. To on, Robert Backus. Wrócił.

Rachel powoli rozwarła dłoń i przyjrzała się jej. Wciąż była nieruchoma jak rzeźba. Lęk, który odczuwała przed chwilą, zniknął. Mogła się do tego przyznać przed sobą i nikim więcej. Czuła, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach, barwiąc je na jeszcze ciemniejszą czerwień. Prawie na czarno. Czekala na ten telefon. Każdą noc przespiała z telefonem komórkowym pod ręką. Taką miała pracę. Nocne telefony, wyjazdy. Ale tak naprawdę oczekiwała tylko tego jednego telefonu.

- Punkty trasy można sobie nazywać. - Dei przerwała ciszę. - W GPS-ie. Do dwunastu liter i spacje. On nazwał ten punkt

„CZEŚĆ RACHEL”. Dokładnie tyle, ile znaków się mieści. Domyślam się, że coś dla ciebie szykuje. Tak jakby cię wywoływał, jakby miał jakiś plan.

Rachel wyrzuciła z pamięci obraz człowieka wypadającego przez szybę w mrok. Znikającego w czarnej pustce poniżej.

- Już jadę - powiedziała.

- Sprawę prowadzi biuro terenowe w Vegas. Stamtąd łatwiej będzie utrzymać wszystko w tajemnicy. Rachel, tylko uważaj na siebie. Nie wiemy, co on zamierza. Nie daj się zaskoczyć.

- Dobrze. Zawsze uważam.

- Zadzwoń po mnie, jak będziesz na miejscu, wyjadę po ciebie.

- Dobrze - powtórzyła.

Rozłączyła się. Sięgnęła na nocny stolik i zapaliła światło. Przez moment wspominała sen, martwość czarnej wody i nieba ponad nią, jak odbijających się wzajemnie czarnych luster. A pośrodku ona, unosząca się na wodzie.

2

Kiedy przyjechałem, Graciela McCaleb czekała przed moim domem, przy samochodzie. Dotarła na czas, w przeciwieństwie do mnie. Szybko zaparkowałem pod wiatą i wyskoczyłem, żeby się przywitać. Nie była na mnie zła. Wyglądało, że nie przejęła się moim spóźnieniem.

- Gracielo, strasznie cię przepraszam. Utknąłem w porannym korku na dziesiątce.

- Nie ma sprawy. Nawet mi się tu podoba. Tak tu cicho.

Otworzyłem drzwi. Kiedy je uchyliłem, zaklinowały się na listach, które leżały pod nimi. Musiałem się schylić i wyszarpnąć koperty.

Otworzywszy drzwi, wstałem i zaprosiłem Gracielę do środka. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie uśmiechałem się. Ostatni raz widziałem ją na pogrzebie. Dziś wyglądała zaledwie nieco lepiej, gdyż w oczach i kącikach ust wciąż dostrzegałem cierpienie.

Kiedy mijala mnie w ciasnym przedpokoj, poczułem aromat słodkich pomarańczy. Zapamiętałem go z pogrzebu, kiedy ścisnąłem jej ręce w swoich dłoniach, mówiłem, jak mi jest przykro, i proponowałem wszelką pomoc, jeśli kiedykolwiek będzie jej potrzebować. Wtedy miała na sobie czarny strój, dziś - kwiecistą letnią sukienkę, która lepiej pasowała do tego zapachu. Wskazałem salon i poprosiłem, żeby usiadła na kanapie. Zapytałem, czy napije się czegoś, choć wiedziałem, że w domu nic nie mam, może poza paroma butelkami piwa i wodą z kranu.

- Nie trzeba, panie Bosch. Dziękuję.

- Proszę mi mówić Harry. Nikt nie mówi do mnie „panie Bosch”.

Spróbowałem uśmiechu, ale nie zadziałał. Zresztą tego się spodziewałem. Wiele w życiu przeszła. Widziałem film. A teraz ta ostatnia tragedia. Usiadłem na krześle naprzeciwko kanapy i czekałem. Odchrząknęła, zanim się odezwała.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego chciałam z tobą porozmawiać. Przez telefon wiele nie powiedziałam.

- Nic nie szkodzi - odparłem. - Ale i tak mnie to zaciekawiło. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Skinęła głową i spuściła wzrok na dłonie, w których trzymała małą torebkę, obszytą czarnymi paciorkami. Wyglądała, jakby kupiła ją na pogrzeb.

- Coś tu nie gra i nie bardzo wiem, do kogo mam się zwrócić. Wystarczająco orientuję się w sprawach Terry'ego - to znaczy, czym on się zajmował - żeby wiedzieć, że nie mogę pójść na policję. Jeszcze nie. Poza tym to oni do mnie przyjdą. Chyba już niedługo. Ale na razie potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, kto mi pomoże. Mogę ci zapłacić.

Wychyliłem się w przód, oparłem łokcie na kolanach i złożyłem razem dłonie. Spotkałem ją tylko raz -

właśnie na tym pogrzebie. Jej mąż i ja kiedyś dobrze się znaliśmy, ale dość dawno temu. A teraz było już za późno. Nie wiedziałem, skąd brało się to zaufanie, o którym mówiła.

- Co ci o mnie Terry naopowiadał, że akurat mnie chcesz zaufać? Mnie wybrać. Gracielo, my się nawet dobrze nie znamy.

Kiwnęła głową, jakby potwierdzając, że to dobre pytanie i trafna ocena sytuacji.

- W pewnym momencie naszego małżeństwa Terry mówił mi o wszystkim. Na przykład o ostatniej sprawie, przy której razem pracowaliście. Opowiedział, co się stało i jak nawzajem uratowaliście sobie życie na łodzi. Dlatego myślę, że mogę ci zaufać.

Potaknąłem.

- Raz powiedział mi o tobie coś, co zapamiętałam na zawsze - dodała. - Powiedział, że niektórych rzeczy w tobie nie lubi, wręcz nie znosi. Myślę, że chodziło o twój sposób postępowania. Ale podkreślił, że biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, gdyby miał wybrać kogoś do śledztwa w sprawie morderstwa, ze wszystkich agentów i gliniarzy, których znał, wybrałby właśnie ciebie. Bez cienia wątpliwości. Wyjaśnił, że wybrałby ciebie, bo ty nie rezygnujesz.

Zapięły mnie oczy. Niemal słyszałem, jak Terry McCaleb to mówi.

- Co chcesz, żebym zrobił? - spytałem, choć w zasadzie znałem odpowiedź.

- Zbadaj sprawę jego śmierci.

3

Mimo że wiedziałem, o co mnie poprosi, i tak dało mi to do myślenia. Terry McCaleb zmarł na swojej łodzi miesiąc temu. Czytałem o tym w „Las Vegas Sun”. Informacja trafiła do gazet dzięki filmowi. Agentowi FBI zostaje przeszczepione serce, a następnie tropi mordercę swego dawcy. Historia wypisz wymaluj dla Hollywood. Terry'ego grał Clint Eastwood, choć starszy od niego ze dwadzieścia lat. Film odniósł raczej niewielki sukces, ale Terry i tak zyskał odrobinę sławy, akurat tyle, żeby wiadomość o jego śmierci pojawiła się we wszystkich gazetach. Pewnego ranka wróciłem do mojego mieszkania niedaleko bulwaru i podniosłem „Sun”. Śmierci Terry'ego poświęcono krótką notkę w dziale krajowym.

Kiedy ją przeczytałem, opadło mnie przygnębienie. Byłem zaskoczony, choć nie tak bardzo. Terry zawsze żył jakby na kredyt. Ale w tekście nie znalazłem nic podejrzanego, nic takiego też nie usłyszałem, gdy poleciałem na Catalinę na pogrzeb. Zawiodło go serce - nowe serce. Dało mu sześć dobrych lat, czyli więcej niż amerykańska średnia dla pacjentów po przeszczepie, ale potem poddało się pod wpływem tych samych czynników, które zniszczyły pierwsze.

- Nie rozumiem - powiedziałem do Gracieli. - Był na łódce, w rejsie czarterowym i po prostu upadł. Twierdzili, że... to serce.

- Tak, to było serce - odparła. - Ale pojawiło się coś nowego. Chcę, żebyś to zbadał. Wiem, że odszedłeś z policji, ale Terry i ja widzieliśmy w telewizji, co się stało rok temu.

Rozejrzała się po pokoju i machnęła ręką. Mówiła o tym, co rok temu zdarzyło się w moim domu, kiedy pierwsze śledztwo po moim przejściu na emeryturę skończyło się źle i krwawo.

- Wiem, że wciąż zaglądasz do swoich spraw - dodała. - Podobny jesteś w tym do Terry'ego. Jemu też nie dawały spokoju. Niektórzy z was tak mają. Kiedy zobaczyliśmy w wiadomościach, co się tu stało - właśnie wtedy powiedział, że jeśli miałby kogoś wybrać... Myślę, że chciał mi przekazać, że jeśli coś mu się kiedykolwiek stanie, mam pójść do ciebie.

Skinąłem głową i wpatrzyłem się w podłogę.

- Powiedz mi, co się wyklulo, a ja ci powiem, co mogę zrobić.

- Macie sporo wspólnego, wiesz? Znów kiwnąłem głową.

- Mów.

Chrząknęła. Przesunęła się na brzeżek kanapy i zaczęła opowiadać.

- Jestem pielęgniarką. Nie wiem, czy widziałeś film, ale w nim zrobili ze mnie kelnerkę. To nieprawda. Jestem pielęgniarką. Znam się na medycynie. Szpitale znam na wylot.

Znów potaknąłem i słuchałem.

- Biuro koronera przeprowadziło sekcję. Nie znaleźli nic podejrzanego, ale postanowili kontynuować na prośbę doktora Hansena - kardiologa Terry'ego - bo on chciał wiedzieć, czy da się ustalić, co było nie tak.

- No dobra - wtrąciłem. - Co znaleźli?

- Nic. To znaczy nic kryminalnego. Serce po prostu przestało bić... i umarł. To się zdarza. Sekcja wykazała, że mięśnie ściany serca zanikały. Kardiomiopatia. Organizm odrzucał przeszczep. Pobrali mu krew do standardowych badań i właśnie to wyszło. Oddali mi go. Znaczy ciało. Terry nie chciał być pochowany, zawsze mi to powtarzał. Więc go skremowano u Griffina i Reevesa, a po ceremonii Buddy wziął mnie z dziećmi na łódź i rozrzuciliśmy prochy na wodzie. Bardzo to było intymne. I miłe.

- Kto to jest Buddy?

- Ach, to facet, z którym Terry prowadził firmę czarterową. Wspólnik.

- Racja, pamiętam.

Kiwnąłem głową i spróbowałem prześledzić opowieść, szukając początku, powodu, dla którego do mnie przyszła.

- Co znaleźli podczas badania krwi? - spytałem. Pokręciła głową.

- Chodzi o to, czego nie znaleźli.

- Słucham?

- Pamiętaj, że Terry codziennie brał tonę leków. Pigułka za pigułką, płyn za płynem. To one trzymały go przy życiu... Więc wyniki badania krwi miały chyba z półtorej strony długości.

- Wysłali ci je?

- Nie, dostał je doktor Hansen. Zadzwoił do mnie, bo paru rzeczy tam brakowało, a powinny być. CellCept i Prograf. Kiedy umarł, nie było ich w jego krwi.

- A są istotne.

Potaknęła.

- Właśnie. Brał dziennie siedem kapsułek Prografu. CellCept dwa razy dziennie. To kluczowe leki, one chroniły jego serce.

- Bez nich by umarł?

- Wytrzymałby najwyżej trzy, cztery dni. Zaraz pojawia się zastoinowa niewydolność serca. I do tego doszło.

- Dlaczego przestał je brać?

- Nie przestał i z tego powodu właśnie do ciebie przyszłam. Ktoś podmienił mu leki i go zabił.

Znów musiałem przetrwać wszystkie te informacje.

- Po pierwsze, skąd wiesz, że brał te leki?

- Bo widziałam i Buddy też, a nawet pasażer, który wynajmował łódź, wszyscy powiedzieli, że widzieli, jak brał leki. Pytałam ich. Mówiłam ci przecież, jestem pielęgniarką. Poznałabym, gdyby nie brał.

- No dobrze, więc mówisz, że brał tabletki, ale to nie były te tabletki. Ktoś w nich grzebał. Skąd taki pomysł?

Jej gesty sugerowały zniecierpliwienie. Nie wyciągałem wniosków tak szybko, jak się spodziewała.

- Wróćmy kawałek - powiedziała. - Tydzień po pogrzebie, kiedy jeszcze o tym wszystkim nie wiedziałam, zaczęłam porządkować i sprzątałam w szafce, gdzie trzymał leki. Widzisz, one są bardzo, bardzo drogie. Nie chciałam, żeby znalazły się w koszu. Są ludzie, których w zasadzie na nie nie stać. Nas też w zasadzie nie było na nie stać. Ubezpieczenie Terry'ego skończyło się i potrzebowaliśmy MediCal i Medicaid tylko na same leki.

- Więc je oddałaś?

- Tak, wśród biorców przeszczepów panuje taka tradycja. Kiedy ktoś...

Spuściła wzrok na dłoń.

- Rozumiem. Oddaje się je.

- Tak. Żeby komuś pomóc. One są strasznie drogie. A Terry miał zapas przynajmniej na dziewięć tygodni. Były warte tysiące dolarów.

- Jasne.

- Wzięłam więc leki i pojechałam do szpitala. Wszyscy mi podziękowali i myślałam, że to już koniec. Mam dwoje dzieci. Choć ciężko mi było, życie musiało toczyć się dalej. Dla nich.

Pomyślałem o ich córce. Nigdy jej nie widziałem, ale Terry mi o niej opowiadał. Powiedział mi jej imię i dlaczego ją tak nazwał. Zastanawiałem się, czy Graciela zna tę opowieść.

- Powiedziałaś o tym lekarzowi? - zapytałem. - Jeśli ktoś przy nich grzebał, musisz ich ostrzec, że...

Pokręciła głową.

- Mają tam procedurę weryfikacji. Bada się wszystkie opakowania. No wiesz, sprawdza się plomby, daty ważności, numery partii, czy nie były wycofywane ze sprzedaży i tak dalej. Wszystkie były w porządku. Przynajmniej te, które im dałam.

- Więc?

Przesunęła się bardziej na brzeżek kanapy. Teraz przejdzie do sedna.

- Na łodzi znalazłam otwarte opakowania, których nie przekazałam, bo ich nie przyjmują. Taki jest regulamin.

- Tam były ślady, że ktoś w nich grzebał.

- W fiolkach znajdowała się dawka Prografu na jeden dzień i CellCeptu na dwa dni. Wsypałam je do plastikowej torby i zniosłam do szpitala Avalon. Kiedyś tam pracowałam. Wymyśliłam historyjkę, że koleżanka znalazła te kapsułki u syna w kieszeniach, kiedy robiła pranie. I chciała wiedzieć, co on takiego bierze. Zrobili analizę i wszystkie te kapsułki były bezwartościowe. Zawierały biały proszek. Konkretnie sproszkowaną chrząstkę rekina. Sprzedają ją w specjalistycznych sklepach i przez Internet. Podobno to jakieś homeopatyczne lekarstwo na raka. Jest łatwo strawne i łagodne. W środku kapsułki smakowałyby tak samo. Terry nic by nie poznał.

Wyciągnęła z torebki złożoną kopertę i mi podała. Zawierała dwie kapsułki. Obie białe, z drobnym różowym napisem na boku.

- To z ostatniej dawki?

- Tak. Dwie sobie zostawiłam, cztery dałam znajomemu w klinice.

Podkładając pod spód kopertę, otworzyłem jedną z kapsulek. Połówki rozdzieliły się bez problemu. Biały proszek wysypał się na papier. Wiedziałem więc, że nietrudno zastąpić właściwe lekarstwo bezużytecznym proszkiem.

- Chcesz mi powiedzieć, że kiedy Terry był na ostatnim rejsie, sądził, że bierze leki, które utrzymują go przy życiu, a tymczasem one nie działały. Na swój sposób właściwie go zabijały.

- Tak.

- Skąd wzięły się te pigułki?

- Ze szpitalnej apteki. Ale podmiana mogła nastąpić gdziekolwiek.

Urwała i zaczęła, aż to do mnie dotrze.

- Co zamierza zrobić doktor Hansen? - zapytałem.

- Powiedział, że nie ma wyboru. Jeśli do podmiany doszło w szpitalu, musi o tym wiedzieć. Mogą być zagrożeni inni pacjenci.

- To mało prawdopodobne. Powiedziałaś, że grzebano przy , dwóch różnych lekarstwach. To znaczy, że pewnie odbyło się to poza szpitalem. Kiedy już Terry je miał.

- Wiem. Sam tak powiedział. Ale mówił, że i tak zgłosi to władzom, bo musi. Tylko nie wiem, komu konkretnie. Szpital jest w Los Angeles, a Terry zmarł na łodzi, dwadzieścia pięć mil od wybrzeża San Diego. Nie wiem, kto będzie...

- Pewnie zajmie się tym Straż Przybrzeżna, a potem przekaże sprawę FBI. To jednak potrwa kilka dni. Możesz to przyspieszyć, jeśli od razu zadzwonisz do federalnych. Właściwie nie rozumiem, czemu rozmawiasz ze mną, a nie z nimi.

- Nie mogę. W każdym razie nie teraz.

- Dlaczego? Oczywiście, że możesz. Nie powinnaś przychodzić do mnie. Idź z tym do FBI. Powiedz ludziom, którzy z nim pracowali. Oni od razu się tym zajmą. Na sto procent.

Wstała, podeszła do rozsuwanych drzwi i wyjrzała na przełęcz. Dziś smog był tak gęsty, że wyglądał, jakby się miał zapalić.

- Byłeś detektywem. Pomyśl tylko. Ktoś zabił Terry'ego. Nie mogła to być przypadkowa podmiana - bo to dwa różne leki,

w dwóch różnych fiolkach. To zrobiono celowo. Więc następne pytanie brzmi: kto miał dostęp do jego

leków? Kto miał motyw? Federalni najpierw przyjrzą się mnie i mogą już nie szukać dalej. Mam dwoje dzieci. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Ja tego nie zrobiłam.

- Jaki motyw?

- Po pierwsze, pieniądze. Polisa na życie z czasów, kiedy służył w FBI.

- Po pierwsze? Jest coś jeszcze? Wbiła wzrok w podłogę.

- Kochałam go. Ale mieliśmy problemy. Przez ostatnie kilka tygodni spał na łodzi. Pewnie dlatego zgodził się na ten długi czarter. Przeważnie wypływał tylko w jednodniowe rejsy.

- Jakie problemy? Gracielo, jeśli mam się tym zająć, muszę wiedzieć.

Wzruszyła ramionami, jakby nie znała odpowiedzi, ale potem zaczęła mówić.

- Mieszkaliśmy na wyspie, a ja już miałam tego dość. To nie żadna wielka tajemnica, chciałam, żebyśmy przeprowadzili się na ląd. Problem polegał na tym, że on przez tę pracę w Biurze bał się o dzieci. Bał się świata. Chciał chronić przed nim dzieci. Ja nie. Ja chciałam, żeby poznały świat, bo przecież muszą w nim żyć.

- I to wszystko?

- Nie. Na przykład nie podobało mi się, że wciąż pracuje nad sprawami kryminalnymi.

Wstałem i też podszedłem do drzwi balkonowych. Odsunąłem je, żeby trochę przewietrzyć. Zdałem sobie sprawę, że trzeba to było zrobić od razu, gdy weszliśmy. W domu było duszno. Nie odwiedzałem go dwa tygodnie.

- Jakimi sprawami?

- On był taki jak ty. Męczyły go te nierozwiązane. Na łódce trzymał akta, całe pudła akt.

Dawno temu byłem na tej łodzi. Na dziobie znajdowała się kajuta, z której McCaleb zrobił biuro. Pamiętam, widziałem pudełka z aktami na górnej koi.

- Dłuższy czas próbował się przede mną kryć, ale się zorientowałam, więc w końcu przestał. Przez ostatnich kilka miesięcy dużo jeździł na stały ląd. Kiedy nie miał rejsów. Kłóciliśmy się o to.

Powiedział, że coś nie daje mu spokoju.

- To była jedna sprawa czy więcej?

- Nie wiem. Nigdy mi nie mówił, nad czym konkretnie pracuje, a ja nie pytałam. Nie obchodziło mnie to. Chciałam po prostu, żeby przestał. Żeby spędzał więcej czasu z dziećmi. A nie z tymi ludźmi.

- Tymimi ludźmi?

- Tymimi, którzy tak go fascynowali. Mordercami, ofiarami. Ich rodzinami. Miał obsesję. Czasem myślę, że oni byli dla niego ważniejsi niż my.

Mówiąc to, wpatrywała się w przełęcz. Kiedy otworzyłem taras, do środka wdarł się szum samochodów. Dźwięki dobiegające z autostrady poniżej brzmiały jak odległe owacje na arenie, gdzie gra się

nigdy nie kończy. Rozsunąłem drzwi na oścież i wyszedłem na taras. Spojrzałem w dół, na krzaki i pomyślałem o walce na śmierć i życie, która odbyła się tam w zeszłym roku. Przeżyłem, żeby tak samo jak McCaleb dowiedzieć się, iż jestem ojcem. Przez następne miesiące nauczyłem się widzieć w oczach córki to właśnie, co McCaleb wypatrzył w oczach swojej - jak mi kiedyś powiedział. Dzięki temu, że mi powiedział, orientowałem się, czego mam szukać. Byłem mu za to coś winien. Graciela wyszła za mną.

- Zrobisz to dla mnie? Wierzę w to, co mój mąż o tobie mówił.

Uważam, że umiesz pomóc i mnie, i jemu.

A może i sobie, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Popatrzyłem natomiast na autostradę i zobaczyłem odbłaski słońca na szybach jadących przez przełęcz samochodów. Tak jakby obserwowało mnie tysiacy par jasnych, błyszczących oczu.

- Tak - odparłem. - Zrobię to.

Pierwsze przesłuchanie wypadło na przystani Marina Cabrillo w San Pedro. Zawsze lubiłem zjechać tędy nad wodę, choć rzadko to robiłem. Nie wiem dlaczego. To jedna z tych rzeczy, o których się zapomina, a potem kiedy robisz ją znów, przypominasz sobie, że to lubisz. Pierwszy raz byłem tutaj, kiedy miałem szesnaście lat i uciekłem z domu. Dostałem się do doków San Pedro i spędzałem dni na robieniu sobie tatuaży i przyglądaniu się, jak kutry wracają z połowów tuńczyka. W nocy zaś spałem na niezamkniętym holowniku, który nazywał się „Różyczka”. W końcu szef portu mnie złapał i odesłał z powrotem do mojej rodziny zastępczej. Na knykciach miałem wytatuowane słowa „LINE CHWYĆ”.

Marina Cabrillo była młodsza niż to wspomnienie. To nie był port roboczy, jak wówczas, gdy byłem szesnastolatkiem. Tu stały jachty, na których pływa się dla przyjemności. Maszty setek żaglówek wystawały zza zamkniętej bramy jak kikuty spalonego lasu. Za nimi stały rzędy jachtów motorowych, niektóre z nich warte kilka milionów dolarów, inne nie.

Łódź Buddy'ego Lockridge'a nie przypominała pałacu na wodzie. Lockridge, który według Gracieli był współnikiem Terry'ego, a także najbliższym przyjacielem, mieszkał na trzydziestodwustopowej łodzi żaglowej, która wyglądała, jakby miała na pokładzie zawartość dwa razy większego jachtu. Prawdziwy złom – i nie mówię tu o samej łodzi, ale o tym, jak była zaniedbana. Gdyby Lockridge mieszkał w domu, na podwórku miałyby samochody stojące na ceglach, a w środku sterty starych gazet.

Otworzył mi pilotem bramę i wyszedł z kajuty w szortach, sandałach i koszulce, tak znoszonej i spranej, że napis na przedzie był nieczytelny. Graciela go uprzedziła o mojej wizycie. Wiedział, że chcę z nim pogadać, ale nie znał dokładnego powodu.

- Więc - zaczął, zeskakując z łodzi na pomost. - Graciela mówiła, że bada pan śmierć Terry'ego. To jakaś sprawa z ubezpieczeniem czy coś?

- Można tak powiedzieć.

- Jest pan prywatnym detektywem?

- Mniej więcej.

Poprosił o jakiś dokument. Pokazałem mu zalaminowaną miniaturową kopię licencji, którą przysłali mi z Sacramento. Uniósł brwi pytająco na widok pełnej formy mojego imienia.

- Hieronimus Bosch. Jak ten szurnięty malarz, nie?

Rzadko ktoś rozpoznawał to imię. W ten sposób dowiedziałem się czegoś o Buddym Lockridge'u.

- Niektórzy mówią, że szurnięty, inni, że dosyć dokładnie przepowiedział przyszłość.

Licencja go usatysfakcjonowała, powiedział, że możemy pogadać na łodzi albo podejść do sklepiku z osprzętem i napić się kawy. Chciałem rzucić okiem na jego łódź i dom - to podstawowa z metod śledczych - ale nie tak ostentacyjnie, toteż powiedziałem, że przyda mi się trochę kofeiny.

Sklepik był o pięć minut drogi wzdłuż nabrzeża. Po drodze gawędziliśmy - głównie słuchałem narzekań Buddy'ego, jak to go przedstawili w tym filmie inspirowanym McCalebowym przeszczipem serca i poszukiwaniem mordercy.

- Zapłacili panu, prawda? - zapytałem, gdy skończył.

- Tak, ale nie o to chodzi.

- O to. Niech pan wsadzi pieniądze do banku i zapomni o wszystkim. To tylko film.

Przed sklepem z osprzętem stało kilka stolików i ław, kawę więc piliśmy na powietrzu. Zanim zdążyłem zadać choć jedno pytanie, Lockridge już mnie wypytywał. Na razie pozwoliłem mu gadać. Uważałem, że jest bardzo istotnym elementem śledztwa, ponieważ znał McCaleba i był jednym z dwóch świadków jego śmierci. Chciałem, żeby poczuł się przy mnie swobodnie, dlatego dałem mu się indagować.

- A co pan przedtem robił? - zapytał. - Był pan gliniarzem?

- Prawie trzydzieści lat. W policji Los Angeles. Połowę tego czasu przepracowałem w wydziale zabójstw.

- Morderstwa, co? Znał pan Terrora?

- Co?

- Znaczy Terry'ego. Mówiłem na niego Terror.

- Czemu?

- Nie wiem. Tak jakoś. Ja wszystkim wymyślam przezwiska. Terry widział na własne oczy terror, jaki panuje na świecie, rozumie pan? Dlatego go tak nazwałem.

- A ja? Jakie przezwisko mnie pan wymyśli?

- Pan...

Popatrzył na mnie jak rzeźbiarz taksujący blok granitu.

- Eee... pan będzie Harry Waliza.

- Czemu?

- Bo jest pan trochę taki wymięty, jakby żył pan na walizkach. Kiwnąłem głową.

- Całkiem nieźle.

- Znał pan Terry'ego?

- Znałem. Kiedy był u federalnych, parę spraw prowadziliśmy razem. I jeszcze jedną, kiedy miał już nowe serce.

Strzelił palcami i wskazał na mnie.

- Teraz pamiętam, to pan jest tym gliniarzem, co był wtedy

w nocy na łodzi, kiedy tych dwóch popaprańców przyszło go załatwić. Uratował go pan, a potem on się pozierał i pana uratował.

Potaknąłem.

- To fakt. Buddy, a teraz ja zadam panu parę pytań, dobra?

Rozłożył szeroko ręce, wskazując, że jest gotów i nie ma nic do ukrycia.

- No jasne, człowieku, nie chciałem na siłę trzymać się mikro fonu.

Wyciągnąłem notatnik i położyłem na stole.

- Dzięki. Zacznijmy od tego ostatniego czarteru. Opowiedz mi o nim.

- A co chce pan wiedzieć?

- Wszystko.

Lockridge westchnął ciężko.

- To poważne zamówienie.

Ale zaczął opowiadać. To, co wyjawiał na początek, zgadzało się ze szczątkowymi opisami, które przeczytałem w gazetach w Las Vegas, a potem usłyszałem jeszcze raz na pogrzebie. McCaleb i Lockridge wypłynęli w czterodniowy rejs, biorąc jednego pasażera aż za Baja California na łowienie marlina. Kiedy czwartego dnia wracali do Avalon Harbor na Catalinie, McCaleb dostał ataku w sterówce łodzi. Byli dwadzieścia dwie mile od brzegu, w połowie drogi między San Diego i Los Angeles. Przez radio wezwali Straż

Przybrzeżną, która wysłała do nich helikopter ratunkowy. Zawieziono McCaleba do szpitala w Long Beach, gdzie uznano go za martwego w chwili przybycia.

Kiedy skończył mówić, pokiwałem głową, jakby potwierdził wszystko, co już słyszałem.

- Czy widział go pan, jak miał ten atak?

- No niezupełnie. Ale poczułem to.

- Jak to?

- Wie pan, był na górze, przy sterze. Ja siedziałem w kokpicie z pasażerem. Obraliśmy kurs na północ, do domu. Pasażer miał już dość wędkowania, więc nawet trolling schowaliśmy. Terry pędził na wprost, pewnie robił ze dwadzieścia pięć węzłów. Ja i Otto, znaczy się pasażer, siedzieliśmy na dole, a łódka nagle zrobiła zwrot o dziewięćdziesiąt stopni na zachód. Na otwarte morze, pojmuje pan? Tego nie było w planach, toteż polazłem na górę, wysadziłem głowę i zobaczyłem go zgarbionego nad kołem. Miał atak. Podszedłem do niego, żył, ale człowieku, był już na ostatnich nogach.

- Co pan zrobił?

- Kiedyś byłem ratownikiem. Na Venice Beach. Jeszcze pamiętam, jak się robi reanimację. Zawołałem Ottona na górę i zabrałem się do Terry'ego, a Otto sterował łodzią i wołał Straż przez radio. Mimo moich starań Terry cały czas był nieprzytomny, ale pompowałem go i pompowałem, aż pojawił się helikopter. Trochę im to czasu zajęło.

Zapisałem coś w notesie. Nie żeby to było ważne, ale chciałem, by Lockridge widział, że traktuję go poważnie i wszystko, co uważa za istotne, jest również dla mnie istotne.

- Ile czasu minęło, zanim przylecieli?

- Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Nie jestem pewien, ale jak się komuś robi sztuczne

oddychanie, wydaje się, że to trwa całe wieki.

- Tak. Każdy, z kim rozmawiałem, mówił, że zrobił pan, co tylko mógł. Czyli on w ogóle nic nie powiedział. Po prostu upadł przy sterze.

- Tak jest.

- A przedtem? Jakie były jego ostatnie słowa?

Lockridge, próbując sobie przypomnieć, zaczął obgryzać paznokcieć.

- Dobrze pytanie. To chyba było wtedy, kiedy podszedł do re-lingu nad kokpitem i krzyknął, że przed zachodem słońca dopłyniemy.

- Ile to było czasu przed atakiem?

- Z pół godziny, może trochę więcej.

- Wyglądał wtedy normalnie?

- Tak, wyglądał zwyczajnie, jak to Terror, wiesz pan. Nikt by się nie domyślił, co się stanie.

- Byliście na łodzi już cztery pełne dni, tak?

- Tak. Ciasno trochę, bo w salonie spał pasażer. My z Terryem w forpiku.

- Czy przez cały czas widział pan, jak Terry bierze leki? Te wszystkie swoje piguły.

Lockridge energicznie potaknął.

- No pewnie, nic tylko je łykał. Codziennie rano i wieczorem.

Byliśmy razem na wielu rejsach. To był niemal rytuał, można by według tego nastawiać zegarek. Nigdy nie zapominał. I tym razem też nie zapomniał.

Zacząłem znów coś notować, żeby pozwolić mu gadać. Ale on i tak przerwał.

- Nie mówił czasem, że smakują inaczej albo że gorzej się po nich czuje?

- A, o to chodzi? Chcecie powiedzieć, że Terry wziął złe pigułki, i nie wypłacić odszkodowania? Żebym wiedział, w życiu bym z tobą nie gadał.

Zaczął podnosić się z ławy. Wyciągnąłem dłoń i chwyciłem go za ramię.

- Buddy, siadaj. Nie chodzi o to. Nie pracuję dla firmy ubezpieczeniowej.

Opadł ciężko z powrotem i zerknął na moją rękę, którą go przytrzymałem.

- To o co?

- Już wiesz o co. Sprawdzam tylko, czy ze śmiercią Terry'ego wszystko w porządku.

- Wszystko w porządku?

Zdałem sobie sprawę, że niefortunnie dobrałem słowa.

- Chcę powiedzieć, że sprawdzam, czy nikt mu nie pomógł.

Lockridge przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym powoli skinął głową.

- To znaczy, że ktoś mu tam czegoś dosypał czy coś?

- Niewykluczone.

Zacisnął szczęki ze stanowczością. Sprawiał wrażenie szczerego.

- Mogę jakoś pomóc?

- Może i tak. Jutro z rana jadę na Catalinę. Chcę zerknąć na łódź. Możemy się tam spotkać?

- Oczywiście.

Wydawał się podekscytowany. Wiedziałem, że kiedyś będę go musiał zgasić, ale teraz chciałem, żeby w pełni ze mną współpracował.

- No dobrze. Jeszcze parę pytań. Ten pasażer, Otto, znaliście go wcześniej?

- Pewnie, wypływa z nami parę razy w roku. Mieszka na wyspie, tylko dlatego dostaliśmy ten kilkudniowy czarter. Rozumiesz, firma cienko przędała, ale Terry się tym nie przejmował. Pasowało mu siedzieć na przystani i przez pół dnia czekać.

- Buddy, powoli. O czym pan mówi?

- Mówię, że Terry uparł się, by trzymać łódź na wyspie. Tam trafiali się nam tylko goście, którzy przyjechali na Catalinę i chcieli popłynąć na kilka godzin na ryby. Żadnych dłuższych rejsów, trzy-, cztero-, pięciodniowych. A to na nich się zarabia. Otto był wyjątkiem, bo sam tam mieszka i parę razy do roku chce płynąć na ryby pod wybrzeże Meksyku i jeszcze przy okazji zamoczyć kiją.

Lockridge tak szybko sypał informacjami, potencjalnymi tropami, że ledwo nadążałem. Skupiłem się na McCalebie, choć do Ottona na pewno trzeba będzie wrócić.

- Mówisz, że Terry'emu odpowiadały takie krótkie wypady.
- Właśnie. Ciągłe mu powtarzałem: przenieśmy firmę z wyspy na ląd, dajmy parę ogłoszeń i zgarnijmy jakichś poważnych klientów. Ale on nie chciał.
- Pytałeś go dlaczego?
- Jasne, po prostu chciał zostać na wyspie. Nie chciał być przez cały czas z dala od rodziny. No i lubił pracować nad aktami.
- Czyli jego starymi sprawami?
- Starymi i kilkoma nowymi.
- Jakimi nowymi?
- Nie wiem. Terry ciągle wycinał artykuły z gazet, wkładał je do teczek, dzwonił gdzieś i tak dalej.
- Na łódce?
- Tak, na łódce. W domu Graciela mu nie pozwalała. Powiedział, że jej się to nie podoba. No i jakoś doszło aż do tego, że zaczął spać na łodzi. Pod sam koniec. To chyba też przez te akta. Miał jakąś obsesję i ona powiedziała, że ma zostać na łodzi, aż mu przejdzie.
- Powiedział ci to?
- Nie musiał.
- Pamiętasz jakąś sprawę, którą interesował się ostatnio?
- Nie, on już mnie w to nie wciągał. Pomogłem mu w tej sprawie z dawcą jego serca, a potem jakby odciął mnie od tego.
- Przejąłeś się?
- Niespecjalnie. To znaczy, chciałem pomóc. Łapanie przestępców jest ciekawsze niż łapanie ryb, ale wiedziałem, że to jego świat, nie mój.
- Za bardzo mi to trąciło gotową odpowiedzią, jakby powtarzał słowa, które kiedyś usłyszał od McCaleba. Zdecydowałem, że na razie to tak zostawię, ale trzeba będzie wrócić do tego tematu.
- No dobra, wróćmy do tego Ottona. Ile razy z nim już łowiliście?
- To był trzeci... nie, czwarty... rejs.
- Zawsze tam do Meksyku?
- Tak.
- Co robi ten Otto, że go na to stać?
- Jest na emeryturze. Ma się za jakiegoś Zane'a Graya i lubi wędkować dla sportu. Chciałby złapać marlina czarnego i powiesić go sobie na ścianie. Stać go na to. Mówił, że kiedyś był handlowcem, ale nigdy nie pytałem, co sprzedawał.
- Na emeryturze? Ile ma lat?
- Nie wiem, sześćdziesiąt kilka.
- Skąd się tu sprowadził?
- Z drugiej strony, zdaje się, z Long Beach.
- Co miałeś na myśli chwilę temu, kiedy powiedziałeś, że lubi pływać na ryby i zamoczyć kija przy okazji?
- No dokładnie to. Braliśmy go na ryby, a kiedy zawijaliśmy do Cabo, zawsze wyrwał tam jakąś panienkę.
- Czyli na tym ostatnim rejsie co wieczór zawijaliście do portu i zawsze do Cabo.
- Pierwsze dwie noce spędziliśmy w Cabo, trzecią - w San Diego.
- Kto wybierał te miejsca?
- No, Otto chciał do Cabo, a San Diego było po prostu w połowie drogi z powrotem. Wracamy zawsze bez pośpiechu.
- Co Otto robił w tym Cabo?
- No mówiłem, coś tam sobie kręcił na boku. Na wieczór stroił się i znikał na mieście. Pewnie spotykał się z jakąś señorita. Parę razy dzwonił z komórki.
- Jest żonaty?
- Zdaje się tak. Pewnie dlatego lubi te czterodniowe czartery. Jego żona myśli, że łowi ryby. Pewnie nawet nie wie, że zatrzymujemy się w Cabo po Margaritę - i nie chodzi mi o drinka.
- A Terry, on też szedł na miasto?
- Odpowiedział bez zastanowienia.

- To go nie interesowało. W ogóle nie schodził na ląd. Nawet na pomost.
 - Dlaczego?
 - Nie wiem. Mówił tylko, że nie chce. Myślę, że wiązał się z tym jakiś przesąd.
 - Jaki?
 - No wie pan, kapitan zostaje na łodzi i tego typu rzeczy.
 - A ty?
 - Przeważnie siedziałem na łódce z Terryem. Ale od czasu do czasu wyszedłem na miasto do baru czy coś.
 - A podczas ostatniego rejsu?
 - Nie, zostałem na łodzi. Trochę mało miałem kasy.
 - Czyli Terry ani na chwilę nie zszedł na ląd?
 - Właśnie.
 - A na łódce ani przez moment nie było nikogo poza tobą, Terryem i Ottonem, tak?
 - Tak... no, niezupełnie.
 - To znaczy? Kto jeszcze tam był?
 - W drugi wieczór, kiedy podpływaliliśmy do Cabo, zatrzymali nas federales. Meksykańska Straż Przybrzeżna. Na pokład weszło dwóch gości i kilka minut się rozglądali.
 - Po co?
 - Taki mają zwyczaj. Co jakiś czas cię zatrzymują, każą zapłacić drobną sumkę i puszczają.
 - Łapówkę?
 - Łapówkę, działkę, dołę, jak zwał, tak zwał.
 - I tym razem też.
 - Tak, kiedy byli w salonie, Terry dał im pięćdziesiąt dolarów i zaraz się zmyli. Trwało to dosłownie chwilę.
 - Czy przeszukiwali łódź? Zajrzeli do leków Terry'ego?
 - Nie, skąd. Właśnie za to się płaci, żeby nie grzebali.
- Zdałem sobie sprawę, że nie robię notatek. Wiele informacji było dla mnie nowych i wymagało głębszego zbadania, ale czułem, że w tej chwili mam już ich dosyć. Muszę przetrwać, co zebrałem, i wrócić do tego. Miałem przeczucie, że Buddy Lockridge poświęci mi czas, jeśli pozwolę mu poczuć, że bierze w tym śledztwie udział. Zapytałem go o dokładne nazwy i adresy marin, w których cumowali na wycieczce z Ottonem, i tę informację w notesie zapisałem. Potem upewniłem się, że umawiamy się na łódce McCaleba jutro rano. Powiedziałem, że przyjadę pierwszym promem, odparł, że też na nim będzie. I zostawiłem go tam, bo chciał jeszcze pójść do sklepu po jakieś rzeczy.
- Kiedy wrzucaliśmy kubeczki po kawie do kosza, życzył mi powodzenia w śledztwie.
- Nie wiem, do czego dojdiesz. Nie wiem, czy w ogóle jest czego szukać, ale jeśli Terry'emu ktoś pomógł, chciałbym, żebyś go dorwał. Rozumiesz, co mam na myśli?
 - Tak, Buddy, chyba rozumiem. Do zobaczenia jutro.
 - Do jutra.

5

Moja córka, kiedy zadzwoniłem do niej do Vegas, poprosiła, żebym coś jej opowiedział. Miała dopiero pięć lat i ciągle domagała się, żeby jej śpiewać albo opowiadać. Mnie łatwiej przychodziły opowieści niż piosenki. Maddie miała czarnego kota, dachowca, którego nazywała Bezimiennym, i lubiła, jak wymyślałam historie, w których Bezimienny przeżywa rozliczne perypetie i naraża się na niebezpieczeństwa, żeby na koniec rozwiązać jakąś zagadkę, znaleźć zaginione zwierzątko lub dziecko albo dać nauczkę złemu bohaterowi.

Opowiedziałem jej zaimprovizowaną historyjkę o tym, jak Bezimienny odnalazł zabłąkanego kotka, nazywanego się Cielo Azul. Podobało jej się i poprosiła o jeszcze jedną, ale odparłem, że jest już późno i muszę kończyć. A wtedy zapytała mnie ni stąd, ni zowąd, czy Burger King i Dairy Queen*[Dairy Queen -

„Nabiałowa Królowa”, sieć barów szybkiej obsługi, początkowo sprzedających głównie produkty mleczne.]

są małżeństwem. Uśmiechnąłem się pełen podziwu dla jej toku myślenia. Powiedziałem, że tak, więc zapytała, czy są szczęśliwi.

Możesz pójść w odstawkę lub uciec, skryć się przed światem. Możesz uwierzyć, że jesteś kompletnym outsiderem. Niewinność dziecka sprowadzi cię jednak z powrotem i da ci tarczę radości, byś mógł się osłonić. Dowiedziałem się tego późno w życiu, ale nie za późno. Bolało mnie, kiedy myślałem, czego jeszcze dowie się o świecie. Wiedziałem tylko, że ja nie chcę jej niczego uczyć. Czułem się zbrukany życiem, jakie prowadziłem, i wszystkim, co przeżyłem. Niczego z tych rzeczy nie chciałem jej przekazywać. Niech to ona

mnie uczy. Odrzekłem, że owszem - Burger King i Dairy Queen są szczęśliwi i wspaniale im się razem żyje. Chciałem, żeby miała swoje opowieści, bajki, póki jeszcze w nie wierzy. Wiedziałem, że już niedługo zostaną jej odebrane.

Mówiąc jej przez telefon „dobranoc”, poczułem się samotny. Przez dwa tygodnie byłem w Vegas i Maddie ciągle mnie widywała. Odbierałem ją ze szkoły, przyglądałem się, jak pływa w basenie, parę razy robiłem jej kolację w kawalerce, którą wynajmowałem nieopodal lotniska. Na noc, kiedy jej matka grała w pokera w kasynach, zabierałem ją do domu i kładłem spać, zostawiając pod opieką niani, która z nimi mieszkała.

Byłem w jej życiu kimś nowym. Przez pierwsze cztery lata nigdy o mnie nie słyszała ani ja o niej. Na tym polegało i piękno, i trudy tej więzi. Ojcostwo spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, syciłem się nim i z całych sił starałem się być dobrym tatą. Maddie zaczęła nagle mieć dodatkowego opiekuna, który pojawiał się i znikał, a także dodatkową porcję przytulania i dodatkowy całus w czoło. Wiedziała jednak, że ów mężczyzna, który niespodziewanie wkroczył w jej świat, przynosił jej matce ból i łzy. Eleanor i ja staraliśmy się przy niej nie dyskutować, nie rzucać ostrymi słowami, ale ściany mają uszy, a dzieci, jak się okazuje, są najlepszymi detektywami. Po mistrzowsku tłumaczą sobie ludzkie uczucia.

Eleanor Wish skryła przede mną najważniejszą z tajemnic. Córkę. W dniu, kiedy w końcu mi ją przedstawiła, pomyślałem, że świat wreszcie nabrał sensu. W jej ciemnych oczach, takich jak moje, widziałem zbawienie dla siebie. Ale tamtego dnia jeszcze nie dostrzegłem szczeliny, przepaści, rozpadlin, kryjących się tuż pod powierzchnią. I to głębokich. Najszczęśliwszy dzień w moim życiu doprowadził do dni najgorszych, kiedy szlag mnie trafiał, że tak długo ukrywano przede mną, że mam córkę. W pierwszej chwili myślałem, że mam już wszystko, czego tylko można chcieć od życia, lecz wkrótce się dowiedziałem, że jestem zbyt słabym człowiekiem, żeby to utrzymać, żeby udźwignąć zdradę, która w tym się kryła.

Lepszy ludzie potrafili to zrobić. Ja nie. Opuściłem dom Eleanor i Maddie. Moje lokum w Las Vegas to jednopokojowa kawalerka, oddzielona parkingiem od lotniska, gdzie lądują prywatne odrzutowce milionerów i miliarderów hazardzistów, którzy następnie jadą luksusowymi limuzynami do kasyn. Jestem jedną nogą w Vegas, a drugą tutaj, w Los Angeles, mieście, którego nigdy nie opuszczę, chyba że umrę.

Kiedy powiedziałem jej „dobranoc”, Maddie oddała słuchawkę matce - był to jeden z rzadkich wieczorów spędzanych przez nią w domu. Nasze stosunki były bardziej napięte niż kiedykolwiek. Kłóciliśmy się o córkę. Ja nie chciałem, żeby dorastała przy matce, która pracuje nocami w kasynach. Nie chciałem, żeby jadła kolacje w Burger Kingu. I nie chciałem, żeby uczyła się życia w mieście, które obnosi się ze swymi grzechami.

Ale nie mnie było to zmieniać. Zdawałem sobie sprawę, że narażam się na śmieszność - sam mieszkam w mieście, gdzie zbrodnia, przypadek, chaos czają się za rogiem, a niebezpieczeństwo dosłownie wisi w powietrzu, ale nie podobał mi się pomysł, by mała dorastała w Vegas. Dla mnie istnieje subtelna różnica między nadzieją a żądzą. Los Angeles opiera się na nadziei - wciąż jest w tym coś czystego, szczerego. Pomaga dostrzegać rzeczy wśród brudnego powietrza. Vegas to co innego. Dla mnie opiera się wyłącznie na żądzy i bardzo łatwo zmarnować tam sobie życie. Chcę dla córki czegoś lepszego. Nawet dla jej matki. Mogę zacząć, ale nie tak długo. Kiedy spędzam czas z Maddie, poznaję ją lepiej, Kocham bardziej, ale w końcu tracę cierpliwość.

Gdy Maddie oddała słuchawkę matce, nie mieliśmy sobie za wiele do powiedzenia, dlatego prawie nic nie mówiliśmy. Dodałem tylko, że zobaczę się z Maddie, gdy tylko będę mógł, i rozłączyliśmy się. Odłożyłem słuchawkę, czując ból, do którego nie byłem przyzwyczajony. Nie był to ból płynący z samotności czy pustki, tylko ból spowodowany lękiem o przyszłość kogoś, kogo ceni się bardziej niż własne życie.

6

Pierwszy prom dowiózł mnie na Catalinę następnego ranka o 9.30. Płynąc nim, zadzwoniłem z komórki do Gracieli McCaleb, czekała więc na przystani. Dzień był pogodny, słoneczny, mogłem delektować się czystym, pozbawionym smogu powietrzem. Graciela uśmiechnęła się do mnie, gdy podszedłem do bramy, gdzie oczekiwało się na pasażerów.

- Dzień dobry. Dziękuję, że przyjechałeś.
- Nie ma sprawy. Dziękuję, że wysłaś po mnie.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że będzie z nią Buddy Lockridge. Nie widziałem go na promie i doszedłem do wniosku, że pewnie przyplął wczoraj wieczorem.

- Nie ma jeszcze Buddy'ego?
- Nie, a miał być?
- Chciałem zerknąć na rzeczy na łodzi razem z nim. Powiedział, że będzie na pierwszym promie, ale się nie pokazał.

- Słuchaj, są dwa promy. Następny przyplynie za czterdzieści pięć minut. Pewnie na nim będzie Buddy. Od czego chcesz zacząć?

- Chcę popłynąć na łódź.

Podeszliśmy do doku załadunkowego i wzięliśmy ponton, zo-diacą z małym jednokonnym silnikiem. Wyplłynęliśmy do basenu, gdzie w rzędach stały falujące synchronicznie jachty, uwiązane do podskakujących boi cumowniczych. Łódź Terry'ego, „Fala od rufy”, była przedostatnia w drugim rzędzie. Kiedy podplłynęliśmy do niej od rufy, ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Na tym jachcie umarł Terry. Mój przyjaciel i mąż Gracieli. Miałem taki swój zawodowy sekret - zawsze starałem się znaleźć czy stworzyć w sobie jakiś emocjonalny związek ze sprawą. Pomagało mi to podtrzymywać ogień, dawało tę parę, żeby jechać, gdzie trzeba, i robić, co trzeba. Wiedziałem, że w tej sprawie nie muszę niczego takiego szukać. Nie trzeba nic wymyślać. Już to w sobie miałem. W wystarczającej ilości.

Spojrzałem na nazwę jachtu, wypisaną czarnymi literami na rufie, i przypomniałem sobie, jak Terry kiedyś wyjaśniał mi, co znaczy. Powiedział mi, że na falę od rufy trzeba uważać, gdyż nadchodzi od tyłu i jej się nie widzi. Dobra filozofia. Zastanawiałem się teraz, dlaczego Terry nie zobaczył, co i kto zachodzi go od tyłu.

Chwiejnie wygramoliłem się z pontonu na rufę łódki. Sięgnąłem po linę, żeby go uwiązać, ale Graciela mnie powstrzymała.

- Ja nie wchodzę - oznajmiła.

Pokręciła głową, jakby chciała powstrzymać wszelkie namowy, i podała mi pęk kluczy. Wziąłem je i kiwnąłem głową.

- Po prostu nie chcę tam być - dodała. - Raz weszłam, żeby pozbierać te leki, i wystarczy.
- Rozumiem.
- Ponton będzie na przystani czekał na Buddy'ego. Jeśli się pojawi.
- Jeśli się pojawi?
- Jest niespecjalnie słowny. Przynajmniej Terry tak twierdził.
- A jak się nie pojawi, to co mam zrobić?
- Oj, po prostu zamachaj na wodną taksówkę. Przepływają w pobliżu co piętnaście minut. Nie będziesz miał problemu. Możesz mi przynieść rachunek. A właśnie, nie rozmawialiśmy jeszcze o honorarium.

Musiąta to powiedzieć, ale oboje wiedzieliśmy, że za tę robotę nie wezmę ani centa.

- Nie trzeba - odparłem. - Jeśli coś wskóram, chcę w zamian tylko jedno.
- Co?
- Terry mówił mi kiedyś o waszej córce. Powiedział, że nazwaliście ją Cielo Azul.
- To prawda. Sam wybrał imię.
- Powiedział ci kiedyś, dlaczego właśnie takie?
- Oświadczył, że po prostu mu się takie podoba. I jeszcze, że kiedyś znał dziewczynę, która się tak

nazywała.

Kiwnąłem głową.

- W zamian za tę robotę chciałbym kiedyś ją poznać - to znaczy, kiedy już to wszystko się skończy.

Graciela zamilkła na chwilę. Potem zgodziła się.

- Jest kochana. Polubisz ją.

- Na pewno.

- Harry, ty ją znasz? Tę dziewczynę, której imię Terry dał naszej córce?

Popatrzyłem na nią przez chwilę i przytaknąłem.

- Tak, można powiedzieć, że ją znałem. Kiedyś, jak zechcesz,

opowiem ci o niej.

Skinęła głową i zaczęła odpychać zodiaka od rufy. Pomogłem jej nogą.

- Mały kluczyczek otwiera salon - dodała na koniec. - Z resztą sobie poradzisz. Mam nadzieję, że coś znajdziesz.

Przytaknąłem i uniosłem klucze, jakby otwierały wszystkie drzwi, które w życiu napotkam. Obserwowałem, jak pod pływa do nabrzeża, a potem wspiąłem się na pokład i wszedłem do kokpitu.

Jakieś poczucie obowiązku kazało mi najpierw wdrapać się po drabince do sterówki, potem dopiero zejść pod pokład. Zdjąłem przykrycie z deski rozdzielczej i przez moment stałem przy kole, przy siedzeniu i wyobrażałem sobie atak Terry'ego, tak jak opowiedział mi o nim Buddy Lockridge. To, że zmarł właśnie tutaj, za sterem, wydawało się dziwnie na miejscu, choć zważywszy na to, co już wiedziałem, także złe. Położyłem dłoń na oparciu fotela. Postanowiłem, że zanim stąd odpłynę, znajdę odpowiedzi na wszystkie pytania.

Mały chromowany kluczyczek otworzył lustrzane przesuwne drzwi prowadzące do wnętrza łodzi. Zostawiłem je otwarte, żeby trochę się przewietrzyło. W środku unosił się nieświeży, słony zapach. Wytropiłem, że jego źródłem są wędki i kołowrotki powieszona na szynach pod sufitem, wciąż z przyczepionymi sztucznymi przynętami. Domyślałem się, że po ostatnim czarterze nikt ich nie opłukał, nie zakonserwował. Nie było czasu ani powodu.

Chciałem już zejść do kajuty na dziobie - wiedziałem, że tam Terry trzyma swe akta. Ale postanowiłem zostawić to miejsce na koniec. Zdecydowałem, że zacznę od salonu i będę powoli przesuwawał się coraz niżej.

Salon był umeblowany funkcjonalnie, miał kanapę, fotel i stolik do kawy po prawej stronie, przed nimi stół nawigacyjny i fotel wewnętrznej sterówki. Na drugiej burcie była obita czerwoną skórą łoża ze stolikiem, jak w restauracji. W ściankę oddzielającą łożę od kambuza wmontowano telewizor, za kambuzem znajdowała się krótka schodnia, która prowadziła do kajut na dziobie i łazienki.

Było tu czysto i schludnie. Stałem pośrodku i przyglądałem się przez pół minuty, zanim podszedłem do stołu nawigacyjnego i zacząłem otwierać szuflady. Tu McCaleb trzymał papiery dotyczące firmy czarterowej. Znalazłem listy klientów i kalendarz rezerwacji. Były także dokumenty dotyczące rozliczeń z Visa i MasterCardem, widocznie klienci płacili mu kartą. Firma czarterowa miała konto bankowe, w szufladzie znalazłem też firmową książeczkę czekową. Sprawdziłem wyciągi i zobaczyłem, że niemal wszystkie przychody szły na pokrycie kosztów paliwa, opłat portowych, a także sprzętu wędkarskiego i innego zaopatrzenia jachtu. Nie było śladu żadnych wpłat gotówkowych, doszedłem więc do wniosku, że jeśli firma w ogóle przynosiła zysk, krył się on w tym, co klienci zapłacili gotówką i co nie zostało zaksięgowane. Nie wiadomo, ilu tak się rozliczało.

W dolnej szufladzie wpadł mi w oko rejestr czeków bez pokrycia. Było ich zaledwie kilka i to rozłożonych w czasie, żaden nie był na tyle duży, by zagrozić istnieniu firmy.

Zauważyłem, że w książeczce czekowej i większości dokumentów jako zarządzający spółką zawsze widniała Graciela albo Buddy Lockridge. Wiedziałem, że Terry nie mógł oficjalnie zarabiać zbyt dużo, powiedziała mi o tym Graciela. Gdyby przekroczył pewien wyjątkowo niski limit, straciłby uprawnienia do państwowego i federalnego ubezpieczenia medycznego. A gdyby je stracił, musiałby wszystkie wydatki na leczenie pokrywać sam - dla biorcy przeszczepu to prosta droga do bankructwa.

W rejestrze złych czeków znalazłem także niezwiązany z nimi meldunek od szeryfa. Dotyczył zdarzenia sprzed dwóch miesięcy, najwyraźniej było to włamanie na „Falę od rufy”. Zawiadomienie złożył Buddy Lockridge, a w podsumowaniu napisano, że z łodzi skradziono jedynie ręczny odbiornik GPS - systemu nawigacji satelitarnej. Jego wartość oszacowano na trzysta dolarów, był to model Gulliver 100. Z dodatkowej notatki dowiedziałem się, że zawiadamiający policję nie potrafił podać numeru

seryjnego skradzionego urządzenia, ponieważ wygrał je w pokera od nieznanego osoby i nigdy nie chciało mu się zapisać numeru.

Przejrzałem wszystkie szuflady pulpitu nawigacyjnego, a potem wróciłem do dokumentów klientów i zacząłem je starannie badać, przyglądając się każdemu z pasażerów, którego Buddy i Terry wzięli na pokład w ciągu sześciu tygodni przed jego śmiercią. Żadne z nazwisk nie wzbudziło mojej ciekawości ani podejrzeń, podobnie jak żaden z dopisków Terry'ego i Buddy'ego w tych dokumentach. Niemniej wyciągnąłem notes z tylnej kieszeni dzinsów i spisałem wszystkich - nazwiska, kolejne numery i daty czarterów. Uczyniwszy to, zrozumiałem, że rejsów nie organizowano regularnie. Dla nich dobry tydzień to były trzy, cztery czartery na pół dnia. Zdarzył się też tydzień bez żadnego rejsu i kolejny, w którym trafił się tylko jeden. Zaczynałem rozumieć racje Buddy'ego - że należy przenieść biznes na ląd, żeby łapać więcej rejsów i to dłuższych. McCaleb traktował to jako hobby, a w ten sposób firma nigdy by się nie rozwinęła.

Oczywiście, wiedziałem, dlaczego tak to traktował. Miał jeszcze jedno hobby - jeśli zechcecie tak to nazwać - i na nie również potrzebował czasu. Wkładałem właśnie dokumenty do szuflad, miałem teraz zamiar zejść na dziób i zapoznać się z tym drugim hobby Terry'ego, gdy usłyszałem, jak za moimi plecami rozsuwają się drzwi salonu.

Był to Buddy Lockridge. Przyplłynął, choć nie słyszałem ani silniczka zodiaka, ani uderzenia w rufę. Nie poczułem także solidnego ciężaru Buddy'ego, gdy wdrapywał się na pokład.

- Dzień dobry - powiedział. - Przepraszam za spóźnienie.
- W porządku. Jest tu i tak dużo rzeczy do sprawdzenia.
- Coś już znalazłeś?
- Nie bardzo. Muszę pójść do kajuty obojczyce te wszystkie akta.
- Fajnie. Pomogę.
- Właściwie wiesz co, Buddy, pomógłbyś mi, gdybyś zadzwonił do ostatniego waszego pasażera.

Zerknąłem na nazwisko w notesie.

- Otto Woodall. Możesz zadzwonić do niego, poświadczyć za mnie i zapytać, czy dziś po południu mógłbym się z nim spotkać?

- Tylko tyle? Chciałeś, żebym przyjechał aż tutaj po to, żeby gdzieś dzwonić?

- Nie, będę miał do ciebie pytania. Jesteś mi tu potrzebny. Po prostu wydaje mi się, że nie powinieneś przeglądać tych akt. Jeszcze nie teraz.

Miałem przecucie, że Buddy tak czy inaczej już przejrzał papiery Terry'ego, i to dokładnie. Ale celowo tak z nim zagrałem. Chciałem, żeby był blisko, ale jednak trzymałem go na dystans. Musiałem go wprawdzie oczyścić z podejrzeń. Jasne, był współnikiem McCaleba i zasłużył się, reanimując swego przyjaciela po ataku, ale widywałem już w życiu dziwniejsze rzeczy. W tej chwili nie miałem żadnych podejrzanych, co oznaczało, że muszę podejrzewać każdego.

- Zadzwoń do niego, a potem zjedź tam do mnie.

Zostawiłem go i udałem się do niższej części łodzi. Byłem tu już wcześniej i znałem rozkład. Dwoje drzwi po lewej prowadziło do toalety i schowka. Na wprost były drzwi do małej kabiny dziobowej. Po prawej znajdowała się główna kajuta, miejsce, gdzie cztery lata temu mało nie zginąłem, na szczęście Terry McCaleb podniósł pistolet i strzelił do człowieka, który się na mnie zaczął. Zdarzyło się to chwilę po tym, gdy sam uratowałem McCaleba od podobnego końca.

Przyjrzałem się boazerii w korytarzu, tam gdzie dwa strzały McCaleba roztrzaskały deski. Powierzchnię grubo polakierowano, ale widać było, że to nowsze drewno.

Półki w schowku były puste, a łazienka czysta, wywietrznik w suficie otwarty na pokład dziobowy. Otworzyłem główną kajutę i zajrzałem do niej, ale postanowiłem przejrzeć ją później. Poszedłem do kabiny dziobowej. Musiałem użyć klucza, który dała mi Graciela.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak je pamiętałem. Dwie piętrowe koje na obu burtach, zbiegające się zgodnie z linią dziobu. Te po lewej wciąż służyły do spania, cienkie materace były zrolowane i spięte gumami. Ale dolna koja po prawej nie miała materaca, zrobiono z niej biurko. Natomiast na górnej stały, jedno przy drugim, podłużne kartonowe pudła z teczkami.

Sprawy McCaleba. Przez dłuższą chwilę patrzyłem na nie i doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś go zamordował, tutaj pewnie go znajdzie.

- O której będzie ci pasowało? - powiedział, mając na myśli spotkanie z Ottonem.

Prawie podskoczyłem. Za mną stał Lockridge. Znowu nie usłyszałem ani nie poczułem, jak nadchodzi.

Uśmiechał się, bo lubił się do mnie podkradać.

- W porządku - odparłem. - Może po obiedzie podejźmy do niego. I tak będę musiał sobie zrobić trochę przerwy przy przeglądaniu tych papierów.

Spojrzałem na biurko i zobaczyłem biały laptop ze znajomym symbolem nadgryzionego jabłka na obudowie. Wyciągnąłem rękę i otworzyłem go, nie bardzo wiedząc, co dalej.

- Kiedy ostatni raz go odwiedziłem, miał inny komputer.

- Tak - przyznał Lockridge. - Ten kupił sobie ze względu na grafikę. Zaczął się bawić fotografią cyfrową i tak dalej.

Lockridge, bez mojego polecenia czy przyzwolenia, sięgnął i wcisnął biały przycisk na komputerze, który zaczął szumieć. Czarny ekran się rozświetlił.

- Jaką fotografią? - zapytałem.

- No, raczej taką amatorską. Jego dzieciaki, zachody słońca i takie tam. Zaczęło się od klientów. Wiesz, robiliśmy im zdjęcia z rybami, które złowili, nie? I potem Terry mógł zejść tutaj i na miejscu wydrukować odbitki, dwadzieścia na trzydzieści. Gdzieś tu jest pudło takich gównianych ramek do zdjęć. Klient łowi rybę i dostaje zdjęcie w ramce na pamiątkę. Wliczone w cenę. Całkiem nieźle to działało. Napiwki sporo wzrosły.

Komputer wystartował. Tło ekranu przedstawiało błękitne niebo, które skojarzyło mi się z córką McCaleba*. [Cielo azul (hiszp.) - błękitne niebo.] Na tym tle widniało kilka ikon. Od razu zauważyłem, że jedna jest miniaturową teczką. Podpisana była PROFILE. Wiedziałem, że właśnie tę teczkę muszę otworzyć. Przeglądając się dalej, u dołu ekranu zobaczyłem ikonkę przedstawiającą aparat i zdjęcie palmy. Skoro mówiliśmy o zdjęciach, wskazałem na nią.

- Tu są te zdjęcia?

- Tak - odparł Lockridge.

I znów zadziałał nieproszoney. Przesunął palcem po małym kwadracie przed klawiaturą, co z kolei przesunęło kursor na ikonę z aparatem. Ekran od razu się zmienił. Lockridge obsługiwał komputer z dużą wprawą, co obudziło moją czujność. Czy Terry McCaleb pozwalał mu go dotykać - w końcu razem prowadzili firmę - a może Lockridge nauczył się tego bez wiedzy współnika?

Na ekranie otworzyła się ramka zatytułowana iPhoto. W niej kilka kolejnych teczek. Większość z datami, zwykle było to kilka tygodni lub miesiąc. Jedna nazywała się po prostu POCZTA.

- No to dalej - powiedział Lockridge. - Chcesz zobaczyć klientów z rybami?

- Pewnie, pokaż mi najnowsze fotki.

Lockridge kliknął na teczkę oznaczoną datą z tygodnia poprzedzającego śmierć McCaleba. Otworzyła się, zawierała kilkadziesiąt zdjęć, każde z datą. Kliknął na najnowsze z nich. Minęło kilka sekund i na ekranie wyświetliło się zdjęcie. Przedstawiało mężczyznę i kobietę, spalonych słońcem na raka, z uśmiechem unoszących paskudną brązową rybę.

- Halibut z zatoki Santa Monica - wyjaśnił Buddy. - Nieźła sztuka.

- Co to za ludzie?

- Pochodzili chyba z... eee... Minnesoty. Tak, z St. Paul. I chyba nie byli małżeństwem. To znaczy każde miało tam jakiegoś małżonka. Siedzieli jakiś czas na wyspie i żyli na kocią łapę. To ostatni klienci przed naszym czarterem do Baja. Zdjęcia z tamtego rejsu pewnie są jeszcze w aparacie.

- A gdzie jest aparat?

- Powinien być tutaj. Jeśli nie, pewnie Graciela go ma.

Kliknął na strzałkę w lewo nad zdjęciem. Zaraz pojawiło się następne, ta sama para i ta sama ryba. Kliknął dalej, w końcu doszedł do nowego klienta i jego trofeum, mniej więcej piętnastocalowego różowawobiałego stworzenia.

- Bass - powiedział Lockridge. - Ładna ryba.

I dalej klikał, pokazując mi paradę wędkarzy i ich zdobyczy. Wszyscy wyglądali na zadowolonych, a niektórzy nawet jakby trochę wypili. Lockridge umiał nazwać wszystkie ryby, ale klientów już nie. Na jednych mówił „dobry napiwek”, na innych „kiepski napiwek”, i tyle.

Wreszcie dotarł do faceta, który z pełnym zachwytem uśmiechem unosił bassa. I zaklął.

- Co się stało? - zapytałem.

- Ten kutas zapieprzył mój fish box.

- Jaki box?

- GPS. To on go ukradł.

7

Backus trzymał się przynajmniej trzydzieści jardów za nią. Wiedział, że nawet na zatłoczonym chicagowskim lotnisku będzie zachowywać „czujność: sześć”, jak to nazywali, kiedy jeszcze służył w FBI. Będzie oglądać się do tyłu - na sześć, czyli szóstą godzinę - i cały czas sprawdzać, czy ktoś jej depcze po piętach. Już i tak sporo się musiał nakombinować. Samolot z Dakoty Południowej był mały, mieścił mniej niż czterdziestu pasażerów. Ponieważ miejsca przydzielano przypadkowo, siedział zaledwie dwa rzędy od niej. Tak blisko, że mógł poczuć jej zapach - własny zapach, pod perfumami i makijażem. Ten, na który reagują psy.

Przebywanie tak blisko, a zarazem tak daleko było oszałamiające. Przez cały czas kusiło go, by odwrócić się i spojrzeć na nią, może zerknąć między fotelami na jej twarz, zobaczyć, co robi. Ale nie odważył się. Musiał działać powoli. Wiedział, że szczęście sprzyja tym, którzy starannie planują, a potem czekają. Na tym polega cały sekret. Ciemność czeka. Wszystko lgnie do ciemności.

Szedł za nią przez pół hali American Airlines, aż usiadła przy bramce K9. Było tam pusto, żadnego podróżnego. Za kontuarem nie stał pracownik linii lotniczych stukający w komputer i sprawdzający bilety. Lecz Backus wiedział, że to tylko dlatego, iż przyszła za wcześnie. Oboje przyszli za wcześnie. Lot do Las Vegas będzie odprawiany przy stanowisku K9 dopiero za dwie godziny. Wiedział to, bo też leciał tym samolotem. W pewnym sensie był aniołem stróżem Rachel Walling, milczącą eskortą, która nie odstąpi jej aż do celu podróży.

Podszedł do bramki, uważając, by nie rzucało się w oczy, że na nią zerka. Był ciekaw, jak spędzi czas oczekiwania na następny lot.

Na prawym ramieniu powiesił wielką torbę z łaciatej krowiej skóry; gdyby uniosła wzrok, jej uwagę zwróci raczej torba, nie twarz. Nie bał się, że go rozpozna. O to zatroszczył się wcześniej, wiele wycierpiał podczas tych wszystkich operacji. Mogła jednak poznać, że leciał z nią z Rapid City. A tego nie chciał. Nie zamierzał obudzić jej podejrzliwości.

Gdy rzucał Rachel ukradkowe spojrzenie, jego serce nagle zabiło. Miała spuszczoną głowę, czytała książkę - starą i wyświechtaną. Spomiędzy stron wystawało mnóstwo żółtych karteczek. Ale on rozpoznał okładkę i tytuł. „Poeta”. Czytała o nim!

Przyspieszył kroku, żeby nie poczuła, że ktoś ją obserwuje, i nie uniosła wzroku. Minął dwa kolejne stanowiska i wszedł do toalety. Starannie zamknął drzwi kabiny. Powiesił torbę na wieszaku na drzwiach i szybko zabrał się do pracy. Zdjął kowbojski kapelusz i kamizelkę. Siadł na sedesie i ściągnął także kowbojki.

Backus w pięć minut przeobraził się z kowboja z Dakoty Południowej w gracza z Las Vegas. Włożył jedwabne ubranie, złoto, kolczyk i ciemne okulary. Do paska przypiął krzykliwy, chromowany telefon komórkowy, pomimo że nie miał do kogo dzwonić i do niego też nikt nie będzie dzwonił. Z torby wyciągnął inną torbę, dużo mniejszą, ozdobioną lwem z logo Metro-Goldwyn-Mayer.

Wepchnął do niej części swej poprzedniej skóry i wyszedł z kabiny, przewieszając torbę przez ramię.

Podszedł do umywalki, by umyć ręce. Był pełen podziwu dla siebie za te przygotowania. To właśnie planowanie i zwracanie uwagi na szczegóły sprawiały, że osiągnął taki sukces w swym fachu.

Przez chwilę pomyślał o tym, co dalej. Zamierzał zabrać Rachel Walling na wycieczkę. Pod jej koniec pozna otchłanie ciemności. Jego ciemności. Zapłaci za to, co mu zrobiła.

Poczuł, że dostaje wzdrodu. Odszedł od zlewu i wszedł z powrotem do kabiny. Próbował myśleć o czymś innym. Słuchał podróżnych wchodzących do toalety i wychodzących z niej, załatwiających potrzeby, myjących się. Jeden z nich nawet tu gadał przez komórkę. W toalecie potwornie śmierdziało. Ale to nic. Zapach jak w tunelu, gdzie ponownie przyszedł na świat, przez krew i mrok, tyle lat temu. Gdyby tylko wiedzieli, kto siedzi tutaj obok nich.

Przez chwilę miał wizję ciemnego, bezgwieздnego nieba. Padał w tył, trzepocząc rękoma, bezpiecznymi, beużytecznymi skrzydełkami wypchniętego z gniazda pisklęcia.

Ale przeżył i nauczył się latać.

Zaczął się śmiać - nogą spuścił wodę, żeby zagłuszyć ten dźwięk.

- Pieprzcie się wszyscy - szepnął.

Odczekał, aż wzwód zelżeje, dumając nad jego przyczyną i uśmiechając się. Doskonale znał swój profil psychologiczny. Pomiędzy władzą, seksem i spełnieniem jest zaledwie nanometr różnicy, jeśli popatrzeć na ciasno ułożone synapsy w szarych zwojach mózgu. W tych wąskich kanałach wszystko sprowadza się do tego samego.

Kiedy był gotów, ponownie splukał toaletę, pamiętając, by zrobić to butem, i wyszedł z kabiny. Jeszcze raz umył ręce i obejrzał się w lustrze. Uśmiechnął się. Był nowym człowiekiem. Rachel go nie pozna. Nikt go nie pozna. Czując pewność siebie, rozpiął torbę z logo MGM i zerknął na swój aparat cyfrowy. Spoczywał tam, gotowy do pracy. Postanowił, że zaryzykuje i zrobi Rachel kilka zdjęć. Tak tylko, na pamiątkę, parę potajemnych fotek do oglądania i podziwiania, kiedy już będzie po wszystkim.

8

Fish box. GPS. Kiedy Buddy o nim wspomniał, przypomniałem sobie meldunek szeryfa spoczywający w szufladzie pulpitu nawigacyjnego.

- Chciałem cię o to zapytać. Mówisz, że ten gość zabrał GPS?

- Fałszywy kutas. To na pewno on. Wypłynął raz z nami, a potem zaraz widzę, że nie ma GPS-u, a facet otwiera swój biznes czarterowy na mierzei. Dodaj dwa do dwóch i wyjdzie ci dupek. Chciałem już tam podejść i złożyć mu drobną wizytę.

Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. Poprosiłem, żeby wyjaśnił mi to zrozumiałym językiem, jakbym nie odróżniał sławika od słowika.

- Układ był taki - powiedział. - W tej czarnej skrzynce były pozycje wszystkich naszych najlepszych punktów, łowisk. I nie tylko naszych, także tego gościa, od którego go wygrałem. Bo grałem w pokera z innym przewodnikiem wędkarskim. Stawką nie był sam GPS, ale to, co w nim siedziało. Gość położył na stół dwanaście swoich najlepszych łowisk, a ja zgarnąłem je jednym pieprzonym fulem.

- No tak - odparłem. - Teraz rozumiem. Jego wartość zwiększały współrzędne łowisk.

- Ot co. Takie urządzonek kosztują kilkaset dolarów. Ale łowiska - na to trzeba lat pracy, umiejętności, zbierania doświadczeń.

Wskazałem zdjęcie na ekranie komputera.

- I ten facet przychodzi, zabiera go, a potem otwiera własny czarter, na skróty korzystając z waszej wiedzy. Ma wasze doświadczenia oraz tego przewodnika, od którego wygrałeś GPS.

- I to jak na skróty. Już mówiłem, kiedyś pójde go odwiedzić.

- Gdzie jest ta mierzeja?

- Z drugiej strony, tam gdzie wyspa się tak zwęża, jak ósemka.

- Powiedzieliście szeryfowi, że to pewnie on go ukradł?

- Na początku nie, bo nie wiedzieliśmy. Po prostu nam zginął, pomyśleliśmy, że może w nocy wlaży na pokład jakieś dzieciaki i wzięły, co się nawinęło. Z tego, co wiem, dorastanie na tej wyspie jest nudne jak cholera. Zapytaj tylko Gracielę o Raymonda - dzieciak normalnie dostaje pierdolca. W każdym razie złożyliśmy zawiadomienie i tyle. A kilka tygodni później widzę to ogłoszenie w „Fish Tales”, że na mierzei jest nowy czarter i jest tam zdjęcie faceta. No i pomyślałem sobie: zaraz, ja go znam, i poskładałem to wszystko do kupy. To on ukradł GPS.

- Dzwoniłeś potem do biura szeryfa?

- Tak, dzwoniłem i powiedziałem, że to on. Nie wyglądali na zainteresowanych. Za tydzień zadzwoniłem jeszcze raz, powiedzieli, że rozmawiali z facetem przez telefon. Nikomu nie chciało się nawet wybrać do niego osobiście. Facet oczywiście wszystkiemu zaprzeczył i to by było tyle, jeśli o nich chodzi.

- Jak on się nazywa?

- Robert Ribb. Jego firma nazywa się Isthmus Charters. W reklamie mówi o sobie Robert „Tropiciel” Ribb. Jaki tam tropiciel. Raczej Robert „Złodziej” Ribb.

Spojrzałem na zdjęcie i zastanawiałem się, czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą. Czy zaginiony

GPS mógłby być przyczyną śmierci Terry'ego McCaleba? Wydawało się to nieprawdopodobne. Kradzież konkurentowi pozycji łowisk można zrozumieć. Ale zaaranżować skomplikowaną intrygę, żeby jeszcze go zabić - to już było wręcz nieprawdopodobne. Pan Ribb musiałby wymyślić niezły plan i precyzyjnie go wykonać. Ktokolwiek to był, musiał wymyślić niezły plan.

Lockridge zdawał się czytać mi w myślach.

- Zaraz, myślisz, że ten drań mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Terrora?

Patrzyłem nań przez dłuższą chwilę, uświadamiając sobie, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że to on był zamieszany w całą sprawę: po śmierci McCaleba przejąłby firmę, jacht i przeniósłby interes na stały ląd.

- Nie wiem - odparłem. - Ale trzeba to będzie sprawdzić.

- Jak chcesz, żeby ktoś z tobą poszedł, jestem gotów.

- Jasne. Ale poczekaj, w tym meldunku napisano, że zginął tylko GPS. Nic więcej wam nie zginęło?

- Nie. Dlatego właśnie wydało się nam to dziwne. Dopóki nie ustaliliśmy, że to Ribb.

- Terry też uważał, że to on?

- Powoli do tego dochodził. No bo któż by inny?

To było ważne pytanie, ale nie chciałem, żeby w tej chwili niepotrzebnie przyciągnęło uwagę. Wskazałem na ekran laptopa i powiedziałem Lockridge'owi, żeby dalej pokazywał zdjęcia. Zrobił to, parada zadowolonych wędkarzy defilowała dalej.

Natrafiliśmy wśród nich na jeszcze jedną ciekawostkę. Lockridge cofnął się do serii sześciu zdjęć przedstawiających faceta, którego twarzy nie było z początku dobrze widać. Na trzech pierwszych pozował, unosząc do kamery jaskrawo ubarwioną rybę. Ale na każdym trzymał ją zbyt wysoko, zasłaniając sobie twarz. Jego ciemne okulary wystawały nad płetwą grzbietową. Ryba chyba była na wszystkich zdjęciach ta sama, co nasunęło mi wniosek, że fotograf powtarzał zdjęcie, żeby na którymś uchwycić twarz. Ale bezskutecznie.

- Kto je robił?

- Terror. Nie brałem udziału w tym rejsie.

Coś w tym facecie, może właśnie sposób, w jaki zasłaniał się przed aparatem, sprawiło, że Terry nabral podejrzeń. To wydawało się oczywiste. Następne trzy zdjęcia przedstawiały pasażera sfotografowanego bez jego wiedzy. Pierwsze dwa zrobione z salonu, w stronę kokpitu, gdzie wędkarz opierał się o prawe nadburcie. Ponieważ na szybach były lustrzane folie, pasażer nie mógł widzieć, że McCaleb go fotografuje.

Pierwsze dwa zdjęcia były z profilu, trzecie en face. McCaleb podświadomie zrobił ujęcia jak na zdjęciach pozowanych - kolejne potwierdzenie, że coś podejrzewał. Ale i na tych fotografiach niewiele było widać. Mężczyzna miał brązową, szpakowatą brodę i takie same wąsy, nosił ciemne okulary o wielkich szklach i błękitną czapkę z logo LA Dodgersów. Włosy miał krótko obcięte i pasowały kolorem do brody. W prawym uchu nosił okrągły złoty kolczyk.

Z profilu widziałem wokół oczu pełno zmarszczek i ciężkie powieki, które skryłyby jego oczy, nawet gdyby nie miał ciemnych okularów. Nosił dzinsy i gładką białą koszulkę, a na niej bluzę Levi'sa.

Szóste zdjęcie, ostatnie z serii, było zrobione już po skończeniu rejsu. Dalekie ujęcie pasażera idącego po pomoście przystani Avalon, najwyraźniej zaraz po opuszczeniu „Fali od rufy”.

Twarz miał odrobinę zwróconą w stronę aparatu, choć nadal było to niewiele więcej niż profil. Lecz ja zastanawiałem się, czy po zrobieniu zdjęcia mężczyzna dalej się odwracał; niewykluczone, że zobaczył McCaleba z aparatem.

- Co to za gość? - zapytałem. - Powiedz mi coś o nim.

- Nic nie wiem - odparł Lockridge - już mówiłem, nie było mnie tam. Terry wziął go bez rezerwacji. Facet po prostu przyplłynął wodną taksówką i zapytał, czy Terry by nie popłynął. Zapłacił za pół dnia, minimalną stawkę. Chciał wypłynąć natychmiast, a ja byłem na lądzie. Terry nie mógł na mnie czekać, dlatego popłynął beze mnie. W pojedynkę to trochę upierdliwe. Ale złapali ładną makrelę. W sumie całkiem przyzwoicie.

- Coś potem o nim mówił?

- Nie bardzo. Powiedział tylko, że gość nie wykorzystał połowy dnia. Po kilku godzinach już chciał się zbierać. Więc wrócili.

- Facet wzbudził jego czujność. Zrobił sześć zdjęć, z czego trzy - jak tamten nie patrzył. Na pewno nic ci o tym nie wspominał?

- Mówiłem już, mnie nie. Ale on dużo rzeczy zachowywał dla siebie.
- Znasz nazwisko tego gościa?
- Nie, ale Terry na pewno coś zapisał w dzienniku czarterów. Mam go przynieść?
- Tak. A poza tym chciałbym znać dokładną datę i w jaki sposób zapłacił. Ale możesz najpierw wydrukować te zdjęcia?

- Wszystkie sześć? To potrwa.
- Właściwie to wszystkie sześć i jeszcze Ribba przy okazji. Mnie się nie śpieszy.
- Ramek pewnie sobie nie życzysz, prawda?
- Nie, Buddy, to nie jest konieczne. Zdjęcia i tyle.

Cofnąłem się, a Buddy zasiadł na miękkim stołku przed komputerem. Włączył stojącą obok drukarkę, załadował papier do zdjęć i z wprawą zabrał się do pracy. Znowu zauważyłem, że zna ten sprzęt na wylot. Miałem przeczucie, że w laptopie nie ma nic, z czym by się nie zapoznał. Pewnie to samo dotyczyło pudeł z aktami na górnej koi.

- No dobra - powiedział, wstając. - Jedno drukuje się z minutę. I jak wychodzą, jeszcze się trochę kleją. Trzeba je będzie rozłożyć, żeby całkiem wyschły. Idę na górę, zobaczę, co jest w dzienniku czarterów o tym tajemniczym osobniku.

Kiedy poszedł, zasiadłem przed komputerem. Obserwowałem, co robi ze zdjęciami, a ja szybko się uczę. Wróciłem do głównej listy i dwa razy kliknąłem na teczkę pod nazwą POCZTA. Otworzyła się tabelka z trzydziestoma sześcioma małymi zdjęciami. Kliknąłem na pierwsze, powiększyło się. Przedstawiało Gracielę pchającą wózek, w którym spała mała dziewczynka. Cielo Azul. Córka Terry'ego. Sceneria wyglądała na centrum handlowe. Zdjęcie było podobne do tych z tajemniczym mężczyzną, bo wyglądało, że Graciela nie wie, że jest fotografowana.

Odwróciłem się i spojrzałem przez drzwi na schodki prowadzące do salonu. Ani śladu Lockridge'a. Wstałem i po cichu wyszedłem do korytarza. Przez otwarte drzwi wśliznąłem się do łazienki. Przycisnąłem się do ściany i czekałem. Niebawem Lockridge przeszedł przez korytarz z dziennikiem w dłoniach. Poruszał się bardzo powoli, żeby nie wydać najmniejszego odgłosu. Zaczekałem, aż mnie minie, i wyszedłem za nim na korytarz. Patrzyłem, jak wchodzi do kajuty dziobowej, chcąc znowu mnie zaszkoczyć.

Ale to Lockridge się wzdrygnął, kiedy zauważył, że mnie w kabinie nie ma. Kiedy odwrócił się, stałem tuż za nim.

- Lubisz się podkradać do ludzi, co, Buddy?
- Nie, no skąd, naprawdę nie. Ja tylko...
- Nie rób tak ze mną, dobra? Co tam jest w tym dzienniku?

Jego twarz, pod wieczną opalenizną rybaka, przybrała różowy odcień. Ale dałem mu okazję do zmiany tematu i szybko z niej skorzystał.

- Terry zapisał jego nazwisko, ale nic więcej. „Jordan Shandy, pół dnia”. I tyle.

Otworzył książkę i obrócił ją, żeby pokazać wpis.

- A jak zapłacił? Ile w ogóle kosztuje pół dnia?
- Trzy stówy za pół, pięć za cały. Sprawdziłem wyciąg z konta do kart i nic tam nie było. Ani wpłat na konto. Nic. To znaczy, że zapłacił gotówką.
- Kiedy to było? Rozumiem, że wpisujecie to datami.
- Tak. Wypłynęli trzynastego lutego, o proszę, to piątek trzynastego. Myślisz, że to specjalnie?
- Kto wie? To było przed rejsem z Ribbem czy po?

Lockridge położył dziennik na biurku, żebyśmy obaj mogli doń zajrzeć. Przesunął palcem wzdłuż listy klientów i zatrzymał go na Ribbie.

- On był dziewiętnastego lutego.
- A jaka data jest na raporcie szeryfa?
- Cholera, znowu muszę iść na górę.

Słyszałem, jak wdrapuje się po schodkach. Wyciągnąłem z drukarki pierwsze zdjęcie i położyłem je na blacie. Była to twarz Jordana Shandy'ego, kryjąca się za ciemnymi okularami i makrelą. Wpatrywałem się w nią, dopóki Lockridge nie wrócił. Tym razem już nie próbował się skradać.

- Zawiadomienie o włamaniu złożyliśmy dwudziestego drugiego lutego. Skinąłem głową. Pięć tygodni przed śmiercią McCaleba. Zapiisałem w notesie wszystkie daty, o których mówiliśmy. Nie byłem pewien, czy choć jedna z nich jest istotna.

- Dobrze - powiedziałem. - Buddy, zrobisz dla mnie jeszcze jedną rzecz?

- Jasne. A co?

- Wyjdź na górę, zdejmij spod sufitu te wędki i wypłucz je porządnie. Zdaje się, że po ostatniej wycieczce nikt tego nie zrobił. Śmierdzi od nich, a pewnie spędzę tu kilka dni. Wolałbym nie siedzieć w smrodzie.

- Chcesz, żebym poszedł na górę i wypłukał wędki.

Powiedział to tonem oznajmującym. Przeniosłem wzrok ze zdjęcia na jego twarz.

- Otóż to. Bardzo mi to pomoże. Jak skończę ze zdjęciami, możemy się wybrać do Woodalla.

- No dobra.

Opuścił kabinę z ponurą miną, usłyszałem, jak człapie po schodni równie głośno, jak przedtem cicho. Wyjąłem z drukarki kolejne zdjęcie i położyłem obok pierwszego. Wyciągnąłem z kubka na biurku czarny marker i napisałem na białym marginesie: Jordan Shandy.

Siadając na stołku, jeszcze raz wróciłem do komputera i zdjęcia przedstawiającego Gracielę z córką. Kliknąłem na strzałkę i pojawiło się następne. Znowu zrobione w centrum handlowym, tym razem z większej odległości i trochę ziarniste. Było na nim widać jeszcze chłopca idącego za Gracielą. Adoptowany syn, wywnioskowałem.

Na fotografii znajdowali się wszyscy oprócz Terry'ego. Czy on robił zdjęcie? Jeśli tak, dlaczego z takiej odległości? Ponownie kliknąłem strzałkę i szedłem dalej. Prawie wszystkie wykonano w centrum handlowym z dużej odległości. Na żadnym nikt z rodziny nie patrzył w stronę obiektywu ani nie był świadom jego istnienia. Po dwudziestu ośmiu podobnych zdjęciach sceneria się zmieniła - rodzina płynęła promem na Catalinę. Wracali do domu, a fotograf - razem z nimi.

Ta sekwencja liczyła tylko cztery zdjęcia. Na każdym z nich Graciela siedziała pośrodku tylnej części nadbudówki promu z chłopcem po jednej stronie, dziewczynką po drugiej. Fotograf stał blisko przodu kabiny, zdjęcie robił przez kilka rzędów siedzeń. Nawet gdyby Graciela go zauważyła, zapewne nie zdałaby sobie sprawy, że jest głównym celem obiektywu; pomyślałaby, że fotograf to po prostu jeszcze jeden turysta udający się na Catalinę.

Ostatnie dwa zdjęcia z trzydziestu sześciu były jakieś inne, jakby zrobione kiedy indziej. Na pierwszym był zielony drogowskaz przy autostradzie. Powiększyłem go i zauważyłem, że zdjęcie zrobiono przez szybę samochodu. Widziałem ramę przedniej szyby z jakąś nalepką w rogu i fragment deski rozdzielczej. A także kawałek ręki fotografa, spoczywającej na kierownicy, na godzinie jedenastej.

Drogowskaz sfotografowano na tle jałowego pustynnego krajobrazu. Napis głosił:

ZZYZX ROAD

1 MILE

Znałem tę drogę. A właściwie znałem ten znak. Zna go każdy z LA, kto jeździ samochodem do Las Vegas tak często jak ja. Mniej więcej w połowie autostrady nr 15 był zjazd na Zzyzx Road, zwracał uwagę niezwykłą nazwą i pewnie niczym więcej. Droga znajdowała się pośrodku pustyni Mojave i pewnie prowadziła donikąd. Żadnej stacji benzynowej, żadnego parkingu. Koniec alfabetu i koniec świata.

Ostatnie ze zdjęć było równie zagadkowe. Powiększyłem je i zobaczyłem dziwną martwą naturę. Pośrodku kadru stała stara łódź - z jej desek wylażyły łebki gwoździ, a żółta farba łuszczyła się pod palącym słońcem. Znajdowała się na skalistej pustyni, chyba setki mil od najbliższej wody. Łódź, która zdryfowała na morze piasku. Jeśli miało to jakieś konkretne znaczenie, na razie go nie dostrzegałem.

Wykonując podpatrzone u Lockridge'a operacje, wydrukowałem oba zdjęcia przedstawiające pustynię i wróciłem do poprzednich, aby wybrać kilka do druku. Przesłałem do drukarki dwa z promu i dwa z centrum handlowego. Czekając, powiększyłem kilka zdjęć ze sklepów w nadziei, że zauważę coś, co pozwoli mi zidentyfikować, które to centrum handlowe. Wiedziałem, że mogę po prostu ją zapytać. Ale nie byłem pewien, czy chcę.

U kupujących rozpoznałem reklamówki z Nordstroma, Saksa na Piątej Alei oraz Barnes & Noble'a.

Na jednym ze zdjęć rodzina szła przez ogródek restauracyjny, gdzie wisały szyldy sieci Cinnabon i Hot Dog on a Stick. Zanotowałem to wszystko, wiedząc, że te pięć nazw zapewne umożliwi mi rozpoznanie centrum handlowego, jeśli zdecyduję, że ta informacja jest mi potrzebna, a nie będę chciał o to pytać Gracieli. Mówienie jej, że na zakupach z rodziną ktoś ją tropił, ktoś, kto być może miał jakieś dziwne powiązania z jej mężem - nie wydawało mi się zbyt dobrym rozwiązaniem. Przynajmniej teraz.

Owe powiązania okazały się jeszcze dziwniejsze i bardziej niepokojące, kiedy drukarka w końcu wypuła fotografię z centrum handlowego. Na jednym rodzina mijała witrynę księgarni Barnes & Noble. Zdjęcie zrobiono z drugiej strony hali, ale niemal prostopadle do wystawy. W jej szybach widać było niewyraźne odbicie fotografa. Na ekranie komputera go nie dostrzegłem, ale na wydruku tak.

Obraz fotografującego był zbyt drobny i za mało wyraźny w porównaniu z tłem za szybą, naturalnej wielkości podobizną stojącego mężczyzny w kilcie otoczonego stertami książek; podpis głosił: DZIŚ U NAS IAN RANKIN! Zdałem sobie sprawę, że ten afisz pozwala mi co do dnia określić, kiedy zrobiono zdjęcie Gracieli i jej dzieciom. Wystarczyłoby zadzwonić do sklepu i zapytać, kiedy był u nich Ian Rankin. Plakat utrudnił mi jednak rozpoznanie fotografa.

Zasiadłem z powrotem do komputera, znalazłem to zdjęcie wśród miniaturki i powiększyłem. Gapiłem się w nie, uświadamiając sobie, że nie wiem, co mam robić.

Buddy stał w kokpicie i polewał wodą z węża nasadzonego na kwan w nadburciu osiem wędek i kołowrotków, które oparł o rufę. Kazałem mu zakręcić wodę i wrócić ze mną do biura. Zrobił to bez słowa. Kiedy zesłaliśmy, wskazałem na stolek, a potem nachyliłem się nad nim i zakreśliłem palcem obszar zdjęcia, gdzie widniało odbicie fotografa.

- Możesz powiększyć ten kawałek? Chcę mu się lepiej przyjrzeć.

- Mogę, ale stracimy szczegóły. Wiesz, to jest cyfra. Nie zobaczy się więcej, niż tam jest.

Nie rozumiałem, co mówi. Powiedziałem, żeby po prostu to zrobił. Postukał w kwadratowe przyciski na górze ramki ze zdjęciem i zaczął powiększać fotografię, a potem przesuwając ją tak, by ukazać wycinek z odbiciem. Zaraz powiedział, że już bardziej powiększyć się nie da. Nachyliłem się tuż nad ekranem. Obraz był jeszcze bardziej niewyraźny. Nawet krata na kilcie pisarza straciła ostrość.

- Nie możesz tego trochę podkręcić?

- To znaczy znowu zmniejszyć? No pewnie, że...

- Nie, nie, żeby trochę wyostrzyć.

- Tyle widać i koniec. Tyle tam jest i już.

- No dobra, wydrukuj je. Przedtem na wydruku lepiej było widać. Może teraz też będzie.

Lockridge wykonał parę operacji, przez minutę niespokojnie czekałem.

- A co to takiego? - zapytał.

- Odbicie fotografa.

- Znaczący, że to nie był Terry?

- Nie. Nie wydaje mi się. Raczej ktoś inny zrobił zdjęcia jego rodzinie i mu wysłał. Coś chciał w ten sposób przekazać. Terry nie wspominał o tym?

- Nie.

Postanowiłem spróbować, czy Buddy'emu coś się wymknie.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłeś to zdjęcie?

- Nie wiem. Pewnie... w sumie to teraz pierwszy raz je zobaczyłem.

- Buddy, nie łzyj. To może być ważne. Widzę, że pracujesz z tym sprzętem, jakbyś siedział przy nim od podstawówki. Wiem, że zaglądałeś do komputera, kiedy nie było Terry'ego. On przypuszczalnie też wiedział. Nie przeszkadzało mu to i mnie też nie przeszkadza. Tylko mi powiedz, kiedy widziałeś to zdjęcie.

Przez chwilę się namyślał.

- Mniej więcej miesiąc przed jego śmiercią. Ale jakbyś pytał tak naprawdę, kiedy Terry je zobaczył, to wystarczy tylko podejrzeć datę utworzenia pliku.

- Zrób to, Buddy.

Lockridge znów przejął klawiaturę i wszedł do historii plików ze zdjęciami. Po paru sekundach miał odpowiedź.

- Dwudziesty siódmy lutego - oznajmił. - To data utworzenia pliku.

- No dobrze - odparłem. - Zakładamy, że to nie Terry je zrobił. Skąd się wzięły na jego komputerze?

- Różnie to mogło być. Mógł je dostać w mailu i zapisać sobie. Ktoś mógł pożyczyć jego aparat i zrobić te zdjęcia. Potem Terry je tam znalazł i ściągnął do komputera. Ewentualnie ktoś po prostu mógł przysłać mu kartę pamięci do aparatu albo płytę CD ze zdjęciami. To pewnie byłoby najtrudniejsze do wyśledzenia.

- Terry mógł stąd odbierać maile?

- Nie, tylko z domu. Na łódce nie ma kabla. Powiedziałem mu, że powinien skombinować sobie taki komórkowy modem i łączyć się bezprzewodowo, tak jak w tej reklamie, gdzie gość siedzi przy biurku pośrodku pola. Ale nigdy się na to nie zdecydował.

Drukarka wypłuła zdjęcie. Chwyciłem je przed Buddym. Ale potem położyłem na blacie, żebyśmy obaj je zobaczyli. Odbicie było rozmyte i niewyraźne, ale i tak lepsze niż na ekranie. Widziałem teraz, że fotograf trzyma aparat przed twarzą, całkiem ją zasłaniając. Lecz zaraz rozpoznałem nakładające się litery L i A - logo Los Angeles Dodgers. Fotograf miał na głowie bejsbolówkę.

W tym mieście pewnie można codziennie spotkać z pięćdziesiąt tysięcy ludzi w czapkach Dodgersów, toteż nic na sto procent nie wiadomo. Ale jednego jestem pewny: nie wierzę w przypadki. Popatrzyłem na rozmazane odbicie fotografa i nagle domyśliłem się, że to ów tajemniczy facet. Jordan Shandy.

Lockridge też to zauważył.

- Jasna cholera - rzucił. - To ten facet, nie? Gość z czarteru. Shandy.

- Tak. Chyba tak.

Położyłem obok zdjęcie Shandy'ego z makrelą. Nie można było stwierdzić jednoznacznie, że jest podobny, ale nie dało się również tego wykluczyć. Ale podświadomie czułem, że to on. Wiedziałem, że ten sam człowiek, który wziął Terry'ego na niezapowiedziany, samotny czarter, śledził i fotografował jego rodzinę.

Nie wiedziałem natomiast, skąd wzięły się te zdjęcia u McCa-leba i czy zauważył to samo co ja przed chwilą.

Zacząłem układać fotografie. Przez cały czas próbowałem poskładać to wszystko, znaleźć jakieś powiązanie. Ale nie dałem rady. Miałem za mało elementów tego obrazka. Zaledwie kilka. Instykt podpowiadał mi, że to była jakaś przynęta na McCaleba. Zdjęcia rodziny przysły do niego mailem albo na karcie pamięci, albo na CD. A ostatnie dwa były kluczem. Pierwsze trzydzieści cztery to przynęta. Ostatnie dwa to ukryty w środku haczyk.

Pomyślałem, że przesłanie jest oczywiste. Autor zdjęć chciał zwabić McCaleba na pustynię. Na Zzyzx Road.

9

Rachel Walling zjechała ruchomymi schodami do przepastnej hali odbioru bagażu na lotnisku McCarran International. W samolocie z Dakoty Południowej miała bagaż ze sobą, ale terminal był tak zaprojektowany, że każdy pasażer musiał tędy przejść. Wokół końca schodów tłoczyli się oczekujący. Kierowcy limuzyn trzymali tabliczki z nazwiskami swych klientów, inni po prostu nazwy hoteli, kasyn lub biur turystycznych. Dochodząca stamtąd kakofonia dźwięków atakowała ją w miarę, jak zjeżdżała. W niczym nie przypominało to lotniska, gdzie rozpoczęła podróż dziś rano.

Cherie Dei miała po nią wyjść. Rachel nie widziała koleżanki po fachu od czterech lat, a i tamto spotkanie, w Amsterdamie, było bardzo krótkie. Odkąd spędziła z nią więcej czasu, minęło osiem lat, i nie była pewna, czy ją rozpozna ani czy sama zostanie rozpoznana.

Nie miało to znaczenia. Kiedy przepatrywała morze twarzy i znaków, jeden rzucił jej się w oczy.

BOB BACKUS

Kobieta, która go trzymała, uśmiechała się do niej. Według niej to był żart. Rachel zbliżyła się, nie odwzajemniając uśmiechu.

Cherie Dei miała rudawobrazowe włosy spięte w kucyk. Była atrakcyjna, szczupła, z ładnym uśmiechem i oczyma wciąż pełnymi blasku. Rachel pomyślała, że wygląda raczej na matkę dwojga dzieci

chodzących do katolickiej szkoły niż na łowczynię seryjnych morderców.

Dei wyciągnęła rękę. Przywitały się, Cherie wskazała tabliczkę.

- Wiem, kiepski dowcip, ale wiedziałam, że rzuci ci się w oczy.

- Tu się nie pomyliłaś.

- Długo czekałaś na przesiadkę w Chicago?

- Kilka godzin. W Rapid City nie ma za wiele do wyboru, leci się do Denver albo do Chicago. Na O'Hare podają lepsze jedzenie.

- Masz jakieś bagaże?

- Nie, tylko to. Możemy iść.

Rachel wzięła średniej wielkości torbę podróżną. Spakowała tylko kilka zmian ubrania. Dei wskazała na jeden z rzędów szklanych drzwi i ruszyły w tamtą stronę.

- Ulokujemy cię w Embassy Suites, tam gdzie śpi większość nas. Mało brakowało, żeby się nie udało, ale ktoś odwołał rezerwację. Wszędzie brak miejsc, bo jest ta walka.

- Jaka walka?

- Nie wiem, jakaś tam bokserska, w wadze superciężkiej czy superpółśredniej, w którymś kasynie. Nie zwróciłam uwagi. Wiem tylko, że dlatego panuje tu taki tłok.

Rachel zdawała sobie sprawę, że Cherie gada, bo jest zdenerwowana. Nie wiedziała jednak dlaczego, może coś się stało, a może po prostu z Rachel należało w tej sytuacji postępować ostrożnie.

- Jak chcesz, pojedziemy do hotelu, żebyś się rozpakowała. Możesz zacząć od tego, jeśli... Później jest spotkanie w oddziale terenowym. Możesz zacząć od tego, jeśli...

- Nie. Chcę pojechać od razu na miejsce przestępstwa.

Wyszły przez automatycznie rozsuwane szklane drzwi, Rachel poczuła suche niewadzkie powietrze. Wcale nie było tu tak gorąco, jak się spodziewała, pakując ubrania. Było chłodno i rześko, nawet w słońcu. Wyjęła okulary przeciwsłoneczne i doszła do wniosku, że przyda się kurtka, w której przyjechała na lotnisko w Dakocie Południowej. Miała ją w torbie.

- Rachel, to jest dwie godziny stąd. Jesteś pewna, że...

- Tak. Jedźmy tam. Chciałabym od tego zacząć.

- Zacząć co?

- Nie wiem. Cokolwiek on chce, żeby zacząć.

Na te słowa Dei się zamyśliła. Nie odpowiedziała. Weszły na kryty parking i odnalazły jej samochód, rządowego forda crown victoria, tak brudnego, że wyglądał, jakby był pomalowany w pustynny kamuflaż.

Kiedy jechały, Dei wyciągnęła telefon komórkowy i zadzwoniła. Rachel słyszała, jak komuś mówi - szefowi, partnerowi albo kierującemu ekipą na miejscu - że odebrała przesyłkę i zabiera ją na miejsce. Osoba po drugiej stronie długo odpowiadała. Potem Dei pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

- Masz pozwolenie wejścia do strefy, ale będziesz musiała trzymać się na uboczu. Jesteś w charakterze obserwatora, rozumiesz?

- O czym ty mówisz? Jestem agentką FBI, tak samo jak ty.

- Ale nie jesteś już w Wydziale Badań Behawioralnych. Ta sprawa nie jest twoja.

- Czyli jestem tutaj dlatego, że to Backus tak chciał, a nie wy.

- Rachel, nie zaczynajmy znowu tak jak w Am...

- A dziś? Pojawiło się coś nowego?

- Mamy już dziesięć ciał. Oni myślą, że to już koniec. Przynajmniej w tym miejscu.

- Rozpoznane?

- Przeprowadzana jest identyfikacja. Informacje są niepewne, ale dadzą się poskładać.

- Jest tam Brass Doran?

- Nie, ona jest w Quantico. Pracuje w...

- A powinna tam być. Ludzie, czy wy nie wiecie, coście znaleźli? Ona...

- Rachel, spokojnie, dobrze? Zapamiętaj jedną rzecz: ja jestem agentem prowadzącym tę sprawę, okay? Ty nie prowadzisz tego śledztwa. Jeśli będzie ci się to mylić, nic nam się nie uda.

- Ale to do mnie odezwał się Backus. To mnie wywołał.

- I dlatego tutaj jesteś. Ale nie ty reżyserujesz, Rachel. Masz stać z boku i obserwować. I muszę ci powiedzieć, że już sam początek mi się nie podoba. To nie jest jakieś „Wożąc miss Rachel”. Byłaś moją opiekunką, ale dziesięć lat temu. Teraz siedzę w behawioralnym dłużej niż ty i przestudiowałam więcej

spraw niż ty. Więc nie patrz na mnie z góry i nie zachowuj się jak moja niania albo matka.

Rachel z początku nic nie odpowiedziała, potem po prostu poprosiła Dei, żeby się zatrzymała. Chciała wyciągnąć kurtkę z torby, która była w bagażniku. Dei wjechała na parking Travel America na Blue Diamond Road i otworzyła kufer.

Gdy Rachel wróciła do samochodu, miała na sobie obszerną, czarną kurtkę, która wyglądała na męską, odpowiednią na każdą pogodę. Dei nie skomentowała.

- Dziękuję - powiedziała Rachel. - I przepraszam. Masz rację. Myślę, że też byś się taka zrobiła, gdyby okazało się, że twój szef - i mentor - jest wcieleniem zła, na które polowałeś przez całe życie. I gdybyś ty też została za to ukarana.

- Rozumiem, Rachel. Ale to nie tylko Backus, było jeszcze dużo rzeczy. Ten reporter, niektóre decyzje, które podjął. Ludzie mówią, że miałaś szczęście, że po tym wszystkim w ogóle jeszcze pracujesz w Biurze.

Rachel zapiekła twarz. Właśnie przypominano jej, że przyniosła FBI wstyd. Nawet szeregowi agencji tak myślą. Nawet agentka, którą niegdyś szkoliła. Przespała się z reporterem, który pracował nad jej sprawą. Taka była skrócona wersja. Nie miało znaczenia, że ów reporter właściwie należał do zespołu, pracował ręką w rękę z Rachel, dzień za dniem. Agencji szepczą sobie do ucha wersję skróconą. Reporter. W federalnej etykietce nie było chyba gorszego mezaliansu. Może członek gangu albo szpieg, ale niewiele więcej.

- Pięć lat w Dakocie Północnej, potem awans do Dakoty Południowej - powiedziała cicho. - Jasne, miałam szczęście.

- Posłuchaj: wiem, że już za to zapłaciłaś. Chodzi mi tylko o to, żebyś tutaj знаła swoje miejsce. Trochę finezji. Tę sprawę obserwuje dużo osób. Jeśli właściwie rozegrasz swoją kartę, może stać się dla ciebie przepustką do powrotu.

- Rozumiem.

- To dobrze.

Rachel sięgnęła pod fotel i odchyliła oparcie do pozycji półleżącej.

- Jak mówiłaś? Ile się jedzie? - zapytała.

- Mniej więcej dwie godziny. Przeważnie latamy helikopterami z Nellis, oszczędza się kupę czasu.

- Nie zwraca to uwagi?

Pytała o media, czy jeszcze nie wyciekła do nich informacja o śledztwie na pustyni.

- Trzeba było ugasić parę pożarów, ale na razie się udaje. Miejsce przestępstwa jest w Kalifornii, a my dojeżdżamy tam z Nevady. Chyba dzięki temu przykrywka się jeszcze trzyma. Mówiąc szczerze, właśnie z tego powodu niektórzy się ciebie obawiają.

Rachel na chwilę pomyślała o Jacku McEvoyu, tym reporterze.

- Nie ma podstaw do obaw - odparła. - Ja nawet nie wiem, gdzie on jest.

- Ale jeśli w końcu zwęszą tę sprawę, możesz się go w każdej chwili spodziewać. Napisał książkę o pierwszym etapie śledztwa. Świetnie się sprzedawała. Dam sobie rękę uciąć, że przyjedzie po ciąg dalszy.

Rachel pomyślała o książce, którą czytała w samolocie, a teraz miała w torbie. Nie była pewna, czy to temat, czy osoba autora kazała jej czytać ją tyle razy.

- To możliwe.

Więcej nie komentowała. Zgarnęła z ramion fałdy kurtki i złożyła ręce. Była zmęczona, od telefonu Dei nie spała.

Oparła głowę o boczną szybę i po chwili zasnęła. Powrócił sen o ciemności, ale tym razem nie była sama. Nikogo nie widziała, bo wokół rozciągała się tylko czerń, wyczuwała jednak czyjaś obecność. Ktoś był blisko, ale niekoniecznie razem z nią. Poruszała się, obracała w mroku, próbując go zobaczyć. Wyciągała ręce, ale niczego nie mogła dotknąć.

Usłyszała jęk. Zaraz zdała sobie sprawę, że to jej głos, wydobywający się gdzieś z głębi gardła. Potem ktoś ją złapał. Chwytał i mocno potrząsnął.

Rachel otworzyła oczy. Zobaczyła za szybą pędzącą wprost na nią autostradę. Cherie Dei puściła jej kurtkę.

- Dobrze się czujesz? Tu jest zjazd.

Rachel spojrzała na mijany zielony drogowskaz.

ZZYZX ROAD 1 MILA

Wyprostowała się na siedzeniu. Spojrzała na zegarek; spała ponad półtorej godziny. Od opierania się przez tyle czasu o boczną szybę szyję miała po prawej stronie sztywną i obolałą. Zaczęła rozcierać ją palcami, wbijając je głęboko w mięśnie.

- Dobrze się czujesz? - ponownie spytała Dei. - Chyba miałas zły sen.

- Nic mi nie jest. Co mówiłam?

- Nic, tylko tak pojękiwałas. Uciekałas przed czymś albo coś cię dopadło.

Dei włączyła kierunkowskaz i wjechała na pas do zjazdu. Zzyzx Road prowadziła na kompletne pustkowia. Na górze, za zjazdem, nic nie było, ani stacji benzynowej, ani nawet żadnego opuszczonego budynku. Trudno powiedzieć, po co w ogóle zbudowano tę drogę i ten zjazd.

- Tam siedzimy.

Dei skręciła w lewo i przejechała wiaduktem nad autostradą. Zaraz za nim droga przeobraziła się w nieutwardzony trakt, biegnący zakosami na południe, w głąb płaskiej niecki pustyni Mojave. Krajobraz był całkiem pusty. Biała sól na ziemi z dala wyglądała jak śnieg. Jukki wyciągały do nieba swe kościste palce, mniejsze rośliny wgrzyzały się korzeniami w skały. Martwa natura. Rachel nie miała pojęcia, jakie zwierzę mogłoby przeżyć w tak jałowym miejscu.

Minęły drogowskaz, mówiący, że jadą na Soda Springs, po czym droga skręciła, a Rachel zniecierpliwiona ujrzała białe namioty, wozy kempingowe, furgonetki i inne pojazdy. Na lewo od obozu stał zgniłozielony helikopter. Dalej, za obozem, u podstawy wzgórz widać było nieduży zespół budynków. Wyglądał jak przydrożny motel, ale nie dostrzegła tam znaków życia ani żadnej drogi.

- Co to za miejsce? - zapytała Rachel.

- Zzyzx - odparła Dei, wymawiając to „zaiziks”. - Jak się zdaje, największe zadupie we wszechświecie. Jakiś radiowy kaznodzieja tak to nazwał i wybudował sześćdziesiąt lat temu. Mógł zająć tę ziemię, bo obiecał rządowi, że ją zagospodaruje. Płacił z ulom ze slumsów LA, żeby coś tu robili, a sam gadał przez radio i namawiał wiernych, żeby tu przyjeżdżali, kąpali się w wodzie ze źródeł i pili wodę mineralną, którą butelkował. Biuro Gospodarki Ziemią przez dwadzieścia pięć lat nie mogło się go pozbyć. A potem zamienili to w uniwersytecki ośrodek badań nad pustynią.

- Dlaczego tutaj? Czemu Backus zakopał ich tutaj?

- Przypuszczalnie dlatego, że to ziemia federalna. Chciał mieć pewność, że nad sprawą będziemy pracować my - to znaczy zapewne ty. Jeśli tak chciał, udało mu się. Mamy tu poważne roboty ziemne. Musieliśmy przywieźć własne generatory prądu, przyczepy kempingowe, jedzenie, wodę, wszystko.

Rachel nic nie powiedziała. Przyglądała się wszystkiemu, od miejsca przestępstwa aż po odległy horyzont obejmujący szare górskie grzbiety. Nie zgadzała się z opinią Dei. Słyszała już, jak ktoś mówił o niezwykłym pięknie wybrzeża Irlandii. Pomyślała, że także jałowy, księżycowy krajobraz pustyni jest na swój sposób piękny. Surowy rodzaj piękna. Niebezpieczny. Nigdy nie spędziła więcej czasu na pustyni, ale przez lata w obu Dakotach nauczyła się doceniać surowość natury, puste krajobrazy, w których człowiek jest

intruzem. To była jej tajemnica. Pojechała, jak to się w Biurze mówiło, na „zesłanie”. Miało ją zmęczyć i zmusić do rezygnacji. Lecz ona w tej grze zwyciężyła. Przetrawiłaby tam, ile tylko trzeba.

Dei zwinęła, podjeżdżając do posterunku ustawionego mniej więcej sto jardów przed obozem. Facet w niebieskim kombinezonie, z białymi literami FBI na kieszeni na piersi, stał obok plażowego namiotu o otwartych bokach. Pustynny wiatr mało nie wyrwał śledzi, zdążył także zwichrzyć włosy agentowi.

Dei opuściła szybę. Nie chciało jej się nawet podać nazwiska czy dokumentu. Wszyscy ją tu znali. Wymieniła nazwisko Rachel i przedstawiła ją jako „agenta-gościa”.

- Ma zgodę od agenta Alperta? - zapytał głosem suchym i płaskim jak niecka pustyni za jego plecami.

- Tak, ma.

- No dobra. Potrzebuję jej dokumentów.

Rachel podała mu etui. Agent zapisał numer legitymacji.

- Z Quantico?

- Nie. Dakota Południowa.

Rzucił jej spojrzenie, które sugerowało, że wie, iż coś spieprzyła.

- Miłej zabawy - powiedział, odwracając się do swego namiotu.
Dei ruszyła naprzód, zamykając okno i owiewając agenta chmurą kurzu.
- Jest z biura terenowego w Vegas - wyjaśniła. - Nie są specjalnie szczęśliwi, że grają drugie skrzypce.
- I co w tym dziwnego?
- No właśnie.
- Czy Alpert dowodzi śledztwem?
- Tak.
- Jaki jest?
- Wiesz, pamiętasz tę swoją teorię, że agenci są albo morfami,
albo empatami?
- Tak.
- On jest morfem.
Rachel kiwnęła głową.
Podjechały do małej kartonowej tabliczki przyklejonej taśmą do jukki. Głosiła „SAMOCHODY” i wskazywała strzałką na prawo. Dei skręciła. Zaparkowały ostatnie w rzędzie czterech równie brudnych crown victorii.
- A ty? - zapytała Rachel. - Kim ty się okazałaś?
Dei nie odpowiedziała.
- Jesteś gotowa? - spytała Dei.
- Oczywiście. Przez cztery lata czekałam, aby znowu się nim zająć. I tu jest początek.
Otworzyła drzwi i wysiadła na pustynię zalaną słońcem. Czuła się jak w domu.

10

Backus pojechał za nimi przez ślimak zjazdu. Znajdował się w bezpiecznej odległości. Wjechał na górę i włączył kierunkowskaz, sygnalizując, że skręca w przeciwną stronę. Gdyby obserwowały go w lusterku, wyglądałby jak ktoś, kto po prostu zawraca do Las Vegas.

Zanim wjechał z powrotem na autostradę, obserwował, jak samochód FBI zjeżdża z asfaltu i jedzie przez pustynię na miejsce. Jego miejsce. Za autem wznosiła się chmura białego pyłu. Widział stąd białe namioty. Czuł wszechogarniające poczucie spełnienia. To on zbudował to miejsce. Miasto kości. Agenci mieszkali i pracowali w świecie, który stworzył, bezwiednie wykonując jego polecenia.

Żałował, że nie może podjechać bliżej, dokładniej się przyjrzeć, zobaczyć przerażenie na ich twarzach, wiedział jednak, że ryzyko jest za duże.

Poza tym miał inne rzeczy do roboty. Wcisnął pedał gazu do oporu i ruszył w kierunku grzesznego miasta. Musiał zadbać, by wszystko było przygotowane i załatwione.

Jadąc, poczuł drobne ukłucie melancholii. Przypuszczał, że to z powodu rozczarowania, jakie odczuł, zostawiając Rachel na pustyni. Wziął głęboki oddech i próbował wypędzić z siebie to uczucie. Wiedział, że niedługo znów się przy niej znajdzie.

Po chwili uśmiechnął się na wspomnienie swego nazwiska na kartce trzymanej przez kobietę, która wyszła po Rachel na lotnisko.

Taki branżowy żart między agentkami. Backus rozpoznał ją. Agentka Cherie Dei. Rachel była jej mentorką, tak jak on był niegdyś mentorem Rachel. To oznaczało, że niektóre z jego spostrzeżeń i wniosków zostały przekazane przez Rachel temu nowemu pokoleniu. Podobało mu się to. Zastanawiał się, co zrobiłaby Cherie Dei, gdyby zjechałszy ze schodów, podszedł do niej i oznajmił: „Dziękuję, że po mnie wyszła”.

Spojrzał przez okno na płaską, jałową pustynną nizinę. Jemu wydawała się piękna, a jeszcze piękniejsza dzięki temu, co tam zakopał wśród skał i piasków.

Pomyślał o tym. Niebawem ucisk w piersi zelżał i znów poczuł się świetnie. Sprawdził w lusterku, czy nikt go nie śledzi, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Potem przyjrzał się sobie i po raz kolejny zachwyił się robotą chirurga. Uśmiechnął się sam do siebie.

Gdy zbliżyły się do namiotów, Rachel Walling zaczęła czuć miejsce zbrodni. Wiatr przenikający obóz, wydymający namioty i ulatujący w pustynię niósł charakterystyczny odór rozkładających się ciał. Zaczęła oddychać ustami, bo przypomniało jej się coś, czego wolałaby nie wiedzieć - że wrażenie zapachu powstaje, kiedy drobnutkie cząstki uderzają w receptory węchowe w jamie nosowej. Oznaczało to, że jeśli czujesz rozkładające się ciało, to dlatego że wdychasz rozkładające się ciało.

Wokół strefy stały trzy małe, kwadratowe namioty. Nie takie turystyczne; były to polowe namioty sztabowe, z prostymi bokami długości ośmiu stóp. Za nimi stał większy, prostokątny. Rachel zauważyła, że wszystkie miały rozpięte klapki wentylacyjne w dachu. Wiedziała, że w każdym z nich odbywa się wykopywanie z ziemi zwłok. Wentylatory pozwalały wyгнаć ze środka gorąco i smród.

Wszędzie panował hałas. Pracowały co najmniej dwa generatory spalinowe, które zapewniały obozowisku prąd. Na lewo od namiotów stały także dwa pełnowymiarowe wozy kempingowe z mruczącymi klimatyzatorami na dachach.

- Chodźmy najpierw tutaj. - Cherie Dei wskazała jeden z wozów. - Tu przeważnie jest Randal.

Wozy kempingowe były zwyczajne, takie jakie Rachel widziała na autostradzie. Ten nazywał się „W siną dal” i miał z tyłu tablicę z Arizony. Dei zastukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź. Weszły po schodkach do środka. Wnętrze wozu nie było przystosowane do obozowania na odludziu. Usunięto z niego przepierzenia i sprzęty zapewniające wygodę. Powstało jedno długie pomieszczenie, umeblowane czterema składanymi stołami i wieloma krzesłami. Na przeciwległej ścianie był blat z typowo biurowym sprzętem - komputerem, faksem, kserokopiarką i ekspresem do kawy. Dwa ze stołów zasłane były papierami. Na trzecim stała duża patera z owocami, która tu nie pasowała. Tu się je posiłki, domyśliła się Rachel. Nawet na miejscu zbiorowego pochówku trzeba jeść lunch. Przy czwartym stole, przed otwartym laptopem, siedział mężczyzna z telefonem komórkowym przy uchu.

- Usiądź - powiedziała Dei. - Przedstawię cię, gdy tylko skończy.

Rachel usadowiła się przy stole jadalnym i ostrożnie wciągnęła powietrze. Klimatyzator wozu był ustawiony na obieg zamknięty. Nie czuło się smrodu grobów. Nic dziwnego, że szef ekipy przebywał właśnie tutaj. Zerknęła na paterę owoców i pomyślała, czy wziąć kiść winogron, żeby uzupełnić trochę energii. Postanowiła jednak, że nie.

- Chcesz owoców, to się częstuj - powiedziała Dei.

- Nie, dziękuję.

Dei wyciągnęła rękę i wzięła kilka winogron. Rachel poczuła się trochę głupio. Mężczyzna z telefonem, zapewne agent Alpert, rozmawiał zbyt cicho, by go usłyszeć; pewnie osoba po drugiej stronie także miała z tym kłopot. Rachel zauważyła, że lewa burta wozu była obwieszona zdjęciami z ekshumacji. Odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć na fotografie, dopóki nie zajrzy do namiotów. Obróciła się i wyjrzała przez okno przy stole. Z wozu rozciągał się znakomity widok na pustynię. Widać było całą nieckę i łańcuch górski w oddali. Przez moment zastanawiała się, czy ten widok cokolwiek oznacza. Czy Backus wybrał to miejsce ze względu na widok, a jeśli tak, jakie to ma znaczenie.

Gdy Dei odwróciła się od niej, Rachel chwyciła kilka winogron i włożyła do ust trzy naraz. W tej samej chwili mężczyzna zatrzasnął klapkę telefonu, wstał i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

- Randal Alpert, agent specjalny, kieruję tu pracami. Dobrze, że przyjechałaś.

Rachel uściśniła jego dłoń, ale żeby się odezwać, musiała wpierw przełknąć winogrona.

- Miło mi poznać. Choć okoliczności niezbyt miłe.

- No tak, ale popatrz tylko, jaki widok. Sto razy lepszy niż ceglana ściana za moim oknem w Quantico. No i chociaż dobrze, że mamy koniec kwietnia, a nie sierpień. Wtedy to byłaby mordęga.

To był nowy Bob Backus. Szefował firmie w Quantico, wyjeżdżał tylko na duże sprawy. Ta oczywiście jest duża. Rachel zdecydowała, że nie lubi go i że Cherie Dei miała rację, nazywając go morfem.

Zawsze uważała, że agenci w behawioralnym dzielą się na dwa rodzaje. Pierwszy to morfy. Ci bardzo

przypominali ludzi, których ścigali. Umieeli nie dopuszczać do siebie tego wszystkiego. Potrafili przeskakiwać od sprawy do sprawy jak seryjni zabójcy, nie ciążyła im groza, poczucie winy i znajomość prawdziwej natury zła. Rachel nazywała ich morfami, ponieważ umieli wziąć na siebie to brzemię i w jakiś sposób przekształcić je w coś innego. Miejsce zbiorowej ekshumacji stawało się punktem z pięknym widokiem, lepszym niż cokolwiek w Quantico.

Drugi z typów Rachel nazwała empatami, ponieważ wchłaniali całą grozę i zatrzymywali ją w sobie. Stawała się ogniskiem, przy którym mogli się grzać. Wykorzystywali ją do wczuwania się, do motywacji, jako swego rodzaju wewnętrzny napęd. Dla Rachel ci agenci byli lepsi, ponieważ robili wszystko, a nawet więcej, żeby złapać przestępcę i rozwiązać sprawę.

Ale z pewnością zdrowiej być morfem, móc poruszać się bez żadnego bagażu. Mury behawioralnego nawiedzały duchy empa-tów, agentów, którzy nie potrafili zachować dystansu, których przytłoczył ów ciężar. Agentów jak Janet Newcomb, która włożyła sobie do ust lufę pistoletu, Jon Fenton, który zderzył się z filarem mostu, albo Terry McCaleb, który dosłownie oddał pracy swe serce. Rachel pamiętała ich wszystkich, ale najlepiej pamiętała Boba Backusa, który był morfem wszech czasów - łowcą i ofiarą zarazem.

- To dzwoniła Brass Doran - powiedział Alpert. - Kazała cię pozdrowić.

- Ona jest w Quantico?

- Tak, tutaj dopada ją agorafobia. Nie chce stamtąd wyjeżdżać. Prowadzi tę sprawę z tamtego końca. Agentko Walling, myślę, że znasz już stawkę. Sytuacja jest dość delikatna. Cieszymy się, że jesteś tutaj, ale masz status obserwatora i ewentualnie świadka.

Nie podobał jej się ten urzędowy ton. Taki sposób utrzymywania jej na dystans.

- Świadek? - zapytała.

- Być może podsuniesz nam jakieś pomysły. Znałaś tego człowieka. Kiedy wybuchła afera z Backusem, większość nas ganiała po mieście za rabusiami bankowymi. Ja przyszedłem do jednostki zaraz po twojej aferze, jak już was przeczesало Biuro Odpowiedzialności Zawodowej. Cherie jest jedną z nielicznych osób z tamtego czasu, które nadal pracują.

- Mojej aferze?

- Wiesz, co mam na myśli. Że pracowałaś nad tym razem z Backusem.

- Czy mogę teraz popatrzeć na wykopy? Chciałabym wiedzieć, co znaleźliście.

- Dobra, Cherie. zaraz cię tam zabierze. Nie ma za bardzo na co patrzeć, poza dzisiejszym trupem.

Powiedział to jak prawdziwy morf, pomyślała Rachel. Zerknęła na Dei, ich spojrzenia mówiły to samo.

- Ale najpierw chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Rachel wiedziała, co to będzie, ale pozwoliła Alpertowi mówić. Poszedł na przód wozu i wskazał przez przednią szybę na pustynię. Rachel powiodła wzrokiem za jego gestem, ale nie zobaczyła nic poza pasmem gór.

- No tak, pod tym kątem nie za bardzo widać - rzekł Alpert - ale tam na ziemi leży wielki napis. Wielkimi literami: PLAN FILMOWY. NIE PRZELATYWAĆ. CISZA. To na wypadek gdyby jakiś pilot zainteresował się wszystkimi tymi namiotami i samochodami. Niezły pomysł, co? Pomyślą, że kręcimy film. W ten sposób będziemy trzymać ich z daleka.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Ja? Że wokół tego rozciągnęliśmy naprawdę grubą zasłonę. Nikt nic nie wie i chcemy, żeby tak zostało.

- I sugeruje pan, że ja zrobię przeciek do mediów?

- Nie, nie sugeruję. Mówię to samo każdemu, kto tu przyjeżdża. To nie może znaleźć się w mediach. Chcę mieć nad tym kontrolę. Zrozumiano?

Raczej, że dowództwo FBI albo Biuro Odpowiedzialności Zawodowej chcą mieć nad tym kontrolę, pomyślała Rachel. Sensacja z Backusem dosłownie zdziesiątkowała szeregi i zniszczyła reputację Wydziału Badań Behawioralnych, nie mówiąc już o tym, jak ucierpiał publiczny wizerunek FBI. A teraz, po fiasku z 11 września, kiedy Biuro musi konkurować o budżetowe pieniądze i nagłówki w gazetach z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, skupienie uwagi mediów na obłąkanym agencie-mordercy byłoby ostatnią rzeczą, której pragnąłby sztab albo Biuro Odpowiedzialności Zawodowej. Zwłaszcza że udało się przekonać opinię publiczną, że obłąkany agent-morderca dawno już nie żyje.

- Zrozumiałam - odparła spokojnie Rachel. - Nie musi się pan obawiać. Mogę iść?

- Jeszcze jedno.

Zawahał się na moment. Sprawa musiała być delikatna.

- Nie każdy biorący udział w tym śledztwie wie, że ma ono związek z Robertem Backusem. Wie tylko ten, kto musi, i chciałbym, żeby tak zostało.

- Co pan powiedział? Ludzie, którzy tam pracują, nie wiedzą, że zrobił to Backus? Powinni...

- Agentko Walling, to nie jest twoje śledztwo. Nie próbuj go sobie przywłaszczać. Jesteś tu w roli obserwatora i pomocnika i nie wychodź z niej. Nie wiemy na pewno, że to Backus, i dopóki się nie upewnimy...

- Jasne. W końcu jego odciski były tylko na całym GPS-ie, a modus operandi pozostał bez zmian.

Alpert zerknął z irytacją na Dei.

- Cherie nie powinna ci mówić o odciskach, a co do modus operandi, nic jeszcze nie jest pewne.

- To, że nie powinna mi mówić, nie oznacza, że to nieprawda. Nie uda się panu tego wszystkiego utrzymać w tajemnicy.

Alpert zaśmiał się sfrustrowany.

- Kto mówi o trzymania w tajemnicy? Widzisz, my tylko chcemy mieć pod kontrolą przepływ informacji. Przyjdzie właściwy moment na ujawnienie danych. I tyle chcę ci powiedzieć. Sama twoja obecność tutaj już coś zdradza, prawda? Po prostu nie chcę, żebyś ty decydowała, co ujawnić i komu. To moje zadanie. Zrozumiano?

Rachel skinęła głową bez przekonania. Jednocześnie zerknęła na Dei.

- W stu procentach.

- To świetnie. Teraz idź z Cherie i pozwiedzaj.

Wysiadły z wozu kempingowego, Cherie poprowadziła ją w stronę pierwszego z małych namiotów.

- Początek z nim miałaś nie najlepszy - rzuciła, kiedy szły.

- To śmieszne. Niektóre rzeczy po prostu nigdy się nie zmieniają. Wydaje mi się, że biurokratyczna struktura w ogóle nie potrafi ewoluować, uczyć się na własnych błędach. No ale mniejsza o to. Co tam jest?

- Na razie mamy osiem worków i gaz z kolejnych dwóch. Tylko że jeszcze do nich nie dotarliśmy. Klasyczna odwrócona piramida.

Rachel знаła ten skrótowy slang. Sama go kiedyś tworzyła. Dei mówiła, że znaleziono osiem ciał, a czujniki gazu wykazały obecność kolejnych dwóch, których jeszcze nie odkopano. Dzięki podobnym tragicznym historiom zdobyto dane, na podstawie których opracowano modele zachowań. Zaobserwowano, że seryjny morderca, który chowa swe ofiary w tym samym miejscu, zakopuje je według pewnej prawidłowości - nowsze groby rozchodzą się promieniście od pierwszego, tworząc odwróconą piramidę albo literę V. Tak było i w tym wypadku: Backus nieświadomie lub celowo postępował według wzorca, do którego wykrzyca się przyczynił, zbierając dane jako agent.

- Powiedz mi jedną rzecz - odezwała się Rachel. - On gadał przez telefon z Brass Doran. Ona musi wiedzieć o związku tego z Backusem, prawda?

- Tak, wie. To ona znalazła odciski palców na paczce.

Rachel skinęła głową. Miała więc przynajmniej jednego wtajemniczonego sprzymierzeńca.

Dotarły do namiotu, Dei odchyliła klapę. Rachel weszła pierwsza. Ponieważ wywietrznik w dachu rozpięto, w środku nie było ciemno, tylko panował półmrok. Oczy Rachel błyskawicznie przystosowały się; zobaczyła pośrodku namiotu duży, prostokątny wykop. Nigdzie nie było wybranej z niego ziemi - założyła więc, że piach i skały wykopane z grobu są przewożone do Quantico albo laboratorium terenowego do przesiania i analizy.

- W pierwszym grobie są anomalie - powiedziała Dei. - Pozostałe to zwykłe groby. Bardzo czyste.

- Jakie anomalie?

- Punkt zapamiętany w GPS-ie wskazywał to miejsce. Kiedy przyjechała ekipa, stała tutaj łódź. Była...

- Łódź? Na środku pustyni?

- Pamiętasz, mówiłam ci o kaznodziei, który to zbudował? Wykopał kanał, który chciał wypełnić wodą ze źródła. Przymuszamy, że to wtedy pojawiła się ta łódka. Stała tu przez dziesiątki lat. No ale

przesunęliśmy ją, wbiliśmy sondę i zaczęliśmy kopać. Anomalia numer dwa: w tym grobie były dwa ciała. Pozostałe zostały zakopane pojedynczo.

- Te dwa ciała pochowano razem?

- Tak. Jedno na drugim. Ale jedno było zawinięte w plastik i ofiara nie żyła od dłuższego czasu. Od jakichś siedmiu miesięcy.

- Czyli na jednym trupie jakiś czas siedział. Zapakował go, żeby się wolniej rozkładał. A kiedy miał już drugiego, zdał sobie sprawę, że coś trzeba z nimi zrobić, i pojechał na pustynię. Wykorzystał łódkę jako punkt orientacyjny - bo wiedział, że będzie tu wracał z kolejnymi zwłokami - oraz jako swoisty nagrobek.

- Być może. Ale po co mu była łódka, skoro miał GPS?

Rachel potaknęła i poczuła zastrzyk adrenaliny. Zawsze najbardziej lubiła burzę mózgów.

- GPS pojawił się później. Niedawno. Przeznaczony był dla nas.

- Dla nas?

- Dla ciebie. FBI. Dla mnie.

Rachel podeszła do krawędzi i zjrzała do wykopu. Nie był głęboki, zwłaszcza jak na dwa ciała. Przestała oddychać przez usta i wciągnęła nosem zapach zgnilizny. Chciała go zapamiętać.

- Jakież zidentyfikowaliście?

- Nieoficjalnie. Jeszcze nie kontaktowaliśmy się z rodzinami. Ale już wiemy, do kogo niektóre należały. Co najmniej pięć. Pierwsza osoba została zamordowana trzy lata temu. Druga - siedem miesięcy później.

- Nakreśliście cykl?

- Tak, mamy go. Redukcja o blisko osiem procent. Przypuszczamy, że ostatnie dwa będą z listopada.

Oznaczało to, że okres pomiędzy kolejnymi ofiarami skracał się o osiem procent w stosunku do siedmiomiesięcznego odstępu pomiędzy pierwszą a drugą ofiarą. I to też wyglądało znajomo. W historii takich wypadków często występowały zmniejszające się przerwy. Były oznaką, że zabójca coraz mniej kontroluje swe popędy, a jednocześnie nabiera coraz większej wiary we własną bezkarność. Uda ci się pierwsze, więc drugie przychodzi łatwiej i szybciej. I tak dalej.

- Czyli to znaczy, że ma już zaległości - powiedziała Rachel.

- Pozornie.

- Pozornie?

- Daj spokój, Rachel, przecież to Backus. Orientuje się, co wiemy. Po prostu bawi się z nami. Tak jak w Amsterdamie. Zniknął, zanim w ogóle doszliśmy, że to on. I tutaj jest to samo. Już stąd wybył. Jeśli tego nie zrobił, to po co wysyłałby nam GPS? Dawno stąd uciekł. Nie ma zaległości i już tu nie wróci. Siedzi sobie gdzieś, śmieje się, patrzy, jak pracujemy z naszymi modelami, wzorcami zachowań, i dobrze wie, że nie zbliżymy się do niego bardziej niż poprzednim razem.

Rachel skinęła głową. Wiedziała, że Dei ma rację, ale postanowiła być większą optymistką.

- Musi gdzieś popełnić błąd. A co z tym GPS-em? Coś jeszcze w nim było?

- Oczywiście pracujemy nad tym. Tym zajmuje się Brass.

- I co jeszcze mamy?

- Ciebie, Rachel.

Rachel nic nie odrzekła. Cherie Dei znów miała rację: Backus krył coś w zanadrzu. Jego enigmatyczna, choć skierowana wprost do Rachel wiadomość pokazywała to aż nadto wyraźnie. Chciał, żeby się tu znalazła, żeby włączyła się do gry. Ale co zamierzał? Co knuł Poeta?

Jak Rachel była mentorką Dei, tak Backus był jej mentorem. Świetnym nauczycielem. Z perspektywy czasu może najlepszym, jakiego można sobie wyobrazić. Uczył ją jednocześnie agent i morderca, myśliwy i zwierzyzna, unikatowe połączenie w annałach zbrodni i kar. Rachel na zawsze zapamiętała sobie słowa, które rzucił mimochodem pewnego wieczoru, gdy w Quantico wychodzili schodami z podziemia, kończąc pracę tego dnia.

„Na dłuższą metę wszystko to jest gównem. Nie potrafimy przewidzieć, jak ci ludzie działają. Możemy tylko reagować. W sumie więc nie ma z nas żadnego pożytku. Dobrze wyglądamy w nagłówkach gazet, Hollywood robi o nas dobre filmy i to by było tyle”.

Rachel była wówczas w wydziale żółtodziobem. Głowę miała pełną ideałów, planów i wiary. Przez następne pół godziny próbowała przekonać Backusa, że jest inaczej. Teraz wspominała z zażenowaniem

swe starania i wszystko, co wtedy powiedziała do człowieka, który później okazał się mordercą.

- Możemy pójść do innych namiotów? - zapytała Rachel.
- Jasne. Gdzie tylko zechcesz.

12

Zrobiło się późno, a akumulatory na łodzi zaczęły się wyczerpywać. Światła w kabinie dziobowej stopniowo przygasaly. A może tylko mi się wydawało. Pewnie oczy powoli się męczyły. Od siedmiu godzin czytałem akta wyciągnięte z pudeł na górnej koi. Zapiłem notes do ostatniej kartki, potem odwróciłem go i kontynuowałem w drugą stronę.

Popołudniowe spotkanie okazało się rutynowe i prawdopodobnie bezowocne. Ostatni pasażer Terry'ego McCaleba, Otto Woodall, mieszkał w luksusowym apartamentowcu za sławetnym kasynem Avalon. Rozmawiałem z nim przez godzinę i usłyszałem z grubsza to samo co od Buddy'ego Lockridge'a. Woodall, sześćdziesięciosześcioletek, potwierdził wszystkie interesujące mnie fakty dotyczące rejsu. Powiedział, że istotnie schodził na ląd w Meksyku i spędzał tam czas z kobietą. Nie był tym zakłopotany ani zawstydzony. Jego żona na stałym lądzie robiła zakupy, toteż nie krępował się mówić o tym otwarciu. Powiedział, że jest na emeryturze, ale zrezygnował tylko z pracy, a nie z życia. Że wciąż ma swoje męskie potrzeby. Dałem więc spokój tej linii pytań i skupiłem się na ostatnich chwilach życia McCaleba.

Spostrzeżenia i wspomnienia Woodalla we wszystkich istotnych szczegółach zgadzały się z zeznaniami Buddy'ego. Potwierdził także, że co najmniej dwa razy podczas rejsu widział McCaleba zażywającego leki i popijającego pigułki i płyny sokiem pomarańczowym.

Robiłem notatki, choć wiedziałem, że do niczego się nie przydadzą. Po godzinie podziękowałem Woodallowi za poświęcony mi czas i zostawiłem go z jego widokiem na zatokę Santa Monica i wykwit smogu, wznoszący się poza nią nad stałym lądem.

Buddy Lockridge czekał na mnie przed wejściem w wózek golfowy, który wypożyczyłem. Wciąż rozpamiętywał moją nagłą decyzję, że idę rozmawiać z Woodallem bez niego. Oskarżył mnie, że go wykorzystałem, żeby do niego dotrzeć. Miał rację, ale jego skargi i narzekania w ogóle mnie nie interesowały.

W milczeniu podjechaliśmy na przystań, gdzie zwróciłem wózek. Powiedziałem Buddy'emu, że może udać się do domu, bo przez resztę dnia i pewnie też noc zamierzam studiować akta. Nieśmiało zaproponował pomoc, na co odparłem, że już dość zrobił. Obserwowałem, jak ze spuszczoną głową idzie w stronę przystani promowej. Wciąż nie miałem co do niego pewności.

Nie chciałem męczyć się z pontonem, wziąłem więc pływającą taksówkę. Szybko przeszukałem główny salon jachtu i nie znalazłszy niczego istotnego, przeszedłem do kabiny dziobowej.

Zauważyłem, że Terry miał w swym adaptowanym biurze odtwarzacz kompaktów. Jego kolekcja płyt składała się głównie z rock and rolla z lat 70. oraz bluesa. Nastawiłem jeden z nowszych krążków, „World without tears” Lucindy Williams, który tak mi się spodobał, że grał przez następne sześć godzin. W głosie tej kobiety pobrzmiwały długie podróże, które polubiłem. Do chwili kiedy zaczął kończyć się prąd i wyłączyłem muzykę, zdążyłem mimochodem nauczyć się na pamięć słów trzech piosenek. Zaśpiewam je swojej córce przy następnej okazji, gdy będę ją kładł spać.

Kiedy wróciłem do zaimprovizowanego gabinetu McCaleba, od razu zasiadłem do komputera i otworzyłem teczkę z napisem PROFILE.

Pojawiła się lista sześciu różnych plików, wszystkie w nazwach miały daty z ostatnich dwóch lat. Otwierałem je jeden po drugim, chronologicznie. W każdym znajdowałem profil kryminologiczny podejrzanego w sprawie o morderstwo. Napisany suchym, klinicznym językiem zawodowców, zawierał wnioski dotyczące mordercy, wyciągnięte na podstawie pewnych szczegółów z miejsca zbrodni. Po tych detalach widać było wyraźnie, że McCaleb nie tylko czytał artykuły o morderstwach w gazetach. Było dla mnie jasne, że musiał mieć pełen dostęp do miejsc zbrodni - albo osobiście, albo, co bardziej prawdopodobne, poprzez zdjęcia, taśmy i notatki śledczych. Poza tym te dokumenty zupełnie nie wyglądały mi na profile sporządzone dla treningu przez kogoś, kto tęskni za pracą i nie chce zardzewieć. Najwyraźniej proszono go o pomoc w tych sprawach.

Wszystkie pochodziły z rewirów małych posterunków policji na Zachodzie. Domyślałem się, że McCaleb dowiadywał się o sprawach z gazet czy jakimś innym sposobem, po czym zgłaszał się z propozycją pomocy do wydziału męczącego się z daną zbrodnią. Kiedy propozycję przyjmowano, zapewne dostawał informacje o miejscu przestępstwa i zabierał się do analizy i nakreślania profilu. Zastanawiałem się, czy swoista sława pomagała mu, czy też przeszkadzała, gdy oferował swe umiejętności. Sześć razy zaakceptowano jego ofertę, ale ile razy odrzucono.

Kiedy otrzymywał zgodę, zapewne pracował nad sprawą tutaj, przy tym biurku, nawet nie opuszczając łodzi. Nie wiedział pewnie nawet, że jego żona dokładnie wie, co on robi.

Widać było jednak, że każdemu z tych profili poświęcił sporo czasu i uwagi. Coraz bardziej rozumiałem, co według Gracieli stało się ich małżeńskim problemem. Terry nie umiał wyznaczyć sobie granicy. Nie potrafił sobie odpuścić. Te profile kryminologiczne były nie tylko świadectwem jego poświęcenia misji, ale również tego, że jako mąż i ojciec miał słaby punkt.

Przypadki pochodziły ze Scottsdale w Arizonie, Henderson w Nevadzie oraz czterech kalifornijskich miejscowości: La Jolla, Laguna Beach, Salinas i San Mateo. W dwóch chodziło o zabójstwa dzieci, w pozostałych były to morderstwa na tle seksualnym - trzy kobiety i jeden mężczyzna. McCaleb nie łączył ich ze sobą. Były to całkiem odrębne sprawy, które zwróciły jego uwagę w ciągu ostatnich dwóch lat. W aktach nie znalazłem żadnych zapisów wskazujących, że praca Terry'ego przydała się do czegoś albo że którakolwiek ze spraw została rozwiązana. Zanotowałem sobie podstawowe fakty o każdej z nich, gdyż chciałem zapytać odpowiednie posterunki policji o obecny status tych spraw. Niezbyt prawdopodobne, ale jednak możliwe, że któraś z tych analiz przyczyniła się do śmierci Terry'ego. Nie była to priorytetowa kwestia, niemniej należało ją sprawdzić.

Skończywszy na razie z komputerem, zabrałem się do pudeł z papierami ustawionych na górnej koi. Wyciągałem jedno po drugim, aż zabrakło miejsca na podłodze. Odkryłem, że są w nich przemieszane papiery dotyczące zarówno spraw rozwiązanych, jak i nierozwiązanych. Przez kolejną godzinę sortowałem je, wyciągając te nierozwiązane, sądziłem bowiem, że bardziej prawdopodobne jest, iż śmierć Terry'ego wiąże się ze zbrodnią, w której podejrzany wciąż przebywa na wolności. Nie było powodu, aby pracował nad już zamkniętą sprawą.

Lektura była fascynująca. Wiele dokumentów dotyczyło spraw, które znałem, w których nawet brałem udział. Tych papierów nie pokrywał kurz. Miałem nieodparte wrażenie, że do tych nierozwiązanych stale wracał. McCaleb wyciągał je od czasu do czasu i ponownie analizował kroki śledztwa, podejrzanych, miejsce przestępstwa i otwarte tropy. Dzwonił do detektywów, techników z laboratoriów, a nawet do świadków. Widać to było jak na dłoni, bo miał zwyczaj notować na wewnętrznej stronie okładki teczek wszystkie poczynione kroki, metodycznie opatrując je także datami.

Z nich wywnioskowałem, że pracował nad wieloma sprawami naraz. Jasne było, że nadal ma dojścia do FBI i Wydziału Badań Behawioralnych w Quantico. Całą godzinę zajęło mi przeczytanie opastej teczek o Poecie, jednym z bardziej osławionych, a może i najbardziej kłopotliwym seryjnym mordercy w dziejach FBI. Poeta, zabójca, okazał się później agentem federalnym, który dowodził ekipą prowadzącą śledztwo przeciwko niemu samemu. Skandal, jaki się rozpuł, osiem lat temu zatrzęsł całym Biurem i jego modelowym Wydziałem Badań Behawioralnych. Ten agent, Robert Backus, wybierał na swe ofiary detektywów zajmujących się zabójstwami. Pozorował samobójstwa, pozostawiając listy samobójcze zawierające cytaty z wierszy Edgara Allana Poe. W ciągu trzech lat zabił w całym kraju osiem osób, aż pewien reporter odkrył, że samobójstwa są pozorowane, wtedy zaczęło się polowanie. Backus został zdemaskowany i postrzelony przez innego agenta w Los Angeles. W tym czasie przypuszczalnie planował zabójstwo kolejnego detektywa z wydziału zabójstw Komendy Hollywoodzkiej LAPD. To była moja działka. Ów policjant, Ed Thomas, był moim kolegą. W ten sposób moja osoba wiązała się z tą sprawą. Pamiętam, że dlatego sam bardzo się nią interesowałem.

A teraz czytałem o niej. Oficjalnie FBI zamknęło sprawę. Lecz po cichu zawsze się przebąkiwało, że Backus uciekł. Raniony kulą, najpierw ukrył się w sieci kanałów burzowych pod Los Angeles. Sześć tygodni później znaleziono ciało z raną postrzałową we właściwym miejscu, ale w stanie takiego rozkładu, że nie dało się go zidentyfikować ani porównać odcisków palców. Zerujące zwierzęta - jak napisano w raportach - rozwlóczyły części zwłok, w tym także zuchwę, tak więc identyfikacja na podstawie karty stomatologicznej okazała się niemożliwa. Poza tym Backusowi udało się sprytnie zniknąć, nie pozostawiając żadnych próbek DNA. Mieli więc ciało z dziurą po kuli, ale żadnego materiału do porównań. Przynajmniej tak twierdzili. Biuro błyskawicznie

oświadczyło, że uznaje Backusa za zmarłego, i sprawa została zamknięta, pewnie tylko po to, by położyć kres upokorzeniu, jakiego doznało FBI z rąk własnego pracownika.

Lecz zapisy, które zgromadził od tamtego czasu McCaleb, dowodziły, że plotka jest prawdziwa: Backus żyje i przebywa na wolności. Cztery lata temu wypłynął w Holandii. Według poufnych biuletynów FBI, które przekazał McCalebowi informator, morderca w ciągu dwóch lat pozbawił w Amsterdamie życia pięciu mężczyzn. Wszyscy byli cudzoziemcami, którzy wybrali się do dzielnicy czerwonych latarni i zniknęli. Każdego z nich znaleziono w rzece Amstel, uduszonego. Morderstwa łączyły z Backusem listy wysyłane do miejscowych władz, w których autor przypisywał je sobie i prosił o włączenie do śledztwa FBI. Według owych poufnych meldunków prosił o agentkę Rachel Walling, tę, która cztery lata wcześniej Backusa postrzeliła. Holenderska policja zwróciła się do FBI, by nieoficjalnie przyjrzało się sprawie. Nadawca podpisał wszystkie listy „Poeta”. Analiza charakteru pisma wykazała - choć nierozstrzygująco - że autor nie jest zabójcą próbującym wykorzystać złą sławę Roberta Backusa, lecz nim samym.

Oczywiście, kiedy federalni, miejscowe organy, a nawet Rachel Walling zdążyli zebrać się w Amsterdamie, mordercy już dawno tam nie było. I więcej się nie odezwał - przynajmniej według informatorów McCaleba.

Włożyłem opasłą teczkę z powrotem do pudełka i zabrałem się do kolejnych. Wkrótce dowiedziałem się, że McCaleb pracował nie tylko nad starymi sprawami. Właściwie swą uwagę i umiejętności poświęcał wszystkiemu, co go zainteresowało. Były całe tuziny teczek zawierających tylko pojedynczy wycinek z gazety oraz kilka notatek na wewnętrznej stronie okładki. Niektóre z nich były poważne, inne mniej. Zebrał całe dossier wycinków dotyczących sprawy Laci Peterson - ciężarnej kobiety ze środkowej Kalifornii, która zaginęła dwa lata temu w Wigilię. Sprawa przez długi czas przyciągała uwagę mediów i opinii publicznej, zwłaszcza po tym, jak jej poćwiartowane zwłoki znaleziono w zatoce, gdzie mąż Laci, jak wcześniej zeznał, w dniu zaginięcia łowił ryby. Zapis na klapce teczki, z datą sprzed odnalezienia ciała, głosił: „Na pewno nie żyje - w wodzie”. Kolejna notatka, z datą sprzed aresztowania męża - „Jest inna kobieta”.

Inna teczka również zawierała „prorocze” zapiski dotyczące Elizabeth Smart, dziecka porwanego w Utah, które odnaleziono i zwrócono rodzicom niemal po roku. Słusznie zanotował „żyje” pod jednym z gazetowych zdjęć dziewczynki.

McCaleb wykonał także nieoficjalną analizę przypadku Roberta Blake'a. Były gwiazdor filmowy i telewizyjny został oskarżony o zamordowanie żony - kolejna sprawa z pierwszych stron gazet. Zapiski w teczce opierały się na intuicji i były trafne - co wyszło na jaw podczas rozprawy sądowej.

Musiałem zadać sobie pytanie, czy to możliwe, by McCaleb wpisywał notki do akt ze wsteczną datą, wykorzystując posiadane informacje z mediów, tak by stworzyć fałszywe wrażenie, że poprawnie przewiduje fakty czy zachowanie podejrzanych, opierając się na własnej pracy. Choć wszystko możliwe, przypuszczenie, że McCaleb robił coś takiego, wydało mi się kompletnie bzdurne. Nie widziałem powodu, by mógł popełnić takie prywatne przestępstwo, które w końcu obróciłoby się przeciwko niemu. Wierzyłem, że naprawdę wykonał tę pracę. Sam.

Jedna z teczek zawierała artykuły z gazet o nowym zespole w LAPD, specjalizującym się w nierozwiązanych przypadkach - tak zwanych zimnych sprawach. Na okładce zanotowane były nazwiska i numery telefonów komórkowych czterech detektywów oddelegowanych do tej jednostki. Jeśli dysponował tymi numerami, najwyraźniej umiał sforsować przepaść między policją i FBI. Wiedziałem, że numerów telefonów komórkowych policjantów nie daje się pierwszej lepszej osobie.

Jednego z tych czterech znałem. Tim Marcia pracował w komendzie hollywoodzkiej, w tym także w wydziale zabójstw. Wiedziałem, że jest późno, ale gliniarze spodziewają się późnych telefonów. Wyciągnąłem komórkę i wystukałem numer, który McCaleb zapisał na teczce. Marcia odebrał natychmiast. Przedstawiłem się, przeszedłem przez uprzejmości typu „kopę lat, stary” i wyjaśniłem, że dzwonię w sprawie Terry'ego McCaleba. Nie skłamałem, ale nie przyznałem się, że badam morderstwo. Powiedziałem, że na prośbę żony sortuję akta Terry'ego i znalazłem w nich jego nazwisko i numer. Po prostu zaciekawiło mnie, co mieli ze sobą wspólnego.

- Harry, pracowałeś w swoim czasie nad kilkoma zimnymi sprawami, nie? Ta zadyma w twoim domu rok temu wzięła się właśnie z zimnej sprawy, prawda?

- Prawda.

- No to wiesz, jak to jest. Czasem chwytasz się brzytwy, prosisz o pomoc, kogo tylko możesz. Terry

pewnego dnia zadzwonił do mnie

i zaproponował swoje usługi. Nie chodziło mu o jakąś konkretną sprawę. Myślę, że po prostu zobaczył artykuł w „Timesie” o naszej jednostce i chciał mi powiedzieć, że jeśli będę kiedykolwiek potrzebował przygotowania profilu, to on jest gotów. Znał się na tym. Było mi bardzo przykro, kiedy usłyszałem, co się stało. Chciałem polecieć na Catalinę na pogrzeb, ale wypadło mi tu parę rzeczy.

- Zawsze tak się dzieje. Dałeś mu choć raz profil do zrobienia?

- W sumie tak. Ja to zrobiłem i wiem, że kilku innych gości od nas też. Wiesz, jak to jest. Wydział nie ma żadnego profilera wartego wspomnienia, a na federalnych z Quantico czeka się nawet kilka miesięcy. A tu pojawia się facet, który zna się na tej robocie i w dodatku nie chce nic w zamian. To go wykorzystywaliśmy. Wrzuciliśmy mu parę rzeczy.

- I jak mu to wychodziło?

- Dobry był. Teraz pracujemy nad jedną taką interesującą sprawą. Kiedy nowy szef stworzył ten zespół, zaczęliśmy wertować wszystkie otwarte-nerozwiązane. Połączyliśmy sześć spraw - sześć trupów odnalezionych w Dolinie. Miały kilka cech podobnych, ale nikt ich wcześniej nie skojarzył. Skopiowaliśmy akta i podesłaliśmy Terry'emu, a on to potwierdził. Połączył je przez, jak to nazwał, „psychologiczne podobieństwa”. Wciąż nad tym pracujemy, ale przynajmniej wiemy, o co chodzi. Rozumiesz, jesteśmy na tropie. Nie wydaje mi się, żebyśmy zaszli tak daleko bez jego pomocy.

- To dobrze, miło mi słyszeć, że był pomocny. Powiem jego żonie, myślę, że się ucieszy.

- No dobra, a ty, Harry, jak tam? Wracasz do nas?

Spodziewałem się pytania, co naprawdę robię z aktami McCa-leba, a nie - czy wracam do policji.

- O czym ty gadasz?

- Nie słyszałeś o trzyletniej przepustce, którą wprowadził komendant?

- Nie, co to takiego?

- Wie, że w ostatnich latach straciliśmy sporo fachowców. Wszystkie te afery i w ogóle, porządni ludzie powiedzieli sobie: niech to szlag, idę stąd. On otwiera furtkę do powrotu. Jeśli zgłosisz się w ciągu trzech lat od przejścia na emeryturę i przyjmą cię, możesz wracać do pracy bez potrzeby odbywania stażu w akademii. To w sam raz dla starszych gości, takich jak ty.

Był wyraźnie rozweselony.

- Trzy lata, co?

- Tak. U ciebie to ile, dwa i pół?

- Prawie.

- No to masz. Przemysł to sobie. Przydałbyś się nam tutaj w zimnych sprawach. Mamy siedem tysięcy otwartych-nerozwiązanych. Stary, wybierasz, co chcesz.

Milczałem. Pomysł powrotu spadł na mnie jak grom z jasnego nieba. W tej chwili nie widziałem żadnych wad. Myślałem tylko: jak to będzie znowu nosić odznakę.

- No zresztą nie wiem, może za dobrze się bawisz na tej emeryturze. Coś jeszcze, Harry? ^

- Eee... nie, to wszystko. Dziękuję ci, stary. Bardzo mi pomogłeś.

- Dzwoni, kiedy chcesz. I zastanów się nad tym planem trzyletnim. Na pewno przydasz się, nie tutaj, to w Hollywood albo gdzie indziej.

- Dzięki. Może i tak. Pomyślę.

Rozłączyłem się i siedziałem tak, otoczony obsesjami innego człowieka, ale zatopiony we własnych. Zastanawiałem się nad powrotem. Myślałem o siedmiu tysiącach głosów wołających z za grobu i niesłyszących odpowiedzi. To więcej, niż widzi się w nocy gwiazd na niebie.

Telefon zabrzączał, kiedy nadal trzymałem go w dłoni. Wybił mnie z marzeń - odebrałem, spodziewając się, że to Tim Marcia chce mi powiedzieć, że z tym trzyletnim czymś to żartował. Ale to dzwoniła Graciela.

- Widzę światło na łodzi - powiedziała. - Nadal tam siedzisz?

- Tak.

- Czemu tak długo, Harry? Uciekł ci ostatni prom.

- Nie zamierzałem dzisiaj wracać. Chciałem zostać i to skończyć. Może jutro popłynę z powrotem. Pewnie będę też chciał wpaść do ciebie i pogadać.

- W porządku. Jutro nie pracuję. Pakuję się.

- Pakujesz się?

- Przeprowadzamy się znów na stały ląd. Będziemy mieszkać w Northridge. Dostałam z powrotem pracę w pogotowiu.

- Czy ty przenosisz się może ze względu na Raymonda?

- Raymonda? To znaczy?

- Zastanawiałem się, czy sprawia ci kłopoty. Słyszałem, że nie odpowiada mu mieszkanie na wyspie.

- Raymond nie ma wielu kolegów. Nie pasuje do towarzystwa.

Ale nie tylko dlatego się przeprowadzamy. Ja chcę tam wrócić.

Od dawna, jeszcze kiedy Terry żył. Mówiłam ci o tym.

- Tak, faktycznie. Zmieniła temat.

- Nie potrzeba ci tam czegoś? Masz jedzenie?

- Znalazłem w kuchni trochę rzeczy. Wystarczy.

Jęknęła z obrzydzeniem.

- Zanim coś zjesz, sprawdź datę ważności.

- Dobrze.

Zawahała się, a potem spytała:

- Coś już znalazłeś?

- No cóż, jest kilka rzeczy, które mnie zaintrygowały. Ale na razie nic, co by się rzuciło w oczy.

Myślałem o facecie w czapce Dodgersów. Dla mnie na pewno rzucał się w oczy, ale jej nie chciałem jeszcze o tym mówić. Najpierw zamierzałem od niej dowiedzieć się więcej.

- Jasne - powiedziała. - Ale mów mi o wszystkim, dobrze?

- Taka jest umowa.

- W porządku, Harry. Pogadamy jutro. Nocujesz w hotelu czy na łodzi?

- Chyba na łodzi. Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie mam. Rób, co zechcesz.

- Okay. Mogę o coś zapytać?

- Oczywiście, co takiego?

- Mówiłaś o tym pakowaniu i jedna rzecz mnie zainteresowała. Jak często jeździsz na ląd? No wiesz, na zakupy, do restauracji albo odwiedzić rodzinę.

- Przeważnie raz na miesiąc. Chyba że coś mi wyskoczy i muszę pojechać.

- Zabierasz dzieci?

- Przeważnie tak. Chcę, żeby się przyzwyczajały. Jak dorastasz na wyspie, gdzie zamiast samochodów są wózki golfowe i wszyscy się znają... to może być dziwne uczucie tak nagle przenieść się na ląd. Staralam się, żeby były na to przygotowane.

- To chyba mądrze z twojej strony. A które centrum handlowe jest najbliżej przystani promu?

- Nie wiem, które jest najbliższe, bo ja zawsze jeżdżę do Promenady na Pico. Lecę prosto czterystapiątką od portu. Wiem, że kilka centrów jest bliżej, na przykład Fox Hills, ale ja lubię tę Promenadę. Są tam odpowiednie sklepy i wszędzie łatwo trafić.

A czasem spotykam się ze znajomymi z Doliny i Promenada wszystkim pasuje, bo jest w połowie drogi.

I łatwo też wysłedzić, że tam jedziesz, pomyślałem.

- No dobrze - powiedziałem, wcale nieprzekonany, że to dobrze. - Jeszcze jedna sprawa. Kończy mi się tu prąd. Czy mogę gdzieś naładować akumulatory i w ogóle - jak się to robi?

- Nie pytałeś Buddy'ego?

- Nie, kiedy tu z nim byłem, nie przewidziałem, że skończy mi się prąd.

- Oj, Harry, trzeba włączyć jakiś generator, tylko że nie wiem, gdzie on jest.

- Jasne, Gracielo, nie przejmuj się tym. Mogę zadzwonić do Buddy'ego. To już ci nie przeszkadza.

Powinno wrócić do pracy, póki jeszcze mam światło.

Rozłączyłem się i zapisałem w notesie nazwę centrum handlowego, a potem wyszedłem z kabiny i obszedłem łódź, wyłączając wszystkie światła poza kajutą dziobową, żeby oszczędzać prąd. Później zadzwoniłem do Buddy'ego, który miał trochę nieprzytomny głos.

- Cześć, Buddy, obudź się. Mówi Harry Bosch.

- Kto? Aha. Co chcesz?

- Musisz mi pomóc. Jest na tej łodzi jakiś generator albo coś, co daje prąd? Akumulatory mi zdychają.
- Człowieku, nie wyczerpuj ich do końca, bo je zarżniesz.
- To co mam zrobić?
- Trzeba włączyć diesle, a potem generator. Tylko że jest prawie północ. Goście, którzy śpią na łódkach obok, trochę się wkurzą, kiedy to usłyszą.
- Okay, to sobie daruję. Czyli powinienem to zrobić z rana, a jak to się robi? Kluczykiem?
- Tak, zupełnie jak w samochodzie. Pójdiesz do steru w salonie, wsadzisz oba kluczyki i przekręcisz na ON. Nad każdą stacyjką jest włącznik zapłonu. Przystawiasz go i powinno od razu odpalić - no, chyba że zużyłeś cały prąd, to wtedy nic z tego.
- Dobra, to tak zrobię. A są na tej łajbie jakieś latarki?
- Pewnie, jedna w kambuzie, jedna nad stolikiem nawigacyjnym i jeszcze jedna w głównej kabinie, w szufladzie na lewo od koi. W dolnej szafce w kambuzie stoi jeszcze naftówka. Ale w kabinie jej nie używaj. Nazbiera ci się pełno spalin i zaczadziejesz. I będzie kolejna zagadka do rozwiązania.
- Ostatnie zdanie wypowiedział z niechęcią. Puściłem to mimo uszu.
- Dzięki, Buddy. Odezwę się do ciebie.
- W porządku. Dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem szukać latarek. Wróciłem do kabiny z jedną małą, z głównej kajuty, i dużą, stołową, z kuchni. Tę postawiłem na biurku i włączyłem. Potem zgasilem światła. Blask odbił się od niskiego sufitu ciasnej kabiny i rozlał po niej. Nie tak źle. Przy tym, pomagając sobie małą latarką, będę mógł jeszcze pracować.

Została mi do przejżenia niecała połowa pudeł i chciałem to skończyć, zanim zacznę się zastanawiać, gdzie mam spać. Te teczki były cienkie, najświeższe uzupełnienia kolekcji McCaleba, od razu widziałem, że większość nie zawiera prawie nic poza wycinkiem z gazety i może paroma zapiskami na okładce.

Wyciągnąłem rękę i wziąłem jedną na chybił trafił. Powinienem być w Vegas i grać w kości, ponieważ teczka, na którą trafiłem, okazała się bardzo ważna. To ona nadała kierunek mojemu śledztwu, naprowadziła mnie na trop.

13

Nalepka na teczce głosiła: „6 zaginionych”. W środku był jeden wycinek z „Los Angeles Times” oraz kilka opatrzonych datami notatek i nazwisk na wewnętrznej klapce. Przeczyłem, że ta sprawa jest ważna, zanim wczytałem się w sens artykułu i tych zapisków. Sprawily to daty. McCaleb cztery razy zapisywał swe spostrzeżenia, zaczynając 7 stycznia, kończąc 28 lutego tego roku. Miesiąc później, 31 marca, już nie żył. Były to najświeższe zapiski ze wszystkich teczek, jakie przejrziałem. Wiedziałem, że patrzę na coś, nad czym niedawno pracował. Ostatnią sprawę, ostatnią obsesję. Zostały mi jeszcze teczki do przejżenia, ale ta coś w sobie miała, toteż zabrałem się do niej.

Artykuł napisała znajoma reporterka, Keisha Russell; pracowała w dziale kryminalnym „Timesa” co najmniej od dziesięciu lat i była świetna w swej robocie. A także dokładna i bezstronna. Jako policjant dogadywałem się z nią wiele razy i zawsze dotrzymywała słowa, w zeszłym roku nawet wstrzymała się z publikacją tekstu, żeby mi nie zaszkodzić, kiedy już nie służyłem w policji, a moja pierwsza sprawa zaczęła iść źle.

I właśnie dlatego mogłem z dużą dozą pewności traktować to, co napisała, jako fakty. Zacząłem czytać.

POSZUKIWANIE BRAKUJĄCEGO OGNIWA

Czy zaginięcia osób z LA w Nevadzie
mają związek z czterema innymi zaginięciami?
Keisha Russell, „Los Angeles Times”

Co najmniej sześciu mężczyzn, w tym dwóch mieszkańców Los Angeles, zaginęło w tajemniczy sposób. Wszyscy przebywali w centrach hazardu w Nevadzie. Policja poszukuje tropu łączącego

wszystkie te przypadki.

Pomimo że zaginieni pochodzą z różnych miast i zupełnie odmiennych środowisk, mogli odznaczać się jakąś wspólną cechą, która stanowi klucz do tej tajemnicy - poinformowali we wtorek prowadzący śledztwo z policji Las Vegas.

Wszyscy byli mężczyznami w wieku od 29 do 61 lat. Zaginięcia zostały zgłoszone przez ich rodziny w ciągu ostatnich trzech lat. O czterech z nich wiadomo, że przebywali w Las Vegas, dlatego dochodzenie prowadzi tamtejsza policja. Pozostali dwaj zaginęli, kiedy wyjechali do Laughlin i Primm. Żaden z nich nie pozostawił w domu, pokoju hotelowym ani samochodzie nic, co informowałoby, dokąd się udał albo co się z nim stało.

- W tej chwili jest to dla nas stu procentowa zagadka - mówi detektyw Todd Ritz z wydziału zaginięć policji Las Vegas. - Tutaj, zresztą jak wszędzie, ludzie znikają przez cały czas. Przeważnie jednak się odnajdują, żywi lub martwi. Zwykle znamy wyjaśnienie. W tym wypadku nie wiemy absolutnie nic. Jakby rozplynęli się w powietrzu.

Ritz i inni detektywi uważają, że musi być jakieś wytłumaczenie tej sprawy i żeby je znaleźć, proszą ludzi o pomoc. W poprzednim tygodniu policjanci z Las Vegas, Laughlin i Primm zebrali się w biurach policji Las Vegas, by porównać swe notatki i ustalić strategię prowadzenia śledztwa. Sprawa została także nagłośniona w nadziei, że zdjęcia mężczyzn i ich historie przyczynią się do zdobycia nowych zeznań. We wtorek, tydzień później, Ritz przyznał, że nie otrzymali zbyt wielu użytecznych informacji.

- Musi być ktoś, kto coś wie, coś widział albo słyszał - powiedział nam Ritz w rozmowie telefonicznej. - Sześciu ludzi nie może po prostu zniknąć, tak żeby nikt nic nie zauważył. I zależy nam na tym, żeby ten ktoś się ujawnił.

Jak powiedział Ritz, zaginięcia zdarzają się często. Lecz ta sprawa jest niezwykła - sześciu mężczyzn jedzie do Nevady służbowo albo dla rozrywki i nigdy nie wraca do domu.

Sensacja pojawia się w chwili, kiedy Las Vegas po raz kolejny próbuje zmienić swój wizerunek. Do przeszłości należy strategia marketingowa, która reklamowała miasto neonów 84 jako ośrodek rodzinnej rozrywki. Do Vegas wraca grzech. W ciągu trzech lat koncesję dostały liczne kluby z nagimi bądź częściowo nagimi tancerkami, a wiele kasyn na głównym bulwarze przygotowało erotyczne programy rozrywkowe przeznaczone tylko dla widzów dorosłych. Pojawiły się billboardy z nagimi kobietami, budząc gniew lokalnych aktywistów społecznych. Wszystko to zmieniło charakter miasta. Ponownie jest ono reklamowane jako miejsce, gdzie bawią się dorośli, którzy dzieci powinni zostawić w domu.

Jak sugerują ostatnie boje z billboardami, nie wszystkim mieszkańcom jest w smak ta zmiana. Wiele osób spekuluje, że zaginięcia owych sześciu podróżnych mogą być pośrednio związane z nowym wizerunkiem miasta, gdzie wszystko uchodzi.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - mówi Ernie Gelson, felietonista „Las Vegas Sun” - wypróbowali model rodzinnej rozrywki i nie sprawdził się. Miasto wraca do tego, co się sprawdza. Do tego się wraca, co się opłaca. A jaki jest motyw łączący te sześć zaginięć? Nie wiem. Być może nigdy się nie dowiemy.

Gelson niechętnie jednak patrzy na wyciąganie pochopnych wniosków łączących zaginięcia ze zmianami zachodzącymi w Vegas.

- Po pierwsze, chcę przypomnieć, że nie wszyscy zniknęli w Vegas. Po drugie, w tej chwili nie dysponujemy faktami na poparcie jakiegokolwiek teorii. Uważam, że zanim zaczniemy dąć w trąby, trzeba się wstrzymać i pozwolić, by zagadka się rozwiązała.

Zaginieni to:

- Gordon Stanley, 41 lat, mieszkaniec Los Angeles, zaginiony od 17.05.2001. Zameldował się w hotelu z kasynem Mandalay Bay w Las Vegas, ale jego łóżko było nienaruszone, a walizka nierozpakowana. Jest żonaty, ma dwoje dzieci.

- John Edward Dunn, 39 lat, mieszkaniec Ottawy w Kanadzie. Wracał samochodem do domu z urlopu w Los Angeles. Nigdy nie dojechał do celu podróży - domu swego brata na Granada Hills. Jego trzydziestostopowy wóz kempingowy odnaleziono 29 grudnia 2001 na parkingu dla takich wozów w Laughlin.

Było to dwadzieścia dni po jego spodziewanej dacie przybycia do Granada Hills.

- Lloyd Rockland, 61 lat, zniknął w Las Vegas w dniu 17.06.2002. Jego samolot z Atlanty przyleciał na lotnisko McCarran o godzinie 11. Rockland wypożyczył samochód u Hertz, ale nigdy nie zgłosił się do MGM Grand, gdzie miał zarezerwowany pokój. Jego samochód został zwrócony do wypożyczalni o godzinie 14 następnego dnia, nikt jednak nie pamięta, czy zwracał go pan Rockland, ojciec czwórki dzieci, mający troje wnuków.

- Fenton Weeks, 29 lat, mieszkaniec Dallas. Zaginięcie zgłoszono 25.01.2001, po tym jak nie wrócił ze służbowego wyjazdu do Las Vegas. Policja ustaliła, że zameldował się w hotelu Golden Nugget w centrum Las Vegas i brał udział w pierwszym dniu targów elektronicznych odbywających się w centrum konferencyjnym, natomiast drugiego i trzeciego dnia nie przyszedł na nie. Zaginięcie zgłosiła żona. Dzieci nie ma.

- Joseph O'Leary, 55 lat, z Berwyn w Pensylwanii, zniknął 15 maja zeszłego roku z kasyna Bellagio, gdzie przebywał razem z żoną. Alice O'Leary zostawiła męża przy stole do blackjacka, sama zaś udała się do centrum odnowy biologicznej. Kilka godzin później mężczyzna nie wrócił do apartamentu. Jego zaginięcie zostało zgłoszone policji następnego dnia. O'Leary był maklerem giełdowym.

- Rogers Eberle, 40 lat, z Los Angeles, zniknął 1 listopada, kiedy miał dzień wolny od pracy. Pracował jako grafik w studiach Disneya w Burbank. Jego samochód znaleziono przed Buffalo Bill's Casino w Primm, tuż za granicą stanu Kalifornia, przy autostradzie nr 15.

Prowadzący śledztwo twierdzą, że dysponują kilkoma śladami. Wskazują, że prawdopodobnie najlepszym z nich jest wypożyczony samochód Rocklanda. Zwrócono go 27 godzin po wypożyczeniu. W ciągu tego czasu, według dokumentów Hertz, przejechano nim 328 mil. Osoba oddająca go pozostawiła auto przed wjazdem, nie czekając na pokwitowanie ani na odbiór przez pracownika firmy.

- Ktoś po prostu przyjechał, wysiadł z samochodu i poszedł - mówi Ritz. - Nikt nic nie pamięta. W tej filii obsługuje się około tysiąca samochodów dziennie. Nie ma tam ani kamer, ani żadnych zapisów, poza rejestrem wypożyczeń.

Ritz i pozostali detektywi mówią, że zastanawia ich właśnie te 328 mil.

- To szmat drogi - mówi detektyw Peter Echerd, partner Ritza. - Ten samochód mógł objechać pół stanu. Proszę sobie wyobrazić: 164 mile tam i z powrotem - wychodzi całkiem sporawe kółko do zbadania.

Niemniej prowadzący śledztwo próbują to zrobić w nadziei, że uda im się trafić na ślad, który zmniejszy to koło i być może doprowadzi do wyjaśnienia tajemnicy sześciu zaginięć.

- To nieprzyjemna sprawa - mówi Ritz. - Oni wszyscy mają rodziny. Robimy, co w naszej mocy, ale w tej chwili mamy jedynie mnóstwo pytań i żadnych odpowiedzi.

Artykuł zawierał piękne uogólnienia, typowe dla „Timesa”. W tym wypadku były to spekulacje, że zaginięcia są symptomatyczne dla nowego wizerunku Las Vegas - centrum rozrywki tylko dla dorosłych. Przypomniało mi to pewną sprawę, nad którą pracowałem. Właściciel warsztatu samochodowego przeciął przewody hydrauliczne podnośnika i trzyipółtonowy cadillac zwałił się na jego wieloletniego współnika, zabijając go. Reporter „Timesa” zapytał mnie wtedy, czy to zabójstwo jest symptomatyczne dla napiętej sytuacji gospodarczej, w której problemy finansowe nastawiają współwłaścicieli firmy przeciwko sobie. Odpowiedziałem, że nie, że według mnie jest symptomatyczne dla sytuacji, w której goście nie podoba się, że współnik posuwa jego żonę.

Pominąwszy już uogólnienia, historia była podrzucona. To biło po oczach. Sam swego czasu robiłem dokładnie tak samo, z tą samą dziennikarką. Ritz zarzucał się na informacje. Skoro połowa zaginionych albo pochodziła, albo wybierała się do Los Angeles, dlaczego by nie zadzwonić do „Timesa”, nie sprzedać historii dziennikarce z działu kryminalnego i nie zobaczyć, co i kto ewentualnie wyskoczy?

Jedną osobą, która wyskoczyła, był Terry McCaleb. Na pewno przeczytał artykuł z 7 stycznia w dniu, kiedy się ukazał, bo taką datę miały pierwsze notatki na klapce teczki. Zapiski te były skrótowe i enigmatyczne. Na górze skrzydełka zanotowane było nazwisko „Ritz” i numer telefonu do Las Vegas. Pod spodem McCaleb zapisał:

7.01:

śr 44
41 - 39 - 40
znaleźć punkt wspólny
nieregularny cykl - jest ich więcej
samochód - 328 mil
teoria trójkąta?
1 punkt daje 3
UzD - sprawdzić pustynię

9.01: oddzwonili - PnG

2.02:
Hinton - 702 259 4050
n/c story?

28.02:
Zzyzx? to możliwe? jak?
mile

Wzdłuż krawędzi teczki zapisane były jeszcze dwa numery telefoniczne z kierunkowymi Las Vegas. Widniały przy nich imię i nazwisko: „William Bing”.

Jeszcze raz przestudiowałem notki i spojrzałem na wycinek. Po raz pierwszy zauważyłem, że McCaleb zakreślił w nim dwie rzeczy - zdanie o 328 milach przejechanych przez samochód z wypożyczalni oraz słowo „kółko”, mówiące, że śledztwo obejmuje koło o promieniu 164 mil. Nie wiedziałem, dlaczego zakreślił akurat to, rozumiałem natomiast, co oznaczała większość jego skrótów. Studiowałem papiery od przeszło siedmiu godzin, patrzyłem na teczkę po teczce, notatkę po notatce. Były agent federalny używał skrótów własnego pomysłu, ale mogłem je rozczytać, bo to, co w jednym miejscu skracał, w innym pisał pełnymi słowami.

Od razu wiedziałem, co miał na myśli, pisząc „UzD” - Uznany za Denata. W większości zaginięć, które analizował, właśnie tak je klasyfikował i taki wyciągał wniosek. Łatwo było również domyślić się, co to jest „PnG” - persona non grata: znaczyło to, że jego propozycja pomocy w dochodzeniu nie została dobrze przyjęta albo w ogóle nie została przyjęta.

McCaleb znalazł także jakąś prawidłowość w wieku zaginionych. Zapisał sobie średnią ich wieku, a potem wiek trzech spośród nich, ponieważ różnił się tylko o dwa lata i był bardzo bliski średniej. To wyglądało mi na zapiski odnoszące się do profilu ofiary, lecz nie było tu takiego dokumentu, poza tym nie wiedziałem, czy McCaleb w ogóle wyszedł poza fazę notatek.

„Znaleźć punkt wspólny” - to również wydawało się dotyczyć profilu ofiar. Chodziło mu o geograficzną albo odnoszącą się do stylu życia „część wspólną” wszystkich ofiar. Jak twierdził w artykule detektyw z policji miejskiej, tak McCaleb przyjął założenie, że pomiędzy ofiarami zachodzi jakiś związek. Oczywiście, pochodziły z tak odległych miast jak Ottawa i Los Angeles oraz nie znały się nawzajem, ale musiały mieć jakiś element wspólny.

„Nieregularny cykl - jest ich więcej”. Przypuszczałem, że chodzi o okresy między zaginięciami. Jeśli ktoś tych mężczyzn porywał i zabijał, jak zakładał McCaleb, powinien być w tym zauważalny cykl. Seryjni mordercy na ogół działają w ten sposób, bo gwałtowne psychoseksualne popędy narastają w nich, a potem, po zabójstwie, przygasają. Terry najwyraźniej rozrysował sobie cykl i znalazł w nim dziury - czyli brakujące ofiary. Uważał więc, że zginęło więcej niż sześciu mężczyzn.

Najbardziej zagadkowa w tych zapiskach była „teoria trójkąta” oraz „1 punkt daje 3” pod spodem. Czegoś takiego nie dostrzegłem w poprzednich teczkach i nie wiedziałem, co to miało znaczyć. Było to zanotowane razem z faktami dotyczącymi samochodu - o owych przejechanych milach. Ale im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej stawało się zagadkowe. Był to skrót, kryptonim oznaczający coś, czego nie znałem. Męczyło mnie to, ale na tym etapie nic nie mogłem z tym zrobić.

Zapis z 9 stycznia wskazywał na to, że Ritz oddzwonił. McCaleb zapewne telefonował i zostawił wiadomość, a detektyw oddzwonił, wysłuchał gadki o jego umiejętnościach i osiągnięciach, być może

także o praktyce zawodowej, po czym powiedział, że nie jest zainteresowany. Nic w tym dziwnego. Lokalna policja często nie lubiła FBI. Ścieranie się policyjnego i federalnego ego było stałym elementem tej pracy. Więc dlaczego inaczej potraktować emerytowanego agenta FBI? Terry McCaleb był persona non grata.

To mógłby być koniec sprawy i koniec teczki, ale pojawiła się jeszcze notka z 2 lutego. Nazwisko i numer. Otworzyłem komórkę i wystukałem go, nie przejmując się, że jest późno. Albo wcześniej, zależy, jak patrzeć. Usłyszałem nagrany damski głos:

- Tu Cindy Hinton, „Las Vegas Sun”. Nie mogę w tej chwili odebrać, ale każdy telefon się liczy. Proszę zostawić nazwisko i numer, oddzwonię, gdy tylko będę mogła. Dziękuję.

Sygnał dzwinkowy. Zahałem się, niezbyt pewien, czy chcę już nawiązywać ten kontakt. Ale jednak się odezwałem:

- Eee... no, dzień dobry, mówi Harry Bosch. Jestem detektywem z Los Angeles i chciałbym porozmawiać z panią na temat Terry'ego McCaleba.

Zostawiłem jej numer swej komórki i rozłączyłem się, wciąż nieprzekonany, czy wykonałem dobry ruch. Pomyślałem jednak, że krótka, enigmatyczna wiadomość była w sam raz. Może ją skusi i oddzwoni do mnie.

Ostatnia z notatek była zarazem najbardziej intrygująca. McCaleb napisał „Zzyzx”, potem zapytał, czy to możliwe i jak. Na sto procent chodziło o Zzyzx Road. To był skok. Olbrzymi skok. Terry dostał zdjęcia od kogoś, kto śledził i fotografował jego rodzinę. Ta sama osoba zrobiła zdjęcie drogowskazu na Zzyzx Road nieopodal granicy Nevady i Kalifornii. McCaleb musiał dostrzec jakieś powiązanie i pytał sam siebie, czy jedna zagadka może łączyć się z drugą. A może coś sprowokował, dzwoniąc do policji z Vegas i proponując pomoc w tej sprawie? W tej chwili nie mogłem wykonać tego skoku. Oznaczało to, że czegoś mi brakuje - jednego ogniwa, informacji, która na ów skok pozwala. McCaleb musiał wiedzieć coś, czego nie było w dokumentach, co uprawdopodobniło powiązanie tych dwóch rzeczy.

Ostatnie zapiski do sprawdzenia: dwa numery telefoniczne z Vegas, zapisane na brzegu teczki, razem z imieniem i nazwiskiem „William Bing”. Ponownie otworzyłem komórkę i wystukałem pierwszy z nich. Automat powiedział mi, że dodzwoniłem się do hotelu i kasyna Mandalay Bay. Kiedy zaczął recytować listę opcji do wyboru, rozłączyłem się.

Nazwisko widniało przy drugim numerze. Wklepałem go do telefonu, przygotowany na obudzenie Williama Binga i zapytanie, jaki ma związek z McCalebem. Jednak po kilku dzwonek odebrała kobieta, która powiedziała: „Centrum Medyczne Las Vegas Memorial, z kim mam pana połączyć?”.

Tego się nie spodziewałem. Aby zyskać czas na wymyślenie, co dalej, zapytałem ją, gdzie jest ten szpital. Zanim skończyła podawać mi adres przy Blue Diamond Road, już miałem odpowiednie pytanie.

- Czy pracuje u was lekarz William Bing?

Po chwili odpowiedziała przecząco.

- A jakiś inny pracownik, też William Bing?

- Nie, proszę pana.

- A pacjent?

Kolejna przerwa, gdy sprawdzała to w komputerze.

- W tej chwili nie.

- A czy mieliście kiedykolwiek pacjenta nazywającego się William Bing?

- Nie mam dostępu do tego typu informacji, proszę pana.

Podziękowałem jej i odłożyłem słuchawkę.

Dłuższą chwilę zastanawiałem się nad tymi dwoma numerami w zapiskach McCaleba. Wnioski były proste. Terry McCaleb był pacjentem po przeszczepie serca. Jeśli miał jechać do innego miasta, musiał wiedzieć, gdzie się udać i z kim kontaktować w razie nagłego wypadku albo innych problemów ze zdrowiem. Domyślałem się, że te dwa telefony otrzymał z biura numerów. Potem zarezerwował sobie pokój w Mandalay Bay oraz zadzwonił na wszelki wypadek do szpitala. William Bing wprawdzie tam nie pracował, ale mógł przyjmować pacjentów jako specjalista-kardiolog.

Znów otworzyłem telefon, sprawdziłem godzinę na ekraniku, po czym i tak zadzwoniłem do Gracieli. Odebrała natychmiast, głos miała przytomny, ale i tak wiedziałem, że spała.

- Gracielo, przepraszam, że tak późno dzwonię. Mam jeszcze parę pytań.

- Nie możesz zaczekać z tym do jutra?

- To tylko jedno: czy Terry na miesiąc przed śmiercią jeździł do Vegas?

- Las Vegas? Nie wiem. A co?
- Jak to: nie wiesz? Był przecież twoim mężem.
- Mówiłam ci, byliśmy... w separacji. Mieszkał na łodzi. Wiem, że parę razy jeździł na ląd, ale czy pojechał stamtąd do Vegas - skąd miałabym to wiedzieć? Chybaby mi powiedział. Ale nic takiego nie mówił.
- Może było to gdzieś na rachunkach za karty kredytowe, za komórkę, na kwitkach z bankomatów i tak dalej?
- Zapłaciłam je, ale nie przypominam sobie, żeby był na nich hotel albo coś takiego.
- Masz jeszcze te kwitki?
- Oczywiście. Gdzieś w domu. Pewnie są już spakowane.
- Znajdź je, przyjadę po nie jutro z rana.
- Ja już śpię.
- To znajdź je jutro z rana. Od razu. Gracielo, to bardzo ważne.
- No dobrze, poszukam. Aha, posłuchaj: Terry, jak udawał się na ląd, zwykle brał łódź, żeby mieć gdzie nocować. A jeśli nie wybierał się do LA, tylko gdzieś indziej, na przykład do Cedars na badania, płynął promem, bo paliwo do łodzi za dużo by kosztowało.
- Rozumiem.
- Wiesz, w tym ostatnim miesiącu rzeczywiście wyjeżdżał. Zdaje się, że mniej więcej na trzy dni. Tak, trzy dni, dwie noce. Popłynął promem. To oznaczało, że wybiera się gdzieś dalej albo do szpitala. Ja myślę jednak, że to nie był szpital. Pewnie by mi powiedział, a ja w Cedars, na kardiologii, wszystkich znam. Poinformowałiby mnie, że był i jak tam jego serce. Mam tam swoje wtyczki.
- Dzięki, Gracielo, to bardzo dobra informacja. Pomogłaś mi. Pamiętasz dokładnie, kiedy to było?
- Nie bardzo. Chyba koniec lutego. Albo pierwsze dni marca. Wtedy kiedy się płaci rachunki. Zadzwoiłam do niego na komórkę, żeby pogadać o pieniądzach, i powiedział mi, że jest na łodzi. Nie mówił gdzie. Po prostu, że jest tam i wróci za kilka dni. Poznałam przez telefon, że jedzie samochodem. I wiedziałam, że nie wziął łodzi, bo stałam na balkonie i widziałam ją w porcie.
- Pamiętasz dokładnie, po co dzwoniłaś?
- Tak, trzeba było zapłacić rachunki, a ja nie wiedziałam, czy w lutym coé na łodzi zarobił. Pieniądze z kart kredytowych przychodziły bezpośrednio tutaj, ale Terry miał paskudny zwyczaj noszenia w portfelu czeków i gotówki od klientów. Kiedy umarł i zajrzałam mu do portfela, były tam trzy czeki na dziewięćset dolarów. Nosił je już dwa tygodnie. W interesach to on nie był za dobry.
- Powiedziała to takim tonem, jakby miała do czynienia z jakąś śmieszną, budzącą czułość cechą, choć byłam pewien, że za jego życia takie przeoczenia wcale jej nie bawiły.
- Jeszcze kilka rzeczy - dodałam. - Czy jak gdzieś się wybierał, to zwykle meldował się w tamtejszym szpitalu? Innymi słowy: jakby jechał do Las Vegas, to czy załatwiałby coś najpierw w tamtejszym szpitalu, na wszelki wypadek?
- Zamilkła na chwilę.
- Nie, to zupełnie do niego niepodobne - odparła. - Mówisz, że zrobił coś takiego?
- Nie wiem. Znalazłem w jednej teczce numer telefonu i nazwisko. Telefon był do kliniki Las Vegas Memorial i próbuję dojść, po co tam dzwonił.
- W Vegas Memorial robią przeszczepy. Ale nie wiem, po co miałby tam dzwonić.
- A kojarzy ci się z czymś niejaki William Bing? Może to lekarz, którego ktoś mu polecił?
- Nie kojarzę... brzmi jakby znajomo, ale nie wiem skąd. Może i lekarz. Może dlatego słyszałam to nazwisko.
- Odczekałam moment, myśląc, że może sobie przypomni, ale nie.
- Dobra, ostatnia sprawa. Gdzie jest jego samochód?
- Powinien być tam w Cabrillo, w marinie. To stary jeep Cherokee. Na kółku, które ci dałam, są kluczyki. Buddy też ma, bo czasem go używa. W sumie się nim opiekuje.
- Jasne. Z rana chcę mu się przyjrzeć, więc będę chciał jeszcze zatrzymać te klucze. Nie wiesz, o której jest pierwszy prom na ląd?
- Dopiero o dziewiątej piętnaście.
- To możemy się spotkać u ciebie w domu o ósmej albo o wpół do ósmej? Potrzebne mi te wszystkie wyciągi, chcę ci też parę rzeczy pokazać. To nie potrwa długo, tak że złapię pierwszy prom.

- Eee... to może o ósmej? Zdażę wrócić. Przeważnie odprowadzam Raymonda do szkoły i CiCi do przedszkola.

- Nie ma sprawy. Wpadnę o ósmej.

Skończyliśmy rozmowę. Natychmiast zadzwoniłem do Bud-dy'ego, jeszcze raz go budząc.

- Buddy, to znowu ja.

Jęknął.

- Czy Terry jeździł do Las Vegas miesiąc przed śmiercią? Około pierwszego marca?

- Człowieku, nie mam pojęcia - odparł zmęczonym, zirytowanym głosem. - Skąd mam wiedzieć? Ja nawet nie pamiętam, co sam robiłem pierwszego marca.

- Buddy, pomyśl. Pojechał gdzieś samochodem. Nie brał łodzi. Dokąd pojechał, coś ci mówił?

- Nic a nic mi nie powiedział. Ale już pamiętam, że jeździł, bo jeep był upačkany jak jasna cholera. Cały w soli czy jakimś innym gównie. No i oczywiście to ja musiałem go myć.

- Pytałeś go o to?

- Pewnie, zapytałem: „Gdzie ty byłeś, na rajdzie terenowym czy co?”, a on na to: „No, mniej więcej”.

- I to wszystko?

- Tyle powiedział. Potem umyłem samochód.

- A w środku? Też go umyłeś?

- Nie, tylko z wierzchu. Zabrałem go do samoobsługowej myjni w Pedro i zmyłem myjką ciśnieniową.

Kiwnąłem głową, bo wiedziałem, że już powiedział mi wszystko, co chciałem usłyszeć. Na razie.

- Będziesz tutaj jutro?

- Tak, teraz zawsze jestem. Nie mam dokąd pójść.

- No dobra. To do zobaczenia.

Skończywszy rozmowę, zadzwoniłem jeszcze pod jeden numer, ten, który zapisany był na górze skrzydełka, przy nazwisku Ritza, detektywa cytowanego w „Timesie”.

Odebrała automatyczna sekretarka i powiedziała mi, że wydział zaginięć policji Las Vegas urzęduje od ósmej do szesnastej w dni powszednie. Dalej wiadomość radziła, by w sprawach nie-cierpiących zwłoki dzwonić pod 911.

Rozłączyłem się. Było już późno, a ja dziś wcześniej wstałem -zdawałem sobie jednak sprawę, że jeszcze nie pośpię. Byłem nakręcony i wiedziałem z doświadczenia, że i tak bym nie zasnął.

Na łodzi zostały mi w charakterze oświetlenia tylko dwie latarki, ale miałem jeszcze coś do roboty. Otworzyłem notes i zacząłem opracowywać chronologiczne zestawienie dat i czasu zdarzeń w miesiącach i tygodniach przed śmiercią Terry'ego. Zapisałem na kartce wszystko: ważne, nieważne, związki prawdziwe i wymyślone. Doświadczenie podpowiadało mi, że długo wytrzymam bez snu, dzięki niemu wiedziałem też, że wszystkie szczegóły są istotne. Rozwiązanie zawsze ukryte jest w szczegółach. To, co obecnie nieważne, później może stać się najważniejsze ze wszystkiego. To, co tajemnicze i bez związku, później staje się lupą, przez którą wszystko widać wyraźnie.

14

Od razu widać, którzy pasażerowie są miejscowi. To ci, co siedzą w środku i spędzają półtoragodzinną podróż promem na rozwiązywaniu krzyżówek. Turyści przeważnie siedzą na górze albo gromadzą się na rufie i dziobie z aparatami, by po raz ostatni ujrzeć powoli rozplywającą się we mgle wyspę. Dzisiaj z rana, na pierwszym promie, siedziałem w środku razem z miejscowymi. Rozwiązywałem jednak innego rodzaju krzyżówkę. Na kolanach miałem otwartą teczkę, w której McCaleb porobił zapiski. A także zapis chronologii zdarzeń, który zrobiłem wczoraj w nocy. Studiowałem go, próbując maksymalnie dużo zapamiętać. Do pomyślnego zakończenia śledztwa niezbędna jest doskonała znajomość wszystkich szczegółów sprawy.

7.01 - McC czyta o zaginięciach w Nevadzie, dzwoni do Vegas Metro

9.1 - policja Vegas nie jest zainteresowana

2.1 - Hinton, „Vegas Sun”. Kto do kogo zadzwonił?

13.02 - półdniowy czarter z Jordanem Shandym
19.02 - czarter z Ribbem
22.02 - kradzież GPS/meldunek szeryfa
27.2 - McC tworzy w komputerze teczkę ze zdjęciami
1.03? - McC jest trzy dni na łodzi
28.03 - Ostatni czarter. McC na „Fali od rufy”, z lekami
31.03 - Śmierć McC

Teraz dopisałem jeszcze to, czego dowiedziałem się godzinę wcześniej od Gracieli. Pokwitowania z kart kredytowych, o które poprosiłem w związku z wyjazdem McCaleba, zawierały także jej zakupy. Było tam obciążenie karty Visa ze sklepu Nordstrom z datą 21 lutego. Kiedy zapytałem, powiedziała mi, że robiła zakupy w Promenadzie. Upewniłem się, czy potem tam jeździła. Odpowiedziała, że nie.

Dodając tę datę do chronologii, zauważyłem, że to dzień przed zgłoszeniem kradzieży GPS-u z „Fali od rufy”. Oznaczało to, że prawdopodobnie właśnie w tym dniu dokonano kradzieży. Człowiek, który śledził i fotografował Gracielę, był z nią na powrotnym promie. Czyżby to on wśliznął się w nocy na pokład łodzi i zabrał GPS? Jeśli tak, to po co? Może właśnie wtedy podmienił McCalebowi leki?

Zakreśliłem w zestawieniu skrót GPS. Co ma oznaczać kradzież tego urządzenia? Zastanawiałem się, czy nie przywiązuję do niej zbyt dużej wagi. Może teoria Buddy'ego była zgodna z prawdą i ukrał go Ribb - konkurent. Być może to tylko tyle, ale fakt, że stało się to zaraz po śledzeniu Gracieli w centrum handlowym, sugerował coś innego. Instynkt podpowiadał mi, że . istnieje tu związek. Po prostu na razie go nie dostrzegałem.

Pomimo to czułem, że do czegoś się zbliżam. Chronologia faktów pomogła mi dostrzec powiązania i następstwo zdarzeń. Lecz trzeba tu było jeszcze sporo uzupełnić; przypomniałem sobie, że miałem zamiar podzwonić z rana do Las Vegas. Otworzyłem telefon i sprawdziłem stan baterii. Na „Fali od rufy” nie mogłem jej naładować i teraz się niemal wyczerpała. Może uda się wykonać z jedną rozmową, zanim zdechnie. Wstukałem numer wydziału zaginięć policji w Vegas. Połączyłem się, poprosiłem z detektywem Ritzem. Czekałem prawie przez trzy minuty, słuchając melodyjki. Telefon zaczął już co minutę piszczeć, przypominając mi, że kończy się bateria.

- Mówi Ritz, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, nazywam się Bosch. Emerytowany policjant z LAPD. Wydział zabójstw. Oddaję przysługę znajomej. Jej mąż zmarł w zeszłym tygodniu, robię jakby porządek w jego rzeczach. I trafiłem na teczkę, gdzie było pana nazwisko i numer oraz wycinek o jednej z pana spraw.

- Jakiej?

- O sześciu zaginionych.

- A jak się nazywał mąż pana znajomej?

- Terry McCaleb. Były agent FBI. Pracował w...

- Ach, on.

- Znał pan go?

- Raz rozmawiałem z nim przez telefon. Więc chyba nie mogę powiedzieć, że znałem.

- Rozmawiał pan z nim o tych zaginięciach?

- Proszę posłuchać, panie... przepraszam, jak się pan nazywa?

- Harry Bosch.

- Proszę posłuchać, panie Bosch. Nie znam pana i nie wiem, co pan robi, ale nie mam w zwyczaju rozmawiać z nieznanymi przez telefon o otwartych sprawach.

- Moglibyśmy się spotkać.

- To nic nie zmienia.

- Wie pan, że on nie żyje, prawda?

- McCaleb? Słyszałem, że miał atak serca na łodzi i pomoc nie mogła przyjść na czas. Głupota, jak dla mnie. Co gość po przeszczepie robi dwadzieścia pięć mil od brzegu, na środku oceanu?

- Zarabia na życie. Proszę posłuchać, pojawiło mi się tu parę faktów i sprawdzam, w co się wplątał. Może ściągnął czyjąś uwagę, jeśli wie pan, co mam na myśli. Chcę tylko...

- Właściwie to nie wiem, o czym pan mówi. Jakieś wudu? Ktoś rzucił na niego urok i spowodował

zawał? Panie Bosch, mam tutaj dużo pracy. Za dużo, żeby bawić się w takie pierdoły. Wy, emeryci, myślicie, że wszyscy pracujący mają kupę czasu, żeby marnować go na wasze naciągane teoryjki o wudu. No więc nie mamy.

- Jemu też pan to powiedział? Nie chciał pan wysłuchać jego teorii ani profilu analitycznego? Nazwał to pan „wudu”?

- Panie Bosch, co mi z takiego profilu? One nic nie zawężają. Są gównie ważne, co mi powiedziałem, i to był...

Ostatnie słowo zagłuszył pisk mojego telefonu.

- Co to jest? Czy pan to nagrywa?

- Nie, piszczy, bo bateria się kończy. Terry nie spotkał się z panem, żeby o tym porozmawiać?

- No nie. Ale za to poleciał z tym do gazety. Jak to federalny.

- Był w „Sun” jakiś artykuł z jego punktem widzenia na tę sprawę?

- Tak bym tego nie nazwał. Zdaje się, że nie zawracali sobie głowy.

To zdanie ujawniało kłamstwo. Jeśli Ritz uważał, że McCaleb i jego teoria są gównie ważne, musiał jej wysłuchać, żeby mieć taką opinię. Według mnie oznaczało to, że rozmawiał o sprawie z McCalebem i to zapewne dość długo.

- Proszę, jeszcze ostatnie pytanie i dam panu spokój. Czy Terry wspominał coś o teorii trójkąta? Coś o tym, że jeden punkt daje trzy? Czy to ma dla pana jakiś sens?

Śmiech, który rozbrzmiał w słuchawce, nie był miły. Nie był nawet dobronudny.

- Posłuchaj pan, panie Bosch, to były trzy pytania. Trzy pytania, trzy boki trójkąta, potem trzy zawały i do...

Telefon wyłączył się. Koniec baterii.

- ...i do widzenia - dokończyłem zdanie za Ritza.

Zrozumiałem, że nie zamierza odpowiedzieć na moje pytanie.

Zamknąłem telefon i wsunąłem go do kieszeni. W samochodzie miałem ładowarkę. Jak tylko przepłyniemy zatokę Santa Monica, będzie znowu działał. Musiałem jeszcze pogadać z dziennikarką z „Sun”. Wątpliwe natomiast, bym jeszcze rozmawiał z Ritzem.

Wstałem i wyszedłem na rufę promu, żeby odświeżyła mnie chłodna poranna bryza. Catalina była już daleko, zaledwie postrzępiona szara skałka pośród mgły. Pokonaliśmy ponad połowę drogi. Usłyszałem, jak mała dziewczynka bardzo głośno woła do matki: „Patrz!”. Powiodłem wzrokiem za jej palcem i zobaczyłem, jak w kilwaterze promu z wody wyskakuje stadko morświnów. Było ich ze dwadzieścia; na rufie natychmiast zaroilo się od ludzi z aparatami fotograficznymi. Chyba nawet niektórzy tubylcy wyszli popatrzeć. Morświny były przepiękne, ich szara skóra lśniła w porannym blasku jak plastik. Zastanawiałem się, czy po prostu się bawią, czy może wzięły prom za kuter rybacki i mają nadzieję pożywić się odpadkami.

Wkrótce ich popisy znużyły się pasażerom. Dziewczynka, która pierwsza je zauważyła i zawołała, została jednak przy nadburciu; ja tak samo, dopóki morświny nie oddaliły się od promu i nie znikły w czarnoniebieskim morzu.

Wszedłem do środka i zabrałem się znów do teczek McCaleba. Przeczytałem wszystko, co napisał, a także swoje notatki. Nie przyszedł mi do głowy żadne nowe pomysły. Potem obejrzałem zdjęcia, które wydrukowałem wczoraj wieczorem. Pokazałem Gracieli fotografie Jordana Shandy'ego, ale nie rozpoznała go i zarzuciła mi mnóstwem pytań, na które na razie wolałem nie odpowiadać.

Następne do analizy były bilingi z telefonu i wyciągi z kart kredytowych. Oglądałem je już w obecności Gracieli, ale chciałem im się dokładniej przyjrzeć. Skupiłem się zwłaszcza na przełomie lutego i marca - okresie, kiedy według Gracieli jej mąż wyjeżdżał na ląd.

Ale żadna z płatności kartą ani rozmowa z telefonu komórkowego nie sugerowały, gdzie mógł się wtedy znajdować, nie mówiąc już o rozstrzygnięciu - Las Vegas czy Los Angeles. Zupełnie jakby nie chciał zostawiać śladów.

Pół godziny później prom dobił do przystani w Los Angeles, tuż obok „Queen Mary”, zacumowanego tu na stałe statku wycieczkowego, zamienionego w hotel i centrum konferencyjne. Kiedy szedłem przez parking do samochodu, usłyszałem krzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę, bujającą się do góry nogami na linie bungee przyczepionej do platformy na rufie „Queen Mary”. Ręce miała przywiązane do

boków, zrozumiałem więc, że wrzeszczy nie ze strachu i przyływu adrenaliny spowodowanego skokiem, ale dlatego że jej koszulka zsuwała się, grożąc ukazaniem piersi stadu zgromadzonych na pokładzie gapiów.

Odwrociłem się i ruszyłem do samochodu - terenowego mercedesa. Wsiadłszy do samochodu, zapuściłem silnik, natychmiast podłączyłem telefon do ładowarki i czekałem, aż się obudzi. A potem zobaczyłem, że w ciągu czterdziestu pięciu minut, kiedy nie działał, dostałem dwie wiadomości.

Pierwszą od mojej dawnej partnerki z zespołu, Kizmin Rider, która zajmowała się teraz administracją i planowaniem w biurze komendanta policji. Nie zostawiła żadnej wiadomości, tylko prosiła, bym oddzwonił. To ciekawe: nie rozmawialiśmy niemal od roku, a ta ostatnia rozmowa nie była miła. Na ostatniej świątecznej pocztówce od niej był tylko podpis i żadnych serdeczności ani obietnic, że się spotkamy. Zapisałem jej bezpośredni numer - przynajmniej na to jeszcze zasługiwałem - i zachowałem wiadomość.

Druga była od Cindy Hinton, dziennikarki z „Sun”. Po prostu oddzwaniała. Ruszyłem samochodem w stronę autostrady, żeby podjechać naokoło do San Pedro, do mariny Cabrillo, gdzie czekał na mnie jeep Terry'ego McCaleba. Po drodze zadzwoniłem do pani Hinton, która od razu odebrała.

- Dzień dobry, dzwoniłem do pani w sprawie Terry'ego McCaleba - powiedziałem. - W pewnym sensie próbuję odtworzyć jego ostatnie działania przed śmiercią. Zapewne wie pani, że on nie żyje. Pamiętam, że „Sun” zamieszczał nekrolog.

- Tak, wiem. W wiadomości powiedział pan, że jest detektywem. Z jakiej agencji?

- Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem. Ale prawie przez trzydzieści lat służyłem w policji.

- Czy to się wiąże ze sprawą zaginięć?

- W jaki sposób?

- Nie wiem. To pan do mnie dzwonił. Ja w ogóle nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Proszę pozwolić, że o coś zapytam. Po pierwsze, wiem od detektywa Ritza z Vegas, że Terry interesował się sprawą zaginięć. Analizował fakty, których zdołał się dowiedzieć, i zadzwonił do Ritza, oferując mu swój czas i doświadczenie. Chciał brać udział w śledztwie albo opracowywać hipotezy. Rozumie pani?

- Na razie to wszystko wiem.

- Świetnie. Oferta Terry'ego zostaje odrzucona przez Ritza i policję miejską Vegas. Moje pytanie brzmi: co było potem? Zadzwonił do pani? Pani do niego zadzwoniła? Czy napisała pani artykuł, który informował, że on pracuje nad sprawą?

- A dlaczego chce pan to wiedzieć?

- Proszę sekundkę zaczekać.

Zdałem sobie sprawę, że nie powinienem dzwonić do niej w czasie jazdy. Należało się spodziewać, że będzie nieufna i że taka rozmowa wymaga niepodzielnej uwagi. Zerknąłem w lusterka i przejechałem przez dwa pasy, żeby trafić na zjazd. Nawet nie zobaczyłem drogowskazu i nie wiedziałem, dokąd jadę. Znalazłem się w dzielnicy przemysłowej, na ulicy pełnej baz dla ciężarówek i magazynów. Zatrzymałem się za ciągnikiem z naczepą zaparkowanym przed otwartą bramą magazynu.

- Przepraszam bardzo, już jestem. Zapytała pani, dlaczego chcę znać te odpowiedzi. Otóż Terry McCaleb był moim przyjacielem. I teraz przejmuję część spraw, nad którymi pracował. Chcę je dokończyć.

- Odnoszę wrażenie, że nie mówi mi pan wszystkiego.

Przez chwilę zastanawiałem się, jak to rozegrać. Dawanie informacji reporterce, zwłaszcza nieznamącej, niesło pewne ryzyko. Mogło się nieprzyjemnie zemścić. Musiałem wymyślić, jak dać jej to, czego potrzebuje, żeby mi pomogła, ale potem jakoś to wszystko odkręcić.

- Halo? Jest pan tam?

- Hm, jestem. Wie pani co, możemy się umówić, że to, co powiem, nie jest do druku?

- Nie do druku? Na razie o niczym konkretnym nie mówimy.

- Wiem. Ale coś pani powiem, jeśli obieca mi pani, że to się nie ukaże w gazecie. To znaczy, jeśli pani tego nie wykorzysta.

- Jasne, nie ma sprawy, jest „nie do druku”. Ale może pan przejdzie do meritum tej istotnej informacji, bo muszę do południa skończyć artykuł.

- Terry McCaleb został zamordowany.

- Eee... nie wydaje mi się. Czytałam tekst. Miał atak serca. Był jakieś sześć lat po przeszczepie i...

- Wiem, co było w gazetach, i mówię pani, że to nieprawda. A ja szukam człowieka, który go zabił. Teraz może mi pani powiedzieć, czy napisała coś o nim, czy nie?

Kiedy odpowiedziała, wyczułem, że jest wściekła.

- Tak, napisałam coś o nim. Mniej więcej akapit albo dwa. Może być?

- Jeden akapit? Co w nim było?

- To była kontynuacja reportażu o zaginionych. Zrobiłam ją, żeby dowiedzieć się, czy pojawiło się coś nowego. Wie pan, może jakieś nowe tropy. Wspomniałam nazwisko McCaleba i tyle. Napisałam, że zaproponował pomoc i swoją teorię, ale policja Las Vegas mu podziękowała. Dobrze, że to dodałam, bo historia była wyświechtana, a on stał się trochę sławny dzięki filmowi z Clintem Eastwoodem. Czy to jest odpowiedź na pana pytanie?

- Więc nie dzwonił do pani?

- Formalnie rzecz biorąc, zadzwonił. Dostałam jego numer od Ritza i zadzwoniłam do niego. Zostawiłam wiadomość, a on od-dzwonił. Czyli formalnie zadzwonił do mnie, jeśli to panu chodzi. A co mu się według pana stało?

- Czy powiedział pani, na czym polega jego teoria? Ta, która nie zainteresowała Ritza?

- Nie, powiedział, że w ogóle tego nie skomentuje, i poprosił, żeby nie publikować jego nazwiska. Porozmawiałam z naczelnym, zdecydował, że je zostawiamy. Mówiłam już, był znaną osobą.

- Czy Terry wiedział, że jego nazwisko pojawiło się w gazecie?

- Nie wiem. Nigdy więcej z nim nie rozmawiałam.

- A w tej jedynej rozmowie wspomniał coś o teorii trójkąta?

- Teorii trójkąta? Nie. A teraz, jak odpowiedziałam na pana pytania, niech pan odpowie na moje. Kto mówi, że on został zamordowany? Czy to potwierdzona informacja?

Teraz trzeba było się wycofać. Musiałem powstrzymać ją od węszenia, żeby nie zaczęła wydzwaniać i sprawdzać mojej historii, gdy tylko się rozłączę.

- No cóż, nie bardzo.

- Nie bardzo? Jest pan... to właściwie dlaczego pan tak twierdzi?

- Bo był w doskonałym zdrowiu i miał w sobie serce młodej osoby.

- A słyszał pan o odrzuceniu przeszczepu, o infekcjach? Mogło być tysiąc różnych powodów, żeby... a ma pan jakieś oficjalne oświadczenie albo orzeczenie? Czy toczy się śledztwo?

- Nie. To tak jakby poprosić CIA o śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego. Trzeciego. Byłoby pozorowane.

- O czym pan mówi?

- O trzecim Kennedym. Synu. Myśli pani, że jego samolot ot tak sobie spadł do wody, jak twierdzą? Na New Jersey było trzech świadków, którzy widzieli ludzi wnoszących ciała do samolotu przed startem. Ci świadkowie też zniknęli. To też należy do teorii trójkąta i potem...

- Wie pan co, bardzo dziękuję za telefon. Ale mam pilny termin i muszę...

Rozłączyła się w połowie własnego zdania. Uśmiechnąłem się. Pomyślałem, że nic mi nie grozi, i byłem dumny z własnej kreatywności. Wziąłem teczkę z siedzenia pasażera. Otworzyłem ją i popatrzyłem na chronologię sprawy. Terry zapisał rozmowę z Hinton pod 2 lutego. Artykuł pewnie ukazał się dzień lub dwa potem. Wystarczy, że dotrę do jakiejś biblioteki z komputerem i będę mógł znaleźć ten tekst, dokładną datę i przeczytać, co tam było o McCalebie.

Na razie wpisałem go do zestawienia pod 3 lutego. Przez chwilę przyglądałem się całości i zaczęła mi się wykluwać teoria.

Siódmego stycznia McCaleb widzi w „Los Angeles Times” tekst o zaginionych mężczyznach. Zaciekawia go to. Dostrzega w opowieści coś, co gliniarze przeoczyli albo mylnie zinterpretowali. Dwa dni później z przemyślaną sprawą i wypracowaną teorią dzwoni do Ritza z policji Las Vegas. Ritz każe mu spadać, ale przypadkiem wspomina o tym telefonie pani Hinton, kiedy ta pisze o dalszym ciągu śledztwa. W końcu zainteresowanie mediów sprawą jest Ritzowi na rękę - a podrzucenie jej nazwiska takiego „sławnego detektywa” jak McCaleb może się do tego przyczynić.

Artykuł pani Hinton ze wzmianką o McCalebie ukazuje się w „Sun” w pierwszym tygodniu lutego. Niecałe dwa tygodnie później - 13 lutego - McCaleb jest sam na łodzi, pojawia się Jordan Shandy na pływającej taksówce i prosi o półdniowy rejs. McCaleb podczas łowienia ryb nabiera jakichś podejrzeń i

niepostrzeżenie robi facetowi zdjęcia. Tydzień później Shandy w Promenadzie śledzi rodzinę McCaleba i niepostrzeżenie robi jej zdjęcia - tak jak jemu zrobił McCaleb. Tej nocy ktoś zabiera z „Fali od rufy” odbiornik GPS i ewentualnie grzebie McCalebowi w lekach.

Do 27 lutego Terry zdążył otrzymać zdjęcia swej rodziny w centrum handlowym. Ich pochodzenie i sposób dostarczenia są nieznanne, tę datę jednak zarejestrował komputer jako dzień utworzenia teczek z plikami. Zaledwie dwa dni po wprowadzeniu zdjęć do komputera Terry opuszcza Catalinę i udaje się na stały ląd. Nie wiadomo dokąd, ale samochód wraca brudny, jakby jeździł nim po wertepach. W aktach są także numery telefonów do szpitala w Las Vegas i hotelu Mandalay Bay, czyli ostatniego znanego miejsca pobytu jednego z zaginionych.

Aż roiło się w tym od możliwości interpretacji. Domyślałem się, że wszystko sprowokowały te zdjęcia. Sądziłem, że to one zwabiły McCaleba na ląd. Uważałem, że jego samochód wrócił brudny, bo jeździł Zzyzx Road przez pustynię. Łyknął przynętę, świadomie bądź nie, i tam pojechał.

Ponownie popatrzyłem na zestawienie dat i wywnioskowałem, że to wzmianka o McCalebie w artykule musiała spowodować czyjąś reakcję. Shandy był jakoś zamieszany w te zaginięcia. Jeśli tak, zapewne śledził w mediach postępy w śledztwie. Kiedy zobaczył nazwisko McCaleba, pojechał na Catalinę, żeby go sprawdzić. Na łodzi podczas czterogodzinnego rejsu zobaczył, jak McCaleb przyjmuje leki, zerknął na kapsułki i uknuł plan pozbycia się go.

Pozostawało jeszcze pytanie o GPS - dlaczego został zabrany podczas włamania na łódź, 21 lutego. Teraz uważałem, że to była tylko zasłona dymna. Shandy nie mógł mieć pewności, że jego wejście na pokład, podczas którego podmienia leki, pozostanie niezauważone. Dlatego wziął urządzenie, żeby McCaleb, gdy odkryje, że na łodzi ktoś był, nie zastanawiał się dłużej nad intencjami intruza.

Było w tym także ogólniejsze pytanie: dlaczego McCaleb stanowił groźbę, jeśli w tekście w „Sun” nie wspomniano o jego teorii trójkąta. Nie wiedziałem. Pomyślałem, że może wcale nie był groźny, po prostu był „gwiazdą”, dlatego Shandy chciał go przechytryzić i zabić. To jedna z niewiadomych.

A także jedna ze sprzeczności. Moja teoria zawierała ich kilka. Skoro pierwszych sześciu mężczyzn zniknęło bez śladu, dlaczego McCaleb został zabity w taki sposób, przy świadkach, i pozostawiono ciało, które mogło ujawnić prawdę? To było niespójne. Ale gdyby McCaleb po prostu zniknął, wszczęto by kolejne dochodzenie, które może sprowokowałoby policję do uważniejszego przyjrzenia się jego teorii dotyczącej zaginięć. Na to Shandy nie mógł pozwolić, więc wyeliminował go w sposób, który - jak miał nadzieję - nie wzbudzi podejrzeń.

Moja teoria opierała się na spekulacjach i to mnie dręczyło. Kiedy nosiłem odznakę, poleganie na spekulacjach przypominało wsypywanie piasku do baku. Prosta droga do klęski. Aż przykro mi się zrobiło, gdy pomyślałem, że tak łatwo zacząłem budować teorie na interpretacjach i spekulacjach zamiast na faktach. Postanowiłem więc odłożyć teorie na bok i skupić się na faktach. Wiadomo, że Zzyzx Road i pustynia są prawdziwe i należą do ciągu zdarzeń. Na dowód miałem zdjęcia. Nie wiedziałem, czy McCaleb faktycznie tam był, a jeśli był, to co znalazł. Ale wiedziałem, że teraz ja tam jadę. To też był fakt.

15

Kiedy dotarłem na miejsce, Buddy Lockridge czekał na mnie na parkingu przed mariną Cabrillo. Dzwoniłem do niego i mówiłem, że już jadę. Plan pociągnięcia go jeszcze za język musi poczekać. Powiedziałem mu, że po prostu chcę szybko obejrzeć jeepa McCaleba i ruszyć dalej. Wiedziałem dokąd - niezależnie, czy w samochodzie znajdę coś, co skieruje mnie do Las Vegas i na pustynię, czy też nie.

- Skąd taki pośpiech? - zapytał, gdy zaparkowałem i wysiadłem.

- Rozpęd - odparłem. - Podstawowa rzecz w śledztwie to zachować rozpęd. Jak zaczniesz zwalniać, to... zaczynasz zwalniać. A tego bym nie chciał.

Zanim oddałem Gracieli klucze od łodzi, zdjąłem z kółka kluczyki do cherokee. Otworzyłem nimi drzwi kierowcy. Zajrzałem do środka i zacząłem przyglądać się samochodowi, ale jeszcze nie wsiadałem.

- Dokąd jedziesz? - Lockridge odezwał się zza moich pleców.

- Do San Francisco - skłamałem, ciekaw jego reakcji.

- San Francisco? A co tam jest?
- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że to tam pojechał na ten ostatni wyjazd.
- To chyba jechał drogą gruntową.
- Może.

W wozie nie dostrzegłem nic zastanawiającego. Był czysty, czuło się jednak delikatny kwaskowaty zapach. Jakby kiedyś zostawiono otwarte okna podczas burzy. Zajrzałem do schowka między przednimi siedzeniami i znalazłem dwie pary okularów przeciwsłonecznych, paczkę odświeżających gum do żucia i małą plastikową figurkę

superbohatera. Podałem ją Lockridge'owi przez drzwi.

- Buddy, zostawiłeś swego superbohatera.

Nie wziął jej.

- Śmieszna rzecz. To jest z McDonald'sa. Na wyspie go nie ma, więc gdy tylko jadą na ląd, zaraz zabierają dzieciaki do Maca. Wiesz, to jak narkotyk. Wciąga się dzieciaki za młodu w te frytki i inne gówno i są uzależnione na całe życie.

- Istnieją gorsze rzeczy.

Włożyłem plastikowego herosa z powrotem do schowka i zamknąłem go. Nachyliłem się głębiej, żeby otworzyć schowek przed pasażerem.

- Może pojechałbym z tobą? Przydałbym się.

- Nie, Buddy, dzięki. Jadę od razu stąd.

- Cholera, starczy mi pięć minut. Wrzucę parę ciuchów do torby i już.

Schowek na rękawiczki zawierał kolejną plastikową zabawkę oraz instrukcję obsługi samochodu. A także pudełko z kasetami - była to książka „The Tin Collectors”. I nic więcej. Cała ta wycieczka okazała się guzik warta. Miałem z niej tylko tyle, że Buddy upierał się zostać moim pomocnikiem. Wyląłem z samochodu i wyprostowałem się. Spojrzałem na Lockridge'a.

- Buddy, dzięki, ale pracuję sam.

- Wiesz, pomagałem Terry'emu. To nie było tak jak na filmie, gdzie zrobili ze mnie palanta, który...

- Jasne, jasne, Buddy, wiem. Już mi to mówiłeś. To nie ma z tym nic wspólnego. Ja po prostu pracuję sam. Nawet jak służyłem w policji, tak było. Ten typ tak ma.

Coś sobie przypomniałem i znów nachyliłem się do wnętrza samochodu, sprawdzając, czy na szybie po stronie pasażera jest nalepka, którą widziałem na fotografii Zzyzx Road w komputerze McCaleba. W dolnym rogu szyby nic nie było. Kolejny dowód, że tego zdjęcia nie zrobił McCaleb.

Wycofałem się z auta, obszedłem je i otworzyłem tył. Bagażnik był pusty, nie licząc poduszki w kształcie postaci z kreskówek, nazywającej się SpongeBob SquarePants. Moja córka go uwielbiała. Oglądałem SpongeBoba razem z nią. Widocznie w domu McCaleba też był to ulubiony film.

Potem otworzyłem jedno z tylnych drzwi i zajrzałem na siedzenia. Też pusto, choć w kieszeni za prawym przednim fotelem, w zasięgu ręki kierowcy, zauważyłem atlas drogowy. Wyciągnąłem go i przekartkowałem, uważając, by Buddy się nie zorientował.

Mapa południowej Nevady przedstawiała także fragmenty sąsiednich stanów. W Kalifornii, przy południowo-zachodnim rogu Nevady, ktoś obrysował kółkiem rezerwat Mojave. Na prawym marginesie zapisał piórem kilka liczb i zsumował. Dały razem 86. Pod spodem było dopisane: Faktycznie - 92.

- Co to jest? - zapytał Lockridge, zaglądając przez drzwi z drugiej strony.

Zamknąłem atlas i rzuciłem go na siedzenie.

- Nic. Wygląda, że notował, którzy jechać czy coś w tym stylu.

Wsunąłem się do samochodu i nachyliłem, aby zajrzeć pod siedzenie. Znalazłem kolejne zabawki z McDonald'sa, stare papierki po jedzeniu i inne śmiecie. Nic ciekawego. Wysiadłem i zajrzałem od drugiej strony, prosząc Buddy'ego, by się cofnął, bo chcę zerknąć pod siedzenie kierowcy.

Pod nim też były śmieci, ale zauważyłem parę zgniecionych w kulki świstków papieru. Sięgnąłem ręką i wymiotłem je, żeby się przyjrzeć. Jeden z nich rozprostowałem i zobaczyłem, że to paragon z płatności kartą - zakup paliwa na Long Beach. Datę miał prawie sprzed roku.

- Buddy, jak myjesz samochód, to nie zaglądasz pod siedzenia, co?

- Nigdy mnie nie prosili - zaczął się usprawiedliwiać. - Poza tym właściwie to myję go tylko z wierzchu.

- Rozumiem.

Zacząłem rozwijać pozostałe papierki. Nie spodziewałem się, że któryś okaże się pomocny. Widziałem już wyciąg z karty kredytowej Terry'ego i nie znalazłem żadnych płatności, które mogłyby wskazać, dokąd wtedy wyjeżdżał. Ale miałem zasadę: wszystko robić dokładnie.

Były to rozmaite paragony z zakupów. Jedzenie z Safeway, sprzęt ze sklepu wędkarskiego w San Pedro. Ekstrakt z żeń-szenia widniał na kwitku ze sklepu ze zdrową żywnością BetterFit, a na tym z księgarni Westwood książka na kasetach „W poszukiwaniu Cheta Bakera”. Nigdy o niej nie słyszałem, choć wiedziałem, kim był Chet Baker*. [Chesney Henry „Chet” Baker Jr. (1929-1988), amerykański trębacz i wokalista jazzowy.] Zdecydowałem, że sprawdzę to później, jak będę miał czas posłuchać tej książki.

Przy piątym papierku spotkała mnie nagroda. Odkryłem rachunek, zapłacony gotówką, z zajazdu dla ciężarówek Travel America w Las Vegas. Zajazd ten był na Blue Diamond Road, tej samej ulicy co szpital Las Vegas Memorial. Data zakupu - 2 marca. McCaleb nabył tam 16 galonów benzyny, półlitrową gatorade i kasetowe wydanie książki „The Tin Collectors”.

Oznaczało to, że w trakcie swej trzydniowej wycieczki odwiedził Las Vegas. Kolejne potwierdzenie moich przypuszczeń. Niemniej poziom adrenaliny lekko mi się podniósł. Chciałem już ruszać w drogę, żeby utrzymać ten rozpęd.

- Coś znalazłeś? - zapytał Lockridge.

Zmiałem paragon i rzuciłem go na podłogę między inne.

- Nie za bardzo - odparłem. - Zdaje się, że Terry uwielbiał książki na kasetach. Nie wiedziałem.

- O pewnie, słuchał ich cały czas. Na łodzi, jak stał przy sterze. Przeważnie miał słuchawki na uszach. Sięgnąłem na tylne siedzenie i podniosłem atlas samochodowy.

- To sobie pożyczę. Gracielei chyba nie będzie potrzebny.

Nie czekałem na zgodę Buddy'ego. Zamknąłem drzwi pasażera, mając nadzieję, że kupił tę bajkę. Potem zatrzęsnałem drzwi kierowcy i zamknąłem samochód.

- To na razie tyle, Buddy. Ruszam. Jakby coś mi wyskoczyło i będę musiał o coś pytać, będziesz pod telefonem?

- Jasne, szefie. W końcu to komórka.

- No dobra, to trzymaj się.

Ucisnąłem mu rękę i ruszyłem do mojego czarnego mercedesa; trochę się obawiałem, że Buddy pójdzie za mną. Lecz pozwolił mi odejść. Wyjeżdżając z parkingu, zerknąłem w lusterko - wciąż stał obok jeepa i patrzył za mną.

Podjechałem drogą 710 do dziesiątki, a tą - do autostrady numer 15. Potem już cały czas prosto, ze smogu na pustynię Mojave i do Las Vegas. Przez ostatni rok pokonywałem tę trasę dwa lub trzy razy w miesiącu. Lubiłem tędy jeździć. Lubiłem surowość pustyni. Możliwe, że dawała mi to, co Terry'emu McCalebowi mieszkanie na wyspie. Poczucie oddalenia od wszelkiego zła. Jadąc, czułem, że zdjęto ze mnie ciężar, jakby cząsteczki mego ciała rozszerzały się i oddalały od siebie, gdyż miały więcej miejsca. Może zaledwie nanometr, ale nawet to sprawiało różnicę.

Lecz tym razem czułem się inaczej. Męczyło mnie przekonanie, że zło jest przede mną, czai się na pustyni.

Skupiałem się na jeździe, pozwalając, by mój mózg analizował sprawę McCaleba, gdy wtem zadzwonił telefon. Przypuszczałem, że to Buddy Lockridge - ostatni raz chce poprosić, by go w to włączyć, ale usłyszałem Kiz Rider. Zapomniałem do niej oddzwonić.

- No, Harry, czy już nawet nie zasługuję, by do mnie oddzwonić?

- Kiz, przepraszam, miałem zamiar. Tylko z rana byłem trochę zajęty i chyba zapomniałem.

- Zajęty? Z rana? Ty chyba jesteś na emeryturze? Nie prowadzisz żadnego kolejnego śledztwa, prawda?

- Właściwie to jadę do Vegas. I zaraz pewnie stracę zasięg. O co chodzi?

- Dzisiaj z rana, przy kawie, spotkałam Tima Marcie. Powiedział mi, że niedawno rozmawialiście.

- A tak, wczoraj. Chodzi o ten trzyletni program, o którym mi mówił?

- Oczywiście, że tak, Harry. Przemyślałeś to?

- Dopiero wczoraj o tym usłyszałem. Jeszcze nie miałem kiedy.

- Myślę, Harry, że powinienes. Potrzebujemy cię tutaj.

- Miło to słyszeć, Kiz, zwłaszcza od ciebie. Myślałem, że dla ciebie jestem PnG.

- Co to znaczy?

- Persona non grata.

- Daj spokój. To nie było nic takiego, żeby po jakimś czasie mi nie przeszło. Poważnie myślę, że byś się tu przydał. Gdybyś chciał, mógłbyś pracować w zespole Tima.

- Gdybyś chciał? Kiz, to brzmi, jakbym musiał tylko przejść się do was tanecznym krokiem i złożyć podpis w odpowiedniej rubryczce. Myślisz może, że wszyscy w tym budynku przyjdą mnie przywitać? Że zbiorą się na szóstym piętrze na korytarzu i jak będę szedł do gabinetu szefa, obrzucą mnie ryżem albo czymś takim?

- Mówisz o Irvingu? Irving został zredukowany. Teraz prowadzi dział planowania. Harry, posłuchaj: dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jak chcesz wrócić, to jesteś przyjęty. Po prostu. Po rozmowie z Timem poszłam na szóste piętro na moją codzienną poranną gadkę z szefem. On cię zna. Wie, co robiłeś.

- Ciekawe, jak to możliwe, skoro odszedłem, zanim przywieźli go w teczce z Nowego Jorku, Bostonu czy skąd tam on jest.

- Harry, on wie, bo ja mu powiedziałam. Posłuchaj, nie kłóćmy się o to. Dobra? Wszystko jest w porządku. Zastanów się nad tym.

Zegar już tyka i musisz to przemyśleć. Pomógłbyś nam, temu miastu, a może nawet sobie, zależy, na jakim etapie życia jesteś.

Ostatnia część była dobra. Na jakim jestem etapie życia? Myślałem o tym przez dłuższą chwilę, zanim się odezwałem.

- Jasne, Kiz, dobrze. Doceniam to. I dzięki, że pogadałaś ze starym. Ale powiedz mi, kiedy zredukowali Irvinga. Nie słyszałem o tym.

- Kilka miesięcy temu. Chyba komendant pomyślał, że trzyma za wiele srok za ogon, i odstawił go na boczny tor.

Musiałem się uśmiechnąć. Nie dlatego że zastępca komendanta Irvin Irving zawsze miał mnie na oku, ale ponieważ wiedziałem, że taki człowiek nikomu nie pozwoli odstawić się na boczny tor, jak to powiedziała Kiz.

- Ten gość przecież ma haka na każdego - odparłem.

- Wiem. Czekamy na jego ruch. Jesteśmy przygotowani.

- No to powodzenia.

- Dzięki. No to jak będzie, Harry?

- Chcesz, żebym teraz dał ci odpowiedź? Przed chwilą mówiłaś, że mam się zastanowić.

- Przypuszczam, że taki gość jak ty już dawno zna odpowiedź.

Znów się uśmiechnąłem, ale nic nie powiedziałem. Marnowała się w administracji. Powinna wrócić do wydziału zabójstw. Najlepiej ze wszystkich moich współpracowników umiała rozszyfrowywać ludzi.

- Harry, pamiętasz, co mi powiedziałeś, kiedy zrobili mnie twoim partnerem?

- Eee... dokładnie: żuj jedzenie, myj zęby po każdym posiłku?

- Nie, poważnie.

- Nie pamiętam. Co to było?

- Liczą się wszyscy albo nikt.

Kiwnąłem głową i przez chwilę milczałem.

- Pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- Myśl przewodnia na całe życie.

- Chyba tak.

- Więc jak będziesz zastanawiał się nad powrotem, wspomnij te słowa.

- Gdy wrócę, będę potrzebował partnera.

- Co jest, Harry? Łamiesz się?

- Będę potrzebował partnera.

Nastąpiła przerwa. Teraz chyba i ona się uśmiechnęła.

- Istnieje taka ewentualność. Ty...

Sygnal zanikł na chwilę, ale i tak wiedziałem, co zamierza powiedzieć.

- Brakuje ci tego tak samo jak mnie.

- Harry, wyjeżdżasz z zasięgu. Zadzwoń do mnie, jak... no, niedługo.

- Dobrze, Kiz. Powiem ci.

Po zamknięciu telefonu wciąż się uśmiechałem. Nie ma w życiu nic lepszego, niż poczuć się potrzebnym i mile widzianym. Cenionym.

Ale dobrze jest także mieć odznakę. Pomyślałem o Ritzu z policji Las Vegas i jak mnie potraktował. Jak musiałem walczyć o to, by niektórzy poświęcili mi trochę swojego czasu, odrobinę pomogli. Wszystkie te kłopoty znikną, kiedy znów dostanę blachę. Przez ostatnie dwa lata nauczyłem się, że odznaka nie czyni człowieka, ale ułatwia pracę jak jasna cholera. A dla mnie było to coś więcej niż praca. Wiedziałem, że z odznaką czy bez, tę jedną rzecz na świecie umiem i będę robić. Miałem cel w życiu, tak samo jak Terry McCaleb. Spędziwszy poprzedni dzień w jego pływającym gabinecie strachów, poznawszy jego poświęcenie dla sprawy, zrozumiałem, co jest istotne, co powinienem w życiu robić. Mój cichy partner być może uratował mnie przez swoją śmierć.

Po czterdziestu minutach dumania nad przyszłością i rozważania możliwych decyzji, dojechałem do drogowskazu, który widziałem na zdjęciu w komputerze Terry'ego.

ZZYZX ROAD 1 MILA

Nie był dokładnie taki jak tam. Poznałem to po horyzoncie w tle. Zdjęcie zostało zrobione z drugiej strony, przez kogoś jadącego z Vegas do LA. Niemniej i tak poczułem zniecierpliwienie. Wszystko, co zobaczyłem, usłyszałem, przeczytałem, odkąd zadzwoniła do mnie Graciela McCaleb, prowadziło do tego miejsca. Włączyłem kierunkowskaz i zjechałem z autostrady.

16

Następnego dnia po przyjeździe Rachel Walling agenci przypisani do sprawy o kryptonimie „Zzyzx Road” mieli konferencję w sali zebrań na trzecim piętrze budynku Johna Lawrence'a Baileya w Las Vegas. Sala nie miała okien, wentylacja była kiepska. Akcji przyglądał się ze zdjęcia Bailey, agent zabity podczas napadu na bank dwadzieścia lat temu.

Obecni usiedli przy stołach ustawionych w rzędy, twarzą w jedną stronę. Z przodu stał Randal Alpert i telewizor umożliwiający przesyłanie obrazu w obie strony, połączony przez kamerę i telefon z podobną salą w Quantico w Wirginii. Na ekranie widać było agentkę Brasię Doran, która czekała, by złożyć meldunek. Rachel siedziała samotnie w drugim rzędzie - sama tam usiadła. Znała swoje miejsce i otwarcie starała się to pokazać.

Alpert rozpoczął spotkanie od uprzejmego przedstawienia wszystkich obecnych. Rachel pomyślała, że wyświadcza jej grzeczność, ale wkrótce zrozumiała, że nie wszyscy obecni, ani tu, ani w Quantico, znają się osobiście.

W pierwszej kolejności przedstawił Doran, znaną także jako Brass, która w głównej kwaterze FBI zajmowała się porządkowaniem danych i kontaktem z centralnym laboratorium. Potem poprosił, by wszyscy obecni przedstawili się i podali specjalność lub stanowisko. Pierwsza była Cherie Dei, która powiedziała, że jest głównym agentem w sprawie. Obok niej siedział jej partner, Tom Zigo. Następny był John Cates, przedstawiciel miejscowego biura terenowego, jedyny niebiały.

Kolejne cztery osoby były naukowcami, dwoje z nich Rachel poznała wczoraj na miejscu przestępstwa. Byli to: antropolog

Greta Coxe, nadzorująca ekshumacje, dwóch lekarzy sądowych, Harvey Richards i Douglas Sundeen, oraz specjalistka od zabezpieczania śladów, Mary Pond. Następnie przedstawił się Ed Gunning, jeszcze jeden agent z Wydziału Badań Behawioralnych w Quantico, i na końcu - Rachel.

- Agentka Rachel Walling - powiedziała. - Biuro terenowe w Rapid City. Przedtem w behawioralnym. Znam trochę... podobną sprawę do tej.

- Okay, dzięki, Rachel - szybko wtrącił Alpert, jakby obawiał się, że zaraz wymieni z nazwiska Roberta Backusa.

Rachel od razu się domyśliła, że niektórzy z zebranych nie znają podstawowego faktu. Zapewne chodziło o Catesa, agenta z miejscowego biura, biorącego w tym udział tylko formalnie. Zastanawiała się,

czy niektórzy z kryminologów, a może wszyscy, też nie są wtajemniczeni.

- Zaczniemy od kryminologów - ciągnął Alpert. - Po pierwsze, Brass. Jakież wieści od ciebie?
- Nic na interesujący was temat. Chyba wszystko macie na miejscu. Cześć, Rachel. Kopę lat.
- Cześć, Brass - odpowiedziała cicho Rachel. - Wiele, zbyt wiele.

Spojrzała w ekran, ich oczy się spotkały. Rachel zdała sobie sprawę, że nie widziała jej chyba z osiem lat. Doran wyglądała na znużoną: worki pod oczami, obwisłe kąciki ust, krótka fryzura sugerująca, że nie poświęca jej za wiele czasu. Była empatką, jak wiedziała Rachel, i płaciła za te lata pracy.

- Dobrze wyglądasz - rzekła Doran. - Chyba służy ci świeże powietrze i przestrzeń.

Wtrącił się Alpert, uwalniając Rachel od konieczności odwzajemnienia się fałszywym komplementem.

- Greta, Harvey, kto pierwszy? - zapytał, przerywając spotkanie po latach.

- Chyba ja, bo wszystko zaczyna się od tych wykopów - odezwała się Greta Coxe. - Wczoraj do dziewiętnastej wydostaliśmy osiem ciał. Wszystkie są w Nellis. Dziś po południu, gdy wrócimy, zabierzemy się do dziewiątego. To, co widzieliśmy podczas pierwszych ekshumacji, potwierdza się w następnych. W każdym jest plastikowy worek i...

- Greta, my to wszystko nagrywamy - przerwał Alpert. - Opiszmy wszystko dokładnie, jak dla kogoś, kto nie zna sprawy. Nic nie przemilczaj.

Chyba że chodzi o personalia Roberta Backusa, pomyślała Rachel.

- Dobra, jasne - powiedziała Coxe. - Eee... osiem ciał, które do tej pory ekshumowaliśmy, było całkowicie ubranych. Daleko posunięty rozkład. Ręce i nogi skrępowane taśmą. Wszystkie mają na głowie plastikowe torby, zaklejone taśmą wokół szyi. Meto da się nie zmienia, nawet pomiędzy ofiarami numer jeden i dwa. Co jest niespotykane.

Wczoraj wieczorem Rachel zobaczyła zdjęcia. Wróciła do sztabowego wozu kempingowego i przyjrzała się ścianie pełnej fotografii. Było oczywiste, że wszyscy zginęli wskutek uduszenia. Plastikowe torby nie były przezroczyste, ale i tak dostrzegła twarze - szeroko otwarte usta, szukające powietrza, którego brakowało. Kojarzyły się jej ze zdjęciami wojennych okropności, trupów wykopanych z masowych grobów w Jugosławii czy Iraku.

- Dlaczego to niespotykane? - zapytał Alpert.

- Ponieważ najczęściej widzimy, że metoda popełniania zbrodni ewoluuje. To nie za dobre określenie, ale można powiedzieć, że morderca ulepsza sposób zabijania. Sprawca uczy się od ofiary do ofiary, jak to robić coraz lepiej. Zwykle spotykamy taką właśnie prawidłowość.

Rachel zauważyła, że Coxe użyła słowa „sprawca”, kojarzącego się z „nieznanym sprawcą”. Najprawdopodobniej znaczyło to, że jest poza kręgiem wtajemniczonych i nie wie, że morderca jest dobrze znany FBI.

- Jasne, czyli metodologia była ustalona już od pierwszej ofiary - podsumował Alpert. - Coś jeszcze, Greto?

- Tylko tyle, że pojutrze pewnie skończymy ekshumacje. Chyba że czujniki znajdą coś jeszcze.

- Wciąż sprawdzamy czujnikami?

- Tak, kiedy mamy czas. Ale odeszliśmy od ostatniego ciała na sześćdziesiąt stóp i nic nie znaleźliśmy. Wczoraj wieczorem dostaliśmy też z Nellis kolejne zdjęcia satelitarne. Na fotografiach wykonanych w podczerwieni nic nowego nie widać. Dlatego jesteśmy niemal pewni, że to już wszystkie.

- I dzięki Bogu. Harvey? Co masz nam do przekazania?

Richards odchrząknął i pochylił się, żeby mikrofony wychwyciły jego głos.

- Greta ma rację, wykopaliśmy wszystkie osiem ciał, są w kostnicy w Nellis. Jak na razie udaje się utrzymać tajemnicę. Ludzie chyba myślą, że wyciągamy tam obcych z rozbitego latającego talerza. Wiecie, tak właśnie rodzą się legendy.

Tylko Alpert zdobył się na uśmiech. Richards kontynuował:

- Na razie cztery ofiary są po pełnej sekcji, pozostałe po wstępnym badaniu. Tak jak mówiła Greta, nie widać specjalnych różnic między poszczególnymi ciałami. Ten gość jest robotem. Żadnych modyfikacji. Całkiem jakby zabójstwa, same w sobie, były nieważne. Może to polowanie go rajcuje. A może są one częścią większego planu, którego na razie nie znamy.

Rachel spojrzała ostro na Alperta. Nie mogła ścierpieć, że ludzie pracujący tak blisko przy sprawie wciąż utrzymywani są w nieświadomości. Wiedziała jednak, że jeśli się odezwie, zaraz będzie patrzeć na to wszystko z zewnątrz. A tego nie chciała.

- Rachel, masz jakieś pytanie?

Przyłapał ją na chwilowej dekoncentracji. Zawahała się.

- Dlaczego zwłoki są przewożone do Nellis, a nie tutaj albo do

LA?

Jeszcze przed zadaniem pytania znała odpowiedź, ale musiała coś powiedzieć, żeby się wykręcić.

- W ten sposób łatwiej zachować tajemnicę. Wojskowi wiedzą, jak to się robi.

Jego ton sugerował niedopowiedziane: A ty? Przeniósł wzrok z powrotem na Richardsa.

- Proszę, doktorze.

Rachel zauważyła tę subtelną różnicę. Alpert tytułował Richardsa doktorem, podczas gdy do Greta Coxe zwracał się po imieniu. Taka cecha charakteru. Albo miał problem z kobietami górującymi nad nim władzą czy wiedzą, albo nie szanował antropologii jako nauki. Domyślała się, że to ta pierwsza możliwość.

- We wszystkich przypadkach przyczyną jest uduszenie - powiedział Richards. - To dość oczywiste. Przeważnie nie mamy przy nich wiele roboty, zauważyliśmy jednak brak innych obrażeń. Sprawca w jakiś sposób obezwładnia ofiary, skleja taśmą kostki i nadgarstki, potem nasadza na głowę torbę. To, że zakleja ją wokół szyi, jest znaczące. Oznacza bowiem powolną śmierć. Innymi słowy, nie przytrzymuje torby. Nie spieszy się, wkłada ją na głowę, skleja taśmą i może odsunąć się, i przyglądać.

- Panie doktorze? - zapytała Rachel. - Taśma jest naklejana od przodu czy od tyłu?

- Końce znajdują się z tyłu, co według mnie wskazuje, że torba jest nakładana na głowę od tyłu, zapewne kiedy ofiara znajduje się w pozycji siedzącej. Potem jest zaklejana taśmą.

- Więc on, znaczy sprawca, mógł czuć wstyd albo strach, żeby stanąć twarzą w twarz z ofiarą.

- Niewykluczone.

- A jak tam postępy z identyfikacją? - zapytał Alpert.

Richards zerknął na Sundeena, który przejął pałeczkę.

- Nadal tylko pięciu, którzy należeli do sprawy z Las Vegas. Zakładamy, że szósty z nich będzie w którymś z dwóch ostatnich grobów. Co do pozostałych, na razie nic nie mamy. Nie da się zdjąć odcisków. Ubrania - resztki ubrań - wysłaliśmy do Quantico i może Brass ma coś nowego. My tymczasem...

- Nic nowego - wtrąciła Doran z ekranu.

- Okay - powiedział Sundeen. - Dzisiaj wrzucamy do komputera dane stomatologiczne. Może tu się nam poszczęści. A poza tym po prostu czekamy, aż coś się zdarzy.

Kiwnął głową na koniec meldunku. Alpert przejął prowadzenie.

- Do Brass przejdziemy na koniec, teraz słucham o ziemi.

Głos zabrała Mary Pond.

- Przesialiśmy wszystkie groby, wszędzie jest czysto, jeśli nie liczyć jednej ciekawej rzeczy, którą znaleźliśmy wczoraj. W wykopie numer siedem była guma do żucia w papierku. Sądząc po opakowaniu, Juicy Fruit. Znajdowała się na głębokości od dwudziestu czterech do trzydziestu cali w grobie głębokości trzech stóp. Sądzymy więc, że ma związek ze sprawą i może być przełomem w śledztwie.

- Ślady zębów? - zapytał Alpert.

- Tak, są. Nie mogę jeszcze powiedzieć jakie, ale wyglądało to na trzy przyzwoite odciski. Zapakowałam ją i wysłałam do Brass.

- Doszła - wtrąciła Brass z ekranu telewizora. - Dzisiaj rano. Przekazałam ją dalej, ale jeszcze nie mam wyników. Może pod koniec dnia. Ale zgadzam się, że zidentyfikujemy co najmniej trzy zęby. A może nawet DNA.

- To może załatwić sprawę - dodał Alpert podekscytowany.

Rachel, mimo iż pamiętała, że Backus miał nawyk żucia gumy

Juicy Fruit, nie czuła ekscytacji. Guma w grobie to zbyt piękne, by było prawdziwe. Pomyślała, że nie ma możliwości, by Backus pozwolił sobie na pozostawienie tak ważnego dowodu. Był na to za dobry jako zabójca i jako agent. Nie mogła jednak wyrazić tutaj swoich wątpliwości, ponieważ umówiła się z Alpertem, że nie wspomni o Backusie w obecności innych agentów.

- Na pewno jest podrzuciona - powiedziała.

Alpert wpatrywał się w nią przez chwilę, ważąc ryzyko zapytania „dlaczego”.

- Podrzuciona. Czemu tak uważasz, Rachel?

- Bo nie widzę powodu, żeby gość, który zakopuje ciała na odludziu, pewnie w środku nocy, nagle postanowił odłożyć łopatę, wyjąć z ust gumę, zapakować w papierek, który musiał wyciągnąć z kieszeni, i wrzucić do grobu. Myślę, że gdyby żuł gumę, po prostu by ją wypluł. Ale nie wydaje mi się, żeby ją żuł. Pewnie podniósł ją gdzieś, przywiózł ze sobą i podrzucił, żebyśmy kręcili się w kółko, kiedy postanowi doprowadzić nas w to miejsce za pomocą sztuczki z GPS-em.

Rozejrzała się po sali. Patrzyli na nią, ale widziała, że jest dla nich zaledwie ciekawostką, a nie szanowanym współpracownikiem. Milczenie przerwała Doran.

- Wydaje mi się, że Rachel ma rację - powiedziała. - Od pierwszego dnia jesteśmy tutaj manipulowani. Guma pewnie też ma nas naprowadzić na fałszywy ślad. To mi wygląda na zbyt grubo błąd, jak na tak świetnie zaplanowaną akcję.

Rachel zauważyła, że Doran mrugnęła do niej.

- Jeden kawałek gumy, jeden błąd, na osiem grobów? - rzekł Gunning, agent z Quantico. - To nie jest aż tak nieprawdopodobne. Wszyscy wiemy, że nikt jeszcze nie popełnił zbrodni doskonałej. Jasne, niektórym się udaje, ale każdy popełnia błędy.

- No cóż - odezwał się Alpert - poczekajmy, zobaczymy, co z tego wyniknie, zanim zaczniemy wyciągać w pośpiechu wnioski. Coś jeszcze, Mary?

- Na razie nie.

- Przejdźmy więc do agenta Catesa. Jak biuro terenowe radzi sobie z identyfikacją?

Cates otworzył skórzaną teczkę, która leżała przed nim na stole. W środku miała blok zapisany notatkami. To, że trzymał zwykły blok w takiej pięknej i kosztownej teczce, powiedziała Rachel, że Cates jest bardzo dumny ze swej pracy. Ewentualnie, że osoba, która mu ją dała, żywi takie właśnie uczucia. W każdym razie Rachel natychmiast poczuła się tak jak on. Lecz poczuła także, że coś utraciła. Nie miała już w sobie takiej dumy z FBI czy własnej pracy.

- Zaczęliśmy węszyć wokół policji Las Vegas i ich sprawy zaginięć. Konieczność zachowania tajemnicy trochę nas krępuje. Dla tego nie weszliśmy do nich jak brygada od przestępczości zorganizowanej. Raczej nawiązaliśmy kontakt i powiedzieliśmy, że sprawa nas interesuje, bo przekracza granice stanów - ofiary są z różnych stanów, a jedna nawet z innego kraju. To daje nam pewne wejście, ale na razie nie chcemy pokazywać kart i pchać się na siłę. Dzisiaj po południu mamy odbyć z nimi naradę. Gdy tylko zajmiemy przyczółek, że tak powiem, zaczniemy zbierać dane o tych ludziach i szukać wspólnego mianownika. Należy pamiętać, że oni grzebią w tym od kilku tygodni i na razie gównem znaleźli.

- Agencje Cates - przypomniał Alpert. - To się nagrywa.

- Oj, przepraszam za słownictwo. Miałem na myśli, że nic nie znaleźli.

- Bardzo dobrze, agencje Cates. Proszę mnie o wszystkim informować.

Po czym zapadło milczenie. Alpert wciąż uśmiechał się ciepło do Catesa, aż miejscowy agent pojął aluzję.

- Eee... chce pan, żebym wyszedł?

- Chcę, żebyś wrócił do pracy nad tymi ofiarami - rzekł Alpert. - Szkoda czasu na siedzenie tutaj i przysłuchiwanie się, jak wszystko bez końca wałkujemy.

- No dobrze.

Cates wstał. Gdyby był biały, wyraźniej byłoby widać zakłopotanie na jego twarzy.

- Dziękuję, agencje Cates - powiedział Alpert do jego pleców, gdy agent był w drzwiach.

Potem skupił się z powrotem na zebranych przy stole.

- Wydaje mi się, że Mary, Greta, Harvey i Doug również są wolni. Obawiam się, że potrzebujemy was z powrotem w okopach. I to nie żart.

Znów ten urzędowy uśmiech.

- Właściwie - odezwała się Mary Pond - wolałabym zostać i dowiedzieć się, co ma do powiedzenia Brass. To może mi się przydać tam na miejscu.

Na te słowa Alpert przestał się uśmiechać.

- Nie - odparł stanowczo. - To nie jest konieczne.

W sali zapadła pełna skrępowania cisza, w końcu przerwana przez szuranie odsuwanych krzeseł zespołu kryminologów. Ich czwórka wstała i opuściła salę bez słowa. Dla Rachel było to aż bolesne. Niczym nieskrępowana bezczelność przełożonych była typowa dla Biura. To się nigdy nie zmieni.

- No to na czym stanęliśmy? - odezwał się Alpert, przechodząc do porządku nad tym, co właśnie zrobił pięciorgu dobrym agentom.

- Brass, twoja kolej. Czekamy na wyniki dotyczące łodzi, taśmy i toreb foliowych, odzieży, odbiornika GPS, a teraz także gumy do żucia, która, jak wiemy dzięki agentce Walling, do niczego nas nie doprowadzi.

Słowo „agentce” wypowiedział w taki sposób, jakby było bliskie znaczeniem „idiotce”. Rachel uniosła ręce, jakby się poddawała.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że połowa zespołu terenowego nie ma pojęcia, kto jest podejrzanym. To śmieszne, kiedy byłam w behawioralnym, nigdy tak nie robiliśmy. Dzieliliśmy się wiedzą i informacjami. Nie ukrywaliśmy ich przed sobą nawzajem.

- To znaczy, kiedy pracowałaś dla człowieka, którego teraz szukamy?

- Agencie Alpert, jeśli chce pan przypiąć mi taką etykietkę, to...

- Agentko Walling, ta sprawa jest utajniona. I tylko tyle chcę ci przekazać. Jak już mówiłem, „wie, kto musi”.

- Oczywiście.

Alpert odwrócił się od niej, jakby wymazywał ją z pamięci, i zerknął na ekran.

- Brass, możesz zaczynać?

Zadbał o to, by stanąć pomiędzy Rachel a ekranem, by jeszcze bardziej podkreślić jej pozycję obserwatora z zewnątrz.

- No dobrze - odezwała się Doran. - Mam coś znaczącego i... no, raczej dziwnego, na początek. Początkowe zdjęcie odcisków palców ze wszystkich powierzchni nic nie dało. No ale to wszystko leżało pod gołym niebem nie wiadomo jak długo. Poszliśmy więc krok dalej. Agent Alpert wyraził zgodę na demontaż dowodów rzeczowych, zrobiliśmy to wczoraj w nocy w hangarze w Nellis. Na łodzi są takie uchwyty, otwory, za które łapie się ją przy przenoszeniu. To kiedyś była szalupa ratunkowa marynarki wojennej, zbudowano ją w końcu lat trzydziestych i pewnie po drugiej wojnie światowej sprzedano z demobilu.

Doran ciągnęła, a Dei otworzyła teczkę i wyciągnęła zdjęcie łodzi, żeby Rachel mogła ją obejrzeć. Kiedy dotarła na miejsce, łódź była już w Nellis. Pomyślała, że to zadziwiające i typowe dla Biura: zebrać tyle informacji o łodzi pozostawionej na mieliźnie na pustyni, a tak niewiele o zbrodni, z którą się łączyła.

- Podczas pierwszej analizy nie mogliśmy dostać się do wnętrza tych otworów. Dopiero po jej rozmontowaniu. I tu nam się poszczęściło, bo to niewielkie wgłębienie było dobrze izolowane od wpływów atmosferycznych.

- I co? - niecierpliwie zapytał Alpert. Droga go najwyraźniej nie interesowała. Obchodził go tylko cel podróży.

- Z dziobowego uchwytu na lewej burcie zdjęliśmy dwa odciski. Dziś rano przepuściliśmy je przez bazy danych i prawie od razu dostaliśmy trafienie. To zabrzmiało dziwnie, ale te odciski należą do Terry'ego McCaleba.

- Jak to możliwe? - zapytała Dei.

Alpert milczał. Wbił wzrok w stół przed sobą. Rachel również siedziała w milczeniu, próbowała ogarnąć i zrozumieć ten ostatni fakt.

- W pewnym momencie wsadził rękę w uchwyt na łodzi, tylko tak to można wytłumaczyć - kontynuowała Doran.

- Ale on nie żyje - wtrącił Alpert.

- Co?! - wykrzyknęła Rachel.

Wszyscy obecni odwrócili się i spojrzeli na nią. Dei powoli kiwnęła głową.

- Zmarł mniej więcej miesiąc temu. Atak serca. Pewnie wiadomość nie dotarła do Dakoty Południowej.

Doran odezwała się z głośnika.

- Rachel, tak mi przykro. Powinam ci to przekazać. Ale byłam tym tak zdołowana, a potem od razu

poleciałam do Kalifornii. Przepraszam. Powinnam ci powiedzieć.

Rachel spojrzała na swoje dłonie. Terry McCaleb był jej współpracownikiem i przyjacielem. On także należał do empatów. Poczuła nagłą, dojmującą stratę, mimo że od lat z nim nie rozmawiała. Ich wspólne doświadczenie związało ich jednak na całe życie - a teraz jemu to życie odebrano.

- No dobra, słuchajcie, zrobmy przerwę - zarządził Alpert. - Piętnaście minut i z powrotem tutaj. Brass, będziesz mogła jeszcze raz się połączyć?

- Tak. Mam jeszcze kilka rzeczy do przekazania.

- No to do usłyszenia.

Wszyscy gęsiego wyszli po kawę lub do toalety. Żeby zostawić Rachel samą.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Alpert.

Uniosła na niego wzrok. Ostatnia rzecz, której by od niego chciała, to słowo pocieszenia.

- Dobrze - odpowiedziała, patrząc w pusty ekran telewizora.

17

Rachel została sama w sali konferencyjnej. Początkowy wstrząs ustąpił miejsca przyływowi poczucia winy, nadchodzącemu niespodziewanie, jak fala od rufy. Terry McCaleb próbował się przez te lata z nią kontaktować. Dostawała wiadomości, ale nigdy nie odpowiadała. Kiedy był w szpitalu, na rekonwalescencji po przeszczepie, wysłała mu kartkę i liścik. To było pięć czy sześć lat temu, nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała natomiast, że specjalnie nie napisała na kopercie prywatnego adresu zwrotnego. Wtedy powiedziała sobie, że to dlatego, iż nie zamierza zbyt długo siedzieć w Minot. Ale dobrze wiedziała i wie teraz, że po prostu nie chciała mieć z nim kontaktu. Nie chciała słuchać pytań dotyczących decyzji, które podjęła. Pragnęła się odciąć od przeszłości.

A teraz nie trzeba się już przejmować, kontakt już nigdy nie zostanie nawiązany.

Otworzyły się drzwi, do środka zajrzała Cherie Dei.

- Rachel, chcesz wody?

- Chętnie. Dziękuję.

- Chusteczki?

- Nie, nie trzeba. Nie płaczę.

- Zaraz wrócę.

Dei zamknęła drzwi.

- Nie płaczę - powtórzyła Rachel.

Oparła się łokciami o stół i ukryła twarz w dłoniach. W ciemności ujrzała wspomnienie. Ona i Terry przy jednej sprawie. Nie byli partnerami, ale Backus przydzielił do niej ich oboje. Była to analiza miejsca zbrodni. Straszne miejsce. Matka i córka, związane i wrzucone do wody; dziewczynka tak mocno ścisnęła krucyfiks, że

odbił jej się na dłoni. Kiedy znaleziono ciała, wciąż miała ten znak. Terry pracował nad zdjęciami, Rachel poszła do bufetu po kawę. Kiedy wróciła, było widać, że płakał. To wtedy dowiedziała się, że jest empatą, tym samym gatunkiem co ona.

Dei wróciła do sali i postawiła przed nią butelkę wody źródlanej i plastikowy kubek.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Dziękuję za wodę.

- To był dla mnie szok. Tak naprawdę go nie znałam, ale kiedy ta wiadomość się rozeszła, po prostu mnie powaliło.

Rachel tylko kiwnęła głową. Nie chciała o tym rozmawiać. Zadzwoił głošnomówiący telefon; Rachel pierwsza odebrała. Zamiast wciskać guzik telekonferencji, podniosła słuchawkę. W ten sposób będzie mogła na początek porozmawiać dyskretnie z Doran; przynajmniej to, co tamta mówi, nie zostanie usłyszane.

- Brass?

- Cześć, Rachel. Słuchaj, tak mi przykro, że cię nie...

- W porządku. Nie masz obowiązku zawiadamiać mnie o wszystkim.

- No tak, ale o tym powinnam ci powiedzieć.
- Pewnie informacja była w którymś z biuletynów i po prostu ją przeoczyłam. Tylko dziwnie się poczułam, dowiadując się o tym w ten sposób.

- Wiem. Przepraszam.

- Byłaś na pogrzebie?

- Na ceremonii, tak. Tam na wyspie, gdzie mieszkał. Na Catalinie. Było naprawdę pięknie. I smutno.

- Wielu agentów przyjechało?

- Niedużo. Trochę trudno się tam dostać. Trzeba płynąć promem. Ale kilku było, poza tym paru gliniarzy, rodzina i przyjaciele. No i Clint Eastwood. Zdaje się, że przyleciał własnym helikopterem.

Drzwi się otworzyły, wszedł Alpert. Wyglądał na odświeżonego, jakby przez całą przerwę oddychał czystym tlenem. Za nim weszli dwaj pozostali agenci, Zigo i Gunning. Usiedli.

- Możemy zaczynać - rzekła Rachel do Doran. - Muszę cię dać na ekran.

- Dobra, Rachel. Później pogadamy.

Rachel przekazała telefon Alpertowi, który włączył telekonferencję. Doran pojawiła się na ekranie, jeszcze bardziej zmęczona niż przedtem.

- Okay - powiedział Alpert. - Możemy?

Nikt się nie odezwał, toteż kontynuował.

- No dobra, co oznaczają te odciski na łodzi?

- Oznaczają, że musimy się dowiedzieć, kiedy i dlaczego McCaleb pojechał na pustynię przed śmiercią - odparła Dei.

- To znaczy także, że musimy pojechać do LA i przyjrzeć się okolicznościom jego śmierci - dodał Gunning. - Żeby mieć pewność, że ten atak serca to naprawdę był atak serca.

- Zgadza się, ale jest pewien problem - wtrąciła Doran. - On został skremowany.

- O, to kiepsko - zauważył Gunning.

- Była robiona sekcja? - zapytał Alpert. - Wzięli próbki krwi i tkanek?

- Tego nie wiem - odrzekła Doran. - Wiem tyle, że go skremowali. Byłam na ceremonii żałobnej. Rodzina rozsypała jego prochy do wody.

Alpert popatrzył po twarzach zebranych i zatrzymał wzrok na Gunningu.

- Ed, to będzie twoje zadanie. Pojedź tam i zobacz, co znajdziesz. Ale szybko. Ja zadzwonię do oddziału terenowego i powiem im, żeby przydzielili ci odpowiednich ludzi. I na miłość boską, niech to się nie dostanie do gazet. McCaleb był trochę sławny dzięki temu filmowi. Jeśli prasa to zwęszy, przepadliśmy z kretesem.

- Jasne.

- Jakież inne pomysły, sugestie?

Z początku nikt się nie odezwał. Potem Rachel chrząknęła i cicho dodała:

- Wiecie, Backus był także mentorem Terry'ego.

Na chwilę zapadło milczenie, potem odezwała się Doran:

- Tak, to prawda.

- Kiedy rozpoczęli ten program szkoleniowy, Backus wybrał go pierwszego. Potem mnie.

- A jakie to ma teraz dla nas znaczenie? - zapytał Alpert.

Rachel wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Ale to mnie Backus wezwał tym GPS-em. Może wcześniej zwał tam Terry'ego.

Wszyscy na moment zamilkli, żeby się zastanowić.

- No bo czemu tu jestem? Dlaczego wysłał tę paczkę do mnie, skoro wiedział, że już nie pracuję w behawioralnym? Musi być jakiś powód. Backus ma jakiś plan. Może jego pierwszym elementem był Terry.

Alpert powoli skinął głową.

- Myślę, że musimy zdawać sobie sprawę, że istnieje taki trop.

- Mógł śledzić Rachel - dodała Doran.

- Na razie nie wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość - rzekł Alpert. - Trzymajmy się faktów. Agentko Walling, chciałbym, żebyś zachowała wszelkie środki ostrożności. Sprawdźmy jednak, o co chodzi z McCalebem, i zobaczymy, do czego dojdziemy, zanim zaczniemy wybiegać naprzód. Brass, masz coś

jeszcze?

Czekali, aż Doran zerknie w jakieś papiery.

- Mamy coś, co może się wiązać z McCalebem. Ale najpierw przelecmy moją listę i załatwmy inne rzeczy. Hm, po pierwsze, zaczynamy badać taśmę i torby foliowe znalezione na zwłokach. Dajcie mi jeszcze jeden dzień, będę miała raport. Zaraz... a odzież będzie prawdopodobnie jeszcze przez tydzień w suszarni, zanim się nada do badań. Więc tutaj nic. O gumie już mówiliśmy. Do końca dnia wpisujemy odciski zębów do bazy danych. Czyli pozostaje GPS.

Rachel zauważyła, że wszyscy intensywnie wpatrują się w ekran telewizora. Zupełnie jakby Doran była razem z nimi w sali.

- Tu mamy spory postęp. Po numerze seryjnym doszliśmy do sklepu Big Five Sporting Goods w Long Beach. Agenci z biura terenowego w LA pojechali tam wczoraj i z rejestru sprzedaży dowiedzieli się, że tego Gullivera 101 kupił Aubrey Snow. Okazało się, że jest przewodnikiem wędkarskim i wczoraj był na rejsie. Wieczorem, kiedy wrócił do portu, został dokładnie przesłuchany z powodu tego GPS-u. Powiedział, że przegrał go jakieś jedenaście miesięcy temu w pokera do innego przewodnika. Był cenny, ponieważ miał w pamięci jego najlepsze łowiska wzdłuż wybrzeża południowej Kalifornii i Meksyku.

- Powiedział, kto go wygrał? - szybko zapytał Alpert.

- Niestety, nie. Partyjka była przypadkowa. Pogoda akurat nie dopisała i klienci także. Przewodnicy siedzieli na przystani i prawie co wieczór zbierali się, żeby grać w pokera. Co wieczór w innym składzie. Dużo też pili. Pan Snow nie pamiętał ani nazwiska gościa, który wygrał GPS, ani prawie w ogóle nic. Wydaje mu się, że facet nie był z tej mariny, gdzie on trzyma łódkę, bo nigdy go już nie spotkał. Ktoś z terenowego miał się z nim umówić i wziąć specja od portretów pamięciowych, żeby spróbowali narysować portret tego faceta. Ale nawet jak im się uda, to tam jest tych marin i łodzi co niemiara. Biuro terenowe już mi powiedziało, że może przydzielić do tego tylko dwóch agentów.

- Zadzwoń i to załatw - oświadczył Alpert. - Kiedy poinformuję ich, że Ed zajmuje się sprawą McCaleba, dostaniemy więcej ludzi. Zwrócę się od razu do Rusty'ego Havershawa.

Rachel знаła to nazwisko. Havershaw był agentem specjalnym kierującym oddziałem terenowym w Los Angeles.

- To się przyda - dodała Doran.

- Powiedziałaś, że to ma związek z McCalebem. Jaki?

- Widziałeś ten film?

- Nie.

- McCaleb prowadził czarter wędkarski na Catalinie. Nie wiem, jak mocno wtopił się w to środowisko, ale możliwe, że znał niektórych przewodników od pokera.

- Rozumiem. Trochę naciągnięte, ale coś w tym jest. Ed, miej to na uwadze.

- Jasne.

Rozległo się pukanie, Alpert jednak je zignorował. Cherie Dei wstała i otworzyła drzwi. Rachel widziała, że stoi za nimi agent Cates. Zaszeptał coś do Dei.

- Brass, coś jeszcze? - zapytał Alpert.

- Na razie nie. Myślę, że powinniśmy się skupić na LA i dowiedzieć...

- Przepraszam - przerwała Dei, wprowadzając Catesa z powrotem do sali. - Posłuchajcie tego.

Cates machnął dłońmi, jakby chciał wyjaśnić, że to nic ważnego.

- E... no, właśnie zadzwonili do mnie z posterunku na pustyni. Zatrzymali człowieka, który po prostu tam podjechał. Prywatny detektyw z LA. Nazywa się Huromibus Bosch. Jest...

- To znaczy Hieronimus Bosch? - zapytała Rachel. - Jak ten malarz?

- No tak. Malarza nie kojarzę, ale wartownik właśnie tak powiedział. No i właśnie o niego chodzi. Wsadzili go do jednego z wozów kempingowych i przegrzebali samochód, tak żeby nie wiedział. Na przednim siedzeniu leżała teczka. Były tam notatki i różne rzeczy, ale także zdjęcia. Na jednym jest łódź.

- Ta łódź stamtąd? - zapytał Alpert.

- Tak, ta, która stała nad pierwszym grobem. Miał też artykuł z gazety o sześciu zaginionych.

Alpert, zanim się odezwał, przez chwilę patrzył po zebranych.

- Cherie i Tom, zadzwońcie do Nellis, niech przygotują helikopter - powiedział wreszcie. - Jedźcie tam i bierzcie się do roboty. Agentkę Walling zabieracie ze sobą.

Wsadzili mnie do wozu kempingowego i powiedzieli, żebym czuł się jak u siebie. Była tu kuchenka, stół i komplet wypoczynkowy. Wóz miał okno, ale widać było przez nie tylko bok innego kempingowca. Klimatyzację włączono, dzięki czemu prawie nie czuło się smrodu. Na zadawane pytania nie odpowiadali. Wyjaśnili, że zaraz przyjadą inni agenci i ze mną pogadają.

Minęła godzina, miałem więc czas zastanowić się, w co właściwie wdepnąłem. Nie było wątpliwości, że to miejsce ekshumacji. W powietrzu unosił się ten odór - nie do pomylenia. Poza tym zauważyłem dwie nieoznakowane furgonetki pozbawione okien na bokach i z tyłu. To od razu coś zdradziło. Transport ciał. A do przewiezienia było więcej niż jedno ciało.

Od półtorej godziny siedziałem na kanapie i czytałem wewnętrzny biuletyn FBI sprzed miesiąca. Znalazłem go na stoliku do kawy. Usłyszałem przelatujący nad wozem helikopter; wylądował, jego turbiny zwolniły i umilkły. Pięć minut później drzwi wozu otworzyły się i weszli agenci, na których czekałem. Dwie kobiety i mężczyzna. Jedna z kobiet natychmiast wydała mi się znajoma, choć nie wiedziałem skąd. Była przed czterdziestką, wysoka, ładna, z ciemnymi włosami. Oczy miała całkowicie pozbawione wyrazu, co również już wcześniej widziałem. Była agentką, co oznaczało, że mieliśmy wiele okazji, by na siebie wpaść.

- Pan Bosch? - powiedziała druga kobieta. Ta była tu szefem. - Agentka specjalna Cherie Dei. To mój partner, Tom Zigo, a to jest Rachel Walling. Dziękujemy, że pan na nas poczekał.

- O, to miałem wybór? Nie wiedziałem.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że nie powiedzieli panu, że musi pan zostać.

Uśmiechnęła się nieszczercze. Postanowiłem nie dyskutować na ten temat, żeby nie podpaść od samego początku.

- Chodźmy do kuchni i usiądźmy przy stole - zaproponowała

Dei. - Tam chyba najlepiej będzie się rozmawiało.

Wzruszyłem ramionami, jakby to nie miało znaczenia, choć wiedziałem, że ma. Chcieli mnie usadzić, a potem osaczyć w rogu - jeden agent siada naprzeciwko, drugi z boku. Wstałem i zająłem miejsce, o które im chodziło - plecami do ściany.

- Co pana sprowadza na pustynię, panie Bosch? - zaczęła Dei, usiadłszy naprzeciwko mnie.

Znów wzruszyłem ramionami. Zaczynałem się w tym wprawiać.

- Jechałem do Vegas i zatrzymałem się, bo szukałem miejsca, żeby załatwić jedną sprawę.

- Jaką sprawę? Uśmiechnąłem się.

- Odląć się, proszę pani.

Teraz ona się uśmiechnęła.

- Aha, i całkiem przypadkiem trafił pan na nasz obóz.

- Coś w tym stylu.

- Coś w tym stylu.

- Trudno go nie zauważyć. Ile trupów tu macie?

- Skąd to pytanie? Kto mówił coś o trupach?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Postanowiła grać twardo aż do końca.

- Panie Bosch, czy możemy zajrzeć do pana samochodu?

- Myślę, że już zajrzeliście.

- A to czemu?

- Byłem policjantem w LA. Pracowałem już wcześniej z FBI.

- Czyli pan się orientuje.

- Mniej więcej. Wiem, jak pachnie rozkopany grób, i dobrze wiem, że zaglądaliście mi do samochodu.

Po prostu chcecie dostać pozwolenie, żeby mieć krytą dupę. Ale ja go nie udzielałam. Wara od samochodu.

Popatrzyłem na Zigo, potem na Walling. Właśnie wtedy przypomniałem sobie, skąd ją znam, co wyciągnęło z czeluści całą gromadę pytań.

- Teraz sobie panią przypomniałem. Rachel, tak?
- Słucham? - zapytała Walling.
- Raz już się spotkaliśmy. Dawno temu w LA, w komendzie hollywoodzkiej. Pani przyjechała z Quantico. Ścigaliście Poetę, a pani sądziła, że jeden z facetów przy naszym stoliku będzie jego następnym celem. A przez cały czas mieliście Poetę pod nosem.

- Pan pracował w wydziale zabójstw?
- Tak.
- Co słysząc u Eda Thomasa?
- Na emeryturze, tak samo jak ja. Ale on wyjechał i otworzył w Orange księgarnię. Sprzedaje kryminały, wyobrażacie sobie?

- Ja tak.
- To pani postrzeliła Backusa, prawda? W tym domu na skarpie.
Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok, przeniosła go na agentkę Dei. Było w tym coś, czego nie pojmowałem. Walling była tu mniej ważna, choć i Dei, i jej partner, Zigo, powinni być jej podwładnymi. A potem zrozumiałem. Po aferze, jaka się zrobiła z tamtego śledztwa w sprawie Poety, zapewne zleciała o szczebel czy dwa.

Ten wniosek nasunął mi następny. Strzeliłem na chybił trafił.
- To było dawno temu. Jeszcze przed Amsterdamem.
Oczy Walling rozbłysły na ułamek sekundy; wiedziałem, że trafiłem w coś konkretnego.
- Skąd pan wie o Amsterdamie? - zapytała natychmiast Dei.
Spojrzałem na nią z powrotem. Znowu postarałem się wzruszyć ramionami, adresując ten gest do niej.
- Chyba po prostu wiem. Czy to o to chodzi? Te trupy tutaj to robota Poety? Czyli wrócił, tak?

Dei spojrzała na Ziga i wskazała wzrokiem drzwi. Wstał i wyszedł z wozu. Dei nachyliła się ku mnie, abym docenił powagę sytuacji i znaczenie jej słów.

- Panie Bosch, chcemy wiedzieć, co pan tu robi. I dopóki się wszystkiego nie dowiemy, nigdzie pan stąd nie pojedzie.

Powtórzyłem jej ruch, nachylając się ku niej. Nasze twarze znalazły się blisko siebie.
- Wasz wartownik wziął ode mnie licencję. Na pewno już ją oglądaliście i wiecie, co robię. Pracuję nad sprawą. I obowiązuje mnie tajemnica służbowa.

Wrócił Zigo. Był niski i krępy, chyba miał niewiele ponad regulaminowy wzrost. Włosy strzygł krótko jak wojskowy. W dłoni trzymał teczkę McCaleba ze sprawą zaginięć. Wiedziałem, że w środku są zdjęcia, które wydrukowałem z komputera Terry'ego. Położył teczkę przed Dei, a ona ją otworzyła. Na wierzchu było zdjęcie starej łodzi. Uniosła je i przesunęła do mnie.

- Skąd pan to ma?
- Tajemnica służbowa.
- Dla kogo pan pracuje?
- Tajemnica służbowa.

Przekartkowała zdjęcia i dotarła do fotografii, którą Terry potajemnie zrobił Shandy'emu. Pokazała mi ją.

- Kto to jest?
- Nie wiem na pewno, ale przypuszczam, że to zaginiony bez śladu Robert Backus.
- Co?! - wykrzyknęła Rachel.

Wyciągnęła rękę i wyrwała zdjęcie z rąk Dei. Obserwowałem, jak wodzi oczyma na boki, przyglądając mu się.

- Jezus! - wyszeptała.
Wstała i podeszła ze zdjęciem do kuchennego blatu. Położyła je tam i dalej mu się przyglądała.

- Rachel? - odezwała się Dei. - Nic więcej nie mów.
Wróciła do teczek. Rozłożyła na stole pozostałe zdjęcia Shandy'ego. Potem uniosła wzrok na mnie. Miała w oczach ogień.

- Gdzie pan zrobił te zdjęcia?
- To nie ja.

- Więc kto? I proszę nie mówić nic o tajemnicy służbowej, Bosch, bo wylądujesz w ciemnej dziurze do czasu, aż ta tajemnica się odtajni. To jest ostatnia szansa.

Już kiedyś siedziałem w jednej z ciemnych dziur FBI. Wiedziałem, że jak będę musiał, przetrzymam wszystko, co ona tylko wymyśli. Lecz prawda była taka, że chciałem im pomóc. Wiedziałem, że powinienem. Musiałem jednak osiągnąć kompromis między tą chęcią a tym, co jest najlepsze dla Gracielii McCaleb. Była moją klientką i miałem obowiązek ją chronić.

- Wiecie co - rzekłem. - Chcę wam pomóc. Ale chcę też, żebyście wy mnie pomogli. Pozwólcie mi na jeden telefon, zobaczę, czy nie da się zwolnić mnie z tej tajemnicy. Co o tym sądzicie?

- Dać panu telefon?

- Mam swój. Ale nie wiem, czy będzie tutaj działał.

- Będzie. Postawiliśmy sobie przekaźnik.

- To miło. Myślicie o wszystkim.

- Proszę dzwonić.

- Muszę to zrobić na osobności.

- To zostawimy pana tutaj. Pięć minut, panie Bosch.

Znowu była ze mną na „pan”. To jakiś postęp.

- Właściwie, wolałbym, żebyście to wy tu zaczekali, a ja wyjdę na pustynię. Tak będzie bardziej dyskretnie.

- Jak pan woli. Ale proszę szybko.

Zostawiłem Rachel stojącą przy blacie, wpatrzoną w zdjęcie, i Dei przy stole, przeglądającą teczkę. Wyprowadzono mnie z wozu na otwartą pustynię, nieopodal zaimprovizowanego lądowiska dla helikoptera. Zigo zatrzymał się i pozwolił, bym dalej poszedł sam. Zapalił papierosa i miał mnie na oku. Wyciągnąłem telefon i sprawdziłem na ekranie ostatnich dziesięć połączeń. Wybrałem numer Buddy'ego Lockridge'a i zadzwoniłem. Wiedziałem, że mam szansę go złapać, bo to była komórka.

- Tak?

Miał dziwny głos.

- Buddy?

- Tak, kto mówi?

- Bosch, gdzie jesteś?

- Człowieku, w łóżku. Zawsze łapiesz mnie, gdy śpię. Zerknąłem na zegarek. Było po dwunastej.

- No to wstawaj. Mam dla ciebie robotę. Momentalnie oprzytomniał.

- Wstaję. Co mam zrobić?

Próbowałem na poczekaniu poskładać jakiś plan. Z jednej strony byłem zły na siebie, że nie wziąłem komputera McCaleba, z drugiej jednak wiedziałem, że gdybym go przywiózł, byłby teraz w rękach federalnych i na niewiele by mi się zdał.

- Chcę, żebyś jak najszybciej dostał się na „Falę od rufy”. Właściwie to weź helikopter, zwrócę ci. Po prostu polec tam i dostań się na łódkę.

- Nie ma sprawy. Co dalej?

- Wejdz do komputera Terry'ego, do zdjęć. Wydrukuj zdjęcie Shandy'ego od przodu i z profilu. Dasz radę?

- Pewnie, ale chyba już je drukowałeś...

- Wiem, Buddy, ale trzeba to zrobić jeszcze raz. Wydrukuj, potem zajrzyj do tych pudełek z teczkami na górze. Zapomniałem, które to pudełko, ale w jednym jestteczka o Robercie Backusie. To jest...

- Jasne, Poeta. Wiem, która to.

Pewnie, że wiesz - omal nie powiedziałem na głos.

- No dobra, to jest jasne. Weź tę teczkę i zdjęcia i przywieź je do Las Vegas.

- Vegas? Myślałem, że jesteś w San Francisco.

Na moment się pogubiłem, ale potem przypomniałem sobie, że okłamałem go, by zmylić ślady.

- Zmieniłem plany. Przywieź to wszystko do Las Vegas, zamelduj się w hotelu i czekaj na mój telefon. Miej naładowaną komórkę. Ale nie dzwoń do mnie, to ja zadzwonię.

- Czemu nie mogę do ciebie zadzwonić, jak przyjadę?

- Bo za dwadzieścia minut mogę już nie mieć tego telefonu. No, Buddy, ruszaj się.

- Zapłacisz za to wszystko?

- Zapłacę. A także za twój czas. Buddy, czas się liczy, więc do roboty.
- No dobra, już lecę. Wiesz, za dwadzieścia minut jest prom. Mógłbym nim popłynąć i oszczędzić ci kupę forsy.

- Weź helikopter. Będiesz o godzinę szybciej. Ta godzina jest mi potrzebna.

- Jasne. Idę.

- Aha, Buddy? Nie mów nikomu, gdzie jedziesz i co robisz.

- Oczywiście.

Rozłączył się. Ja, zanim się rozłączyłem, zerknąłem na Ziga. Nałożył ciemne okulary, ale wyglądało, że mnie obserwuje. Udałem, że straciłem sygnał, i krzyknąłem parę razy „halo” do słuchawki. Potem zamknąłem aparat, otworzyłem ponownie i wykręciłem numer Gracieli. Dobra passa trwała nadal. Była w domu i odebrała.

- Graciela, tu Harry. Zdarzyły się różne rzeczy i potrzebuję twojej zgody, żeby pogadać o śmierci Terry'ego i moim śledztwie z FBI.

- Z FBI? Harry, mówiłam ci, że nie mogę do nich pójść. Przynajmniej, dopóki...

- Ja do nich nie poszedłem, to oni do mnie przyszli. Gracielo, jestem na środku pustyni. Zaprowadziły mnie tu rzeczy, które znalazłem w gabinecie Terry'ego, a FBI już tutaj było. Myślę, że nie ma zagrożenia. Zdaje się, że szukają właśnie tej osoby, która skrzywdziła Terry'ego. Nie wydaje mi się, żeby to miało się jakoś na tobie zemścić. Sądzę, że powinienem z nimi pogadać, powiedzieć, co wiem. To może pomóc złapać tego człowieka.

- Kto to jest?

- Robert Backus. Kojarzysz nazwisko? Czy Terry coś o nim wspominał?

Nastąpiła cisza. Zastanawiała się.

- Nie wydaje mi się. Kto to jest?

- Gość, z którym kiedyś pracował.

- Agent?

- Tak. To jego nazwali Poetą. Nie słyszałaś, żeby Terry wspominał coś o Poecie?

- Tak, ale dawno. Jakies trzy albo cztery lata temu. Pamiętam, że był zły, bo on miał nie żyć, a wyglądało na to, że żyje. Coś w tym rodzaju.

Terry pewnie otrzymał wewnętrzne dossier tego śledztwa, gdy Backus pokazał się w Amsterdamie.

- A potem już nic?

- Nic sobie nie przypominam.

- Dobrze, Gracielo. To jak myślisz? Nie mogę z nimi rozmawiać, chyba że ty dasz mi zgodę. Moim zdaniem to pomoże.

- Jak myślisz, że to pomoże, to zgoda.

- To oznacza, że niebawem przyjadą do ciebie agenci FBI. Pewnie wezmą „Falę od rufy” i zaholują na stały ląd, żeby ją zbadać.

- Po co?

- Dowody. Ten gość był na łodzi. Najpierw ją wyczarterował, potem wrócił i zakradł się na pokład. Wtedy podmienił leki.

- Aha.

- I przyjadą też do ciebie do domu. Będą chcieli rozmawiać. Gracielo, po prostu szczerze z nimi rozmawiaj. Powiedz wszystko, niczego nie zatajaj i będzie dobrze.

- Harry, jesteś pewny?

- Jestem pewny. Więc zgoda?

- Zgoda.

Pożegnaliśmy się i skończyliśmy rozmowę. Wracając do Ziga, znów otworzyłem telefon i zadzwoniłem do siebie do domu. Rozłączyłem się i powtórzyłem to jeszcze dziewięć razy, wymazując z pamięci telefonu rozmowy z Buddym Lockridge'em i Graciela McCaleb. Jeśli w wozie kempingowym coś pójdzie źle i Dei będzie chciała wiedzieć, do kogo dzwoniłem, nie przyjdzie jej to łatwo. Z komórki niczego nie wyciągnie. Będzie musiała pójść do firmy telefonicznej z nakazem.

Kiedy podchodziłem, Zigo zobaczył, co robię. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wiesz, Bosch, jakbyśmy chcieli twoje numery, wzięlibyśmy je z powietrza.

- Poważnie?

- Poważnie, gdybyśmy tylko zechcieli.
- O rany, wy, agenci, to naprawdę jesteście specjaliści, co? Zigo spojrział na mnie nad ciemnymi okularami.
- Bosch, nie bądź dupkiem. Po jakimś czasie to męczy.
- Sam dobrze wiesz.

19

Zigo odprowadził mnie z powrotem bez słowa. Agentka Dei czekała przy stole. Rachel Walling wciąż stała przy blacie. Spokojnie usiadłem i popatrzyłem na Dei.

- I jak tam? - zapytała sympatycznym tonem.

- Dobrze. Mój klient mówi, że mogę z wami rozmawiać. Ale to nie będzie jednokierunkowa rozmowa.

Wymieniamy się informacjami. Ja odpowiadam na wasze pytania, wy na moje.

Pokręciła głową.

- Eee. Tak to nie działa. To dochodzenie FBI. My nie handlujemy informacjami z amatorami.

- Mówi pani, że jestem amatorem? Przynoszę wam zdjęcie Roberta Backusa, którego dawno straciliście z oczu, i to ja jestem amatorem?

Dostrzegłem ruch i spojrzałem na Rachel. Podniosła rękę do twarzy, żeby ukryć uśmiech. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, odwróciła się z powrotem do stołu i udała, że dalej studiuje zdjęcie Backusa.

- Przecież nawet nie wiemy, czy to naprawdę Backus - powiedziała Dei. - Jest tam facet z brodą, w czapce i ciemnych okularach. To może być ktokolwiek.

- Może to być też facet, który podobno nie żyje, ale jakoś udało mu się kilka lat temu zabić pięć osób w Amsterdamie i teraz... ile osób, sześć? A może więcej niż te sześć wymienione w gazecie?

Dei obdarzyła mnie nerwowym, niesympatycznym uśmiechem.

- Na sobie może pan i robi tym wszystkim wrażenie, ale nie na nas. Wszystko w dalszym ciągu sprowadza się do jednej kwestii -

- chce pan stąd wyjść, to proszę zacząć gadać. Ma pan już zgodę klienta, proponuję, żeby na początek powiedział pan, kto to taki.

Odchyliłem się do tyłu. Była jak forteca, nie wyglądało, żebym mógł ją sforsować. Ale widziałem ten uśmiech u Rachel, to już coś. To podpowiadało, że może później spróbuję pokonać tę federalną barykadę przy jej pomocy.

- Moją klientką jest Graciela McCaleb. Żona Terry'ego McCaleba. To znaczy wdowa.

Dei zamrugnęła, choć szybko otrząsnęła się ze zdumienia. Ale może to nie było zdumienie. Może raczej coś potwierdziłem.

- A po co pana zatrudniła?

- Bo jej mężowi ktoś podmienił leki i zabił go w ten sposób.

Po tym nastąpiła chwila ciszy. Rachel powoli odeszła od blatu i wróciła na krzesło. Opowiedziałem im, jak to się stało, że akurat do mnie zadzwoniła, o podmienionych lekach i o moim śledztwie, aż do momentu kiedy trafiłem na pustynię. Dei z rzadka przerywała mi pytaniami lub wskazówkami. Nabrałem przekonania, że niczym ich nie zaskakuję. Wyglądało raczej, że potwierdzam ich przypuszczenia albo przynajmniej opowiadam historię, której fragmenty już znali. Kiedy skończyłem, Dei zadała mi kilka szczegółowych pytań dotyczących moich działań. Zigo i Walling milczeli.

- To ciekawa historia - podsumowała Dei, kiedy skończyłem. - Mnóstwo informacji. Może teraz podam pan jej kontekst. Co to wszystko pańskim zdaniem oznacza?

- Pani mnie o to pyta? Myślałem, że to właśnie Quantico robi takie rzeczy, wrzuca wszystko do miksera i dostaje analizę sprawy i odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Proszę się nie przejmować, zrobimy to. Ale chciałabym poznać pana pogląd.

- No więc... - zacząłem, ale nie dokończyłem. Próbowałem poskładać to do kupy i zmieszać we własnym mikserze, dodając jako najnowszy składnik Roberta Backusa.

- No więc co?

- Przepraszam, właśnie próbowałem to sobie poskładać.

- Proszę po prostu powiedzieć, co pan o tym myśli.
- Czy ktoś z was znał Terry'ego McCaleba?
- Wszyscy. Ale co to ma do...
- Ale tak naprawdę „znał”.
- Ja kiedyś znałam - odezwała się Rachel. - Pracowaliśmy razem

przy śledztwie. Ale potem nie utrzymywaliśmy kontaktu. Nawet że nie żyje, dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

- W takim razie powinniście wiedzieć i dowiecie się, jak tylko przetrząsniecie jego dom, łódź i wszystko inne, że on nadal pracował nad sprawami. Nie potrafił odpuścić. Pracował nad swoimi starymi nierozwiązanymi oraz nad nowymi. Czytał gazety i oglądał telewizję. Dzwonił do gliniarzy prowadzących śledztwo, które go interesowało, i proponował pomoc.

- I dlatego zginął? - zapytała Dei.

Skinąłem głową.

- W rezultacie tak. Tak sędzę. W styczniu „Los Angeles Times” zamieścił artykuł, który macie w teczce. Terry przeczytał go. Zadzwonił do Vegas, proponując swoje usługi. Kazali mu spadać, nie byli zainteresowani. Ale nie mieli obiekcji, żeby wspomnieć jego nazwisko w gazecie, kiedy ukazała się kontynuacja artykułu o zaginięciach.

- Kiedy to było?

- Na początku lutego. Na pewno możecie to sprawdzić. W każdym razie ten artykuł, wzmianka o nim, zwabił Poetę.

- Proszę posłuchać, nie potwierdzamy żadnych faktów o Poecie. Czy to jest jasne?

- Jasne, jak sobie tylko chcecie. Możecie to wszystko traktować jako hipotezę.

- Proszę mówić dalej.

- Ktoś tych ludzi porwał - i teraz wiemy, że zakopywał ich na pustyni. Jak wszyscy dobrzy seryjni mordercy miał oko na media, sprawdzał, czy komuś udało się dodać dwa do dwóch i wpaść na jego trop. Widzi ten artykuł, a w nim nazwisko McCaleba. To jego dawny kolega z pracy. Domyślam się, że kiedyś go znał. W Quantico, zanim Terry przyjechał zakładać w LA Wydział Badań Behawioralnych. Zanim zachorował na serce.

- Faktycznie, Terry był pierwszą osobą szkoloną przez Backusa w wydziale - potwierdziła Walling.

Dei spojrzała, jakby agentka zawiadła jej zaufanie. Walling zignorowała ją, co mi się spodobało.

- No i proszę bardzo - dodałem. - Więc mieli powiązanie. Backus widzi w gazecie nazwisko i dzieje się jedna z dwóch rzeczy. Albo potraktował to jako wyzwanie, albo wiedział, że McCaleb nigdy się nie poddaje i będzie go poszukiwał, pomimo wyraźnego braku zainteresowania ze strony policji z Vegas.

- I zajął się McCalebem - podsumowała Dei.

- Tak.

- Musiał wyeliminować go w taki sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń - dodała Rachel.

- Właśnie.

Zerknąłem na Ziga. Teraz on powinien się odezwać, ale milczał.

- Pojechał i przyjrzał mu się - ciągnąłem. - Miał brodę, czapkę, okulary, pewnie na dokładkę kilka operacji plastycznych za sobą. Wynajął Terry'ego, żeby wziął go na ryby.

- A Terry nie wiedział, że to on - rzekła Rachel.

- Terry zaczął coś podejrzewać, ale nie wiem dlaczego. Te zdjęcia tutaj to fragment serii. Terry wiedział, że z tym facetem jest coś nie tak, i zrobił mu więcej zdjęć. Myślę jednak, że gdyby wiedział, że to Backus, zacząłby działać. Ale nie zaczął, sędzę więc, że nie miał pewności, kim jest ten gość ani dlaczego wydał mu się podejrzany.

Popatrzyłem na Rachel.

- Patrzyła pani na zdjęcie. Czy to on? To znaczy czysto hipotetycznie.

- Trudno powiedzieć, hipotetycznie czy nie. Nie widać oczu i większej części twarzy. Ale jeśli to on, przeszedł operację. Ma inny nos. I policzki.

- To łatwo się zmienia. Proszę kiedyś przyjechać do LA. Zabiorę was do takiego znajomego w Hollywood, który pracuje dla branży dziewczyn do towarzystwa. Ma trochę zdjęć „przed” i „po”; jak je zobaczycie, będziecie wychwalać cuda medycyny.

- Nie wątpię - wtrąciła Dei, choć mówiłem do Rachel. - A potem? Kiedy podmienia leki McCaleba?

Dobrze byłoby sprawdzić w mojej chronologii zdarzeń, ale notes miałem w kieszeni kurtki. Jeszcze mnie nie rewidowali, toteż wolałam go nie ujawniać - może uda mi się go stąd wynieść.

- Hm, mniej więcej dwa tygodnie po tym rejsie ktoś włamał się na łódź Terry'ego. Ktokolwiek to był, zabrał odbiornik GPS, ale to była chyba tylko przykrywka, na wypadek gdyby Terry zorientował się, że... ale o co chodzi?

Obserwowałam ich reakcje. Ten GPS musiał coś znaczyć.

- Jaki to był model? - zapytała Rachel.

- Rachel - wtrąciła natychmiast Dei. - Jesteś obserwatorem, pamiętasz?

- Gulliver - odparłam. - Modelu dokładnie nie pamiętam. Na łodzi jest meldunek szeryfa. Właściwie to on nie był Terry'ego, tylko jego współnika.

- Jak się nazywa? - zapytała Dei.

- Buddy Lockridge. Nie pamiętacie go z filmu?

- Nie widziałam filmu. Wie pan coś jeszcze o losach tego GPS-u?

- Buddy powiedział mi, że wygrał go w pokera. W GPS-ie zapisano mnóstwo świetnych łowisk. Wkurzył się, kiedy ktoś go ukradł, myślał, że to któryś z przewodników wędkarskich.

Po ich reakcji poznałam, że trafiam w samo sedno. GPS był ważny. Nie stanowił tylko przykrywki. W tej kwestii się myliłam. Zabrało mi to z minutę, ale potem się domyśliłam.

- Ach, wiem - powiedziałam. - Tak właśnie znaleźliście to miejsce, prawda? Backus wysłał wam GPS z zaznaczonym tym punktem. Zwabił was tutaj podobnie jak Terry'ego.

- Nie mówimy o nas - odparła Dei. - Mówimy o panu.

Lecz ja zerknąłem na Rachel i w jej oczach dojrzałem potwierdzenie. Zrobiłem jeszcze jeden logiczny skok i domyśliłem się, że GPS został wysłany do niej. To dlatego jest tutaj w charakterze obserwatora. Backus wezwał ją, tak samo jak Terry'ego.

- Mówiła pani, że Terry był pierwszym agentem-ucznikiem Backusa w wydziale. A kto był drugim?

- Przejdźmy dalej - wtrąciła się Dei.

Rachel nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się do mnie nieznacznie. Ten uśmiech był smutny w zestawieniu z oczyma pozbawionymi wyrazu. Mówił mi, że dobrze zgadłem. To jej mentorem był później Backus.

- Mam nadzieję, że jest pani ostrożna - powiedziałam cicho.

Dei otworzyła teczkę leżącą na stole.

- To nie pański interes. W pana notatkach jest kilka rzeczy, o które chcę spytać. Po pierwsze, kto to jest William Bing?

Popatrzyłem na Dei. Ona myślała, że to moja teczka i moje notatki.

- Nie wiem. Gdzieś spotkałem to nazwisko.

- Gdzie?

- Zdaje się, że to Terry je zanotował. Jeszcze nie ustaliłem, kto to taki.

- A ta „teoria trójkąta” co oznacza?

- A dla pani co oznacza?

- Panie Bosch, proszę mnie nie wkurzać i nie kokietować.

- Cherie? - zapytała Rachel.

- Co?

- To są chyba notatki Terry'ego.

Dei przyjrzała się teczce i zrozumiała, że Rachel ma rację. Popatrzyłem na nią, jakbym był urażony, że mnie podkablowała. Dei raptownie zamknęła teczkę.

- Jasne. Oczywiście.

Uniosła wzrok na mnie.

- Wie pan, co to oznacza?

- Nie, ale pani pewnie zaraz mi powie.

- To oznacza, że my ją zabieramy. Pan może już wracać do LA.

- Nie jadę do LA. Jadę do Las Vegas. Mam tam lokum.

- Pojedzie pan, gdzie tylko chce, ale ma się pan trzymać z daleka od tego śledztwa. Przejmujemy sprawę. Oficjalnie.

- Dobrze pani wie, agentko Dei, że nie pracuję w policji. Nie możecie niczego ode mnie przejąć, chyba

że ja tak zechcę. Jestem prywatną firmą.

Skinęła głową, jakby rozumiała moją sytuację.

- To świetnie, panie Bosch. Niedługo pogadamy z pana pracodawcą i przed zachodem słońca będzie pan bezrobotny.

- Ja tylko próbuję zarobić na życie.

- Ja z kolei tylko próbuję złapać mordercę. Niech pan zrozumie, pana usługi nie są tu już potrzebne.

Proszę trzymać się od tego z daleka. Jest pan zwolniony. Koniec. Czy wyrażam się jasno?

- Może da mi to pani na piśmie?

- Wie pan co, powinien pan chyba stąd zmykać i jechać do domu, póki jeszcze pan może. Tom, dasz panu licencję, kluczyki i odprowadzisz do samochodu?

- Z przyjemnością - powiedział Zigo.

Były to jego pierwsze słowa w domu na kółkach.

Wyciągnąłem rękę po teczkę, ale Dei mi ją wyrwała.

- Zatrzymujemy to.

- Jasne. Miłego polowania, agentko Dei.

- Dziękuję.

Ruszyłem za Zigiem ku drzwiom. Obejrzałem się, kiwnąłem do Rachel. Odwzajemniła gest. Zdaje się, że dostrzegłem w jej oczach iskierkę światła.

20

Kiedy helikopter uniósł się z pustyni i ruszył w czterdziesto-minutowy powrotny lot do Las Vegas, troje agentów wciąż rozprawiało o Boschu. Wszyscy mieli na głowach słuchawki, by porozumiewać się mimo łoskotu wirnika. Dei wciąż była wyraźnie zirytowana prywatnym detektywem i Rachel pomyślała, że pewnie czuje, że Bosch ją w jakiś sposób okpił. Sama natomiast była rozbawiona. Dobrze wiedziała, że Bosch nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Jego oczy mówiły „widziałem to już wszystko ze dwa razy”, a skiniecie głową na pożegnanie nie oznaczało bynajmniej, że zamierza zebrać swoje manatki i pojechać do domu.

- A co z tą teorią trójkąta? - zapytała Dei.

Rachel odczekała, aż odezwie się Zigo, ale on jak zwykle milczał.

- Myślę, że Terry trafił na jakiś trop - odezwała się. - Ktoś powinien nad tym popracować.

- W tej chwili nie wiem, czy mamy ludzi, żeby to wszystko robić. Zapytam Brass, może ona kogoś ma. A ten William Bing? Nie przewinęło się wcześniej to nazwisko?

- Ja bym stawiała, że jest lekarzem. Terry zamierzał tu przyjechać i pewnie chciał mieć jakiś kontakt, gdyby coś się stało.

- Rachel, jak wrócimy, możesz to sprawdzić? Wiem, co powiedział Alpert, że jesteś obserwatorem i w ogóle, ale jeśli to jest tylko ślepy trop, dobrze byłoby go odciąć.

- Nie ma problemu. Mogę to zrobić z hotelu, jeśli wolisz, żeby nie widział, jak siedzę przy telefonie.

- Nie, zostaniesz w biurze terenowym. Jak Alpert cię nie zobaczy, zaczniesz się zastanawiać, co kombinujesz.

Dei, siedząca na przednim fotelu pasażera, odwróciła się i zerknęła na Rachel, która siedziała za pilotem.

- Co to w ogóle było między wami?

- Ale co?

- Wiesz dobrze, o czym mówię. Ty i Bosch. Te spojrzenia, uśmiechy. „Mam nadzieję, że jest pani ostrożna”. O co chodzi, Rachel?

- Posłuchaj, mieliśmy nad nim przewagę liczebną, nie? Więc to normalne, że wybrał sobie jedną osobę, żeby do niej grać. To jest nawet w podręczniku o technikach i zjawiskach podczas przesłuchiwania. Sprawdź kiedyś.

- A co z tobą? Ty też do niego pogrywałeś? To także jest w podręczniku?

Rachel pokręciła głową, jakby chciała zakończyć tę dyskusję.

- Gość po prostu ma styl. To mi się podoba. Dalej się zachowuje, jakby miał odznakę, widziałaś? Nie spuścił przed nami głowy. Dla mnie jest kimś.

- Rachel, byłaś na tym zadupiu za długo, inaczej byś czegoś takiego nie powiedziała. My nie lubimy ludzi, którzy nie spuszczaają przed nami głowy.

- Może i byłam.

- Czy to znaczy, że uważasz, że gość będzie nam stwarzał problemy?

- Z pewnością - wtrącił Zigo.

- Prawdopodobnie - dodała Rachel.

Dei pokręciła głową.

- Nie mam ludzi do tego wszystkiego. Nie mogę poświęcić czasu na śledzenie Boscha.

- Chcesz, żebym go miała na oku? - zapytała Rachel.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Chciałabym się czymś zająć. Więc tak, zgłaszam się.

- Wiesz co, przed jedenastym września i Biurem Bezpieczeństwa Narodowego przeważnie dostawaliśmy to, o co nam chodziło. A dzięki zbiegłym seryjnym mordercom mieliśmy najlepsze nagłówki w gazetach. A teraz od rana do nocy tylko terroryści i terroryści i nawet nie możemy dostać nadgodzin.

Rachel zauważyła, że Dei celowo nie odpowiedziała, czy chce, żeby zajęła się Boschem, czy nie. Sprytny sposób, by móc wyprzeć się wszystkiego, gdyby coś poszło nie tak. Postanowiła, że jak wróci do biura, pogada z Dei w cztery oczy i nakłoni ją do sprawdzenia, czy Bosch rzeczywiście ma dom w Las Vegas. Chciała się dowiedzieć, co on planuje, i mieć go na oku.

Wyjrzała przez boczne okno na czarną wstążkę asfaltu przecinającą pustynię. Lecieli wzdłuż niej do miasta. W jednej chwili

zauważyła czarnego terenowego mercedesa zdążającego w tę samą stronę. Był brudny od jeżdżenia po bezdrożach pustyni. Wiedziała, że to Bosch jedzie do Vegas. Potem zauważyła na dachu mercedesa rysunek. Bosch szmatą, czy czymś, wyrysował w białym pyłe uśmiechniętą buźkę. Rysunek sprawił, że też się uśmiechnęła.

Dobiegł ją przez słuchawki głos Dei.

- Co tam, Rachel? Czemu się uśmiechasz?

- A nic. Coś mi się przypomniało.

- Tak, też bym chciała umieć się uśmiechać, wiedząc, że gdzieś tam może cziąć się na mnie agent-psychol, żeby zarzucić mi na głowę worek foliowy.

Rachel spojrzała na Dei, zdenerwowana tak pogardliwą i chamską uwagą. Dei najwidoczniej dostrzegła coś w jej oczach.

- Przepraszam. Po prostu pomyślałam, że powinnaś zacząć traktować to poważniej.

Rachel wpatrzyła się w Dei, aż ta musiała odwrócić wzrok.

- Naprawdę uważasz, że nie traktuję tego poważnie?

- Wiem, że tak. Nie powinnam się odzywać.

Rachel z powrotem spojrzała na autostradę 1-15. Dawno wyprzedzili czarnego mercedesa. Bosch zniknął, został daleko w tyle.

Przez chwilę kontemplowała krajobraz. Cały czas się zmieniał, a jednak był taki sam. Księżycowy dywan ze skał i piasku. Wiedziała, że jest pełen życia, które pozostaje w ukryciu. Drapieżcy kryli się pod ziemią, czekając na zapadnięcie nocy.

- Panie i panowie - w jej uchu rozległ się głos pilota - przełączcie się na kanał trzeci. Mamy rozmowę z ziemi.

Rachel musiała zdjąć słuchawki, żeby dojść, jak zmienić częstotliwość. Pomyślała, że głupio są zaprojektowane. Nakładając je z powrotem na głowę, usłyszała Brass Doran. Mówiła jak karabin maszynowy, Rachel pamiętała, że tak się dzieje zawsze, kiedy ma jakąś dużą sprawę.

- ...cent zgodności. Na pewno są od niego.

- Co? - wtrąciła Rachel. - Nic nie usłyszałam.

- Brass - powiedziała Dei - zacznij jeszcze raz.

- Powiedziałam, że znaleźliśmy w bazie ślady zębów z gumy. Mają dziewięćdziesiąt procent zgodności, co jest jednym z najlepszych dopasowań, jakie w życiu widziałam.

- Kto? - zapytała Rachel.

- O, Rachel, to ci się spodoba. Ted Bundy. Tę gumę żuł Ted Bundy.

- To niemożliwe - rzekła Dei. - Po pierwsze, Bundy już dawno nie żyje, nie żył już, kiedy zaginęli ci faceci. Poza tym nic mi nie wiadomo, żeby jeździł do Nevady albo Kalifornii ani żeby polował na mężczyzn. Brass, coś w tych danych jest nie tak. Albo zły odczyt, albo...

- Dwa razy to puściliśmy. I dwa razy wyszedł Bundy.

- Możliwe - powiedziała Rachel. - To prawda.

Dei odwróciła się i spojrzała na nią. Rachel właśnie myślała o Bundym. Seryjny morderca wszechczasów. Przystojny, inteligentny i groźny. I też żuł gumę. Tylko od niego naprawdę przechodziły ją ciarki. Pozostali po prostu budzili obrzydzenie i niesmak.

- Skąd wiesz, Rachel, że to prawda?

- Po prostu wiem. Dwadzieścia pięć lat temu Backus pomagał konstruować bazę danych VICAP. Brass dokładnie to pamięta. Przez następne osiem lat zbierano dane. Agenci z wydziału jeździli przesłuchiwać każdego seryjnego mordercę czy gwałciciela, jaki tylko siedział w kraju w więzieniu. Wtedy jeszcze mnie tam nie było, ale nawet później, jak do nich trażałam, wciąż robiliśmy te przesłuchania i dodawaliśmy do bazy. Bundy był przesłuchiwany kilka razy, poważnie przez Boba. Tuż przed egzekucją poprosił o spotkanie z nim w Raiford. Bob zabrał mnie ze sobą. Przez trzy dni go przesłuchiwaliśmy. Pamiętam, że Ted cały czas pożyczał od niego gumę. To była Juicy Fruit. Taką żuł Bob.

- A potem co, wypluł mu do ręki? - zapytał z niedowierzaniem Zigo.

- Nie, wrzucił do kosza. Przesłuchiwaliśmy go w gabinecie komendanta cel śmierci. Był tam kosz. Codziennie, kiedy kończyliśmy, Bundy'ego wyprowadzano. Bob wiele razy zostawał w gabinecie sam. Mógł po prostu wyjąć tę gumę z kosza.

- Czyli mówisz, że Bob zabawił się w śmietnikowego nurka, szukając gumy Teda Bundy'ego, a potem trzymał ją w zanadrzu, żeby móc ją wrzucić do grobu tyle lat później?

- Mówię, że wyniósł gumę z więzienia, wiedząc, że są na niej ślady zębów Bundy'ego. Może wtedy miała to być tylko pamiątka, a później stała się czymś więcej, sposobem na zakpienie z nas.

- I gdzie ją trzymał, w lodówce?

- Możliwe. Ja bym ją trzymała właśnie w lodówce.

Dei odwróciła się z powrotem.

- A ty co sądzisz, Brass? - zapytała.

- Chyba powinnam była sama na to wpaść. Ale w słowach Rachel coś jest. Myślę, że Bob i Ted faktycznie się dogadali. Parę razy tam jeździł, żeby z nim porozmawiać. Czasem sam. Mógł wynieść gumę przy każdej okazji.

Rachel obserwowała, jak Dei potakująco kiwa głową. Zigo odchrząknął i odezwał się:

- Czyli to kolejna metoda, żeby się ujawnić i pokazać nam, że to zrobił i jaki jest chytry. Żeby z nas zadrwić. Najpierw GPS z odciskami palców, teraz guma.

- Tak właśnie sądzę - zgodziła się Doran.

Rachel wiedziała, że to nie takie proste. Nieświadomie pokręciła głową, a siedzący obok Zigo zauważył to.

- Nie zgadza się pani, agentko Walling?

Zauważyła, że Zigo chyba chodził do Randala Alperta na szkolenie z budowania relacji między współpracownikami.

- Po prostu nie sądzę, żeby to było aż tak proste. Patrzycie na to ze złej strony. Pamiętajcie, GPS i jego odciski pierwsze do nas dotarły, ale to guma była najpierw w tym grobie. Może planował, że to guma zostanie pierwsza odnaleziona. Zanim jeszcze wypłynęło bezpośrednie powiązanie z nim wszystkiego.

- Skoro tak, to co planował? - zapytała Dei.

- Nie wiem. Nie znam odpowiedzi. Mówię tylko, żebyście nie zakładali w tej chwili, że wiemy, jaki był plan czy nawet kolejność zdarzeń.

- Rachel, wiesz, że zawsze zachowujemy otwarty umysł. Przyjmujemy wszystkie fakty, jak się pojawiają, i nigdy nie przestajemy patrzeć na sprawę z różnych stron.

To brzmiało jak frazes przyklejony do ściany w biurze informacji publicznej w Quantico, gdzie agenci zawsze mieli gotowe oświadczenia dotyczące polityki informacyjnej i procedur, żeby wygłaszać je do

dziennikarzy przez telefon. Rachel postanowiła, że nie będzie się o to z Dei wyklócać. Musiała uważać, żeby zaraz nie mieli jej dość, i wyczuwała, że kończy się cierpliwość jej dawnej praktykantki.

- Tak, wiem - powiedziała.
- Dobrze, Brass, coś jeszcze? - zapytała Dei.
- Tyle. A co, mało?
- Okay. To porozmawiamy przy następnej okazji.

Miała na myśli następną sesję w sali telekonferencyjnej. Doran pożegnała się i rozłączyła, po czym pokładowy interkom milczał przez cały czas, gdy helikopter pokonywał granicę między surowym, niezabudowanym krajobrazem a kłębowiskiem Las Vegas. Rachel, patrząc w dół, wiedziała, że to tylko jeden rodzaj pustyni zmienia się w drugi. Tam w dole, pod beczkowatymi dachami z dachówki i papy, drapieży też czekali na nadejście nocy, żeby znaleźć ofiary.

21

Motel Executive Extended Stay, czyli na dłuższe delegacje, był tuż za południowym końcem bulwaru. Nie migał przed nim neon. Nie miał kasyna ani nie dawał programu rozrywkowego. Właściwie, nie widywałem tu też nikogo na delegacji. Zamieszkiwali tu ludzie z obrzeży społeczeństwa Vegas. Uzależnieni od hazardu, goście grający o wysokie stawki, ludzie z branży usług seksualnych, ludzie, którzy nie mogą stąd wyjechać, ale jednocześnie nie mogą sobie pozwolić na zapuszczenie korzeni.

Czyli tacy jak ja. Kiedy spotykało się sąsiadów w Dwóch X, jak to nazywali stali bywalcy, przeważnie pytali, ile czasu tu jesteś i ile jeszcze zostajesz, jakby chodziło o odsiadkę w więzieniu. Sądzę, że wielu mieszkańców motelu rzeczywiście było po wyrokach, ja wybrałem takie miejsce z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że wciąż spłacałem hipotekę za dom w Los Angeles i nie było mnie stać na mieszkanie przez dłuższy czas w takim Bellagio czy Mandalay Bay, czy nawet Rivierze. Po drugie, nie chciałem się tu zagnieźdzać. Nie chciałem czuć się tu na miejscu. Wiedziałem, że jak przyjdzie czas się zabierać, dobrze będzie po prostu przekręcić klucz w zamku i wyjechać.

Dotarłem do Vegas o trzeciej. Wiedziałem, że moja córka już wróciła z przedszkola i mogę pojechać ją odwiedzić. Bardzo tego chciałem, ale musiałem poczekać, bo przyjeżdżał Buddy Lockridge. Przede wszystkim praca. FBI wypuściło mnie z wozu kempingowego z notesem w kieszeni i mapą Terry'ego McCaleba w samochodzie. Zamierzałem je należycie wykorzystać, zanim agentka Dei ewentualnie zrozumie swój błąd i wróci po nie. Chciałem przekonać się, czy zdołam zrobić następny krok w sprawie szybciej niż ona.

Podjechałem pod Dwa X i zaparkowałem na swoim miejscu, tuż przy płocie oddzielającym motel od parkingu prywatnych odrzutowców na lotnisku McCarrana. Zauważyłem, że gulfstream 9, który stał tam, kiedy trzy dni wcześniej wyjeżdżałem z Vegas, stoi nadal. Obok niego parkował mniejszy, ale bardziej opływowy czarny odrzutowiec. Nie wiedziałem, jaki to typ, ale na milę pachniał forszą. Wysiadłem i wszedłem po schodach do mojej kawalerki na pierwszym piętrze. Była schludna, funkcjonalna i starałem się w niej spędzać jak najmniej czasu. Najlepszy był w niej balkon przylegający do living roomu. W reklamówkach, które dostawało się u pośredników, nazywał się „balkonem do palenia”. Był zbyt mały, aby pomieścić krzesło. Ale można było stanąć, oprzeć się o bardzo wysoką balustradę i podziwiać przylatujące samoloty miliarderów. I okazuje się, że często to robiłem. Stałem tam i żałowałem, że już nie palę. Często, gdy wychodziłem, któryś z gości z przyległych pokoi stał obok z papierosem. Z jednej strony miałem faceta, który liczy karty, „uprzywilejowanego gracza”, jak to nazywał, z drugiej zaś kobietę o nieokreślonym źródle dochodów. Moje rozmowy z nimi były zdawkowe. W takim miejscu nikt nie chciał ani zadawać zbyt wielu pytań, ani odpowiadać na nie.

Na wyświechtanej gumowej wycieraczce przed moimi drzwiami leżały numery „Sun” z dwóch ostatnich dni. Nie odwołałem prenumeraty, bo wiedziałem, że kobieta mieszkająca obok lubi je wykraść, przeczytać, a potem złożyć i z powrotem wsadzić w folię. Nie zdawała sobie sprawy, że ja o tym wiem.

Wszedłszy, cisnąłem gazety na podłogę i położyłem atlas McCaleba na stoliku w aneksie jadalnym. Wyjąłem notes z kieszeni i też odłożyłem. Podeszedłem do drzwi balkonowych i odsunąłem je, żeby trochę przewietrzyć. Ktoś, kto mieszkał tu przede mną, nie korzystał z balkonu do palenia i wszystko przesiąkło

dymem.

Po podłączeniu ładowarki telefonu do gniazdka pod stołem wystukałem numer Buddy'ego, ale nie odbierał, w końcu przełączyło mnie na pocztę głosową. Rozłączyłem się, nie zostawiając wiadomości. Potem zadzwoniłem do Gracieli McCaleb i zapytałem, czy FBI już u niej było.

- Dopiero co poszli - odpowiedziała. - Przeszukali tutaj mnóstwo rzeczy i popłynęli na łódź. Miałaś rację, zabierają ją ze sobą. Nie wiem, kiedy oddadzą.

- Widziałaś gdzie dzisiaj Buddy'ego?

- Buddy'ego? A co, miał tu przyjść?

- Nie, tak się tylko zastanawiałem.

- Wciąż jesteś u federalnych?

- Nie, wypuścili mnie kilka godzin temu. Jestem u siebie, w Vegas. Gracielo, będę dalej pracował nad tą sprawą.

- Dlaczego? Agenci powiedzieli mi, że to priorytetowe śledztwo. Myślą, że jego leki podmienił ten agent, Backus.

Tak naprawdę pytała, co takiego mogę zrobić, czego nie mogą wszechwładne siły Federalnego Biura Śledczego. Oczywiście, nic. Ale miałem w pamięci to, co Terry powiedział o mnie Gracieli. Że jak mu się coś stanie, to ja mam prowadzić śledztwo. Po czymś takim nie mogłem po prostu zrezygnować.

- Bo Terry tak chciał - odparłem. - Ale nie martw się, jak znajdę coś, do czego FBI nie dojdzie, to im wszystko powiem. Tak jak dzisiaj. Nie próbuję z nimi konkurować. Po prostu pracuję nad tą sprawą.

- Dobrze.

- Ale wiesz co, nie musisz im tego mówić; jak zapytają. Mogą nie być zadowoleni.

- Wiem.

- Dziękuję, Gracielo. Zadzwonię, gdy tylko coś się wykluje.

- Dziękuję, Harry. Powodzenia.

- Przyda mi się.

Skończywszy, spróbowałem jeszcze raz zadzwonić do Lockri-dge'a, ale znów usłyszałem pocztę głosową. Pomyślałem, że może jest w samolocie i ma wyłączony telefon. Przynajmniej na to liczyłem. Miałem nadzieję, że dostał się do łodzi i odpłynął z niej, zanim zobaczyli go agenci. Odłożyłem komórkę i poszedłem do lodówki. Zrobiłem sobie kanapkę z paczkowanego sera i białego chleba. Miałem w lodówce jedno i drugie na wypadek, gdyby moja córka podczas odwiedzin zechciała grzankę z serem. To było jedno z jej podstawowych dań. Darowałem sobie opiekanie. Zjadłem tę mdłą kanapkę na stojąco przy blacie, żeby wypełnić pustkę w żołądku. Potem usiadłem przy stole i otworzyłem notes na czystej kartce. Zrobiłem parę ćwiczeń relaksacyjnych, których nauczyłem się dawno temu na kursie hipnozy. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem czystą tablicę. Zaraz uniosłem kredę i zacząłem pisać na białym po czarnej powierzchni. Najlepiej, jak umiałem, odtworzyłem zapiski Terry'ego McCaleba ze sprawy zaginięć - te, które zabrało mi FBI. Kiedy miałem na tablicy już wszystko, co zdołałem sobie przypomnieć, zacząłem wpisywać do notesu. Myślę, że to była większość notatek, poza numerami telefonów. O nie zresztą tak bardzo nie dbałem, mogłem je odzyskać, dzwoniąc do biura numerów.

Przez otwarte drzwi balkonowe usłyszałem wysokie wycie silników odrzutowych. Kołował kolejny samolot. Silniki w końcu wyłączono i z powrotem zapanował spokój.

Otworzyłem atlas samochodowy McCaleba. Przejrzałem wszystkie kartki, na żadnej nie było notatek oprócz tej przedstawiającej południe Nevady i przyległe fragmenty Kalifornii i Arizony. Jeszcze raz przyglądałem się, co zrobił McCaleb. Obrysował kółkiem rezerwat Mojave, gdzie, jak wiedziałem, znajdował się zjazd na Zzyzx Road i miejsce ekshumacji zwłok. Na marginesie mapy zanotował słupek liczb i dodał je, otrzymując 86. Pod tym narysował linię i dopisał: „Faktycznie - 92”.

Domyślałem się, że są to mile. Przyjrzałem się mapie, były na niej odległości pomiędzy punktami na wszystkich głównych szczytach. W kilka sekund znalazłem liczby pasujące do McCaleb-owego słupka. W sumie dawały odległość pomiędzy Las Vegas i punktem na 1-15 pośrodku Mojave. Zzyzx Road była zbyt mała, toteż na mapie nie została podpisana. Domyślałem się jednak, że jest to ten nienazwany punkt na piętnastce, od którego McCaleb rozpoczął liczenie odległości.

Zapisałem te liczby w notesie i dodałem je sam. McCaleb dobrze policzył - 86 mil, według mapy. Ale potem nie zgodziło mu się albo wybrał inną trasę, która miała 92 mile. Ja sądziłem, że przejechał tę drogę

sam i z mapy wyszło mu inaczej niż z licznika w samochodzie. Może dlatego, że w Las Vegas miał jakiś cel podróży, a odległości na mapie liczone są od innego miejsca w mieście.

Tego celu podróży nie znałem. Nie miałem pojęcia, kiedy zrobiono te znaczki na mapie i czy są w jakiś sposób związane ze sprawą. Uważałem jednak, że są, bo zaczął liczyć od Zzyzx Road. To nie mógł być przypadek. Przypadków nie ma.

Z balkonu usłyszałem kasznięcie. Wiedziałem, że to pali kobieta z pokoju obok. Bardzo mnie intrygowała i jak tylko byłem w Dwóch X, trochę próbowałem ją obserwować. Nie paliła za dużo i wyglądało na to, że wychodzi na balkon tylko wtedy, gdy kołuje jakiś prywatny samolot. Jasne, niektórzy lubią oglądać samoloty. Ja jednak myślałem, że ona coś kombinuje, i tym bardziej mnie to ciekawiło. Może namierzała cele dla kasyn albo innych graczy.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Wychodząc na balkon, zerknąłem na prawo i zobaczyłem, jak moja sąsiadka wrzuca coś do pokoju. Nie chciała, żebym to zobaczył.

- Cześć, Jane, co słyhać?

- W porządku, Harry. Nie było cię widać ostatnio.

- Wyjeżdżałem na parę dni. O, co to tam stoi?

Popatrzyłem przez parking na asfalt. Kolejny opływowy czarny odrzutowiec kołował obok swego bliźniaka. Pod schodkami stała dobrana pod kolor czarna limuzyna. Z samolotu wysiadał facet w garniturze, ciemnych okularach i brązoworudym turbanie. Zdałem sobie sprawę, że jeśli tym przedmiotem, który cisnęła do pokoju, była lornetka albo aparat, to całkiem popsułem jej obserwację.

- Sułtan swingu - rzekłem, żeby tylko coś powiedzieć.

- Możliwe - odparła.

Zaciągnęła się papierosem i znów zakaszła. Widać było, że nie jest palaczką. Paliła, żeby mieć pretekst do przyglądania się z balkonu bogaczom i ich samolotom. Nie miała także piwnych oczu - kiedyś, gdy spotkałem ją na balkonie, zapomniała założyć barwionych szkieł kontaktowych - a jej czarne, ufarbowane henną włosy pewnie też naprawdę miały inny kolor.

Chciałem zapytać ją, co robi, jaka to gra, podstęp czy oszustwo. Ale także lubiłem nasze balkonowe rozmowy, poza tym nie byłem już gliniarzem. A szczerze mówiąc, jeśli nawet Jane (nie znałem jej nazwiska) prowadziła działalność zmierzającą do pozbawienia tych bogaczy części ich bogactwa, jakoś nie mogłem wykrzesać z siebie wystarczającego oburzenia. Całe miasto działało na tej zasadzie. Rzuć raz kośćmi w mieście żądy, a dostaniesz to, na co zasłużyłeś.

Wyczuwałem, że gdzieś w głębi skrywa odrobinę dobra. Zniszczonego, ale jednak dobra. Pewnego razu, gdy przyprowadziłem tutaj córkę, spotkaliśmy się na schodach i zatrzymała się, żeby porozmawiać z Maddie. Następnego dnia znalazłem na wycieracze obok gazet małą pluszową panterę.

- Jak tam twoja córka? - zapytała, jakby czytała mi w myślach.

- Dobrze. Ostatnio zapytała mnie, czy Burger King i Dairy Queen są małżeństwem.

Uśmiechnęła się i znów zobaczyłem w jej oczach ten smutek. Wiedziałem, że musi jakoś wiązać się z dziećmi. Spytałem ją o coś, co mnie od dawna nurtowało.

- Masz dzieci?

- Jedno. Córkę, trochę starszą niż twoja. Ale ona nie jest już ze mną. Mieszka we Francji.

Tyle powiedziała i nie drążyłem dalej, czując się winny, bo miałem w życiu to, co miałem; zanim zadałem pytanie, wiedziałem, że wywołam u niej żal. Ale po moim pytaniu i ona zadała jedno, które dawno chciała zadać.

- Harry, ty jesteś gliniarzem?

Pokręciłem głową.

- Byłem. W LA. Skąd wiesz?

- Tak się domyśliłam. Może wtedy, gdy zobaczyłam, jak idziesz z córką do samochodu. Jakbyś był gotowy skoczyć do ataku na wszystko, co się ruszy. Na wszystko, co złe.

Wzruszyłem ramionami. Trafiła.

- Nawet mi się to spodobało - dodała. - A co teraz robisz?

- Nic specjalnego. Ale zastanawiam się nad tym, wiesz...

- Tak.

Stawaliśmy się czymś więcej niż parą sąsiadów prowadzących powierzchowną pogawędkę.

- A ty? - zapytałem.

- Ja? Ja tylko na coś czekam.

I tyle. Wiedziałem, że to koniec tematu. Odwróciłem wzrok od niej i patrzyłem na kolejnego sultana czy szejka schodzącego po schodkach z samolotu. Kierowca limuzyny czekał już z otwartymi drzwiami. Wyglądało, że ma coś pod marynarką, coś, co mógłby wyciągnąć, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Spojrzałem na Jane.

- Do zobaczenia, Jane.

- Cześć, Harry. Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię. Uważaj na siebie.

- Ty też.

Wróciwszy do aneksu jadalnego, jeszcze raz wykręciłem numer Buddy'ego, z tym samym skutkiem. Czyli żadnym. Uniosłem długopis i zabębniłem niecierpliwie w notatnik. Powinien już odebrać. Nie zacząłem się przejmować, zacząłem się wkurzać. Mówiono o Buddym, że nie można na nim polegać. Nie miałem czasu na takie rzeczy.

Wstałem, wszedłem do wnęki kuchennej i wyciągnąłem piwo z lodówki pod blatem. Znalazłem otwieracz. Zdjąłem z butelki kapsel i pociągnąłem solidny łyk. Piwo było dobre i słucało pustynny kurz. Chyba zapracowałem na nie.

Wróciłem do drzwi balkonowych, ale nie wyszedłem. Nie chciałem znowu sfluszyć Jane. Pozostając wewnątrz, wyrzuciłem i zobaczyłem, że limuzyna już pojechała, a nowy odrzutowiec został zamknięty. Wychyliłem się i zajrzałem na balkon Jane. Nie było jej. Zauważyłem, że zgasła papierosa w popielniczce stojącej na balustradzie, wypaliwszy zaledwie jedną czwartą. Ktoś powinien jej powiedzieć, że się w ten sposób zdradza.

Parę minut później skończyło się piwo. Wróciłem do aneksu jadalnego popatrzeć na moje notatki i atlas samochodowy McCa-leba. Wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Nie mogłem tylko tego zidentyfikować. Było gdzieś blisko. Ale na razie nie mogłem tego uchwycić.

Zadzwoiła komórka. Wreszcie, Buddy Lockridge.

- Dzwoniłeś do mnie?

- Tak. Ale mówiłem ci, żebyś nie dzwonił pod ten numer.

- Wiem, ale przed chwilą do mnie dzwoniłeś. Pomyślałem, że to oznacza, że spokojnie mogę.

- A gdybym to nie był ja?

- Mam wyświetlanie numeru. Wiedziałem, że to ty.

- No tak, ale skąd wiedziałbyś, że to ja? A gdyby ktoś inny dzwonił z mojego telefonu?

- Oj.

- Tak, Buddy, „oj”. Słuchaj no, jeśli masz dla mnie pracować, to musisz słuchać, co mówię.

- No dobra, dobra, rozumiem.

- W porządku. Gdzie jesteś?

- W Vegas, człowieku. Jak mi kazałeś.

- Masz te rzeczy z łodzi?

- Mam.

- Żadnego FBI?

- Człowieku, zero. Wszystko gra.

- Gdzie jesteś teraz?

Rozmawiając, zauważyłem coś w moich notatkach i przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz z artykułu o zaginięciach w „Timesie”. A dokładniej, przypomniałem sobie kółko, które narysował Terry na wycinku.

- Jestem w B - powiedział Lockridge.

- B? Co za B?

- Duże B, koleś.

- Buddy, o czym ty gadasz? Gdzie ty jesteś?

Odpowiedział szeptem.

- Słuchaj, pomyślałem, że wszystko jest ściśle tajne. Może ktoś podsłuchuje.

- Buddy, mam gdzieś, czy ktoś podsłuchuje. Daruj sobie te kody. Gdzie jest to duże B?

- Bellagio. To prosty szyfr, koleś.

- Prosty gość, to i prosty szyfr. Mówisz, że wzięłeś pokój w Bellagio na mój rachunek?

- Tak.
- No to się wymelduj.
- Co takiego? Dopiero tu wszedłem.
- Nie będę płacił za Bellagio. Wymelduj się, przyjedź i weź sobie pokój tu, gdzie ja. Gdyby było mnie stać na ulokowanie cię w Bellagio, sam bym tam mieszkał.
- Żadnego budżetu na wydatki, co?
- Żadnego.
- No dobra. To gdzie jesteś?
Podałem mu adres i nazwę Dwóch X i od razu wiedział, że to jakaś nora na peryferiach.

- Mają tam płatne kanały w kablówce?
- Gównu mają. Przyjeżdżaj i tyle.
- Wiesz co, posłuchaj. Już się tu zameldowałem. Nie oddadzą mi forsy, bo pobrali już z mojej karty, a poza tym zdążyłem nasrać do kibla. Czyli jakbym wziął ten pokój, no wiesz. Zostanę jedną noc, a na następną przyjadę do tego twojego motelu.

Będzie tylko jedna, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego.

- Kolego, różnica ceny między Bellagio a tą norą idzie z twojej wypłaty. Nie kazałem ci jechać do najdroższego hotelu przy bulwarze.

- Dobra, dobra, jak chcesz, to sobie potracaj. Niech ci będzie.

Wszystko mi jedno.

- Pewnie, że tak zrobię. Masz samochód?

- Nie, wziąłem taksówkę.

- No dobra, zjeżdżaj windą na dół, bierz następną i przywoź do mnie te rzeczy.

- A mogę najpierw wziąć masaż?

- Jasna cholera, Buddy, jeśli zaraz nie...

- Żartowałem! Żartowałem tylko! Harry, czy ty się nie znasz na żartach? Już jadę.

- Dobra. Czekam.

Rozłączyłem się bez pożegnania i natychmiast zapomniałem o rozmowie. Byłem podekscytowany. Szedłem do przodu. Wydawało mi się, że w niewytłumaczalny sposób rozwiązałem jedną z zagadek. Popatrzyłem na odtworzone przez siebie notatki McCaleba, zwłaszcza na jedną linijkę.

Teoria trójkąta? - 1 punkt daje 3

A na wycinku z gazety Terry zakreślił słowo „kółko” w wypowiedzi detektywa z Vegas, dotyczącej przebiegu samochodu wypożyczonego przez jednego z zaginionych. Ten przebieg wyznaczał spore koło, w którym śledczy musieli szukać tropów zaginionego.

Uważałem teraz, że McCaleb zakreślił to słowo, bo myślał, że się mylą. Strefa poszukiwań nie była kołem. Była trójkątem, co oznaczało, że mile przejechane przez samochód tworzą trzy jego boki. Punktem numer jeden było lotnisko, czyli początek. Tam ofiara wypożyczyła samochód i przejechała do punktu dwa. W punkcie dwa spotkała porywacza. Punktem numer trzy było miejsce, gdzie napastnik zawiózł swą ofiarę. A potem samochód został odstawiony do punktu jeden, zamykając trójkąt.

Kiedy McCaleb notował te słowa, nie wiedział jeszcze o Zzyzx Road. Miał jeden punkt - wypożyczalnię samochodów na lotnisku. Zapisał więc „1 punkt daje 3”, bo wiedział, że jeśli pozna jeszcze jeden punkt trójkąta, potrafi ustalić także ten trzeci.

- Jeden więcej punkt trójkąta oznacza, że możemy ustalić wszystkie trzy - powiedziałem do siebie na głos.

Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Byłem nakręcony i sądziłem, że zbliżam się do czegoś. To prawda, porywacz mógł po drodze zatrzymać się dowolną liczbą razy, tym samym obalając teorię trójkąta. Ale jeśli nie, jeżeli nie rozpraszał się i w skupieniu załatwiał jedną sprawę naraz, teoria byłaby prawdziwa. Oznaczałoby to, że trzecim punktem trójkąta jest Zzyzx Road, bo to byłby ostatni postój samochodu przed powrotem na lotnisko. Nieznany był punkt numer dwa. To było przecięcie. Miejsce, gdzie zetknęli się drapieżnik i ofiara. Jeszcze nie znałem jego pozycji, ale dzięki mojemu milczącemu partnerowi wiedziałem, jak ją ustalić.

22

Backus dostrzegł Rachel wyjeżdżającą z bocznego parkingu budynku FBI w ciemnoniebieskim fordzie crown victoria. Skręciła w Charleston i jechała w kierunku Las Vegas Boulevard. Został z tyłu. Siedział za kierownicą forda mustanga, rocznik 1997, z tablicami z Utah. Zabrał go Elijah Willowsowi, który już go nie potrzebował. Spuścił auto Rachel z oczu i obserwował ulicę, czekając na ruch.

Pontiac grand am z dwoma osobami w środku wyjechał na ulicę z sąsiedniego biurowca. Pojechał w tym samym kierunku co Rachel.

- Jeden jest - powiedział Backus do siebie.

Czekał dalej. Zauważył ciemnoniebieską terenówkę z trzema antenami, wyjeżdżającą z parkingu FBI i skręcającą w prawo w Charleston, czyli w przeciwnym kierunku niż Rachel. Kolejny grand am wyjechał i pojechał za tamtym.

- Jest drugi i trzeci.

Backus wiedział, że to tak zwana obserwacja z lotu ptaka. Jeden samochód prowadził obserwację wzrokową tylko z grubsza, a podejrzany był śledzony przez satelitę. Rachel dostała samochód, w którym był transponder GPS, tylko czy o tym wiedziała.

Backusowi było to na rękę. Wiedział, że nadal może ją śledzić. Wystarczyło jechać za samochodem obserwacyjnym - dotrze się na miejsce tak czy inaczej.

Uruchomił mustanga. Zanim wyjechał na Charleston, żeby dogonić grand ama, sięgnął do schowka pasażera. Na dłoniach miał gumowe rękawiczki chirurgiczne, w małym rozmiarze, żeby rozciągnięte były prawie niezauważalne z większej odległości.

Backus uśmiechnął się. W schowku leżał malutki dwustrzałowy pistolet, który pięknie uzupełni jego broń. Wiedział, że doskonale ocenił Elijah Willowsa, kiedy pierwszy raz zobaczył go wychodzącego z salonu gier Slots-o-Fun na południowej stronie bulwaru. Tak, szukał właśnie kogoś takiego - tego samego wzrostu i budowy ciała co on - ale wyczuł w nim także samotnika. Faceta, który żyje sam i to gdzieś na marginesie. Pistolet w schowku zdawał się to potwierdzać. Backus uwierzył, że dobrze wybrał.

Wcisnął gaz i z hałasem włączył się do ruchu. Zrobił to celowo. Wiedział, że gdyby był jeszcze czwarty samochód, ogon, najmniej podejrzane wydałoby się auto, którego kierowca beczelnie zwraca na siebie uwagę.

23

Wszystko sprowadziło się do szkolnej geometrii. Miałem dwa z trzech punktów trójkąta, musiałem znaleźć trzeci. Proste i zarazem takie trudne. Aby znaleźć ten punkt, musiałem znać całkowite długości wszystkich trzech boków. Usiadłem, otworzyłem notatnik na czystej kartce i zacząłem pracować nad mapą McCaleba.

Z artykułu w „Timesie” pamiętałem, że samochód z wypożyczalni miał przejechane 328 mil. Jeśli dobrze rozumiałem teorię McCaleba, tyle wynosił całkowity obwód trójkąta. Dzięki zapiskom w atlasie wiedziałem, że jeden jego bok - od Zzyzx do lotniska w Vegas - ma długość 92 mil. Na dwa inne boki zostawało 236. Tę liczbę można było podzielić w rozmaity sposób, wyznaczając na mapie milion różnych wierzchołków tego trójkąta. Żeby dokładnie go wykreślić, potrzebowałem cyrkla, ale poradziłem sobie tym, co miałem.

Według legendy do mapy, jeden cal równał się 50 milom. Wyjąłem portfel i wyciągnąłem z niego prawo jazdy. Przyłożywszy je do skali, ustaliłem, że jego bok ma długość 100 mil. Korzystając z niego, wyrysowałem kilka trójkątów, które w przybliżeniu dawały pozostałe 236 mil. Rysowałem zarówno na północ, jak i na południe od podstawy, którą stanowiła droga od Zzyzx do Las Vegas. Przez dwadzieścia minut analizowałem różne możliwości, kreśląc trzeci punkt aż po Arizonę i Wielki Kanion albo na północ,

po poligony bombowe i artyleryjskie bazy lotniczej w Nellis. Zaraz się zniechęciłem, widząc, że możliwości jest bez liku i że może nawet już wyznaczyłem poprawnie ten wierzchołek, tylko o tym nie wiem.

Wstałem i poszedłem do małej lodówki po następne piwo. Wciąż zły na siebie otworzyłem telefon i zadzwoniłem do Buddy'ego Lockridge'a. Nie odebrał, przełączyło mnie na pocztę.

- Buddy, gdzie ty, kurwa, jesteś?

I trzasnąłem pokrywką telefonu. Nie żebym teraz bardzo potrzebował Buddy'ego, po prostu musiałem na kogoś krzyknąć, a on sam się prosił.

Wyszedłem z powrotem na balkon i zająłem do Jane. Nie było jej. Poczułem leciutkie rozczarowanie. Stanowiła dla mnie zagadkę i lubiłem z nią rozmawiać. Rozejrzałem się po parking, zerknąłem na odrzutowce za ogrodzeniem. Zatrzymałem wzrok na sylwetce mężczyzny stojącego w przeciwnym rogu parkingu. Miał na głowie czarną bejsbolówkę ze złotymi literami, których nie dałem rady odczytać. Był gładko ogolony, nosił okulary lustrzanki i białą koszulę. Dolną połowę ciała zakrywał samochód, za którym stał. Wyglądało, że patrzy wprost na mnie.

Prawie przez dwie minuty ani drgnął. Tak samo ja. Kusiło mnie, żeby wyjść z pokoju i zejść na parking, ale obawiałem się, że jak spuszczę go z oczu choćby na dwie sekundy, to zaraz zniknie.

Staliśmy tak, krzyżując spojrzenia, aż w końcu facet wyłamał się i ruszył przez parking. Kiedy wyszedł z samochodu, zauważyłem, że nosi czarne szorty i jakiś pas z narzędziami. Wtedy też przeczytałem słowo OCHRONA na jego koszuli i zrozumiałem, że najwyraźniej pracuje dla Dwóch X. Wszedł w przejście pomiędzy dwoma budynkami motelu i zniknął mi z oczu.

Dałem sobie z nim spokój. Wprawdzie pierwszy raz widziałem tu ochroniarza w biały dzień, ale nie było to aż tak podejrzane. Znów zająłem na sąsiedni balkon - ani śladu Jane - i wróciłem do środka, do stołu jadalnego.

Tym razem podszedłem do geometrii inaczej. Nie bawiłem się w mile, po prostu patrzyłem na mapę. Po poprzednich ćwiczeniach już mniej więcej wiedziałem, jak daleko na mapie może sięgać mój trójkąt. Zacząłem studiować drogi i miasta w tej strefie. Za każdym razem, gdy zainteresowało mnie jakieś miejsce, mierzyłem odległości, żeby sprawdzić, czy da się zbudować trójkąt o obwodzie 328 mil.

Zmierzyłem parędziesiąt miejsc, za każdym razem trafiając z odległością jak kulą w płot, aż wreszcie wypatrzyłem po północnej stronie podstawy trójkąta miejscowość, która była tak mała, że zaznaczono ją tylko drobną kropką, według legendy przeznaczoną dla miejsc o najmniejszej liczbie mieszkańców. Nazywało się to Clear. Znałem je i nagle poczułem emocje. W przebiegu myśli zdałem sobie sprawę, że pasuje do profilu Poety.

Za pomocą prawa jazdy zmierzyłem odległości. Clear było mniej więcej 80 mil na północ od Las Vegas, jadąc autostradą Blue Diamond. Stamtąd, wiejskimi drogami, przez granicę Kalifornii i dalej przez Dolinę Piaszczystą do autostrady numer 15 i Zzyzx, było około 150. Dodając długość podstawy, od Zzyzx do lotniska w Las Vegas, otrzymałem trójkąt o obwodzie 322 mil, zaledwie 6 mniej niż całkowity przebieg samochodu należącego do jednego z zaginionych.

Krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. Clear, Nevada. Nigdy tam nie byłem, ale wiedziałem, że to miasto burdeli i innych usług, jakie wyrastają wokół takich przybytków. Jako gliniarz kilka razy miałem okazję poszukiwać podejrzanych, którzy tam się zamelinowali. Parę razy zdarzyło się, że podejrzany, który dobrowolnie oddał się w moje ręce w Los Angeles, zeznał, że kilka ostatnich nocy wolności spędził z panienkami z Clear w Nevadzie.

Było to miejsce, gdzie mężczyźni wybierali się dyskretnie, uważając, by nie zostawić śladu, który zdradziłby, że nurzali się w moralnym zepsuciu. Mężczyźni żonaci. Ludzie sukcesu, ludzie pobożni. Bardzo to przypominało dzielnicę czerwonych latarni w Amsterdamie, gdzie Poeta znajdował swe poprzednie ofiary.

W pracy gliniarza polega się na intuicji i przecuciach. Liczą się tylko fakty i dowody, nie da się zaprzeczyć. Ale to instynkt naprowadza cię na nie, a potem spaja je jak klej. Teraz właśnie podążałem za intuicją. Przecucie mówiło mi, że to Clear. Wiedziałem, że jak zechcę, mogę siedzieć przy stole i godzinami rysować trójkąty i punkty na mapie. Ale to trójkąt z wierzchołkiem w Clear sprawił, że zamarłem, choć w żyłach buzowała mi adrenalina. Wierzyłem, że narysowałem trójkąt McCaleba. Nie, więcej, niż wierzyłem. Ja to wiedziałem. Mój niemy partner. Wykorzystując jego tajemnicze zapiski, zorientowałem się, dokąd mam jechać. Przyłożyłem do mapy prawo jazdy jak linijkę i nakreśliłem dwie linie proste, zamykając trójkąt. Stuknąłem pisakiem we wszystkie trzy punkty na mapie i wstałem.

24

Zegar na ścianie aneksu jadalnego pokazywał prawie piątą. Zdecydowałem, że jest za późno, by jeszcze dziś jechać na północ. Jak przyjadę, będzie już prawie ciemno, co mi nie odpowiadało. To może być niebezpieczne. Zaraz zaplanowałem, że wyruszę o świcie i będę miał w Clear prawie cały dzień do dyspozycji.

Właśnie zastanawiałem się, czego potrzebuję na drogę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wzdrygnąłem się, choć przecież się go spodziewałem. Wstałem, żeby wpuścić Buddy'ego Lockridge'a.

Harry Bosch otworzył drzwi. Rachel widziała, że jest zirytowany. Właśnie miał się odezwać, ale zobaczył, że to ona, i opanował się. To podpowiedziało jej, że czeka na kogoś i że ten ktoś się spóźnia.

- Agentka Walling.
- Czekasz pan na kogoś?
- Eee... nie. Właściwie nie.

Obserwowała, jak odwraca od niej wzrok, wodząc nim po parkingu.

- Mogę wejść?
- Przepraszam, oczywiście, proszę.

Cofnął się i przytrzymał drzwi. Weszła do małej, ponurej kawalerki, z nielicznymi meblami w przygnębiających kolorach. Po lewej był aneks jadalny ze stołem, mniej więcej z lat 60., a na nim - butelka piwa, notatnik i atlas samochodowy otwarty na mapie Nevady. Bosch szybko podszedł do stołu, zamknął atlas, notes i położył jedno na drugim. Wtedy zauważyła, że na stole leży także jego prawo jazdy.

- Co sprowadza panią w te eleganckie progi? - zapytał.

- Po prostu chciałam sprawdzić, co pan zamierza - powiedziała, starając się, by nie zabrzmiało to podejrzliwie. - Mam nadzieję, że nasze powitanie dzisiaj w wozie kempingowym nie było dla pana zbyt nieprzyjemne.

- Nie. Wasz teren, wasze prawo.
- Pewnie tak.
- Jak mnie pani znalazła? Weszła dalej do pokoju.
- Płaci pan za to lokum kartą.

Bosch skinął głową, ale nie wydawał się zaskoczony ani szybkością, ani wątpliwą legalnością tego poszukiwania. Ciągnęła dalej, wskazując brodą atlas na stole.

- Planuje pan jakieś wakacje? Teraz, jak już pan nie pracuje nad tą sprawą.
- Tak, małą wycieczkę.
- Dokąd?
- Jeszcze nie jestem pewien.

Uśmiechnęła się i zwróciła ku otwartym drzwiom balkonowym. Na asfalcie za parkingiem motelu widać było luksusowy czarny odrzutowiec.

- Według danych z karty kredytowej wynajmuje pan tutaj pokój niemal od dziewięciu miesięcy. Czasem tak, czasem nie, ale przeważnie pan tu jest.

- Tak, dali mi zniżkę za długi termin. Wychodzi jakieś dwadzieścia dolców za dzień czy coś koło tego.
- I tak chyba za dużo.

Obrócił się i zlustrował pokój, jakby po raz pierwszy.

- Tak.

Oboje wciąż stali. Rachel wiedziała, że on nie chce, by siadała, by zostawała, ponieważ na kogoś czekał. Postanowiła sama zadziałać. Usiadła nieproszona na wytartej kanapie.

- Dlaczego od dziewięciu miesięcy trzyma pan ten pokój? - zapytała.

Odsunął krzesło od stołu jadalnego, przystawił do kanapy i usiadł.

- To nie ma nic wspólnego z kasynami, jeśli o tym pani myśli.
- Nie, nie myślałam o tym. Po prostu jestem ciekawa i tyle. Wie pan, nie wygląda mi pan na hazardzistę - nie o pieniądze pan gra. A ten motel to przystań dla takich nałogowców.

Skinął głową.

- Pewnie. Nałogowców takich i innych. Ja tu jestem, bo moja córka mieszka w tym mieście z matką. Próbowałem ją lepiej poznać. Chyba to ona jest moim nałogiem.

- Ile ma lat?

- Niedługo skończy sześć.

- Ładnie. Jej matka to zapewne Eleanor Wish, była agentka FBI?

- Tak, ona. W czym mogę pomóc, agentko Walling?

Uśmiechnęła się. Podobał jej się ten Bosch. Od razu przechodził do sedna. Nikomu i niczemu nie pozwalał się onieśmielić. Zastanawiała się, skąd się to bierze. Czy to wynik noszenia odznaki, czy efekt zgromadzonych doświadczeń?

- Po pierwsze, może mi pan mówić Rachel. I myślę, że to raczej ja mogę coś dla pana zrobić. Chciał pan, żebym się z panem skontaktowała, prawda?

Zaśmiał się, ale nie było w tym wesołości.

- O czym ty mówisz, Rachel?

- O przesłuchaniu. Te spojrzenia, kiwnięcia głowy, uśmiezki i tak dalej. Wybrał mnie pan tam na kogoś w rodzaju sprzymierzeńca. Próbował nawiązać kontakt. Wyrównać trochę siły, żeby nie było trzech na jednego, tylko dwóch na dwóch.

Bosch wzruszył ramionami i wyjrzał przez balkon.

- Tak po omacku strzelałem. No bo... bo nie wiem, wydawało mi się, że nie traktują cię równo, i tyle. A wiem, jak to jest.

- Ostatni raz traktowali mnie jak równą osiem lat temu. Spojrzał z powrotem na nią.

- To wszystko z powodu Backusa?

- Tak, choć nie tylko. Popeliłam kilka błędów, a Biuro nigdy nie zapomina.

- Też wiem, jak to jest.

Wstał.

- Piję piwo - powiedział. - Chcesz jedno czy jesteś na służbie?

- Na jedno się skuszę.

Wstał, wziął ze stołu w aneksie otwartą butelkę i poszedł do małej kuchenki. Wstawił butelkę do zlewu i wyciągnął z lodówki dwie następne. Zdjął kapsle i przyniósł piwo. Rachel wiedziała, że musi być ostrożna i czujna. W takich sytuacjach to, kto kim manipuluje, łatwo się zmienia.

- Są tu szklanki w szafce, ale jakieś podejrzane - rzekł, wręczając jej butelkę.

- Może być z gwinta.

Wzięła ją i nie omieszkała się z nim stuknąć. Potem pociągnęła niewielki łyk. Sierra Nevada, smakowało niezłe. Wiedziała, że przygląda się, czy ona naprawdę pije. Otarła usta wierzchem dłoni, choć wcale nie musiała.

- To jest to.

- No pewnie. Jaki kawałek tej sprawy ci przydzielili? A może po prostu masz być w pobliżu i trzymać głębę na kłódkę - tak jak agent Zigo?

Rachel zaśmiała się krótko.

- O tak, chyba jeszcze nie słyszałam, żeby powiedział całe zda-nie. Ale w sumie jestem tu dopiero od kilku dni. W zasadzie sprowadzili mnie tutaj, bo nie mieli wyboru. Mam swoją przeszłość z Bobem Backusem, a GPS został wysłany do mnie, do Quantico, mimo że moja noga nie powstała tam od ośmiu lat. Jak zauważyłeś podczas przesłuchania, ta sprawa może mnie dotyczyć. Trudno powiedzieć tak czy nie, ale jestem w to wmieszana.

- A skąd cię sprowadzili?

- Z Rapid City.

Bosch się skrzywił.

- Nie, tam było w porządku - wyjaśniła. - Przedtem było Minot, Dakota Północna. Jednoosobowe biuro. Zdaje się, że w drugim roku mojego pobytu nawet przyszła tam wiosna.

- Aj, to boli. W LA, jak chcą się ciebie pozbyć, to aplikują tak zwaną terapię autostradową: przenoszą do posterunku najdalszego od twojego domu, żeby człowiek codziennie stał w korkach. Kilka lat

dojazdów po dwie godziny dziennie i goście oddają odznaki.

- Tobie się to przydarzyło?
- Nie. Zapewne dobrze wiesz, co mi się przydarzyło.

Szybko zmieniła temat.

- A w Biurze mają do dyspozycji cały kraj i jeszcze trochę. Nie nazywają tego „terapią autostradową”, tylko „zesłaniem”. Wysyłają cię tam, gdzie nikt nie chce sam jechać. Takich miejsc, żeby w razie potrzeby zagrzebać gdzieś agenta, mają na pęczki. W Minot wszystko kręciło się wokół rezerwatów Indian, a oni tam nie patrzą przychylnie na federalnych. W Rapid City jest odrobinę lepiej. Przynajmniej są jeszcze inni agenci. Tacy sami rozbitkowie jak ja. Właściwie to nawet miło tam się siedzi, bo mamy luzu. Rozumiesz.

- Pewnie. Ile tam już jesteś?
- Osiem lat.
- Jezu.

Machnęła ręką, jakby był to drobiazg niewart wspomnienia. Wiedziała, że zaczyna zyskiwać jego przychylność. Trochę jeszcze powie, a jej zaufa. Tego zaufania potrzebowała.

- Powiedz mi, czy to dlatego, że byłeś tym posłańcem? Bo postrzeliłaś Backusa? Czy dlatego że uciekłeś?

- Wszystko to i jeszcze kilka rzeczy. Współpraca z wrogiem, zucie gumy na lekcjach, to co zwykle.

Kiwnął głową.

- Rachel, ale dlaczego po prostu nie odeszłaś?
- Wiesz co, Harry, nie chciałam, żeby wygrali.

Znow skinął głową. W jego oczach zobaczyła błysk. To do niego trafiło. Wiedziała o tym i to sprawiło jej przyjemność.

- Harry, powiem ci coś nieoficjalnie, dobra?
- Jasne.

- Mam teraz za zadanie mieć cię na oku.

- Mnie? Po co? Nie wiem, czy słuchaliście wczoraj w tym waszym biurze na kółkach, ale zostałem wykopany z tej sprawy.

- Tak i na pewno od razu się spakowałeś i zrezygnowałeś.

Odwróciła głowę, spojrzała na stół, na notatnik i mapę. Potem wróciła wzrokiem do niego i powiedziała stanowczym, choć spokojnym tonem:

- Mam cię obserwować i zatrzymać, gdy tylko zbliżysz się na krok do tego śledztwa.
- Proszę posłuchać, agentko Walling, nie wydaje mi się...

- Co to nagle za formalizm.

- Okay, niech będzie Rachel. Jeśli to jakaś groźba, to jasne, przyjąłem do wiadomości. Ale nie wydaje mi się, żebyś...

- Nie, ja ci nie grożę. Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że nie planuję wykonywać tego zadania.

Bosch przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- To znaczy?

- To znaczy, że cię sprawdziłam. I miałeś rację. Wiem o tobie sporo, na przykład, jakim byłeś gliniarzem. Wiem, co się kiedyś wydarzyło między tobą a FBI. Wiem to wszystko i zdaję sobie sprawę, że jesteś kimś więcej, niż się z pozoru wydaje. Domyślam się, że chowasz coś w zanadrzu, że powiedziałeś nam dzisiaj tylko tyle, ile było konieczne, żeby bez problemu wyjść z naszego wozu.

Przerwała i czekała. W końcu odpowiedział:

- Zaraz, jeśli to wszystko ma być komplementem, to kupuję go. Ale do czego zmierzasz?

- Zmierzam do tego, że ja też mam swoją przeszłość. I nie zamierzam siedzieć grzecznie z boku, kiedy oni polują na Backusa i zostawiają mnie w oddziale terenowym, żebym parzyła kawę. Nie tym razem. Chcę dotrzeć do wszystkiego pierwsza, a skoro to jest miasto hazardu, ja stawiam na ciebie.

Bosch przez dłuższą chwilę nie poruszył się i nic nie mówił. Kiedy myślał nad tym wszystkim, co powiedziała, obserwowała jego ciemne oczy. Wiedziała, że bardzo dużo ryzykuje. Ale po ośmiu latach w Badlands patrzyła na ryzyko inaczej, niż kiedy pracowała w Quantico.

- O coś cię jeszcze zapytam - rzekł wreszcie. - Dlaczego właściwie nie trzymają cię w hotelu z dwoma strażnikami pod drzwiami? No wiesz, na wypadek gdyby zjawił się Backus. Sama powiedziałaś: w tym

wszystkim może chodzić o ciebie. Najpierw Terry McCaleb, teraz ty.

Pokręciła głową, odrzucając ten pomysł.

- Bo pewnie chcą mnie wykorzystać. Przypuszczam, że jestem przynętą.

- Serio?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie jestem wtajemniczona w całość śledztwa. Ale tak czy inaczej to nie ma znaczenia. Jeśli on chce mnie dostać, to niech spróbuje. Nie będę się chować w pokoju w hotelu. Nie, kiedy on jest na wolności, a ja mam ze sobą moich dwóch kumpli, siga i glocka.

- Och, agentka z dwoma pistoletami. To ciekawe. Większość dwulufowych gliniarzy, jakich znałem, miała poza tym arsenałem trochę za dużo testosteronu. Niespecjalnie lubiłem z nimi pracować.

Powiedział to tak, jakby się uśmiechał. Wiedziała, że już prawie połknął haczyk.

- Nie noszę obu naraz. Jeden jest służbowy, drugi prywatny. A ty próbujesz zmienić temat.

- Jaki temat?

- Twój następny ruch. Słuchaj, wiesz, jak mówią w filmach? Możemy zagrać brutalnie albo...

- ...dać ci w łeb książką telefoniczną.

- Właśnie. Pracujesz sam, idziesz pod prąd, ale najwyraźniej masz dobrą intuicję i pewnie wiesz parę rzeczy, których my jeszcze nie wiemy. Dlaczego by nie pracować razem?

- A co się stanie, jak się o tym dowie agentka Dei i reszta FBI?

- Mogę zaryzykować, najwyżej przegram. Ale to nie będzie bardzo bolesne. Bo co mi mogą zrobić? Wysłać mnie z powrotem do Minot? Też mi coś.

Skinął głową. Obserwowała go, próbowała przeniknąć przez te ciemne oczy, by zobaczyć, co kryje się w jego głowie. Według niej Bosch przedkładał dobro sprawy nad próżność i drobiazgi. Przemyśli to i w końcu dojdzie, że tak właśnie trzeba postąpić.

W końcu ponownie kiwnął głową.

- Co robisz jutro rano? - spytał.

- Śledzę cię. A bo co?

- Gdzie mieszkasz?

- W Embassy Suites na Paradise, koło Harmont.

- Przyjadę po ciebie o ósmej.

- A dokąd jedziemy?

- Do wierzchołka trójkąta.

- Co to znaczy? Gdzie?

- Jutro ci wytłumaczę. Rachel, myślę, że mogę ci zaufać. Ale idźmy krok po kroku. Pojedziesz ze mną?

- Dobrze, Bosch, pojedę.

- Co tak formalnie teraz do mnie mówisz?

- Przejęczyłam się. Nie chciałam formalnie.

Uśmiechnęła się i obserwowała, jak próbuje odczytać ten uśmiech.

- No dobra, to do zobaczenia jutro - rzekł. - Muszę teraz się przygotować, idę odwiedzić córkę.

Wstała, ona też. Wzięła jeszcze jeden łyk piwa i odstawiła je do połowy wypite na stół w aneksie jadalnym.

- Jutro o ósmej - powiedziała. - Przyjeżdżasz po mnie?

- Tak.

- Jesteś pewien, że nie chcesz jechać moim wozem? Żeby Wujek Sam płacił za paliwo?

- Obejdzie się. Czy możesz wydstawić zdjęcia tych zaginionych? Były na wycinku z gazety, ale agentka Dei mi go zabrała.

- Zobaczą, co da się zrobić. W biurze terenowym pewnie nawet nie zauważą jego braku.

- I jeszcze jedna rzecz. Weź obu swoich kumpli.

- Jakich kumpli?

- Siga i glocka.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Nie możesz już nosić broni, prawda? W każdym razie legalnie?

- Nie mogę. I nie noszę.
 - Musisz się czuć nagi.
 - No, można tak powiedzieć.
- Znów się doń uśmiechnęła.
- Harry, ja ci nie dam broni. Nie ma mowy.
- Wzruszył ramionami.
- Musiałem zapytać.

Otworzył drzwi, Rachel wyszła. Kiedy je zamknął, zeszła po schodach na parking i spojrzała z powrotem na drzwi. Zastanawiała się, czy obserwuje ją przez wizjer. Wsiadła do służbowego forda. Wiedziała, że zaczyna popadać w tarapaty. To, co wyjawiała Boschowi i co zgodziła się zrobić jutro, gwarantowało ostateczne zniszczenie jej kariery, gdyby coś się nie udało. Ale nie dbała o to. To było miasto hazardu. Zaufała Boschowi i ufała sobie. Nie pozwoli im wygrać.

Wycofując crown vica, zauważyła zatrzymującą się przy krawężniku taksówkę. Wsiadł z niej pulchny facet z wyblakłymi od słońca włosami, w jaskrawej koszuli hawajskiej. Zaczął studiować numery na drzwiach pokojów. Miał w ręce grubą teczkę na akta, wyglądającą na starą i pożółkłą. Rachel obserwowała, jak wspina się po schodach i podchodzi do numeru 22 - drzwi Boscha. Otworzyły się, zanim zdążył zapukać.

Rachel wycofała samochód i wyjechała na Koval Lane. Objechała kwartał ulic wokół i zaparkowała w miejscu, z którego miała dobry widok na oba wyjazdy z parkingu przed obskurnym motelem Boscha. Była pewna, że Bosch chowa coś w zanadrzu, i zamierzała się dowiedzieć, co to takiego.

25

Backus ledwie zdążył zerknąć na mężczyznę, który otworzył drzwi, kiedy Rachel zapukała. Ale wydało mu się, że go rozpoznaje - że widział go dawno temu. Poczł, jak puls mu przyspiesza. Jeśli nie pomylił się co do tego człowieka, to znaczy, że stawka dość znacznie wzrosła.

Przyjrzał się motelowi i jego otoczeniu. Namierzył trzy federalne samochody obserwacyjne. Agenci siedzieli w środku, nic nie robili. Jeden wyszedł i siedział po drugiej stronie ulicy, na przystanku autobusowym. Wyglądał zupełnie nie na miejscu, gdy tak czekał na autobus, ubrany w szary garnitur, ale taki już styl miało FBI.

Wobec tego motel był czysty i Backus mógł zadziałać. Budynek miał kształt litery L z parkingiem przy wszystkich bokach. Zauważył, że gdyby znalazł się po drugiej stronie motelu, mógłby przez okno od tyłu albo balkon jeszcze raz zerknąć na człowieka, z którym była Rachel.

Postanowił nie ryzykować i nie przeprowadzać samochodu z frontowego parkingu na tylny. Mogłoby to zwrócić uwagę gościa, który siedział na ławce po drugiej stronie ulicy. Zamiast tego otworzył drzwi i wymknął się z samochodu. Wewnętrzne światło miał wyłączone, żeby nie było tego widać. Przeszedł jak krab między dwoma sąsiednimi samochodami, naciągając na głowę bejsbolówkę i obniżając daszek, gdy zza nich wychodził. Na czapce miał napis: UNLV.

Przemknął się przez arkady na parterze jednopiętrowego motelu. Minął automaty z napojami i cukierkami, wyszedł po drugiej stronie i zaczął spacerować po parking z tyłu, jakby szukał samochodu. Spojrzał w górę na oświetlony balkon, który, jak mu się zdawało, należał do pokoju numer 22, tam gdzie wchodziła Rachel. Zobaczył, że suwane drzwi są otwarte.

Rozglądał się, jakby dalej szukał samochodu, wreszcie zorientował się, że agent z ławki nie ma w polu widzenia tylnego parkingu. Nikt go tu nie widział. Backus nonszalancko przesunął się pod balkon pokoju 22. Próbował podsłuchać choć fragment rozmowy. Słyszał głos Rachel, ale nie rozróżniał słów, aż w końcu bardzo wyraźnie usłyszał: „Musisz czuć się nagi”.

To go zdziwiło i zaintrygowało. Zastanawiał się, czyby nie wdrapać się na piętro, żeby podsłuchać tę rozmowę. Dźwięk zamykanych drzwi zakończył te rozmyślenia. Domyślił się, że Rachel właśnie wyszła. Wrócił pod daszek i ukrył się za automatem z colą, aż usłyszał dźwięk uruchamianego samochodu. Czekal i nasłuchiwał. Usłyszał odgłos kolejnego samochodu wjeżdżającego na parking. Przesunął się zza automatu w róg i wyjrzał. Z taksówki wysiadał facet, którego Backus również rozpoznał. Był to wspólnik

od czarteru Terry'ego McCaleba. Bez żadnych wątpliwości. Backus poczuł, że właśnie natrafił na jakąś wyjątkową intrygę i zagadkę. Co ta Rachel knuła? W jaki sposób tak szybko namierzyła współnika McCaleba? I co miało do tego LAPD?

Obejrzał się za taksówką i zobaczył, że crown victoria Rachel włącza się do ruchu i odjeżdża. Poczekał jeszcze chwilę; jeden z pontiaców zatrzymał się, wziął pasażera z przystanku autobusowego i odjechał. Backus ponownie opuścił daszek czapki i wyszedł spod arkad. Ruszył do samochodu.

26

Patrzyłem przez wizjer, myśląc o agentce Walling i zastanawiając się, jak to się stało, że niełaskawość FBI i surowość Dakoty nie pozbawiły jej tego ognia i poczucia humoru. Lubiłem ją za to i wyczuwałem jakieś pokrewieństwo dusz. Myślałem, że może i bym jej zaufała, ale podejrzewałem, że mam do czynienia z zawodowcem. Byłem pewien, że nie powiedziała mi wszystkiego o swoich zamiarach, nikt tego nie robi, ale wyjawiała mi wystarczająco dużo. Oboje chcieliśmy tego samego, niewykluczone, że z innych powodów. Niemniej, tak jak zdecydowałem, postanowiłem wziąć jutro z rana dodatkowego pasażera.

Wizjer nagle wypełniła wkleśła podobizna Buddy'ego Lockri-dge'a. Otworzyłem drzwi, zanim zdążył zapukać, i szybko wciągnąłem go do środka. Zastanawiałem się, czy Walling go zauważyła.

- Masz idealne wycucie czasu, Buddy. Ktoś z tobą rozmawiał albo zatrzymywał cię po drodze?

- Gdzie, tutaj?

- No tutaj.

- Nie, dopiero co wysiadłem z taksówki.

- No dobra, to gdzie byłeś?

Tłumaczył się ze spóźnienia, mówiąc, że pod Bellagio nie było taksówek. Nie mogłem uwierzyć w tę bajkę. Kiedy brałem od niego jedną z dwóch teczek, które miał ze sobą, zobaczyłem, że ma wypchaną kieszeń dzinsów.

- Gówno prawda, Buddy. Czasem trudno znaleźć w tym mieście taksówkę, ale nie pod Bellagio. Tam zawsze stoją.

Wyciągnąłem rękę i poklepałem go po wypchanej kieszeni.

- Zachciało ci się zagrać, co? Masz kieszeń pełną żetonów.

- Posłuchaj, zanim przyjechałem, zatrzymałem się na kilka szybkich rundek blackjacka. Ale miałem szczęście, koleś. Nie mogłem przegrać. Popatrz no tylko.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść pięciodolarowych żetonów.

- Byłem niesamowity! A jak masz szczęście, to nie możesz odejść od stołu.

- Tak, super. To ci pomoże zapłacić za ten pokój, który wzięłeś.

Buddy taksował spojrzeniem moje lokum. Przez otwarty balkon słysząc było ruch uliczny i hałas samolotów.

- I dobrze - powiedział. - Tutaj nie będę mieszkał.

Omam się nie roześmiałem, przypomniałszy sobie, jak wygląda jego łódź.

- No wiesz, możesz mieszkać, gdzie tylko chcesz, bo mnie nie jesteś już potrzebny. Dzięki za przywiezienie teczek.

Zrobił wielkie oczy.

- Co?

- Mam nowego partnera. FBI. Możesz wracać do LA, kiedy ze chcesz, albo grać w blackjacka, aż wygrasz całe Bellagio. Zapłacę ci za bilet na samolot, jak obiecałem, za lot helikopterem na wyspę i czterdzieści dolców za pokój. Tyle się tu normalnie płaci.

Uniosłem teczkę.

- Dorzucę kilka setek za czas, który poświęciłeś, żeby to zabrać i tu dojechać.

- Facet, nie ma mowy. Przyjechałem aż tutaj. Mogę ci nadal pomagać. Pracowałem już kiedyś z agentami, kiedy razem z Terryem coś robiliśmy.

- To było kiedyś, Buddy, a teraz jest teraz. Idziemy. Podwożę cię do hotelu. Słyszałem, że trudno o

taksówkę, a ja i tak jadę w tamtą stronę.

Zasunąwszy drzwi balkonowe, wyprowadziłem go z pokoju i zamknąłem drzwi. Wziąłem ze sobą teczkę, żeby później przeczytać jej zawartość. Schodząc na parking, rozejrzałem się za ochroniarzem, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Poszukałem wzrokiem Rachel Walling, ale jej również nie było. Ujrzałem moją sąsiadkę, Jane, wkładającą pudełko po butach do bagażnika samochodu, białego monte carlo. Ze schodów widziałem, że cały kufer ma pełen innych, większych pudeł.

- Słuchaj, ze mną lepiej ci pójdzie - powiedział Buddy. - Federalnym nie można ufać. Terry tam był i nawet on im nie ufał.

- Wiem, Buddy. Zadaję się z Biurem od trzydziestu lat.

Tylko pokręcił głową. Obserwowałem, jak Jane wsiada do samochodu i wycofuje go. Zastanawiałem się, czy widzę ją ostatni raz. Zastanawiałem się, czy mówiąc jej, że byłem kiedyś gliniarzem, spłoszyłem ją i zmusiłem do ucieczki. Może podsłuchiwała przez cienkie ściany kawałek mojej rozmowy z agentką Walling.

Uwagi Buddy'ego na temat federalnych coś mi przypomniały.

- Bo wiesz, jak wrócisz do siebie, oni będą chcieli z tobą pogadać.

- O czym?

- O twoim GPS-ie. Znaleźli go.

- O rany, super! To znaczy, że to nie był Ribb? To był Shandy?

- Na to wygląda. Ale Buddy, ta wiadomość nie jest taka super.

- Czemu?

Otworzyłem mercedesa, obaj wsiedliśmy. Uruchamiając silnik, spojrzałem na Buddy'ego.

- Skasowano z niego wszystkie twoje punkty. Jest w nim teraz tylko jeden i nie złapiesz tam żadnej ryby.

- Niech to szlag! Przeczuwałem, że tak będzie.

- W każdym razie będą cię pytać o niego i w ogóle o Terry'ego, i ten ostatni czarter. Tak samo jak ja.

- Idą twoim śladem, co? Chcą cię dogonić. Harry, jesteś gość.

- Nie bardzo.

Wiedziałem, że to w końcu się stanie. Buddy obrócił się na fotelu i nachylił do mnie.

- Harry, weź mnie ze sobą. Mówię ci, przydam ci się. Jestem bystry. Widzę to i owo.

- Buddy, zapnij pas.

Wrzuciłem wsteczny, zanim zdążył, tak że niemal walnął głową w deskę rozdzielczą.

Wjechaliśmy na bulwar i powoli ruszyliśmy do Bellagio. Był wczesny wieczór, chodniki stygły i pojawiali się na nich ludzie. Widziałem, że wagony jednoszynówki i napowietrzne kładki zaczynają się wypełniać. Neony na wszystkich frontonach rozjaśniały zmierzch jak wspaniałe zachody słońca. No, prawie. Buddy wciąż próbował przekonać mnie, żebym go wziął, ale przy każdym skręcie mu odmawiałem. Kiedy podjechaliśmy pod olbrzymią fontannę i gigantyczny portal prowadzący do kasyna, powiedziałem parkingowemu, że tylko kogoś zabieramy. Skierował mnie do krawężnika, mówiąc, żebym nie zostawiał samochodu bez kierowcy.

- Kogo zabieramy?

- Nikogo. Tak mi się powiedziało. Wiesz co, Buddy? Chcesz pracować dla mnie, tak? To zostań kilka minut w samochodzie, żeby go nie odholowali. Muszę natychmiast tam zajrzeć.

- Po co?

- Żeby sprawdzić, czy ktoś tam jest.

- Kto?

Wyskoczyłem z samochodu i zamknąłem drzwi, nie odpowiedziawszy na pytanie, bo znałem Buddy'ego na tyle, by wiedzieć, że odpowiedź sprowokowałaby następne, a potem jeszcze jedno. Nie miałem na to czasu.

Znałem Bellagio równie dobrze jak zakręty na Mulholland Drive. Tu zarabiała na życie Eleanor Wish, moja była żona, tu niejedną raz obserwowałem, jak to robi. Szybko minąłem wysłane pluszem kasyno, przeszedłem między rzędami jednoręcznych bandytów i trafiłem do sali z pokerem.

Grano tylko przy dwóch stołach. Było jeszcze bardzo wcześnie. Szybko przyjrzałem się trzynastu graczom i nie zauważyłem Eleanor. Spojrzałem na podest i zobaczyłem, że szefem sali jest dziś gość, którego znałem z czasów, kiedy przychodziłem tu z Eleanor, żeby popatrzeć, jak gra. Podszedłem do

niego.

- Cześć, Freddy, jak tam, kręci się?
- Wieczorem będą laski kręcić tyłkami.
- Czyli nieźle. Będzie na co popatrzeć.
- No, nie narzekam.
- Nie wiesz czasem, czy Eleanor dziś przychodzi?

Eleanor miała zwyczaj zawiadamiać prowadzących salę, że planuje przyjść w konkretną noc. Czasem mogli dzięki temu zatrzymać miejsce przy stołach z wysokimi stawkami albo lepszymi graczami. Niekiedy organizowali prywatne partie. Moja eks była tu w pewnym sensie cichą atrakcją. Piękną kobietą, cholernie dobrze grającą w pokera. Dla pewnego rodzaju facetów stanowiło to wyzwanie. Niektóre kasyna wiedziały o tym i nie omieszkaly tego wykorzystywać. Eleanor była w Bellagio dobrze traktowana. Jeśli czegoś potrzebowała - drinka do apartamentu albo usunięcia od stolika chamskiego gracza - dostawała to. Nikt o nic nie pytał. I dlatego, kiedy już grała, przeważnie wpadała tutaj.

- Tak, przychodzi - odpowiedział Freddy. - W tej chwili nie mam dla niej nic ciekawego, ale zjawi się.

Z następnym pytaniem trochę odczekałem. Niezbędna była odrobina finezji. Oparłem się o poręcz i niedbale obserwowałem, jak krupier przy stole do teksańskiego pokera rozdaje ostatnią wspólną kartę. Karty skrobały o niebieski filc, jakby cicho szeptały. Pięciu graczy doszło do końca rozdania. Przeglądałem się ich twarzom, gdy patrzyli na ostatnią kartę. Patrzyłem, czy wyczytam coś z którejś twarzy, ale nie. Nic.

Eleanor powiedziała mi kiedyś, że prawdziwi gracze nazywają ostatnią kartę ze stołu „rzeką”, bo daje ci życie albo jej zabiera. Jeśli dograłeś aż do siódmej karty, wszystko od niej zależy.

Trzech z pięciu graczy rzuciło karty. Pozostałych dwóch licytowało się o sprawdzenie, w końcu jeden z tych, których obserwowałem, zgarnął pulę dzięki trójce siódemek.

- Mówiła, o której przyjdzie? - zapytałem Freddy'ego.
- Eee, tak, że jak zwykle. Koło ósmej.

Mimo że starałem się zachowywać nonszalancko, widziałem, że Freddy jest trochę sztywny, bo wie, że powinien być lojalny wobec Eleanor, a nie jej byłego męża. Dowiedziałem się już tego, co chciałem, podziękowałem mu więc i odszedłem. Eleanor miała zamiar położyć dziecko do łóżka i pójść do pracy. Maddie zostanie pod opieką niani, która z nimi mieszka.

Kiedy wyszedłem z kasyna, nikogo nie było w moim samochodzie. Rozejrzałem się za Buddym, rozmawiał z jednym z parkingowych. Zawołałem i pomachałem na pożegnanie. Ale on podbiegł do mnie i złapał mnie przy drzwiach mercedesa.

- Startujesz?

- Tak, mówiłem ci. Wszedłem tylko na kilka minut. Dzięki, że zostałeś w samochodzie, tak jak cię prosiłem.

Buddy nie złapał.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Znalazłeś go?

- Kogo?

- Kogoś, kogo miałeś tam znaleźć.

- Tak, Buddy, znalazłem. To do zoba...

- Posłuchaj, pracujmy razem. Terry był też moim przyjacielem.

Zamilkłem na chwilę.

- Buddy, rozumiem. Jak chcesz coś zrobić dla Terry'ego, najlepiej będzie, jak pojedziesz do domu, poczekasz, aż zjawią się agenci, i powiesz im wszystko, co wiesz. I niczego nie zatajaj.

- Czyli też tego, że wysłałeś mnie na Łódź, bym wykradł akta i zdjęcia?

Teraz próbował mnie zdenerwować. Zrozumiał już, że się nie zgodzę.

- Nie obchodzi mnie, możesz im powiedzieć. Mówiłem ci, ja pracuję z nimi. Będą o tym wiedzieć, zanim ich spotkasz. Ale mówiąc wprost, nie kazałem ci niczego kraść. Ja pracuję dla Gracieli. Łódź i wszystko, co na niej jest, należy do niej. W tym także teczki i zdjęcia.

Szturchnąłem go mocno w pierś.

- Rozumiesz, Buddy?

Cofnął się.

- Tak, rozumiem. Ja tylko...

- To świetnie.

Wyciągnąłem do niego rękę. Uścisnął ją, ale widać było, że jest niezadowolony.

- Odezwę się do ciebie, Buddy.

Wypuścił moją dłoń, wsiadłem do samochodu i zamknąłem drzwi. Włączyłem silnik i odjechałem. W lusterku widziałem, jak wchodzi przez drzwi obrotowe; na pewno, zanim noc się skończy, przepuści całą forszę. Miał rację. Jak się ma szczęście, nie odchodzi się od stołu.

Rzuciłem okiem na zegar na desce rozdzielczej; Eleanor nie wyjdzie do pracy jeszcze przez półtorej godziny. Mogłem już tam jechać, ale wiedziałem, że lepiej poczekać. Chciałem zobaczyć moją córkę, a nie byłą żonę. Muszę przyznać, że była na tyle miła, iż pozwoliła mi na wizyty, kiedy jest w pracy. Toteż to nie stanowiło problemu. I nie dbałem, czy Maddie będzie spała, czy nie. Chciałem po prostu ją zobaczyć, pogłaskać po włosach. Jednak chyba za każdym razem, gdy wpadałem na Eleanor, traciliśmy panowanie nad sobą i wybuchała awantura. Wiedziałem, że najlepiej będzie podjechać pod dom, kiedy ona już wyjdzie.

Mogłem wrócić do Dwóch X i spędzić godzinę na czytaniu teczki Poety, ale zamiast tego jechałem przed siebie. Paradise Road była o wiele mniej zatłoczona niż bulwar. Zawsze tak jest. Wjechałem na Harmon, a potem skręciłem na północ i niemal natychmiast na parking przed Embassy Suites. Pomyślałem, że może Rachel Walling zechce napić się ze mną kawy i pogadać o jutrzejszej wycieczce. Przejechałem parking, wypatrując federalnego samochodu, który rzucałby się w oczy z powodu najtańszych kołpaków i rządowej rejestracji. Ale nie było tu takiego. Wyciągnąłem telefon, zadzwoniłem do biura numerów i dostałem numer do Embassy Suites. Zadzwoniłem i poprosiłem o pokój Rachel Walling. Przełączyli mnie. Telefon kilka razy dzwonił, ale nikt nie odbierał. Odłożyłem słuchawkę i zastanawiałem się chwilę. Wreszcie zadzwoniłem pod numer komórki, który mi podała. Odebrała natychmiast.

- Cześć, tu Bosch, co porabiasz? - powiedziałem tak nonszalancko, jak tylko umiałem.

- Nic, siedzę sobie.

- W hotelu?

- Tak, a bo co?

- Nic. Tylko pomyślałem sobie, że może napiłabyś się kawy. Jestem w samochodzie i mam trochę czasu do zabicia. Mógłbym podjechać po ciebie za kilka minut.

- O, wiesz co, dzięki, ale nie, chyba nie chce mi się dzisiaj wychodzić.

Oczywiście, że nie możesz wyjść, pomyślałem. Przecież cię tu nie ma.

- Prawdę mówiąc, trochę boli mnie głowa. Poza tym jutro wcześniej wstajemy.

- Rozumiem.

- Nie, nie chodzi o to, że nie chcę. Może jutro, dobrze?

- Jasne. Czyli o ósmej, tak?

- Będę czekać przed wejściem.

Rozłączyliśmy się. Poczuję wątpliwości. Coś knuła, pogrywała ze mną.

Ale potem próbowałem się odprężyć. Otrzymała zadanie: mieć na mnie oko. Nie ukrywała tego. Może źle zrozumiałem tę ostatnią rozmowę.

Zrobiłem kolejną rundkę po parkingu, szukając crown vica albo LTD, ale nie znalazłem żadnego. Szybko wyjechałem na ulicę i skręciłem z powrotem w Paradise Road. Przy Flamingo skierowałem się na zachód, przeciąłem bulwar i przejechałem nad autostradą. Podjechałem pod bar nieopodal Palms, ulubionego kasyna miejscowych, bo nie było na bulwarze, a poza tym przychodziło tam wiele gwiazd. Kiedy ostatni raz rozmawiałem kulturalnie z Eleanor, wyjawiała mi, że zastanawia się nad zmianą barw klubowych z Bellagio na Palms. Ludzie z forszą wciąż szli do Bellagio, ale większość wybierała bakarata, pai gow i kości. Poker to zupełnie inny rodzaj umiejętności, poza tym to jedyna gra, gdzie nie grasz przeciwko kasynu. Usłyszała pocztą pantoflową, że wszystkie gwiazdy i sportowcy, którzy przyjeżdżają z LA do Palms, grają tam w pokera i w trakcie nauki przegrywają mnóstwo pieniędzy.

W barze zamówiłem stek nowojorski i pieczone ziemniaki. Kelnerka próbowała mnie przekonać, żebym nie zamawiał średnio wypieczonego, ale byłem stanowczy. Tam gdzie dorastałem, nigdy nie jadłem czegoś, co było w środku różowe, i teraz już nie mogłem tego polubić. Kiedy odeszła z zamówieniem, przypomniała mi się wojskowa kuchnia, do której zawędrowałem raz w Forcie Benning. W kilkunastu olbrzymich kotłach gotowały się tam w kółko, aż do szarości, całe połówki krów. Facet z

łopatą zbierał z powierzchni kotła tłuszcz i wrzucał do wiadra. To był najgorszy smród, jaki w życiu czułem, dopóki parę miesięcy później nie trafiłem do tuneli w dżungli, a tam Wietkong ukrywał trupy swoich ludzi, by zafałszować wojskowe statystyki.

Otworzyłem teczkę Poety i już zamierzałem zacząć ją czytać, gdy zadzwonił telefon. Odebrałem, nie patrząc, kto dzwoni.

- Halo?

- Harry, mówi Rachel. Nadal chcesz iść na kawę? Zmieniłam zdanie.

Domyśliłem się, że w pośpiechu wróciła do Embassy Suites, żeby nie dać się złapać na kłamstwie.

- Hm, właśnie zamówiłem sobie kolację na drugim końcu miasta.

- Cholera, to przepraszam. Będę miała nauczkę. Sam jesteś?

- Tak, mam tu coś, nad czym muszę popracować.

- Ech, wiem, jak to jest. Ja też właściwie co wieczór jem sama.

- Tak, ja też. Jeśli jem.

- Serio? Jak tam twoja córka?

Nie miałem ochoty rozmawiać o tym, nie miałem do Rachel tyle zaufania. Nie wiedziałem, co zamierza. Poza tym nie lubiłem wracać do mojej smutnej małżeńskiej i rodzicielskiej przeszłości.

- Hm, wiesz co, ktoś tu na mnie łypie. Chyba nie wolno tu rozmawiać przez komórkę.

- No dobra, nie chcemy robić nic zabronionego. To do zobaczenia jutro o ósmej.

- Okay, Eleanor»Dobranoc.

Już miałem się rozłączyć, gdy usłyszałem jej głos.

- Harry?

- Tak?

- Nie nazywam się Eleanor.

- Co?

- Powiedziałeś do mnie „Eleanor”.

- Oj, przepraszam.

- Przypominam ci ją?

- Może trochę. Nie z teraz, ale sprzed lat.

- No, mam nadzieję, że nie z zamierzchłej przeszłości.

Miała na myśli wypadnięcie Eleanor z łask Biura. Był to tak gwałtowny upadek, że nawet zesłanie do Minot nie wchodziło w grę.

- Do zobaczenia jutro, Rachel.

- Dobranoc, Harry.

Zamknąłem telefon i zastanowiłem się nad swoim przeżyczeniem. Wskoczyło znienacka prosto z podświadomości. Nie chciałem o tym myśleć. Pragnąłem zagłębić się w teczkę, która przede mną leżała. Wiedziałem, że bardziej posłuży mi studiowanie obłędu innej osoby, z innego czasu.

27

O 20.30 zastukałem do drzwi domu Eleanor Wish. Otworzyła mi kobieta z Salwadoru, która mieszkała tam i opiekowała się moją córką. Marisol, o miłej, choć zmęczonej twarzy, była po pięćdziesiątce, choć wyglądała na sporo więcej. Historia o tym, jak przeżyła, była przerażająca i zawsze kiedy sobie ją przypomniałem, swoją przeszłość uznawałem za całkiem szczęśliwą. Była dla mnie miła od pierwszego dnia, kiedy niespodziewanie pojawiłem się w tym domu i odkryłem, że mam córkę. Nigdy nie widziała we mnie zagrożenia, zawsze zachowywała się serdecznie i szanowała moją pozycję - ojca i osoby z zewnątrz. Cofnęła się i wpuściła mnie.

- Już ona śpi - powiedziała.

Uniosłem teczkę, którą trzymałem w ręku.

- To dobrze. Mam trochę pracy. Chcę tylko chwilę z nią posiedzieć. Co tam u ciebie, Marisol?

- U mnie dobrze.

- Eleanor wyszła do kasyna?

- Tak, wyszła.
- A jak się sprawowała Maddie wieczorem?
- Maddie grzeczna dziewczynka. Bawi się.

Marisol zawsze używała niewielu słów. Próbowiałem już rozmawiać z nią po hiszpańsku, bo myślałem, że mówi tak niewiele z uwagi na nieznamość angielskiego. Ale i w ojczystym języku powiedziała niewiele więcej - wolała ograniczyć meldunki o życiu mej córki do minimum słów, obojętnie, w jakim języku mówiła.

- Dobrze, dziękuję - powiedziałem. - Jak chcesz pójść spać, to ja później sam wyjdę. Zamknę za sobą drzwi.

Nie miałem klucza, ale drzwi frontowe zatrzaskiwały się po zamknięciu.

- Tak, dobrze.

Skinąłem głową i poszedłem przez hol na lewo. Wszedłem do pokoju Maddie i zamknąłem drzwi. Do gniazdka na przeciwległej ścianie podłączono małą lampkę, oświetlającą pokój na niebiesko. Podeszedłem do boku łóżka i zapaliłem lampkę nocną na stoliku. Wiedziałem z doświadczenia, że małej to nie przeszkodzi. Sen mojej pięcioletki był tak głęboki, że mogłaby chyba przespać mecz Lakersów w telewizji albo pięciostopniowe trzęsienie ziemi.

W świetle ukazała się burza zmierzwionych ciemnych włosów na poduszce. Jej twarz była odwrócona ode mnie. Odgarnąłem loki, nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Zbliżyłem ucho do ust córki. Nasłuchiwałem oddechu i doczekałem się. Opuściła mnie drobna, chwilowa obawa.

Podeszedłem do biurka i wyłączyłem elektroniczną niańkę, której odbiornik znajdował się w pokoju telewizyjnym albo sypialni Marisol. Teraz ja tu byłem.

Maddie spała w „dorosłym” łóżku, nakrytym kapą zadrukowaną wszelkiej maści kotami. Jej drobne ciało zajmowało tak niewiele miejsca, że mogłem oprzeć o wezłowie drugą poduszkę i położyć się obok. Wsunąłem dłoń pod kołdrę i delikatnie dotknąłem jej pleców. Czekałem w bezruchu, aż poczuję, jak oddycha. Drugą ręką otworzyłem dossier Poety i zacząłem czytać.

Z większością zawartości zapoznałem się już w restauracji. Był to portret psychologiczny podejrzanego sporządzony w części przez Rachel Walling, a także raporty śledcze i zdjęcia z miejsc zbrodni, zgromadzone, kiedy toczyło się śledztwo i Biuro ścigało po kraju Poetę. To działo się osiem lat temu, kiedy zabił ośmiu detektywów zajmujących się zabójstwami, przemieszczając się ze wschodu na zachód, zanim jego podróż skończyła się w Los Angeles.

Teraz, z córką śpiącą u mego boku, zacząłem od raportów, które spisano, gdy już wyszło na jaw, że podejrzanym jest agent specjalny FBI, Robert Backus. Kiedy został postrzelony przez Rachel Walling i zniknął.

Miałem tu także sprawozdanie z sekcji ciała znalezionego przez inspektora Wodociągów i Elektryczności w tunelu burzowym pod kanionem Laurel. Zwłoki znaleziono niemal trzy miesiące po postrzeleniu Backusa, który potem wypadł przez okno domu stojącego na wspornikach na skarpie nieopodal kanionu i rozpląnął się w mroku i zaroślach poniżej. Przy ciele znaleziono dokumenty FBI i odznakę należącą do Backusa. Ubranie, w stanie rozkładu, też należało do niego - garnitur, który uszył na miarę w Mediolanie, kiedy został tam wysłany na konsultacje w sprawie seryjnego mordercy.

Identyfikacja kryminologiczna ciała nie przyniosła jednak rozstrzygnięcia. Zwłoki znajdowały się w stanie silnego rozkładu, co uniemożliwiało analizę daktyloskopijną. Nawet brakowało niektórych części ciała, z początku założono więc, że rozwlekły je szczury i inne zwierzęta żerujące w tunelach. Brakowało całej zuchwy i górnego mostka, co nie pozwalało porównać zębów z kartą stomatologiczną Backusa.

Przyczyny śmierci również nie udało się ustalić, mimo że w górnej części tułowia znaleziono otwór wlotowy kuli - tam gdzie według zeznań Rachel Walling trafiła jej kula - i złamane zebro, prawdopodobnie od uderzenia pocisku. Nie znaleziono jednak żadnych szczątków pocisku, co sugerowało, że przeszedł na wylot, i uniemożliwiało weryfikację, czy pochodził z pistoletu Walling.

Nigdy nie wykonano też analizy porównawczej DNA. Po strzelaninie, kiedy uważano, że zbiegły Backus wciąż żyje, agenci przeczesali jego dom i biuro. Szukali dowodów zbrodni, które popełnił, i wskazówek co do motywu. Nie przewidzieli możliwości, że któregoś dnia będą chcieli zidentyfikować jego rozkładające się szczątki. Popełniono błąd, który mścił się na śledztwie, a później naraził FBI na oskarżenia o bezprawne tuszowanie sprawy - nie zebrano żadnych próbek DNA - ani włosów i naskórka spod prysznic, ani śliny ze szczotki do zębów, ani obciętych paznokci z koszy na śmieci, ani łupieżu czy

włosów z oparcia fotela. A trzy miesiące później, kiedy w kanale burzowym znaleziono ciało, było już za późno. Wszystkie próbki przestały już istnieć. Budynek, w którym Backus miał mieszkanie, w tajemniczych okolicznościach spalił się do fundamentów trzy tygodnie po skończeniu badania go przez federalnych. A jego gabinet w FBI został przejęty, całkowicie wyremontowany i przemeblowany przez Randala Alperta, który zajął jego miejsce w Wydziale Badań Behawioralnych.

Poszukiwania próbki krwi Backusa również się nie udały, znów kompromitując Biuro. Kiedy agentka Walling postrzeliła Backusa w domu w Los Angeles, na podłogę spadło kilka kropel krwi. Zebrano je, ale potem w laboratorium w Los Angeles przypadkowo uległy zniszczeniu w trakcie utylizacji odpadów medycznych.

Równie bezowocnie szukano śladów krwi, którą pobrano Backusowi podczas badań lekarskich albo którą oddał do banku krwi. Dzięki własnemu sprytowi, szczęściu i biurokratycznemu niedbalstwu Backus zniknął, nie zostawiając za sobą żadnych śladów.

Oficjalnie poszukiwania zakończyły się wraz z odkryciem zwłok w kanale. Mimo że nigdy nie dokonano identyfikacji ciała, dokumenty, odznaka i włoski garnitur wystarczyły, żeby szefostwo Biura ekspresowo ogłosiło zamknięcie szeroko dyskutowanej w mediach sprawy, która poważnie zaszkodziła i tak już nadwerżonej opinii Biura.

Tymczasem po cichu toczyła się analiza tła psychologicznego agenta-zabójcy. Właśnie czytałem te meldunki. Prowadził ją Wydział Badań Behawioralnych - ten sam, gdzie pracował przedtem Backus - i skupiał się chyba bardziej na tym, dlaczego zrobił to, co zrobił, niż na pytaniu, jak mu się udało to zrobić pod samym nosem najlepszych ekspertów od zabójstw. Ten kierunek śledztwa zapewne wybrano w celach obronnych. Patrzyli na sprawcę, nie na własną organizację. Teczka aż puchła od raportów dotyczących wychowania, dorastania i wykształcenia agenta Backusa. Pomimo wielu ładnie spisanych spostrzeżeń, spekulacji i podsumowań treści w tym było niewiele. Zaledwie parę nitek wyprutych z osnowy jego osobowości. Backus pozostawał tajemnicą, tak samo jak jego zaburzenia. Nie umieli go rozgryźć najbystrzejsi i najlepsi ludzie.

Przejrzałem te nitki. Jego ojciec był perfekcjonistą - ni mniej, ni więcej tylko wyróżnianym agentem FBI - matki zaś Backus nigdy nie znał. Ojciec podobno znęcał się fizycznie nad synem, zapewne obwiniając go o to, że matka ich zostawiła, i surowo karał za przewinienia, takie jak moczenie nocne czy drażnienie zwierząt sąsiadów. Dawny kolega z siódmej klasy zeznał, że Robert Backus kiedyś wyjawiał, że jak był mały, ojciec karał go za zmożenie łóżka, przykuwając kajdankami do wieszaka na ręczniki w kabinie prysznicowej. Inny dawny kolega z klasy powiedział, że Backus kiedyś twierdził, że śpi z poduszką i kołdrą w wannie, bo boi się kary za zmożenie łóżka. Sąsiad z tamtych czasów mówił, że podejrzewało się go o zabicie ich jamnika, który został przecięty na pół i porzucony na pustyj parceli.

Jako dorosły, Backus wykazywał zachowania obsesyjno-kompulsywne. Miał fiksację na punkcie czystości i porządku. Wiele takich zeznań pochodziło od kolegów agentów z behawioralnego. W jednostce dobrze znane były jego wielominutowe spóźnienia na spotkania, bo był w łazience i mył ręce. Nikt nigdy nie widział, żeby w bufecie w Quantico jadł na lunch coś innego niż grzankę z serem. Codziennie grzanka z serem. Oprócz tego wciąż żuł gumę i bardzo się starał, żeby nigdy nie skończył mu się zapas ulubionej Juicy Fruit. Jeden agent opisał to żucie gumy jako „odmierzone” - według niego Backus liczył, ile razy przeżuł dany listek gumy, a kiedy dochodził do jakiejś liczby, wyrzucał gumę i rozpakowywał nową.

Był tu także raport z przesłuchania dawnej narzeczonej. Powiedziała agentowi, że Backus kazał jej często i dokładnie brać prysznic, zwłaszcza przed seksem i po. Kiedy przed ślubem rozglądali się za domem, powiedział, że chciałby mieć własną sypialnię i łazienkę. Odwołała ślub i zerwała z nim, kiedy pewnego razu nazwał ją fleją, bo zrzuciła z nóg szpilki we własnym salonie.

Wszystkie te raporty ukazywały jedynie niewielki fragment jego zwichrowanej psychiki. Nie dawały żadnych wskazówek. Osobliwe nawyki w sumie nie tłumaczyły, dlaczego zaczął zabijać ludzi. Tysiące osób cierpi na łagodne bądź ostre formy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Na liście ich dziwnych zachowań nie znajdziemy zabijania. Tysiące osób było maltretowanych jako dzieci. Nie wszyscy sami zaczynają maltretować.

McCaleb miał znacznie mniej raportów o pojawieniu się Poety - Backusa - cztery lata później w Amsterdamie. W teście był tylko dziewięciostronicowy meldunek, streszczający okoliczności zabójstw i znalezione ślady kryminologiczne. Wcześniej tylko go przekartkowałem, teraz jednak przeczytałem dokładnie i zauważyłem, że niektóre aspekty pasują do mojej teorii z miastem Clear.

Pięć wykrytych w Amsterdamie ofiar stanowili samotni turyści. Osoby o tym samym profilu co ofiary zakopane w Zzyzx, z wyjątkiem jednego mężczyzny, który był w Vegas z żoną, ale nie przebywał razem z nią - ona poszła do hotelowego salonu odnowy biologicznej. W Amsterdamie miejscem, gdzie ostatnio widziano owych mężczyzn, była dzielnica Rosse Buurt, gdzie prostytutki w wyzywających strojach, w małych pokojach za oświetlonymi neonami wystawami oferują swe wdzięki przechodniom. Dwukrotnie holenderscy śledczy znaleźli prostytutki, które zeznały, że były z ofiarami w poprzednią noc - zanim ich ciała znaleziono w rzece Amstel.

Choć zwłoki wypływały w różnych punktach Amstel, raport mówił, że prawdopodobnie wszystkie zostały wrzucone do rzeki w jednym miejscu - w pobliżu Six House. Był to gmach należący do rodziny, która odegrała ważną rolę w historii miasta. To mnie zaciekawiło, trochę dlatego, że Six House i Zzyzx brzmiały mi nieco podobnie. Ale także z powodu pytania: czy zabójca wybrał ten budynek przypadkowo, czy może próbował zagrać na nosie władzom, wybierając budynek, który je symbolizuje?

Holenderska policja nie posunęła się dalej ze śledztwem. Nigdy nie ustalili mechanizmu, w jaki zabójca zbliżał się do ofiar, obezwładniał je i zabijał. Backus nigdy nawet nie błysnąłby im na radarze, gdyby nie zechciał, by go zauważyli. Wysłał do policji parę listów, w których prosił o wezwanie Rachel Walling - i dzięki nim go zidentyfikowano. Owe listy, według raportu, zawierały informacje o ofiarach i morderstwach, które mógł znać tylko zabójca. W jednym z listów był paszport ostatniej ofiary.

Dla mnie powiązanie pomiędzy Rossę Buurt w Amsterdamie i Clear w Nevadzie było oczywiste. W jednym i drugim legalnie płacono za seks. Co istotniejsze, w obydwu te miejsca mężczyźni jeżdżą, nic nikomu nie mówiąc, a nawet pilnują się po drodze, by nie zostawić śladów. Dzięki temu są w pewnym sensie idealnym celem dla zabójcy, idealnymi ofiarami. Zapewnia to mordercy większe bezpieczeństwo.

Skończyłem czytanie teczki Poety i zacząłem jeszcze raz w nadziei, że coś przeoczyłem, może zaledwie jeden szczegół, który pozwoli wyostrzyć cały obraz. Czasem tak się zdarza. Pominięty lub niezrozumiany detal staje się kluczem do całej zagadki.

Ale i za drugim razem nic nie znalazłem, po chwili raporty wydały mi się nudne i opisujące w kółko to samo. Zmęczyłem się, przed oczyma stawał mi obraz dzieciaka przykutego do prysznica. Wciąż wyobrażałem to sobie, współczułem dziecku i złościłem się na ojca, który to robił, i na matkę, której nigdy to nie obchodziło.

Czy to oznacza, że współczuję mordercy? Chyba nie. Backus wziął na siebie swe tortury, przetworzył je w coś innego i zwrócił przeciwko światu. Rozumiałem ten proces i współczułem dziecku, którym niegdyś był. Ale do dorosłego Backusa nie czułem nic - chciałem tylko za wszelką cenę go wytropić i zmusić, by zapłacił za wszystkie swoje czyny.

28

Śmierdziało tu strasznie, ale Backus wiedział, że da się przeżyć. Najbardziej obrzydliwe były muchy. Roiło się od nich, żywych i martwych. Roznosiły zarazki, choroby i brud. Kiedy kulił się pod kocem z podciągniętymi kolanami, słyszał, jak brzęczą w ciemności, latają po omacku, uderzają ze stukiem w siatki i ściany. Były wszędzie. Zdał sobie sprawę, że powinien przewidzieć, iż się pojawiają, iż są częścią jego planu.

Próbował nie słyszeć tego brzęczenia. Usiłował myśleć i skupić się na planie. To był jego ostatni dzień tutaj. Czas się ruszyć. Czas im pokazać. Żałował, że nie może zostać i obserwować, być świadkiem tych zdarzeń. Wiedział jednak, że ma jeszcze sporo do zrobienia.

Przestał oddychać. Czuł je teraz. Muchy znalazły go i łaziły po kocu, szukały sposobu, by się do niego dostać. Dał im życie, a one teraz chciały się do niego dobrać, zjeść go.

Zaczął się głośno śmiać pod kocem. Muchy się spłoszyły. Zauważył, że wcale się od nich nie różni - on też zwrócił się przeciwko dawcy życia. Zaśmiał się znów i poczuł, że coś utknęło mu w gardle.

- Aaaach!

Skręcił się. Zakaszał. Próbował się tego pozbyć. Mucha. Mucha wlała mu do gardła.

Zerwał się i omal nie wywrócił. Pobiegł ku drzwiom i wypadł na zewnątrz, w noc. Wsadził palec do gardła, aż wszystko podeszło mu do góry. Opadł na kolana i dławiąc się, wypłuł to. Potem wyciągnął z

kieszeni latarkę i obejrzał wymiociny w świetle. Wśród zielonkawożółtej brei zobaczył muchę. Wciąż żyła, skrzydła i nogi miała oblepione treścią jego żołądka.

Backus wstał. Rozdeptał muchę i pokiwał głową. Wylał podeszwę buta o czerwoną ziemię. Popatrzył na kontur skały wznoszącej się sto stóp ponad niego. O tej porze zasłaniała księżyc. Ale to dobrze. Gwiazdy są dzięki temu jaśniejsze.

29

Odłożyłem opasłą teczkę i przyjrzałem się twarzy córki. Zastanawiałem się, o czym śni. Doświadczyła w życiu tak niewiele, co więc może inspirować jej sny? Byłem pewien, że w tym tajemnym świecie czekają na nią same dobre rzeczy. Chciałbym, żeby już zawsze tak było.

Sam także poczułem zmęczenie i zamknąłem oczy, żeby kilka minut odpocząć. I zaraz mnie też się coś przyśniło. Lecz w moim śnie były ciemne postaci, gniewne głosy, nagłe i gwałtowne poruszenia w ciemnościach. Nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd zmierzam. A potem niewidzialne dłonie szarpnęły mnie i wyciągnęły z powrotem na światło.

- Harry, co ty robisz?

Otworzyłem oczy, Eleanor ciągnęła mnie za kołnierz kurtki.

- Cześć... Eleanor... o co chodzi?

Z jakiegoś powodu usiłowałem się uśmiechnąć, ale byłem zbyt zdezorientowany, by wiedzieć dlaczego.

- Co ty wyprawiasz? Popatrz na to wszystko na podłodze.

Powoli docierało do mnie, że była zła. Usiadłem i zerknąłem za krawędź łóżka. Teczka Poety ześliznęła się i rozsypała po podłodze. Wszędzie było pełno zdjęć z miejsc zbrodni. Na samym wierzchu trzy zdjęcia detektywa z policji Denver zastrzelonego przez Backusa w samochodzie. Nie miał potylicy, krew i mózg rozbryzgały się po całym siedzeniu. Były też inne zdjęcia: trupów pływających w kanałach, kolejnego policjanta, którego głowę roztrzaskano ze strzelby.

- Jasna cholera!

- Nie wolno ci tak robić! - powiedziała głośno Eleanor. - A gdyby się obudziła i to zobaczyła? Miałaby koszmary do końca życia.

- Jak będziesz się tak wydzierać, to na pewno się obudzi. Przepraszam, okay? Nie miałem zamiaru zasnąć.

Zsunąłem się z łóżka i klęknąłem na podłodze, szybko zbierając akta. Robiąc to, zerknąłem na zegarek; była piąta rano. Spałem wiele godzin. Nic dziwnego, że byłem taki nieprzytomny.

Eleanor dzisiaj później wróciła do domu. Przeważnie nie grała tak długo. Zapewne oznaczało to, że miała kiepski wieczór i próbowała nadrobić straty - a to słaba strategia w grze. Szybko wsunąłem wszystkie zdjęcia i raporty do teczek, po czym wstałem.

- Przepraszam - powtórzyłem.

- Niech cię szlag, nie chcę oglądać takich rzeczy, jak wracam do domu.

Milczałem. Wiedziałem, że mogę tylko pogorszyć sytuację. Odwróciłem się do łóżka. Maddie wciąż spała, z ciemnymi lokami rozsypanymi na poduszce. Skoro nic jej nie budziło, miałem nadzieję, że prześpi także milczenie, aż huczące od gniewu jej rodziców.

Eleanor szybko wyszła z pokoju, ja po paru chwilach także. Znalazłem ją w kuchni, opierała się o blat z rękoma splecionymi ciasno na piersi.

- Podły wieczór?

- Nie zwalaj mojej reakcji na to, jaki był wieczór.

Uniosłem ręce w geście poddania.

- Nie zwalam. To moja wina. Po prostu chciałem posiedzieć przy niej przez chwilę i zasnąć.

- Może nie powinieneś więcej tego robić?

- Czego - odwiedzać jej wieczorem?

- No nie wiem.

Podeszła do lodówki i wyciągnęła wodę źródlaną. Nalała sobie szklankę i podała mi butelkę. Podziękowałem.

- Co to w ogóle za teczka? - zapytała. - Prowadzisz tutaj jakąś sprawę?
- Tak. Morderstwo. Zaczęło się od LA, potem ślad prowadził tutaj. Muszę jeszcze dzisiaj jechać na pustynię.

- Jak to się miło złożyło. Miałeś tu po drodze, żeby wpaść i nastraszyć córkę.

- Zaraz, Eleanor, to było głupie, jestem bałwanem, ale ona nic nie widziała.

- Kto wie? Może obudziła się, zobaczyła te straszne zdjęcia i zasnęła z powrotem. I pewnie męczą ją teraz koszmary.

- Posłuchaj, całą noc ani drgnęła. Poznałbym. Śpi jak zabita. To się więcej nie powtórzy, dajmy więc temu spokój.

- Jasne. Świetnie.

- Eleanor, może opowiedziałabyś mi o swoim wieczorze?

- Nie. Nie chcę o tym gadać. Idę spać.

- To ja ci coś powiem.

- Co?

Nie zamierzałem tego wyjawiać, ale jakoś poczułem wewnętrzną potrzebę.

- Zastanawiam się, czy wrócić do pracy.

- To znaczy do tej sprawy?

- Nie, do policji. LAPD ma taki program. Starsi goście jak ja mogą wrócić. Potrzeba im doświadczenia. Jak zrobię to teraz, na wet nie będę musiał wracać na akademię.

Pociągnęła solidny łyk wody i nie odpowiedziała.

- Co ty o tym myślisz?

Wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło.

- Jak sobie chcesz, Harry. Ale nie będziesz tak często widywać córki. Wciągną cię śledztwa i... no sam wiesz, jak to jest.

Potaknąłem.

- Może i tak.

- A może to w sumie bez znaczenia. Nie widywała cię przez większość życia.

- A czyja to wina, co?

- Zaraz, nie zaczynajmy na nowo.

- Gdybym wiedział o niej, byłbym tutaj. Ale nie wiedziałem.

- Wiem, wiem, to ja. To wszystko moja wina.

- Nie powiedziałem tego. Ja tylko...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Daruj sobie.

Przez moment milczeliśmy, czekając, aż gniew opadnie. Wbiłem wzrok w podłogę.

- Może ona też powinna ze mną wrócić - powiedziałem.

- O czym ty mówisz?

- Już o tym rozmawialiśmy. O tym mieście. O jej dorastaniu w tym mieście.

Stanowczo pokręciła głową.

- I nie zmieniałam zdania. Co ty sobie myślisz, że sam ją będziesz wychowywał? Ty, z twoimi telefonami w środku nocy, pracą po godzinach, długimi śledztwami, bronią w domu, zdjęciami z miejsc zbrodni rozsypanymi po podłodze? To ma być dla niej lepsze niż Vegas?

- Nie. Myślałem tylko, że może ty też byś tam wróciła.

- Harry, nie ma mowy. Nie będę znowu o tym dyskutować. Zostaję tutaj i tak samo Madeline. Ty decyduj co najwyżej o sobie. Nie o mnie i Maddie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do kuchni weszła Marisol, z oczyma sklejonymi snem. Nosila biały szlafrok z napisem Bellagio wykaligrafowanym na kieszeni.

- Bardzo głośno - powiedziała.

- Masz rację, Marisol - przyznała Eleanor. - Przepraszam.

Marisol podeszła do lodówki i wyciągnęła wodę. Nalała sobie i wstawiła butelkę z powrotem. Wyszła z kuchni bez słowa.

- Chyba powinieneś już iść - odezwała się Eleanor. - Jestem zbyt zmęczona, żeby teraz o tym rozmawiać.

- Dobrze. Zajrzę tylko do niej i pożegnam się.
- Nie budź jej.
- No co ty.

Wróciłem do sypialni Maddie. Zostawiliśmy zapalone światło. Usiadłem na brzeżku i przez chwilę po prostu na nią patrzyłem. Potem odgarnąłem włosy córki i pocałowałem ją w policzek. Poczułem zapach dziecięcego szamponu. Pocałowałem ją jeszcze raz i szepnąłem „dobranoc”. Zgasilem światło i siedziałem tak jeszcze przez kilka minut, patrząc i czekając. Na co - nie wiem. Możliwe, że miałem nadzieję, że Eleanor przyjdzie i też usiądzie na łóżku, że może będziemy razem patrzeć na naszą śpiącą córkę.

Po chwili wstałem i włączyłem z powrotem elektroniczną niańkę. Wyszedłem z pokoju i skierowałem się do wyjścia. Kiedy zmierzałem do drzwi, w domu panowała całkowita cisza. Nie widziałem Eleanor. Poszła spać, nie chciała już mnie oglądać. Zamknąłem drzwi frontowe i sprawdziłem, czy się zatrzasnęły.

Głośny szcęk stali o stal miał posmak końca, odbił się we mnie rykoszetem jak koziołkujący pocisk.

30

Następnego ranka o ósmej siedziałem w mercedesie przed wejściem do holu Embassy Suites na Paradise Road. W uchwytach miałem dwie duże kawy ze Starbucksa i torbę pączków. Byłem świeżo wykąpany i ogolony. Zmieniłem ubranie, w którym spałem. Zatankowałem samochód i wyciągnąłem pieniądze z bankomatu na stacji. Byłem gotów do spędzenia dnia na pustyni, Rachel jednak nie wychodziła i nie wychodziła. Odczekawszy pięć minut, już miałem do niej dzwonić, gdy moja komórka odezwała się pierwsza. To była Rachel.

- Daj mi pięć minut.
- Gdzie jesteś?
- Musiałam pojechać do biura terenowego na spotkanie. Już wracam.
- Jakie spotkanie?
- Powiem ci, jak się zobaczymy. Jestem na Paradise.
- Dobra.

Zamknąłem telefon i czekałem, patrząc na plakat na tyle stojącej przede mną taksówki. Była to reklama programu rozrywkowego w Rivierze. Przedstawiała przepięknie ukształtowane tyłki tuzina nagich kobiet stojących w szeregu. Pomyślałem przez nie o zmieniającej się naturze Vegas, o tym, o czym wspomniano w artykule o zaginionych w „Timesie”. Pomyślałem o wszystkich ludziach, którzy przyjechali tutaj z rodziną, a zobaczyli taki plakat i tysiące do niego podobnych.

Z przeciwnej strony podjechał ku mnie typowy rządowy samochód - ford crown victoria. Rachel opuściła okno.

- Chcesz, żebym ja prowadziła?
- Poprowadzę - odparłem, myśląc, że da mi to odrobinę więcej kontroli nad biegiem wypadków.

Nie protestowała. Wjechała crown victoria na miejsce parkingowe i wsiadła do mojego samochodu. Nie ruszyłem mercedesa.

- Chcesz te obie kawy wypić sam? - zapytała.
- Nie, jedna jest dla ciebie. Cukier jest w torbie. Śmietanki na wynos nie mieli.
- Nie używam.

Uniosła jeden z kubków i upiła łyk. Patrzyłem w przód przez szybę, potem w lusterko wsteczne. I czekałem.

- No to jak - odezwała się w końcu - jedziemy?
 - Nie wiem. Chyba najpierw musimy porozmawiać.
 - O czym?
 - O tym, co się dzieje.
 - To znaczy?
 - Co robiłaś w biurze terenowym tak wcześniej? Co się tam dzieje, agentko Walling?
- Parsknęła ze złością.

- Harry, wiesz, zapominasz o czymś. To śledztwo ma w Biurze wysoki priorytet. Można by powiedzieć, że zaangażowany jest w nie sam dyrektor.

- No i?

- No i jak chce mieć briefing o dziesiątej, oznacza to, że wszyscy agenci w Quantico i terenie zbierają się o dziewiątej, żeby się upewnić, co mu mówimy i że to na nikim się nie odbije.

Kiwnąłem głową. Teraz rozumiałem.

- A dziewiąta w Quantico to szósta w Las Vegas.

- Rozumiem.

- Więc co się stało o dziesiątej? Coście powiedzieli dyrektorowi?

- To już sprawa FBI.

Spojrzałem na nią. Czekwała z uśmiechem.

- Ale ci powiem, bo ty też zaraz powiesz mi o wszystkich swoich sekretach. Dyrektor chce nagłośnić sprawę. Trzymanie jej w tajemnicy jest już zbyt ryzykowne. Jak wyda się później przypadkiem, wszyscy pomyślą, że Biuro tuszowało sprawę. Chodzi o to, by to wyszło od nas.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem w kierunku wyjazdu z parkingu. Już miałem w głowie trasę. Pojadę Flamingo do piętnastki, potem krótka rundka do autostrady Blue Diamond. A nią już prosto na północ do Clear.

- Co on powie mediom?

- Dzisiaj po południu zwoła konferencję prasową. Ogłosi, że Backus prawdopodobnie żyje i że go szukamy. Pokaże zdjęcie niejakiego Shandy'ego, zrobione przez McCaleba.

- Czy oni już to wszystko sprawdzili?

- Tak. Nie ma śladu żadnego Shandy'ego - po prostu takie nazwisko podał Terry'emu. Ale przeprowadzana jest analiza porównawcza ze zdjęciami Backusa. Pierwsze wyniki sugerują, że da wynik pozytywny. To był Backus.

- A Terry go nie rozpoznał.

- No, coś tam jednak rozpoznał. Zrobił zdjęcia, więc musiał nabrać jakichś podejrzeń. Ale gość miał brodę, czapkę i okulary. Analityk powiedział, że zmienił sobie także nos i zęby, może również wstawił implanty w policzki. Mógł zrobić jeszcze dużo więcej, nawet operacyjnie zmienić głos. Widzisz, patrzyłam na te zdjęcia i nie byłam niczego pewna, a pracowałam z Backusem przez pięć lat, dużo dłużej niż Terry. Terry'ego przenieśli do LA, do tamtejszej filii behawioralnego.

- Ciekawe, gdzie mógł się tak zoperować?

- To chyba wiemy. Mniej więcej sześć lat temu w Pradze znaleziono ciała chirurga i jego żony, w ich spalonym domu. Dom miał salę operacyjną, a doktor - kartotekę w Interpolu. Żona była pielęgniarką. Podejrzewano go, że jest specem od twarzy, facetem, który za pewną sumę zmieni ci oblicze. Pojawiła się teoria, że ktoś, kogo operował, zamordował jego i żonę, żeby zatrzeć ślady. W pożarze zginęły wszystkie zapisy dotyczące operacji. Orzeczono, że to podpalenie.

- Co łączyło z nim Backusa?

- Trudno powiedzieć. Ale jak sobie pewnie wyobrażasz, po jego zdemaskowaniu przyjrzano się wszystkiemu, czego się tknął jako agent. Całą jego historię zawodową drobiazgowo przejrano. Często jeździł za granicę jako konsultant śledczy. FBI tak robi dla podtrzymania wizerunku. Jeździł na przykład do Polski, Jugosławii, Włoch, Francji.

- Do Pragi też?

Skinęła głową.

- W jednej sprawie był w Pradze. Też konsultacja. Młode kobiety zniknęły i lądowały w rzece. Prostytutki. Ten lekarz, spec od twarzy, był przesłuchiwany, bo trzem ofiarom powiększał piersi. Backus był tam. Pomagał go przesłuchiwać.

- I może powiedzieli mu o działalności lekarza na boku.

- Na pewno. Uważamy, że wiedział i że pojechał tam zmienić twarz.

- To nie byłoby łatwe. Jego prawdziwa twarz zdobiła wtedy okładkę każdej gazety i każdego pisma.

- Wiesz, Bob Backus jest psychopatycznym mordercą, ale to bardzo bystry psychopata. Poza wymyślonymi typami w książkach i filmach inteligentniejszego jeszcze nie było. Nawet nie Bundy. Musimy zakładać, że od zawsze miał plan ucieczki. Od samego początku. Kiedy wywaliłam go stamtąd

przez okno osiem lat temu, wierz mi, że miał już taki plan. Mam na myśli pieniądze, dokumenty, wszystko, co potrzebne do zmiany tożsamości i ucieczki. Zapewne nawet nosił to ze sobą. Sądzimy, że z LA pojechał najpierw na wschód, a potem prysnął do Europy.

- Spalił swój apartamentowiec - dodałem.

- Racja, to też mu przypisujemy, co oznacza, że był w Wirginii trzy tygodnie po tym, jak postrzeliłam go w Los Angeles. To było cwane posunięcie. Podpalił budę i pojechał do Europy, na jakiś czas się przyciął, zmienił twarz i zaczął znów.

- Amsterdam.

Potaknęła.

- Pierwsze zabójstwo w Amsterdamie zdarzyło się siedem miesięcy po spaleniu domu specja od twarzy w Pradze.

Kiwnąłem głową. Wszystko zdawało się pasować. Potem przypomniałem sobie coś jeszcze.

- A jak dyrektor zamierza usprawiedliwić swe zdziwienie, że Backus żyje, skoro cztery lata temu popełnił zbrodnię w Amsterdamie?

- Może spokojnie temu zaprzeczyć. Po pierwsze i najważniejsze, to było za rządów poprzedniego dyrektora. Może więc zważyć na niego, co tylko chce. Taka federalna tradycja. Ale patrząc realistycznie, to było w innym kraju, nie my prowadziliśmy śledztwo. I nigdy nie zostało to potwierdzone na sto procent. Dysponujemy analizą grafologiczną, ale w zasadzie niczym więcej. To nie jest dowód o takiej wartości jak odciski palców czy DNA, jeśli chodzi o potwierdzenie tożsamości. Dyrektor może po prostu powiedzieć, że w Amsterdamie nic nie wskazywało na sto procent, że to Backus. W każdym razie ma wytłumaczenie. Musi się obawiać tylko o tu i teraz.

- Panować nad chwilą.

- Kurs „FBI dla początkujących”.

- A jak wy? Zgadza się na nagłośnienie sprawy?

- Nie. Poprosiliśmy o tydzień. Dał nam jeden dzień. Konferencja prasowa odbędzie się o osiemnastej czasu wschodniego.

- Jakby coś się mogło stać w jeden dzień.

- No właśnie. Gównu nam z tego przyjdzie.

- Backus pewnie znów się gdzieś zaszyje, ponownie zmieni twarz i nie będzie się pokazywał przez kolejne cztery lata.

- Przypuszczalnie. Ale sprawa nie zemści się na dyrektorze. On będzie kryty.

Czas jakiś milczeliśmy, rozmyślając o tym. Mogłem zrozumieć decyzję dyrektora, choć z pewnością przysłuży się bardziej jemu niż śledztwu.

Byliśmy już na piętnastce, skręcałem w zjazd na Blue Diamond.

- Co się wydarzyło o dziewiątej przed spotkaniem z dyrektorem?

- Rundka naokoło, jak zwykle. Każdy melduje swoje.

- I?

- I prawie nic nowego. Kilka rzeczy. Głównie rozmawialiśmy o tobie. Liczę na ciebie, Harry.

- Liczysz, że co?

- Że masz nowy trop. Dokąd jedziemy?

- Oni wiedzą, że jedziemy razem, czy w dalszym ciągu masz mnie niby śledzić?

- Chyba woleliby to drugie rozwiązanie - a nawet na pewno. Ale to byłoby nudne, a poza tym, jak ci mówiłam - co mi zrobią, jak się dowiedzą, że jadę z tobą, ześlą z powrotem do Minot? Wielkie rzeczy, już je nawet polubiłam.

- Minot to rzeczywiście nic wielkiego, ale może wyślą cię jeszcze gdzie indziej. Nie mają oddziałów terenowych na Guam albo na jakiejś innej wyspie na Pacyfiku?

- Mają, ale wszystko jest względne. Słyszałam, że na Guam nie jest tak źle, dużo tropów terrorystycznych, a to teraz szczyt mody. A po ośmiu latach w Minot i Rapid City taka odmiana może nie być zła, bez względu na to, co to będą za śledztwa.

- Co tam mówili o mnie na spotkaniu?

- Głównie ja mówiłam, bo to moje zadanie. Powiedziałam, że sprawdziłam cię przez biuro terenowe w LA i dostałam twoją historię. Opowiedziałam to i dodałam, że rok temu znalazłeś się na bocznym torze.

- To znaczy? Że odszedłem na emeryturę?

- Nie. Bezpieczeństwo Narodowe. Podpadłeś im, trafiłeś na boczny tor, ale wróciłeś. To zrobiło wrażenie na Cherie Dei. Stała się bardziej skłonna dać ci trochę pohasać.

- Zastanawiałem się nad tym.

Właściwie to zastanawiałem się, dlaczego agentka Dei zwyczajnie mnie nie przytknęła.

- A co z notatkami McCaleba? - zapytałem.

- A co z nimi?

- Pewnie już pracowały nad nimi cięższe głowy niż moja. Co wymyślili? Jak podeszli do teorii trójkąta?

- U seryjnych morderców znana jest taka prawidłowość, że popełniają „trójkątne zabójstwa”. Często to obserwujemy. To znaczy, że ofiara przebywa kolejno w trzech wierzchołkach trójkąta. Pierwszym jest punkt, gdzie mieszkają albo przyjeżdżają - ich dom albo w tym wypadku lotnisko. Potem jest tak zwany punkt łowów - miejsce, gdzie styka się zabójca i ofiara, gdzie krzyżują się ich drogi. A potem jest punkt, gdzie morderca pozbywa się ciała. Przy seryjnych zbrodniach te trzy punkty nigdy nie są takie same, bo tak najlepiej uniknąć wykrycia. To właśnie zobaczył Terry, kiedy czytał artykuł w gazecie. Zakreślił to, bo gość z policji Vegas szedł złym tropem. Nie myślał o trójkącie, tylko o kole.

- Więc teraz Biuro pracuje nad trójkątem.

- Oczywiście. Ale niektóre rzeczy muszą poczekać. Teraz główny nacisk kładzie się na analizę miejsca zbrodni. Lecz ktoś w Quantico pracuje teraz nad trójkątem. Harry, FBI jest skuteczne, ale czasem powolne. Na pewno to wiesz.

- Pewnie.

- To jak wyścig żółwia i zająca. My jesteśmy żółwiem, ty zającem.

- O czym ty mówisz?

- Harry, poruszasz się szybciej niż my. Przypuszczam, że ty już rozgryzłeś teorię trójkąta i ustalasz ten brakujący wierzchołek. Punkt łowów.

Skinąłem głową. Wykorzystują mnie czy nie, co to ma za znaczenie. Pozwalali mi brać udział w polowaniu, a to się dla mnie liczyło.

- Zaczynamy na lotnisku, kończymy w Zzyzx. Pozostaje jeden punkt - przecięcie dróg drapieżcy i ofiary - i chyba go mamy. Właśnie tam jedziemy.

- To znaczy?

- Najpierw mi powiedz jeszcze jedną rzecz o notatkach McCaleba.

- Chyba już nie mam nic do dodania. Dalej są analizowane.

- Kto to jest William Bing? Zawahała się, ale tylko na moment.

- To nic ważnego, ślepy trop.

- Jak to?

- William Bing to pacjent po przeszczepie serca, który był w Vegas Memorial na obserwacji i badaniach. Myślimy, że Terry go znał i jak był w Vegas, odwiedził przy okazji.

- Rozmawialiście już z Bingiem?

- Jeszcze nie. Próbujemy go namierzyć.

- To mi jakoś nie pasuje.

- Co, że odwiedzał gościa w szpitalu?

- Nie, nie to. Że zapisał to na teczce, jeśli nie miało związku ze sprawą.

- Terry wszystko zapisywał. Widać po jego teczkach i notatnikach, że notował, co tylko się dało. Jeśli jechał tutaj, żeby pracować nad tą sprawą, może zapisał nazwisko Binga i numer do szpitala na teczce, żeby nie zapomnieć go odwiedzić czy zadzwonić. Mogło być dużo powodów.

Nie odpowiedziałem. To mi jakoś nie pasowało.

- Skąd znał faceta?

- Nie wiemy jeszcze. Może po filmie. Jak go grali, Terry dostawał setki listów od pacjentów po przeszczepach. Stał się swego rodzaju bohaterem dla ludzi jadących na tym samym wózku co on.

Kiedy jechaliśmy Blue Diamond na północ, zobaczyłem sztyl z zajazdu dla ciężarówek Travel America i przypomniałem sobie paragon znaleziony w samochodzie Terry'ego. Zjechałem, mimo że rano, wyjechawszy od Eleanor, zatankowałem samochód do pełna. Zatrzymałem się i po prostu popatrzyłem na budynek zajazdu.

- Co jest? Musisz zatankować?

- Nie, mam pełno. Tylko że... McCaleb był tutaj.

- Co takiego? Wyczuwasz go, jakieś bioprądy czy jak?
- .Nie, znalazłem w jego samochodzie paragon. Zastanawiam się, czy to oznacza, że jechał do Clear.
- Do Claire, a kto to?
- Nie, do miasta Clear. Tam właśnie się udajemy.
- No, pewnie się nie dowiemy, chyba że skręcimy tam i popytamy się.

Skinąłem głową, wjechałem z powrotem na autostradę i ruszyłem na północ. Po drodze streściłem Rachel moją teorię na temat teorii. Czyli moją próbę ustalenia McCalebowego trójkąta i jak się do niej miało Clear. Widziałem, że ją zainteresowałem. Może nawet była trochę podekscytowana. Zgodziła się z moją opinią co do ofiar, tego, jak i dlaczego mógł je wybierać. Przyznała, że zgadza się z tożsamością - jej słowo - w Amsterdamie.

Przez godzinę prowadziliśmy burzę mózgow, a potem zamilkliśmy, gdy do miasta został kawałek drogi. Jałowy, surowy krajobraz ustępował pierwszym zwiastunom cywilizacji, widzieliśmy billboardy reklamujące burdele, które otwierały drzwi przed chętnymi.

- Byłeś kiedyś w czymś takim? - zapytała Rachel.
- Nie.

Pomyślałem o armijnych namiotach z „masażystkami” w Wietnamie, ale milczałem.

- Nie jako klient, tylko jako gliniarz.
- Też nie. Ale paru ludzi przez nie namierzałem. Mam na myśli karty kredytowe i inne sposoby. Ludzie tutaj nie będą się rwali do współpracy. Przynajmniej przez telefon nie bardzo się rwali. A miejscowy szeryf to parodia. Stan zbiera z tych nor podatki. Spora działka wraca potem do macierzystego hrabstwa.

- Rozumiem. To jak my sobie z tym poradzimy?

Prawie się uśmiechnąłem, bo użyła słowa „my”, i powtórzyłem to pytanie.

- Nie wiem - odparła. - Chyba wejdziemy frontowymi drzwiami.

Oznaczało to, że po prostu otwarcie tam wejdziemy i zaczniemy zadawać pytania. Nie byłem pewien, czy to właściwa metoda, ale ona miała odznakę, a ja nie.

Przejechaliśmy przez miasto Pahump i po kolejnych 10 milach dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie stał drogowy znak z nazwą CLEAR i strzałką w lewo. Skręciłem. Asfalt zaraz ustąpił kamiennemu tłuczniowi, w związku z czym za samochodem pojawiła się chmura kurzu. Mieszkańcy miasteczka Clear z daleka widzieli, że nadjeżdżamy. Rzecz jasna, jeśli patrzyli.

Ale miasteczko Clear w Nevadzie to było niewiele więcej niż parking dla przyczep. Żwirowa droga doprowadziła nas do kolejnego skrzyżowania i kolejnego drogowego znaku ze strzałką. Ponownie skręciliśmy na północ i dojechaliśmy do placu, gdzie stała stara przyczepa z rdzą ściekającą z nitów. Szyld na jej górnej krawędzi głosił: WITAMY W CLEAR. BAR TV SPORT OTWARTE. WOLNE POKOJE. Przed barem nie stał żaden samochód.

Przejechałem obok wozu powitalnego, droga skręciła w stronę stadka przyczep mieszkalnych smażących się w słońcu jak puszki po piwie. Nieliczne były w lepszym stanie niż wóz powitalny. W końcu dojechaliśmy do normalnego budynku, który chyba był ratuszem, przy nim było także źródło, od którego miejscowość wzięła nazwę. Jechaliśmy dalej, aż w nagrodę zobaczyliśmy jeszcze jeden drogowy znak ze strzałką. Na tym po prostu napisano: DOMY PUBLICZNE.

Władze stanu Nevada udzieliły koncesji około trzydziestu burdelom w całym stanie. W tych miejscach prostytucja jest legalna, kontrolowana i nadzorowana. Na końcu drogi w Clear znaleźliśmy trzy takie licencjonowane przybytki. Żwirówka rozszerzyła się w spory podjazd, gdzie trzy podobne do siebie instytucje oczekiwały na klientów. Nazywały się Weranda Sheili, Rancho Piątka u Tawny i Dom Świętoszek Panny Delili.

- No ładnie - oceniła Rachel, gdy przyglądaliśmy się przybytkom rozpusty. - Dlaczego te miejsca zawsze nazywają imionami kobiet; to ma sugerować, że kobiety są właścicielkami?

- Pewnie tak. Chyba Dom Świętoszek Pana Dave'a za bardzo nie podobałoby się facetom.

Rachel się uśmiechnęła.

- Masz rację. Cwane posunięcie. Nazwij miejsce upodlenia i zniewolenia kobiet imieniem kobiety i nie będzie brzmiało tak źle, nie? Liczy się opakowanie.

- Zniewolenia? Ja słyszałem, że te kobiety przyjeżdżają tu z własnej woli. Niektóre z nich podobno są gospodyniami domowymi w Vegas.

- Bosch, jak w to wierzysz, to jesteś naiwny. To, że możesz przyjeżdżać i wyjeżdżać, nie znaczy, że nie jesteś niewolnikiem.

Kiwnąłem głową z namysłem, nie chcąc wdawać się z nią w taką dyskusję, bo wiedziałem, że doprowadzi mnie to do analizowania i kwestionowania faktów z mojej przeszłości.

Rachel najwyraźniej też chciała zmienić temat.

- Od którego chcesz zacząć? - zapytała.

Zatrzymałem samochód przed Ranchem Piątka u Tawny. Niespecjalnie przypominało to rancho. Była to zbitka trzech czy czterech przyczep połączonych zadaszonymi przejściami. Zerknąłem na lewo i zobaczyłem, że Weranda Sheili ma podobną konstrukcję i kształt, a w dodatku brak jej werandy. U panny Delili po prawej wyglądało tak samo - odniosłem wrażenie, że te trzy pozornie oddzielne burdele wcale ze sobą nie konkurują, lecz są gałęziami tego samego drzewa.

- Nie wiem - odrzekłem. - Jak dla mnie, możemy się pobawić w ene, due, rabe.

Rachel otworzyła drzwi.

- Momencik - powiedziałem. - Mam to.

Wręczyłem jej teczkę ze zdjęciami, które Buddy Lockridge przywiózł wczoraj do Vegas. Rachel otworzyła ją i ujrzała zdjęcia en face i z profilu człowieka znanego jako Shandy, podejrzanego o to, że jest Bobem Backusem.

- Nawet nie pytam, skąd je wytrzasnąłeś.

- No i dobrze. Ale ty je trzymaj, skoro masz odznakę.

- Na razie jeszcze mam.

- Przywiozłaś zdjęcia tych zaginionych?

- Tak.

- Świetnie.

Wzięła teczkę i wysiadła. Ja też. Podeszliśmy do przodu samochodu, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę i ponownie zlustrowaliśmy wszystkie trzy burdele. Przed każdym parkowało kilka samochodów. Przed Panną Delilą stały także cztery harleye z silnikami typu V, w rzędzie, błyszcząc niesympatycznie chromem. Jeden miał na baku namalowaną sprayem czaszkę palącą jointa, dym tworzył nad jej głową aureolę.

- Do Delili pójdziemy na końcu. Może poszczęści się nam, zanim będziemy musieli tam wejść.

- Motory?

- Tak, motory. To Road Saints. Lepiej nie kusić losu.

- Mnie to pasuje.

Rachel ruszyła pierwsza w stronę drzwi frontowych Werandy Sheili. Nie czekała na mnie, bo wiedziała, że idę tuż za nią.

31

We wnętrzu burdelu przywitał nas mdląco słodki zapach perfum zmieszanych ze zbyt dużą ilością kadzidła. Przywitała nas również uśmiechnięta kobieta w fioletowym kimonie, ani trochę nie zaskoczona czy zbita z tropu przez parę wchodzącą do środka. Gdy zobaczyła legitymację FBI, którą machnęła Rachel, zacisnęła usta w linię tak prostą i ostrą jak gilotyna.

- Miło mi - powiedziała z fałszywie uprzejmą nutą w głosie. - A teraz proszę mi pokazać nakaz.

- Dzisiaj bez nakazu - odparła niewzruszona Rachel. - Na razie chcielibyśmy tylko zadać parę pytań.

- Nie mam obowiązku z panią rozmawiać, chyba że ma pani papier od prokuratora, który mi to nakaze. Prowadzę tutaj legalny, koncesjonowany interes.

Na kanapie obok zauważyłem dwie kobiety ubrane w bieliznę Victoria's Secret. Oglądały serial w telewizji, na oko były całkiem niezainteresowane słowną przepychanką pod drzwiami. Obie były na swój sposób atrakcyjne, choć dostrzegłem zmarszczki wokół oczu i ust. Skojarzyło mi się to nagle z matką i jej niektórymi kolesiami. Sposób, w jaki na mnie patrzyli, gdy byłem małym chłopcem i przyglądałem się, jak szykują się do wyjścia na noc do pracy. Poczułem się raptem całkiem nie na miejscu. Chciałem wyjść.

Miałem nawet nadzieję, że kobiecie w kimonie uda się nas stąd wyrzucić.

- Nikt nie podważa waszej legalności - rzekła Rachel. - Po prostu chcemy pani i pani... personelowi zadać kilka pytań i zaraz idziemy.

- Proszę przynieść nakaz od prokuratora, wtedy chętnie się podporządkuję.

- Pani jest Sheila?

- Może pani tak do mnie mówić. Niech pani nazywa mnie, jak chce, o ile mówi pani „do widzenia”.

Rachel podniosła stawkę, zmieniając ton głosu na „proszę mnie nie wkurzać”.

- Jeśli pójde po ten nakaz, najpierw zadzwonię po szeryfa i póki nie wrócę, przed tym barakiem będzie stał radiowóz. Może to i legalny interes, pani Sheilo, ale który lokal wybiorą faceci, jak zobaczą, że tu siedzi szeryf? Powrót do Vegas - mniej więcej dwie godziny, parę godzin czekania na spotkanie z sędzią i dwie godziny jazdy tutaj. O piątej kończymy pracę, więc pewnie nie wrócę do jutra. Pasuje pani?

Sheila odparowała równie zawzięcie:

- Jak będzie pani dzwonić do szeryfa, niech pani poprosi, żeby przysłał Dennisa albo Tommy'ego. Oni dobrze znają nasz lokal, poza tym są naszymi klientami.

Uśmiechnęła się szyderczo do Rachel i nie ustępowała. Sprawdziła, że blefuje, więc Rachel nic już nie pozostało. Wpatrywały się w siebie, a sekundy mijały. Już miałem się włączyć i coś po wiedzieć, kiedy uprzedziła mnie jedna z kobiet siedzących na kanapie.

- She? - odezwała się ta siedząca bliżej. - Może im pozwólmy, będziemy miały to z głowy.

Sheila odwróciła wzrok od Rachel i zerknęła na tę kobietę. Potem ustąpiła, choć w środku się gotowała. Pewnie nie dałoby się tego inaczej rozegrać, skoro Sheila tak na nas naskoczyła, ale było dla mnie oczywiste, że wszystkie te pozy i groźby nic nam w rezultacie nie dadzą.

Usadowiliśmy się w ciasnym pokoju Sheili i przesłuchiwalismy kobiety jedną po drugiej, zaczynając od Sheili, kończąc na dwóch, które akurat pracowały, gdy weszliśmy. Rachel w ogóle mnie nie przedstawiała, toteż moja rola w śledztwie nie została ujawniona. Wszystkie nie rozpoznały bądź nie chciały rozpoznać żadnego z zaginionych mężczyzn, którzy wylądowali w ziemi przy Zzyzx, ani pana Shandy'ego ze zdjęcia zrobionego na łodzi McCa-leba.

Po półgodzinie wyszliśmy stamtąd z niczym oprócz bólu głowy od oparów kadzidełek - to u mnie - i nadszarpniętych perspektyw na przyszłość Rachel.

- Obrzydliwe - stwierdziła, gdy szliśmy różowym chodnikiem do samochodu.

- Co obrzydliwe?

- Ten lokal. Nie wiem, jak ktoś może coś takiego robić.

- Zdaje się, że powiedziałaś, że są niewolnicami.

- Wiesz co, do twoich obowiązków nie należy łapanie mnie za słowa.

- No racja.

- O co się tak wkurzasz? Nie przypominam sobie, żebyś wtedy odezwał się do niej choć słowem. Bardzo byłeś pomocny.

- To dlatego, że ja bym tego tak nie robił. Po dwóch minutach już wiedziałem, że guzik znajdziemy.

- Tak, a ty byś znalazł.

- Tego nie powiedziałem. Mówiłem ci, takie lokale są jak kamienie. Ciężko z nich cokolwiek wycisnąć. A gadka o sprowadzeniu szeryfa to już w ogóle była bezsensowna. Mówię ci, połowa jego pensji pewnie pochodzi z burdeli, które ma w rewirze.

- Czyli wolisz tylko krytykować, a samemu nic nie zaproponujesz.

- Rachel, wiesz co, celuj sobie z pistoletu w kogoś innego. To nie na mnie jesteś zła, tak czy nie? Jak chcesz w następnym lokalu zagrać trochę inaczej, to mogę spróbować.

- No to wal.

- Nie ma sprawy, daj mi tylko zdjęcia i zaczekaj w samochodzie.

- Co takiego? Idę z tobą.

- Rachel, tu się nie wchodzi z pompą i orkiestrą. Powinienem był to wiedzieć, jak cię zapraszałem. Ale nie pomyślałem, że od razu jak wejdiesz, zaświecisz ludziom w oczy legitymacją.

- Czyli ty tam wchodzisz i rozgrywasz to subtelnie.

- No może nie do końca subtelnie. Raczej - staroświecką metodą.
- Czy ta metoda polega na zdejmowaniu ubrania?
- Raczej na wyjmowaniu portfela.
- FBI nie kupuje informacji od potencjalnych świadków.
- Zgadza się. Ja nie jestem FBI. Jak znajdę świadka, FBI nie będzie to kosztowało ani centa.

Położyłem dłoń na plecach Rachel i delikatnie skierowałem ją w stronę mercedesa. Otworzyłem drzwi i zaczekałem, aż wsiądzie. Dałem jej kluczyki.

- Włącz klimatyzację. Nie powinno to potrwać zbyt długo.

Wziąłem teczkę ze zdjęciami i wsadziłem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Chodnik prowadzący do Piątki u Tawny także był z różowego cementu, zauważyłem, że to nawet całkiem pasuje. Kobiety, które spotkaliśmy u Sheili, były twardymi skorupami po wierzchu wyłożonymi czymś różowym. Rachel tak samo. Zaczynałem się czuć, jakby ktoś mi włożył nogi do wiader z różowym cementem.

Zadzwoiłem do drzwi, otworzyła mi kobieta ubrana w szorty z obciętych dzinsów i top na ramiączkach, który ledwo skrywał jej chirurgicznie powiększone piersi.

- Proszę wejść. Jestem Tammy.
- Dzięki.

Wszedłem do holu przyczepy, gdzie naprzeciwko siebie stały dwie kanapy. Siedziały na nich trzy kobiety i patrzyły na mnie z wywiczonymi uśmiechami.

- To jest Georgette, Gloria, Mecca - przedstawiła je Tammy. -

A ja jestem Tammy. Możesz wybrać którąś z nas albo poczekać na Tawny. Jest teraz z klientem.

Popatrzyłem na Tammy. Wyglądała mi na najbardziej chętną. Była bardzo niska, z wielkim biustem i krótkimi brązowymi włosami. Niektórym wydałaby się atrakcyjna, ale nie mnie. Powiedziałem jej, że jest w sam raz, i poprowadziła mnie korytarzem, który skręcił na prawo do drugiej przyczepy. Były tam, po lewej, trzy oddzielne pokoje. Podeszła do trzeciego i otworzyła drzwi kluczem. Weszliśmy, zamknęła drzwi, ale nie na klucz. Ledwo było tam miejsce do stania, bo większość zajmowało wielkie podwójne łóżce.

Tammy usiadła na nim i poklepała miejsce obok siebie. Usiadłem, ona zaś sięgnęła na półkę pełną zaczytanych kryminałów i wyciągnęła coś, co przypominało menu z restauracji. Wręczyła mi to. Był to cienki folder, na okładce miał rysunek, karykaturę. Przedstawiał nagą kobietę na czworakach, z wypiętym siedzeniem. Głowę odwracała, żeby mrugnąć do faceta, który wchodził w nią od tyłu. On też był nagi, jeśli nie liczyć kowbojskiego kapelusza i pasa z dwoma rewolwerami na biodrach. Jedną rękę miał w górze, trzymał w niej lasso. Lina unosiła się nad nimi, tworząc napis „Rancho Piątka u Tawny”.

- Możesz dostać z tym koszulkę - powiadomiła mnie Tammy. -Za dwadzieścia dolców.
- Fajnie. - Otworzyłem folder.

Okazało się, że jest to coś w rodzaju menu. Była to osobista karta Tammy. Jedna kartka papieru, na niej dwie kolumny. W pierwszej była lista seksualnych usług, które mogła zaoferować, i długość poszczególnych seansów, w drugiej - ich ceny. Przy dwóch z usług widniały gwiazdki. Na dole wyjaśniano, że to oznacza jej specjalność.

- No - patrzyłem na tę listę - do niektórych chyba będzie mi potrzebny tłumacz.
- Ja wyjaśnię. Które?
- Ile bierzesz po prostu za pogadanie?
- Co masz na myśli? Mam ci mówić świństwa czy ty mi będziesz mówić?
- Nie, pogadać tak zwyczajnie. Chcę cię zapytać o jednego gościa, którego szukam. On jest gdzieś stąd.

Jej postawa się zmieniła. Usiadła prosto i odsunęła się. Odpowiadało mi to, bo jej perfumy przepalały mi i tak już poparzone kadzidłem nozdrza.

- Chyba lepiej pogadaj z Tawny, jak skończy.

- Tammy, chcę porozmawiać z tobą. Daję sto dolców za pięć minut. Jak coś mi o tym gościu powiesz, dołożę drugie tyle.

Zastanawiała się z wahaniem. Dwieście dolarów, według menu, nie opłaciłoby nawet godziny pracy. Miałem jednak przeczucie, że ceny z karty można negocjować, a poza tym na różowym cemencie przed

lokalem nie stała kolejka chętnych.

- Ktoś skasuje tutaj moje pieniądze - powiedziałem. - Możesz to być równie dobrze ty.

- Dobra, ale załatwmy to szybko. Jak Tawny się dowie, że nie jesteś płacącym klientem, to cię wykopie, a mnie przetrzuci na koniec kolejki.

Teraz zrozumiałem. Otworzyła drzwi, bo była jej kolej. Mogłem sobie wybrać dowolną z kobiet z kanapy, ale to Tammy miała okazję zrobić pierwsze wrażenie.

Sięgnąłem do kieszeni i dałem jej stówkę. Drugą trzymałem w dłoni, wyciągając teczkę i otwierając ją. Rachel zrobiła błąd, pytając kobiety u Sheili, czy rozpoznają kogoś z mężczyzn na zdjęciach. To dlatego, że nie miała tej pewności co ja. Byłem bardziej przekonany do swojej teorii i nie popełniłem tego samego błędu.

Pierwsze zdjęcie, które jej pokazałem, przedstawiało en face Shandy'ego na łodzi McCaleba.

- Kiedy ostatni raz go tu widziałaś? - zapytałem.

Tammy dłuższą chwilę patrzyła na zdjęcie. Nie wzięła go ode mnie, choć dałbym jej do ręki. Kiedy już wydawało mi się, że to trwa całe wieki, że zaraz wejdzie Tawny i mnie wyprosi, w końcu się odezwała.

- Nie wiem... może z miesiąc temu, może dawniej. Nie widać go ostatnio.

Poczułem ochotę, żeby wleźć na łóżko i poskakać po nim, ale się opanowałem. Chciałem, żeby sądziła, że wiem wszystko, co mi mówi. W ten sposób będzie czuła się lepiej i bardziej się otworzy.

- Pamiętasz, gdzie go ostatni raz widziałaś?

- Pewnie przed wejściem. Wyprowadziłam klienta, a Tom stał tam i czekał.

- Aha. Mówił coś do ciebie?

- Nie, on nigdy nie mówi. Właściwie to nawet się nie znamy.

- Co było potem?

- Nic nie było. Gość wsiadł do samochodu i odjechali.

Zaczynało mi się coś rysować. Tom miał samochód. Był kierowcą.

- Kto go zawołał? Ty czy może twój klient?

- Pewnie Tawny. Ale nie bardzo pamiętam.

- Bo to się ciągle zdarzało.

- No tak.

- Kiedy był tu ostatnio?

- Miesiąc temu. Może i więcej. Powiedziałaś ci dość? Chcesz coś jeszcze?

Patrzyła na drugą stówkę w mojej dłoni.

- Dwie rzeczy. Znasz nazwisko Toma?

- Nie.

- Dobra, a jak ktoś się z nim kontaktuje, gdy potrzebuje kierowcy?

- Chyba dzwoni.

- Możesz mi dać numer?

- Podjedź po prostu do baru sportowego, to stamtąd do niego dzwoniemy. Nie znam numeru na pamięć. Jest gdzieś koło automatu przed wejściem.

- Aha, baru sportowego.

Jeszcze nie dałem jej pieniędzy.

- Ostatnia rzecz.

- Cały czas tak mówisz.

- Wiem, ale tym razem naprawdę.

Pokazałem jej zdjęcia zaginionych mężczyzn, które przywiozła Rachel. Były lepsze i dużo wyraźniejsze niż te, które ukazały się w gazecie. Były to kolorowe, niepozowane zdjęcia, które policji Vegas dały ich rodziny. Policja potem przekazała je w ramach uprzejmości FBI.

- Któryś z nich był waszym klientem?

- Wiesz pan co, my nie gadamy o klientach. Pełna dyskrecja. Nie udzielamy takich informacji.

- Tammy, oni wszyscy nie żyją, więc to nie ma znaczenia.

Jej oczy się rozszerzyły, po czym opuściła wzrok na zdjęcia w mojej dłoni. Wzięła je i przejrzała, jakby były kartami do gry. Widziałem po błysku w jej oczach, że rozdałem przynajmniej jednego asa.

- Co?

- No, ten gość zdaje się u nas był. Chyba z Meccą. Możesz ją zapytać.

Usłyszałem, jak dwa razy zatrząbił klakson. Wiedziałem, że to mój samochód. Rachel zaczęła się niecierpliwic.

- To przyprowadź Meccę tutaj. Wtedy dam ci resztę forsy. Powiedz jej, że dla niej też coś mam. Ale nie mów, czego chcę. Powiedz, że chcę dwie dziewczyny naraz.

- No dobra, ale to już będzie koniec. Zapłacisz mi.

- Zapłacę.

Wyszła, a ja usiadłem na łóżku i rozejrzałem się. Ściany były wyłożone imitacją drewna wiśniowego. Jedno okno przysłonięte firanką z frędzlami. Pochyliłem się i odsunąłem ją. Widać było przez nie tylko jałowy krajobraz pustyni. Łóżko i przyczepa mogły równie dobrze stać na księżycu.

Drzwi się otworzyły. Odwróciłem się, gotów dać Tammy resztę pieniędzy i sięgnąć do kieszeni po dolę dla Meccy. Ale w drzwiach nie stały dwie kobiety, lecz dwóch facetów. Byli ogromni, jeden większy od drugiego, a ramiona poniżej rękawów koszulek mieli całe pokryte więziennymi tatuażami. Na pękatym bicepsie większego widniała czaszka z aureolą - to powiedziało mi, kim są.

- Co jest, doktorku? - powiedział większy.

- Ty pewnie jesteś Tawny - odparłem.

Bez słowa wyciągnął ręce i złapał mnie oburącz za klapy marynarki, ściągnął z łóżka i cisnął w korytarz, prosto w ramiona oczekującego kolegi. Ten popchnął mnie korytarzem w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszedłem. Nagle zrozumiałem, że klakson Rachel był ostrzeżeniem, nie oznaką zniecierpliwienia. Żałowałem, że nie odczytałem tego jak trzeba, kiedy Duży Steryd i Mały Steryd wypychali mnie przez tylne drzwi wprost na skalisty grunt pustyni.

Upadłem na kolana i właśnie się zbierałem, kiedy jeden z nich kopnął mnie w biodro, ponownie przewracając na ziemię. Spróbowałem wstać jeszcze raz, tym razem mi pozwolili.

- Pytałem, co jest, doktorku? Masz do nas jakiś interes?

- Tylko o coś pytałem i chciałem zapłacić za odpowiedź. To chyba nie jest problem.

- Właśnie, koleś, że jest.

Podchodzili do mnie, większy z przodu. Był tak wielki, że całkiem zasłaniał mi tego drugiego. Z każdym jego krokiem naprzód ja robiłem jeden w tył. I miałem nieprzyjemne uczucie, że tego właśnie chcieli. Naprowadzali mnie tyłem na coś, może na jakąś jamę pośród piachu i skał.

- Coś ty w ogóle za jeden, co?

- Jestem prywatnym detektywem z LA. Szukam zaginionego faceta i tyle.

- Wiesz co, goście, którzy tu przyjeżdżają, nie lubią, żeby ich szukać.

- Teraz już rozumiem. Po prostu sobie pojadę i nie będziecie...

- Przepraszam.

Wszyscy znieruchomieliśmy. To był głos Rachel. Większy facet odwrócił się do przyczepy, jego ramiona opadły o parę cali. Widziałem, jak Rachel wychodzi przez tylne drzwi przyczepy. Ręce miała spuszczone wzdłuż boków.

- Co jest, z mamusią tu przyjechałeś? - powiedział Duży Steryd.

- No, mniej więcej.

Gdy patrzył na Rachel, splotłem dłonie razem i walnąłem go w kark. Poleciał na swego współnika. Ale cios tylko go zaskoczył, nawet nie przewrócił. Odwrócił się i ruszył na mnie, zwijając pięści w dwa potężne młoty. Widziałem, jak Rachel wsuwa dłoń pod sweter i wyciąga pistolet. Lecz na moment zahaczył o ubranie i spóźniła się.

- Nie ruszać się! - krzyknęła.

Ale panowie się nie zatrzymali. Uchyliłem się przed pięścią większego, kiedy jednak wyszedłem z jego zasięgu, znalazłem się prosto przed mniejszym. Ten złapał mnie w objęcia i uniósł z ziemi. Z jakiegoś powodu zauważyłem wtedy, że z trzech okienek przyczepy obserwują nas kobiety. Scena mojej zagłady ma publiczność.

Ręce miałem uwięzione w uścisku napastnika, czułem, jak zgniata mi kręgosłup, jednocześnie wyciskając powietrze z płuc. Dopiero wtedy Rachel wyszarpnęła broń i dwa razy strzeliła w powietrze.

Mniejszy rzucił mnie na ziemię, przyglądałem się stamtąd, jak Rachel bokiem niczym krab oddala się od przyczepy, żeby mieć pewność, że nikt nie zachodzi jej od tyłu.

- FBI! - zawołała. - Na ziemię. Kłась się.

Osiłki posłuchały. Wstałem, gdy tylko zdołałem nabrać w płuca trochę powietrza. Usiłowałem otrzepać ubranie z pyłu, ale tylko go rozmazałem. Zerknąłem na Rachel i pokiwałem głową. Stała w bezpiecznej odległości od dwóch leżących i przyzywała mnie kiwnięciem palca.

- Co się stało?

- Rozmawiałem z jedną z kobiet i poprosiłem ją, żeby przyprowadziła następną. Ale zamiast niej pojawili się ci faceci i wywlekli mnie tutaj. Dzięki za ostrzeżenie.

- Przecież próbowałam cię ostrzec. Trąbiłam.

- Wiem, Rachel. Spokojnie. Właśnie za to ci dziękuję. Po prostu źle to trąbienie odczytałem.

- No i co robimy?

- Tych gości mam gdzieś. Możesz ich wypuścić. Ale w środku są dwie kobiety, Tammy i Mecca, musimy je zabrać. Jedna zna Shandy'ego, a druga chyba może potwierdzić, że jeden z zaginionych był klientem.

Rachel przetworzyła to i powoli skinęła głową.

- Dobrze. Shandy też był klientem?

- Nie, jakby jakimś kierowcą. Musimy podejść do baru sportowego i tam popytać.

- To nie możemy tych dwóch po prostu wypuścić. Mogą przyjść jeszcze raz nas odwiedzić. Poza tym tam stały cztery motory. Gdzie jest jeszcze dwóch?

- Nie wiem.

- Ej, dajcie se spokój! - wrzasnęła Duży Steryd. - Mamy gęby w piasku!

Rachel podeszła do dwóch leżących.

- No dobra, wstawajcie.

Poczekala, aż wstaną. Rzucali jej złowrogie spojrzenia. Opuściła rękę z bronią do biodra i odezwała się do nich spokojnie, jakby to był jej zwykły sposób zapoznawania się z ludźmi.

- Skąd jesteście?

- Bo co?

- Bo co? Bo chcę coś o was wiedzieć. Zastanawiam się, aresztować was czy nie.

- Za co? To on zaczął.

- Jakoś mi nie wygląda. Widziałam, jak dwóch wielkich facetów bije mniejszego.

- Wszedł na teren prywatny.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałam, to nie było wystarczające usprawiedliwienie dla pobicia. Chcecie się przekonać, czy się mylę, to dalej...

- Pahrup.

- Co takiego?

- Z Pahrup.

- Jesteście właścicielami tych trzech interesów?

- Nie, tylko ochroną.

- Rozumiem. No to posłuchajcie: jak znajdziecie tych pozostałych dwóch, których motory stoją z przodu, i pojedziecie do Pahrup, to zapominamy o całej sprawie.

- To niesprawiedliwe. On tam wlał i rozpytywał się o...

- Jestem z FBI. Guzik mnie obchodzi, czy to sprawiedliwe. Idziecie na to czy nie?

Po chwili duży facet spuścił z tonu i ruszył w stronę przyczepy. Mniejszy duży facet poszedł za nim.

- Dokąd to? - warknęła Rachel.

- Wyjeżdżamy. Tak jak chciałaś.

- Świetnie. Ale włóżcie kaski, panowie.

Większy, nie odwracając głowy, uniósł swą muskularną rękę i pokazał nam środkowy palec. Mniejszy facet zobaczył to i zrobił tak samo.

Rachel popatrzyła na mnie.

- Mam nadzieję, że to zadziała.

Kobiety na tylnym siedzeniu były wściekle, ale Rachel zupełnie to nie obchodziło. Znalazła się bliżej Backusa niż kiedykolwiek - niż ktokolwiek kiedykolwiek - od tamtej nocy w Los Angeles. Nocy, kiedy patrzyła, jak wylatuje tyłem przez szybę w pustkę, która pochłonęła wszelkie jego ślady.

Aż do teraz. I ostatnią rzeczą, jaką by się przejmowała, były protesty dwóch prostytutek zajmujących tylne siedzenie auta Boscha. Martwiła się tylko tym, że pozwoliła Boschowi prowadzić. Mieli teraz dwie zatrzymane i przewozili je prywatnym samochodem. Chodziło o bezpieczeństwo. Nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzą z przystankiem pod barem.

- Wiem, co zrobimy - powiedział Bosch, odjeżdżając spod trzech domów publicznych.

- Ja też - dodała Rachel. - Ty zostaniesz z nimi, a ja wejdę do środka.

- Nie, to nie zadziała. Potrzebne ci wsparcie. Przed chwilą miałaś dowód, że nie powinniśmy się rozdzielać.

- No więc jak?

- Włączę w tylnych drzwiach blokadę. Nie będą mogły ich otworzyć.

- A co zrobisz, żeby nie przelazły do przodu i nie wysiadły przednimi drzwiami?

- Słuchaj, a dokąd one pójda? Nie mają specjalnie wyboru; prawda, moje panie?

Zerknął w lusterko.

- Odpierdol się - rzuciła ta o imieniu Mecca. - Nie możecie tak robić. Nie popełniłyśmy żadnego przestępstwa.

- Już wyjaśniałam, że możemy - odparła znudzonym tonem Rachel. - Zostałyście zatrzymane przez FBI jako istotni świadkowie w sprawie kryminalnej. Po formalnym przesłuchaniu zostaniecie zwolnione.

- To zróbcie to teraz, niech to się skończy.

Rachel dowiedziała się, patrząc w prawo jazdy kobiety, że ta naprawdę nazywa się Mecca. To ją zaskoczyło. Mecca McIntyre. Co za imię.

- Mecca, nie możemy. Już tłumaczyłam dlaczego.

Bosch zatrzymał się na żwirowym podjeździe przed barem. Nie było tu innych samochodów. Opuścił odrobinę wszystkie szyby i wyłączył silnik.

- Włączę alarm - poinformował kobiety. - Jak przeleziecie na przód i otworzycie drzwi, zacnie wyć. Wtedy wyjdziemy i dogonimy was. Więc nawet nie próbujcie, dobrze? To nie potrwa długo.

Rachel wysiadła i zamknęła drzwi. Sprawdziła komórkę - wciąż nie było zasięgu. Widziała, jak Bosch patrzy na swoją i też kręci głową. Postanowiła, że z telefonu w barze zadzwoni do biura terenowego w Vegas, by zameldować, co znalazła. Spodziewała się, że Cherie Dei będzie zła, lecz i zadowolona.

- Tak swoją drogą - powiedział Bosch, gdy podchodzili do pochylnej prowadzącej do drzwi przyczepy - masz przy sobie zapasowy magazynek do sig sauera?

- Oczywiście.

- Gdzie, na pasku?

- Tak, a bo co?

- Nic. Tam za przyczepami widziałem, że ręka trochę zaplątała ci się pod bluzą.

- Nie zaplątała się. Ja tylko - ale o co chodzi?

- O nic. Chciałem tylko powiedzieć, że ja zawsze nosiłem magazynek w kieszeni marynarki. No wiesz, trochę ją obciążał. Gdy trzeba było odchylić poję, to ten dodatkowy ciężar w tym pomagał.

- Dzięki za wskazówkę. Możemy się skupić na tym, co trzeba?

- Jasne, Rachel. Ty teraz szefujesz?

- Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie mam.

Wspiął się za nią po rampie. W odbiciu w przeszklonych drzwiach przyczepy zobaczyła, że chyba się uśmiecha. Otworzyła je, potrącając dzwoneczek u góry, który obwieścił ich przyjście.

Weszli do małej pustej sali barowej. Po prawej stał stół do bilardu, pokryty zielonym sukniem, wyblakłym ze starości i poplamionym trunkami. Przy małym stole było mało miejsca. Nawet do rozbicia piramidki trzeba by chyba trzymać kij pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Na lewo od wejścia znajdował się kontuar z sześcioma stołkami, a za nim trzy półki ze szklankami i ofertą trucizn. Nie było tu nikogo, ale zanim zdążyli zawołać „dzień dobry”, rozchyliły się czarne zasłony po lewej stronie baru i wyszedł stamtąd mężczyzna. Zaspany, choć dochodziło południe.

- Czym mogę służyć? Wcześniej trochę, nie?

Rachel pokazała legitymację, co otworzyło mu oczy trochę szerzej. Oceniała go na sześćdziesiąt parę lat, choć rozczochrane od spania włosy i siwa szczecina na policzkach mogły trochę go postarzać.

Kiwnął głową, jakby właśnie rozwiązał w myślach jakąś zagadkę.

- Czyli pani jest siostrą, tak? - zapytał.

- Słucham?

- Pani jest siostrą Toma, tak? Mówił coś, że pani przyjedzie.

- Jakiego Toma?

- Toma Wallinga. A jak pani myśli?

- Szukamy faceta o imieniu Tom, który odwozi klientów z burdeli. To jest Tom Walling?

- No przecież mówię. Tom Walling był moim kierowcą. Powiedział, że kiedyś może przyjedzie siostra go szukać. Ale nic nie mówił, żeby była jakąś tam agentką FBI.

Rachel skinęła głową, próbując ukryć szok. To nie z zaskoczenia. Wstrząsnęła nią ta brawura, ten podtekst, ten rozmach planu Backusa.

- Jak się pan nazywa?

- Billings Rett. Jestem właścicielem baru, a także burmistrzem tego wszystkiego.

- Burmistrzem Clear.

- No tak.

Rachel poczuła klepięcie w ramię, opuściła wzrok i ujrzała teczkę ze zdjęciami, którą podawał jej Bosch. Zdawał się wiedzieć, że trochę się pozmieniało, że sprawa dotyczy teraz bardziej jej niż Terry'ego McCaleba czy nawet jego. Wzięła teczkę i wyciągnęła z niej fotografię Jordana Shandy'ego. Pokazała ją Rettowi.

- To jest człowiek znany panu jako Tom Walling?

Rett patrzył na zdjęcie zaledwie kilka sekund.

- Pewnie. Nawet ma tę czapkę Dodgersów. Mamy tu na satelicie wszystkie mecze, Tom zawsze kibicował tylko Dodgersom.

- Prowadził jeden z pana samochodów?

- Mam tylko jeden. To nie jest jakiś duży biznes.

- I powiedział panu, że siostra tu przyjedzie?

- Że być może. I dał mi coś.

Odwrócił się do półek za barem. Wiedział, czego szuka, i od razu sięgnął na górę. Zdjął kopertę i podał ją Rachel. Został po niej czysty prostokąt na zakurzonej szkle. Leżała tam jakiś czas.

Na kopercie było jej imię i nazwisko. Odwróciła ją nieco, żeby Bosch nie widział, i zaczęła otwierać.

- Rachel - odezwał się Bosch. - Nie trzeba by jej najpierw zbadać?

- Nie ma sensu. I tak wiem, że to od niego.

Rozdarła kopertę i wyciągnęła kartkę wielkości pocztówki. Zaczęła czytać ręczne pismo.

Droga Rachel

Jeśli, jak mam nadzieję, ty czytasz to pierwsza, znaczy to, że dobrze cię wyuczyłem. Mam nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem i nastrojem. Przede wszystkim zaś mam nadzieję, iż przeżyłaś okres federalnej niełaski i znów twoje na wierzchu. Mam nadzieję, że Ten, który odbiera, także daje z powrotem. Ja, Rachel, nigdy nie miałem zamiaru cię zgubić. Albowiem swoim ostatnim uczynkiem zamierzam cię zbawić.

Do widzenia, Rachel R

Przeczytała ją szybko jeszcze raz i podała przez ramię Boschowi. Kiedy czytał, indagowała Billingsa Retta.

- Kiedy on panu to dał i co powiedział?

- Jakiś miesiąc temu, plus minus kilka dni, wtedy kiedy powiedział, że wyjeżdża. Zapłacił czynsz, powiedział, że chce zatrzymać to lokum, dał tę kartkę i powiedział, że to dla jego siostry, która może będzie go tu szukać. No i przyjechała pani.

- Nie jestem jego siostrą - warknęła. - Kiedy pierwszy raz przyjechał do Clear?

- Nie pamiętam, chyba trzy, cztery lata temu.

- A po co?

Rett pokręcił głową.

- Pojęcia nie mam. A po co ludzie przyjeżdżają do Nowego Jorku? Każdy ma swój powód. Mnie go nie zdradził.

- Jak to wyszło, że został pana kierowcą?

- Raz tu siedział, gadaliśmy sobie i zapytałem, czy może nie popracowałby trochę. Powiedział, że czemu nie, i tak się zaczęło. To nie była jazda na pełen etat. Tylko jak dzwonią, że ktoś potrzebuje kierowcy. Większość klientów przyjeżdża swoimi samochodami.

- I wtedy powiedział panu, że nazywa się Tom Walling? Trzy, cztery lata temu?

- Nie, kiedy wynajmował ode mnie przyczepę. Czyli gdy pierwszy raz przyjechał.

- A co było miesiąc temu? Mówił pan, że zapłacił czynsz i wyjechał?

- Tak, powiedział, że wróci i chce zatrzymać przyczepę. Zapłacił za nią do sierpnia. Ale gdzieś pojechał i słuch o nim zaginął.

Przed barem zaczął wyc alarm. W mercedesie. Rachel odwróciła się do Boscha, ale ten już szedł do drzwi.

- Zajmę się tym - mruknął.

Wyszedł, zostawiając Rachel samą z Rettem. Obróciła się do niego ponownie.

- Tom Walling mówił panu, skąd pochodzi?

- Nie, nigdy. W ogóle niewiele mówił.

- A pan nie pytał.

- Kotku, tu nie zadaje się pytań. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie lubią odpowiadać. Tom chętnie jeździł, żeby zarobić od czasu do czasu parę dolców, a potem wpadał i sam sobie pyknął w bilard. Nic nie pił, tylko żuł gumę. Nigdy nie zadawał się z dziwkami i nigdy nie spóźnił się po klienta. Mnie to pasowało. Gość, co teraz jeździ, cały czas...

- Gość, co teraz jeździ, nic mnie nie obchodzi.

Z tyłu brzęknął dzwonek, odwróciła się. Wracał Bosch. Kiwnął do niej, mówiąc, że wszystko w porządku.

- Spróbowały drzwi. Chyba blokada nie działa.

Skinęła głową i skupiła się ponownie na Recie, dumnym burmistrzu miasta uciech.

- Panie Rett? - zapytała. - Gdzie jest to lokum Toma Wallinga?

- Ma taką przyczepę, jeden segment, na górce, na zachód od miasta.

Rett uśmiechnął się, ukazując zepsuty ząb pośrodku dolnej szczęki, i ciągnął:

- Wolał siedzieć poza miastem. Powiedział, że nie chce być tutaj blisko wszystkich tych rozrywek.

Więc ulokowałem go tam, za Skałą Titanica.

- Skałą Titanica?

- Jak pani podjedzie, od razu pani pozna - jeśli widziała pani film. Jeden z tych cwaniaków wspinaczy zrobił tam zresztą napis. Zobaczysz pani. Stąd prosto na zachód i nie można zabłądzić. Trzeba wypatrywać tonącego statku.

33

Siedziałem w mercedesie z dwiema kobietami, włączyłem klimatyzację i studziłem je. Rachel wciąż była w barze i gadała z Cherie Dei przez telefon, organizując przybycie posiłków. Domyślałem się, że agenci spadną z nieba w helikopterach i wezmą Clear siłą. Trop był świeży.

Próbowałem pogadać z dziewczynami - trudno mi było myśleć o nich „kobiety”, pomimo że robiły, co robiły, i były wystarczająco dorosłe. O mężczyznach pewnie wiedziały wszystko, co tylko można, natomiast o świecie nie miały zielonego pojęcia. Dla mnie były po prostu dziewczynkami, które źle wybrały albo zostały porwane i pozbawione kobiecości. Zaczynałem rozumieć, co powiedziała wcześniej Rachel.

- Czy Tom Walling kiedykolwiek zachodził do przyczep i brał którąś z dziewczyn? - zapytałem.

- Nie widziałam - odparła Tammy.

- Ktoś powiedział, że on pewnie jest pedałem albo coś - dodała Mecca.

- Ale czemu?

- Bo żył jak jakiś pustelnik - rzekła Mecca. - Nigdy nie skusił się na numerki, choć Tawny by mu postawiła, na koszt firmy, tak jak innym kierowcom.

- Dużo jest tych kierowców?

- Stąd był tylko on - wtrąciła szybko Tammy, najwyraźniej nie podobało jej się, że Mecca przejmuje inicjatywę. - Większość przyjeżdża z Vegas. Przeważnie pracują w kasynach.

- Skoro tam są kierowcy, kto by wynajmował Toma, żeby zajeżdżał po niego na dół i przywoził z powrotem?

- Nikt tak nie robił - powiedziała Mecca.

- No, czasami - uzupełniła Tammy.

- Aha, czasami. Chyba jakiś głupi. Ale przeważnie dzwoniłyśmy po Toma, jeśli klienta ktoś tutaj podrzucił, a on zostawał dłużej albo wynajmował od starego Billingsa przyczepę i potrzebował transportu z powrotem, bo tamten już dawno pojechał. Wozy z kasyna nie czekają długo. Chyba że jesteś jednym z tych, co wysoko grają, a wtedy...

- A wtedy co?

- A wtedy po pierwsze nie jechałbyś do Clear.

- W Pahump mają ładniejsze dziewczyny - dodała Tammy beznamiętnie, jakby była to ściśle biznesowa niedogodność, nic osobistego.

- Tam jest trochę bliżej, a numerki więcej kosztuje - powiedziała Mecca. - Więc do Clear przyjeżdżają klienci, dla których liczą się koszty.

Powiedziała to jak prawdziwy ekspert od marketingu. Próbowałam naprowadzić rozmowę z powrotem na właściwy tor.

- Czyli Tom Walling przeważnie przyjeżdżał i odwoził klientów do Las Vegas czy skąd tam się wzięli.

- No właśnie.

- No właśnie.

- A ci goście, klienci, mogą być zupełnie anonimowi. Nie sprawdzacie dokumentów? Jak przyjeżdżają, mogą podać nazwisko, jakie tylko zechcą.

- No tak. Chyba że nie wyglądają na dwadzieścia jeden lat.

- Aha, no, tym młodszym to sprawdzamy dokumenty.

Zaczynałam rozumieć, jak to mogło działać, jak Backus wybierał sobie klientów odpowiednich na ofiary. Klient, który starał się ukryć tożsamość i fakt, że pojechał do Clear, nieświadomie stawał się doskonałą ofiarą. Wpisywało się to także w znane fakty o demonach popychających go do kolejnych zbrodni. Profil psychologiczny w dossier Poety wskazywał, że zaburzenia Backusa wiązały się z jego relacją z ojcem, człowiekiem, który na pokaz utrzymywał nieskazitelny wizerunek agenta FBI, bohatera i dobrego człowieka, w środku jednak był potworem, który znęcał się nad żoną i synem do takiego stopnia, że ona uciekła, bo mogła, syn zaś, który nie mógł uciec, musiał wycofać się w świat fantazji, gdzie zabijał swego prześladowcę.

Zdałam sobie sprawę, że czegoś tu brakuje. Ofiara, która miała samochód - Lloyd Rockland. Jak on mógł pasować do tej układanki, skoro nie potrzebował kierowcy?

Otworzyłam teczkę pozostawioną przez Rachel w samochodzie i wyciągnęłam zdjęcie Rocklanda. Pokazałam je kobietom.

- Któraś z was rozpoznaje tego gościa? Nazywał się Lloyd.

- Nazywał? - zapytała Mecca.

- Tak, nazywał. Lloyd Rockland. Nie żyje. Poznacie go?

Żadna z nich nie poznawała. Nie zdziwiło mnie to. Rockland zniknął w roku 2002. Próbowałam wymyślić wytłumaczenie, które pozwoliłoby wpasować go w tę teorię.

- Podajecie tam alkohol, prawda?

- Jeśli klient sobie życzy, to możemy - odparła Mecca. - Mamy koncesję.

- No tak, a co się dzieje, jeśli facet przyjeżdża samochodem z samego Vegas i napije się za bardzo, żeby wracać?

- Może się przespać - wyjaśniła. - Albo może wziąć pokój, jeśli za niego zapłaci.

- A gdyby chciał wracać? Jeśli musi wracać?

- Może zadzwonić tutaj i burmistrz to załatwi. Kierowca zawiezie go z powrotem jego samochodem, a

potem złapie jakieś auto z kasyna albo coś i wróci. Tak to działa.

Kiwnąłem głową. W mojej teorii też to działało. Rockland mógł się upić, musiałby wtedy zostać odwieziony przez kierowcę - Backusa. Tylko że nie trafił z powrotem do Vegas. Wiedziałem, że muszę poprosić Rachel, żeby sprawdziła poziom alkoholu w szczątkach zidentyfikowanych jako Rockland. Byłoby to kolejne potwierdzenie.

- Szefie, będziemy tu siedzieć cały dzień? - zapytała Mecca.
- Nie wiem - odparłem, patrząc na drzwi przyczepy.

Rachel starała się mówić półgłosem, bo przy drugim końcu baru siedział Billings Rett, udając, że zagłębił się w krzyżówkę, gdy tymczasem wiedziała, że próbuje podsłuchać i zrozumieć wszystko, co ona mówi i co dobiega ze słuchawki.

- Szacunkowy czas przylotu? - zapytała.
 - Będziemy w powietrzu za dwadzieścia minut i kolejne dwadzieścia lotu - oznajmiła Cherie Dei.
- Więc siedź i czekaj.
- Rozumiem.
 - Rachel, ja cię znam. Wiem, co będziesz chciała zrobić. Trzymaj się z dala od przyczepy podejrzanego, dopóki nie przyjedziemy tam z ekipą kryminalistyczną. Niech oni zrobią, co do nich należy.

Rachel omal nie powiedziała Dei, że tak naprawdę jej nie zna, że nie rozumie jej ani trochę.

- Rozumiem - odparła.
- A co z Boschem? - zapytała następnie Dei.
- A co z nim?
- Chcę go od tego odsunąć.
- To będzie trochę trudne, bo to on znalazł to miejsce. Wszystko to zawdzięczamy jemu.
- Rozumiem, ale i tak byśmy do tego doszli. Zawsze dochodzimy. Podziękujemy mu, ale potem trzeba go będzie odstawić na boczny tor.
- Sama mu to powiedz.
- Pewnie. No to wszystko ustalone? Muszę ruszać do Nellis.
- Wszystko ustalone. Do zobaczenia za niecałą godzinę.
- Rachel, ostatnia rzecz. Dlaczego nie ty prowadziłaś samochód?
- To było przeczucie Boscha, on chciał prowadzić. A co za różnica?
- Oddałaś mu kontrolę nad przebiegiem zdarzeń, tylko tyle.
- To jest mądrzenie się po fakcie. Myśleliśmy, że może trafimy na jakiś ślad związany z zaginięciami, a nie na...
- W porządku, Rachel. Nic nie mówiłam. Muszę jechać.

Dei się rozłączyła. Rachel nie mogła, bo aparat wisiał na tylnej ścianie, za barem. Uniosła słuchawkę i pokazała ją Rettowi, który odłożył ołówek i podszedł. Wziął słuchawkę i odwiesił ją na widełki.

- Dziękuję, panie Rett. Za jakąś godzinę wyląduje tu kilka helikopterów. Pewnie tuż przed pana przyczepą. Agenci będą chcieli z panem pogadać. Bardziej urzędowo niż ja. Przypuszczalnie przepytają prawie każdego w tym mieście.

- Kiepsko będzie z biznesem.
- Pewnie tak, ale im szybciej ludzie zechcą współpracować, tym szybciej oni się zwiną i odlecą.

Nie wspomniała ani słowem o hordach dziennikarzy, którzy pewnie zlecą się tutaj, kiedy FBI publicznie ogłosi, że właśnie w małym miasteczku uciech na pustyni przez ostatnie lata ukrywał się niezauważony przez nikogo Poeta, i tu wybierał swe ostatnie ofiary.

- Jak agenci zapytają, gdzie jestem, powie im pan, że poszłam do przyczepy Toma Wallinga, okay?
- Zdaje się, że mówiono pani, że ma pani tam nie iść.
- Panie Rett, powie im pan to, o co proszę, czy nie?
- No powiem.
- Tak na marginesie, był pan tam u niego od czasu, kiedy przyszedł i powiedział, że wyjeżdża na trochę?
- Nie, jakoś mi się nie złożyło. Zapłacił czynsz, więc myślałem, że nie powinienem tam zaglądać i wtykać nos w nie swoje sprawy. Tutaj, w Clear, nie ma takich zwyczajów.

Rachel kiwnęła głową.

- Dobrze, panie Rett, dziękuję za współpracę.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie miał wyboru albo że jego udział był minimalny. Rachel odwróciła się od baru i ruszyła do drzwi. Ale dochodząc do nich, zawahała się. Sięgnęła pod bluzę i zdjęła zapasowy magazynek do sig sauera z paska. Zważyła go w dłoni, po czym wsunęła do kieszeni bluzy. Potem wyszła i wsiadła do mercedesa Boscha.

- I jak? - powiedział. - Dei mocno wkurzona?

- Ależ skąd. Właśnie znaleźliśmy coś przełomowego w tym śledztwie, czemu miałaby być wkurzona?

- Nie wiem. Niektórzy mają taką zdolność, że wkurzają się bez względu na to, co się im przyniesie.

- Będziemy tu siedzieć cały dzień? - zapytała Mecca z tylnego siedzenia.

Rachel obróciła się, by spojrzeć na obie kobiety.

- Jedziemy na zachód, pod ten grzbiet skalny, żeby obejrzeć jedną przyczepę. Możecie pojechać z nami i zostać w samochodzie albo pójść do baru i poczekać. Jedzie tu więcej agentów. Prawdopodobnie przesłuchają was tutaj i nie będziecie musiały jechać do Vegas.

- Dzięki Bogu - powiedziała Mecca. - To ja zaczekam tutaj.

- Ja też - dodała Tammy.

Bosch wypuścił je z samochodu.

- Tylko macie czekać tutaj! - zawołała za nimi Rachel. - Jak pójdziecie do swojej przyczepy albo gdzieś indziej, i tak się nie wywiniecie. Tylko się zdenerwują.

Nie dały po sobie poznać, że usłyszały to ostrzeżenie. Rachel obserwowała, jak wchodzą po pochylni do baru. Bosch wszedł z powrotem i wrzucił wsteczny.

- Jesteś pewna? - zapytał. - Agentka Dei zapewne kazała ci siedzieć i czekać na ekipę.

- Powiedziała też, że jak przyjedzie, to w pierwszej kolejności odeśle cię stąd. Chcesz na to poczekać czy wolisz obejrzeć tę przyczepę?

- Nie bój się, jadę. Ja nie mam kariery, którą należałoby się przejmować.

- Chrzanić taką karierę.

Jechaliśmy drogą gruntową, którą wskazał nam Billings Rett. Ciągnęła się na zachód od osady Clear przez milę, pod górę. Potem wyrównała i skręciła za czerwonawopomarańczową skałę, która wyglądała dokładnie tak, jak Rett ją opisał - jak rufa wielkiego, tonącego pasażerskiego liniowca, uniesiona nad wodę pod kątem sześćdziesięciu stopni. Zupełnie jak w filmie. Wspinacz, o którym wspomniał, wszedł na sam wierzchołek i w odpowiednim miejscu nabazgrał na skale białą farbą napis „Titanic”.

Nie zatrzymaliśmy się, by podziwiać skałę albo ten malunek. Objechałem ją i dotarłem do skrawka płaskiego terenu, gdzie na betonowych bloczkach spoczywała mała przyczepa. Obok niej na czterech flakach stał wrak samochodu, a przy nim - beczka po ropie, służąca do palenia śmieci. Po drugiej stronie znajdował się spory zbiornik paliwa i agregat prądotwórczy.

Aby nie zniszczyć potencjalnych dowodów, zatrzymałem się przed tym wszystkim i zgasilem silnik. Zauważyłem, że agregat milczy. Wszędzie było tak cicho, że sceneria wydawała się złowroga. Miałem wrażenie, że trafiłem na koniec świata, w samo jądro ciemności. Zastanawiałem się, czy to tutaj Backus zabierał swoje ofiary, czy tu kończyły życie. Prawdopodobnie. Czaiło się tu zło.

Rachel przerwała ciszę:

- No, będziemy tak się przyglądać czy tam zajrzemy?

- Czekałem, aż zdecydujesz.

Otworzyła drzwiczki i zrobiłem to samo. Spotkaliśmy się przed maską samochodu. Dopiero wtedy zauważyłem, że przyczepa ma pootwierane okna - ktoś, kto wyjeżdża na dłużej, raczej by tak nie zrobił. A potem poczułem odór.

- Czujesz?

Skinęła głową. W powietrzu wisiała śmierć. Cuchnęło o wiele gorzej, o wiele mocniej niż w Zzyzx. Instynktownie wiedziałem, że nie znajdziemy tutaj zakopanych tajemnic mordercy. Nie tym razem. W tej przyczepie były zwłoki, przynajmniej jedno, wystawione na działanie powietrza i rozkładające się.

- Swoim ostatnim uczynkiem - powiedziała Rachel.

- Co?

- Ta kartka. Napisał tak na kartce.

Pokiwałem głową. Miała na myśli samobójstwo.

- Sądysz?

- Nie wiem. Sprawdźmy.

Powoli zbliżyliśmy się, nie mówiąc już ani słowa. Odór wzmógł się; oboje wiedzieliśmy, że trup kogoś lub czegoś już dłużej leży w przyczepie.

Podszedłem do rzędu okien po lewej stronie drzwi. Przykładając do siatki złożone dłonie, próbowałem zajrzeć w ciemność. Puknięcie rękoma w siatkę jakby włączyło alarm - wewnątrz zaczęło brzęczeć stado much. Obijały się o siatkę, próbując się wydostać, zupełnie jakby widok miejsca zbrodni i ten smród były nawet dla nich nie do zniesienia.

Okno nie zostało niczym zasłonięte, ale pod tym kątem niewiele mogłem zobaczyć - w każdym razie żadnych zwłok ani nic takiego. Wyglądało to na mały salonik z kanapą i fotelem. Na stole leżały dwa stosiki książek w twardych oprawkach. Za fotelem stała biblioteczka wypełniona książkami.

- Nic - powiedziałem.

Cofnąłem się od okna i powiodłem wzrokiem wzdłuż przyczepy. Zobaczyłem, że Rachel wpatruje się w drzwi, a potem w klamkę. Przyszło mi wtedy do głowy, że coś tu jednak nie pasuje.

- Rachel, dlaczego on ten list do ciebie zostawił w barze?

- Co?

- No, list. Zostawił go w barze. Czemu? Czemu nie tutaj?

- Chyba chciał mieć pewność, że to ja go znajdę.

- Gdyby nie zostawił go tam, też byś tutaj przyjechała. I znalazła go tutaj.

Pokręciła głową.

- O co ci chodzi? Nie bardzo rozumiem, co...

- Rachel, nie otwieraj drzwi. Zaczekaj.

- O czym ty mówisz?

- Coś mi się tu nie podoba.

- To może zajrzyj od drugiej strony, może przez inne okna będzie coś widać.

- Dobra, zajrzę. Ale ty poczekaj.

Nie odpowiedziała. Obszedłem przyczepę z lewej strony, przeszedłem nad dyszlem i zajrzałem na tył. Ale potem zatrzymałem się i podszedłem do beczki ze spalonymi śmieciami.

Była w jednej trzeciej wypełniona zwęglonymi odpadkami. Na ziemi leżał kij od szczotki, osmalony na jednym końcu. Uniosłem go i pogrzebałem w popiołach, tak jak pewnie robił to Backus, kiedy palił się tam ogień. Chciał mieć pewność, że wszystko się spaliło.

Chyba palił tu głównie papiery i książki. Nie zauważałem nic szczególnego, dopóki nie natrafiłem na poczerwiałą, nadtopioną kartę kredytową. Nic nie dało się na niej odczytać, ale pomyślałem, że może kryminolodzy powiążą ją z którąś z ofiar. Grzebałem dalej i znalazłem kawałki stopionego czarnego plastiku. A potem spostrzegłem książkę, z wierzchu całkowicie spaloną, w środku jednak kartki były częściowo nienaruszone. Uniosłem ją w palcach i ostrożnie otworzyłem. Wyglądało to na wiersze, choć nie miałem pewności - wszystkie kartki były nadpalone. Pomiędzy dwiema znalazłem na wpół spalony paragon za książkę. Na górze widniał napis „Book Car”, reszta była zwęglona.

- Bosch? Gdzie ty jesteś?

To była Rachel. Zniknąłem jej z pola widzenia. Włożyłem książkę z powrotem do beczki, wsadziłem tam też kij od szczotki. Podszedłem do tylnej ściany przyczepy, do kolejnego otwartego okna.

- Poczekaj moment.

Rachel czekała. Zaczynała się niecierpliwic. Nasłuchiwała odległego warkotu helikopterów. Wiedziała, że gdy tylko je usłyszy, okazja minie bezpowrotnie. Odsuną ją od śledztwa, może nawet ukarzą za to, jak postępowała z Boschem.

Znów popatrzyła na klamkę. Pomyślała o Backusie, o tym, czy to rzeczywiście mogła być jego ostatnia gra. Czyżby wystarczyły mu cztery lata na pustyni? Czy zabił Terry'ego McCaleba i wysłał jej GPS tylko po to, żeby w rezultacie doprowadzić ją tutaj? Pomyślała o liściku, który zostawił, pisał w nim, że dobrze ją wyszkolił. Zaczęła w niej wzbierać złość, która popchnęła ją do otwarcia drzwi i...

- Tam jest ciało!

To Bosch wołał z drugiej strony przyczepty.

- Co? Gdzie?

- Chodź tutaj. Stąd widać. Jest tam łóżko i zwłoki. Sprzed dwóch, trzech dni. Nie widać twarzy.

- Okay, coś jeszcze?

Czekała. Nic nie powiedział. Położyła dłoń na klamce. Obróciła się.

- Drzwi nie są zamknięte na klucz.

- Rachel, nie otwieraj ich! - zawołał Bosch. - Wydaje mi się... wydaje mi się, że tam jest gaz. Czuję coś jeszcze oprócz trupa. Coś, co nie jest oczywiste. Coś ukrytego.

Rachel zawahała się, ale potem przekreśliła klamkę do oporu i uchyliła drzwi o kilka cali.

Nic się nie stało.

Powoli otworzyła drzwi na oścież. Nic się nie stało. Muchy zobaczyły otwór i wyleciały na zewnątrz. Odgoniła je od oczu.

- Bosch, wchodzę.

Weszła do przyczepty. Jeszcze więcej much. Były wszędzie. Odór uderzył w nią z pełną mocą, otoczył ją. Poczowała skurcz żołądka.

Wzrok zaraz przyzwyczyił się do półmroku po jaskrawym świetle na zewnątrz i zobaczyła zdjęcia. Piętrzyły się na stołach, były przyklejone taśmą do ściany i lodówki. Zdjęcia ofiar, żywych i martwych, łkających, błagających, budzących litość. Stół kuchenny przyczepty został zamieniony w biurko. Z boku stał laptop podłączony do drukarki i trzy oddzielne stosiki fotografii. Podniosła największy z nich i zaczęła je kartkować; rozpoznała niektóre twarze - zaginionych mężczyzn, których zdjęcia przywiozła ze sobą do Clear. Ale to nie były rodzinne zdjęcia jak w teczce, tylko fotografie zabójcy i jego ofiar. Ludzi, których oczy patrzyły błagalnie w obiektyw, prosząc o zmiłowanie i litość. Rachel zauważyła, że wszystkie ujęcia są z góry, jakby fotograf - Backus - stał w pozycji dominującej, spoglądając na ofiary, które błagały o darowanie życia.

Kiedy nie mogła już dalej patrzeć, odłożyła fotografie i wzięła drugą kupkę. Tu było mniej zdjęć, w większości przedstawiały kobietę z dwojgiem dzieci chodzącą po centrum handlowym. Odłożyła je i już miała przełożyć aparat przyciskający trzeci stosik zdjęć, gdy do przyczepty wszedł Bosch.

- Rachel, co my tu robimy?

- Bez obaw. Mamy pięć, może dziesięć minut. Wycofamy się, gdy tylko usłyszymy helikoptery, i pozwolimy, żeby zajęli się tym kryminalodzy. Chcę tylko sprawdzić, czy...

- Nie chodzi mi o to, kto będzie pierwszy, my czy inni agenci. Nie podoba mi się to, że zostawił otwarte drzwi. Coś mi tu nie...

Urwał, zerknąwszy na zdjęcia.

Odwróciła się z powrotem do stołu i uniosła aparat, spoczywający na trzeciej kupce zdjęć. Na fotografii była ona. Przez moment zastanawiała się, gdzie zostało zrobione, ale potem się zorientowała.

- On cały czas był ze mną - powiedziała.

- Co takiego? - zapytał Bosch.

- To jest na O'Hare. Tam się przesiadałam. Backus był tam i śledził mnie.

Szybko przewertowała resztę fotografii. Było ich sześć, wszystkie z tamtego dnia podróży. Ostatnie ujęcie przedstawiało Rachel i Cherie Dei, witające się przy transporterze z bagażami. Cherie trzymała w ręce kartkę z napisem BOB BACKUS.

- Śledził mnie.

- Tak samo jak Terry'ego.

Bosch sięgnął na tackę drukarki i palcami obu rąk uniosł zdjęcie za krawędzie, tak żeby nie zostawić odcisków. Było to najwyraźniej ostatnie zdjęcie, jakie wydrukował tu Backus. Przedstawiało fronton niewyróżniającego się niczym piętrowego domu. Na podjeździe parkowało kombi. Obok drzwi kierowcy stał starszy mężczyzna, patrzył na kluczyki, jakby zastanawiał się, który pasuje do samochodu.

Podsunał zdjęcie Rachel.

- Kto to jest?

Patrzyła na nie przez dłuższą chwilę.

- Nie wiem.

- A dom?

- Pierwszy raz go widzę.

Bosch starannie odłożył zdjęcie do podajnika, tak aby ekipa dochodzeniowa znalazła je dokładnie tam, gdzie leżało przedtem.

Rachel przeszła mu za plecami i podeszła korytarzykiem do zamkniętych drzwi. Po drodze minęła otwarte drzwi łazienki. Było tam czysto, jeśli nie liczyć walających się wszędzie zdechłych much. W wannie dostrzegła dwie poduszki i koc, ułożone jak do spania. Przypomniała sobie zebrane o Backusie informacje i poczuła wzbierające w piersi obrzydzenie.

Wyszła z łazienki i podeszła do zamkniętych drzwi na końcu korytarzyka.

- To tutaj je widziałeś? - zapytała.

Bosch obrócił się i patrzył, jak podchodzi do drzwi.

- Rachel...

Rachel nie zatrzymała się. Przekręciła gałkę i otworzyła drzwi. Usłyszałem metaliczny brzęk, który nie kojarzył mi się z żadnym typem zamka. Rachel znieruchomiała i zeszywniała.

- Harry? Rzuciłem się ku niej.

- Co jest?

- Harry!

Odwróciła się do mnie w ciasnym, wyłożonym boazerią korytarzyku. Popatrzyłem poza nią i zobaczyłem zwłoki na łóżku. Mężczyzna leżał na wznak, twarz miał zakrytą czarnym kowbojskim kapeluszem. W prawej dłoni trzymał pistolet. Rana od kuli znajdowała się w górnej, prawej części klatki piersiowej.

Wokół nas roiły się muchy. Usłyszałem jakiś głośniejszy syk, wcisnąłem się głębiej i na podłodze spostrzegłem lont. Poznałem, to lont chemiczny, splecione sznury nasycone chemikaliami, które palą się w każdych okolicznościach, nawet pod wodą.

Lont spalał się szybko. Nie mogliśmy go zgasić. Ciągnął się po podłodze, a potem zniknął pod łóżkiem. Rachel pochyliła się i wyciągnęła rękę, żeby go wyszarpnąć.

- Nie! Może wybuchnąć! Nic się nie da zrobić, musimy uciekać.

- Nie! Nie możemy stracić tego miejsca! Trzeba...

- Rachel, nie ma czasu! Uciekamy! Szybko!

Pchnąłem ją w korytarz i stanąłem tak, żeby nie mogła wrócić. Zacząłem się cofać ze wzrokiem utkwionym w ciało na łóżku. Kiedy wydawało mi się, że już się poddała, odwróciłem się. Wciąż czekała. Przepchała się przede mnie.

- Potrzebne nam DNA! - wrzasnęła.

Patrzyłem, jak wpada do pokoiku i wskakuje na łóżko. Wyciągnęła rękę i zabrała kapelusz z ciała, ukazując szarą, zniekształconą rozkładem twarz. Potem zesza z łóżka i skoczyła ku drzwiom.

Nawet w takiej chwili podziwiałem jej przytomność umysłu i to, co zrobiła. Na wyściółce kapelusza na pewno będą komórki naskórka, zawierające DNA zwłok. Minęła mnie z kapeluszem i pobiegła do wyjścia. Spuściłem wzrok, zobaczyłem, że płomień na lonce już znika pod łóżkiem. Pobiegłem za nią.

- To był on? - krzyknęła przez ramię.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Czy trup na łóżku należał do człowieka, który pojawił się na łodzi McCaleba? Czy to był Backus?

- Nie wiem. Uciekamy! Szybko! Szybko!

Wyskoczyłem przez drzwi dwie sekundy po Rachel. Już biegła przez pustynię, prosto przed siebie, w stronę Titanica. Popędziłem za nią. Zrobiłem może pięć kroków, kiedy wybuch rozdarł za mną powietrze. Fala uderzeniowa trafiła mnie z pełną, ogłuszającą siłą i przewróciła na ziemię. Przypomniałem sobie z ćwiczeń, że trzeba się skulić i przetoczyć, to pozwoliło mi się oddalić od eksplozji o kolejne kilkanaście stóp.

Czas rozpadł się i zwolnił bieg. W jednej chwili uciekałem ile sił w nogach, w następnej klęczałem na czworakach, próbując podnieść głowę. Coś na moment przesłoniło słońce, zdążyłem unieść wzrok, by zobaczyć w powietrzu, dziesięć metrów nad sobą, karoserię przyczepy. Całe ściany i dach. Wydawały się płynąć, niemal zawisać w powietrzu. A potem zwały się z łoskotem dziesięć jardów przede mną, poszarpane aluminiowe krawędzie były ostre jak brzytwy. Uderzając, wydały odgłos jak pięć samochodów zderzających się w karambolu.

Spojrzałem w niebo, czy leci coś jeszcze, i zobaczyłem, że jest czyste. Obróciłem się tam, gdzie kiedyś

stała przyczepa, i ujrzałem płomienie i bijący w niebo gęsty czarny dym. Na fundamencie nie zostało prawie nic. Wszystko pochłonął wybuch i ogień. Zniknęło łóżko i ciało. Backus znakomicie to zaplanował.

Wstałem, ale chwiałem się, bo bębenki w uszach wciąż miałem porażone, podobnie zmysł równowagi. W uszach słyszałem łoskot, jakbym szedł przez tunel pomiędzy pędzącymi z obu stron pociągami. Chciałem zakryć je dłońmi, ale wiedziałem, że to na nic się nie zda. Ten odgłos odbijał mi się echem od wewnątrz.

Rachel przed wybuchem była zaledwie jard przede mną, teraz jednak nigdzie jej nie widziałem. Potykałem się wśród dymu, już prawie zacząłem myśleć, że jest pod karoserią przyczepy.

Lecz w końcu ją wypatrzyłem, leżała na lewo od zwęglonej skorupy. Nieruchoma wśród piachu i kamieni. Obok niej spoczywał czarny kapelusz, jak zwiastun śmierci. Szybko do niej podbiegłem.

- Rachel?

Opadłem na kolana, najpierw tylko jej się przyjrzałem. Leżała twarzą w dół, włosy miała rozrzucone. Nagle przypomniała mi się moja córka, to, jak delikatnie odgarniałem włosy z jej twarzy. Robiąc to, zauważyłem, że mam krew na wierzchu dłoni, i wtedy zdałem sobie sprawę, że pewnie odniosłem jakieś drobne obrażenia. Postanowiłem, że później będę się tym martwił.

- Rachel?

Nie wiedziałem, oddycha czy nie. Wyglądało, że moje zmysły działały na zasadzie domina. Utraciłem słuch, przynajmniej na jakiś czas, ale koordynacja pozostałych też szwankowała. Poklepałem ją delikatnie po policzku.

- No, Rachel, zbudź się.

Nie chciałem jej odwracać w obawie, że ma jakieś ukryte obrażenia. Klepnąłem ją jeszcze raz w policzek, tym razem mocniej.

Położyłem jej dłoń na plecach w nadziei, że poczuje unoszenie się i opadanie - oddech, jak u mojej córki.

Nic. Przyłożyłem ucho do pleców, ale to było guzik warte, zważywszy na moją głuchotę. Lecz odruchy działały szybciej niż logika. Już myślałem, że nie mam wyboru, że muszę odwrócić ją na plecy, kiedy ujrzałem, że jej palce drgają, a potem zwijają się w pięść.

Rachel zniemacka uniosła głowę z piasku i jęknęła. Na tyle głośno, że to usłyszałem.

- Rachel, nic ci nie jest?

- Ja... ja... w przyczepie są dowody. Musimy je zabrać.

- Rachel, nie ma żadnej przyczepy. Już nie.

Z wysiłkiem obróciła się i usiadła. Wytrzeszczyła oczy na widok płonących szczątków przyczepy. Widziałem, że ma rozszerzone źrenice. Doznała wstrząśnienia mózgu.

- Coś ty zrobił? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- To nie ja. Tam była bomba. Kiedy otworzyłaś drzwi sypialni...

- Aaa.

Poruszyła głową w przód i w tył, jakby ścierpła jej szyja. Spostrzegła leżący obok niej czarny kapelusz.

- A to co?

- Jego kapelusz. Złapałaś go, zanim uciekłaś.

- DNA?

- Mam nadzieję, chociaż nie wiem, czy do czegoś się nada. Wpatrzyła się ponownie w dymiący fundament przyczepy.

Znajdowaliśmy się za blisko. Czułem na twarzy gorąco. Ale nie byłem pewien, czy ona powinna wstawać.

- Rachel, lepiej połóż się z powrotem. Wydaje mi się, że masz wstrząs mózgu. A może jeszcze coś poza tym.

- Tak, to chyba dobry pomysł.

Położyła głowę z powrotem na ziemi i po prostu popatrzyła w niebo. Stwierdziłem, że to nie jest zła pozycja, i zrobiłem to samo. Zupełnie jakbyśmy leżeli na plaży. Gdyby była noc, moglibyśmy liczyć gwiazdy.

* * *

Zanim usłyszałem, jak nadlatują helikoptery, najpierw je poczułem. Basowa vibracja w piersi kazała

mi spojrzeć na południe i zobaczyłem dwa wojskowe śmigłowce przelatujące nad wierzchołkiem Titanica. Uniosłem rękę i anemicznie pomachałem.

34

Jasna cholera, co tam się stało? Twarz agenta specjalnego Randala Alperta była zacięta i niemal fioletowa. Kiedy helikopter wylądował, czekał na współpracowników w hangarze w Nellis. Jego polityczna intuicja najwyraźniej mu podpowiedziała, by samemu nie lecieć na miejsce eksplozji. Za wszelką cenę musiał trzymać się z dala od fali uderzeniowej po wybuchu na pustyni, fali, która dotrze może nawet do Waszyngtonu.

Rachel Walling i Cherie Dei stały w olbrzymim hangarze i przygotowywały się na awanturę. Rachel nie odpowiedziała na pytanie, bo myślała, że to dopiero wstęp do dłuższej tyrady. Reagowała wolno, wciąż oszołomiona wstrząsem.

- Agentko Walling, zadałem pytanie!

- On zaminował przyczepę - powiedziała Cherie Dei. - Wiedział, że ona...

- Pytałem ją, nie ciebie - warknął Alpert. - Chcę, żeby agentka Walling wyjaśniła mi dokładnie, dlaczego nie przestrzegała poleceń i jak to się stało, że wszystko się dokumentnie rozpieprzyło.

Rachel uniosła otwarte dłonie, jakby mówiąc, że na to, co się stało, nic nie mogła poradzić.

- Mieliśmy czekać na ekipę - powiedziała. - Jak mi kazała agentka Dei. Trzymaliśmy się na uboczu, ale zdaliśmy sobie sprawę, że śmierdzi, jakby w środku były zwłoki. A potem pomyśleliśmy, że może w środku jest ktoś żywy. Ranny.

- Do cholery, poczuliście trupi odór i wpadliście na taki pomysł?

- Boschowi zdawało się, że coś słyszy.

- No proszę, wołanie o pomoc - stary numer.

- Nie, naprawdę. Ale to pewnie był wiatr. Tam niezłe dmucha. Wszystkie okna były pootwierane. Pewnie dlatego powstał odgłos, który on usłyszał.

- A ty? Ty to słyszałaś?

- Nie, ja nie.

Alpert popatrzył na Dei, potem znów na Rachel. Czują, jak jego wzrok wwierca się w nią. Wiedziała jednak, że to dobra historia, i nie zamierzała choćby mrugnąć. Wymyśliła ją razem z Boschem. Bosch był poza zasięgiem Alperta. Zasugerowała się jego słowami, nie można jej winić. Alpert mógł sobie gadać i kłać, ale poza tym niewiele.

- Wiesz, jaki jest problem z tą twoją historią? Twoje pierwsze słowo. „Mieliśmy”. Powiedziałaś tak. Co to za „my”? Nie było żadnego „my”. Dostałaś zadanie - obserwować Boscha, a nie prowadzić śledztwo wraz z nim. Nie wsiadać do jego samochodu, nie jechać z nim. Nie przesłuchiwać razem świadków, nie wchodzić razem do tej przyczepy.

- Rozumiem, ale w tych okolicznościach uznałam, że połączenie naszej wiedzy i możliwości będzie najlepsze dla śledztwa. Szczerze mówiąc, agencie Alpert, to Bosch znalazł to miejsce. Gdyby nie on, jeszcze byśmy o nim nie wiedzieli.

- Agentko Walling, nie oszukujmy się. Dotarlibyśmy tam.

- Wiem. Ale liczyła się też szybkość. Sam pan tak powiedział po porannej odprawie. Dyrektor chciał wystąpić przed kamerami. Zamierzałam popchnąć sprawę, żeby miał tyle informacji, ile tylko się da.

- A teraz zapomnij o tym. Obecnie w ogóle nie wiemy, co mamy. Dyrektor przesunął konferencję i dał nam czas do jutra do południa, żebyśmy się zorientowali, o co tam chodzi.

Cherie Dei odchrząknęła i wtrąciła się,

- To niemożliwe - powiedziała. - Ten gość tam jest zesmażony na chrupko. Wynoszą go w kilku workach. Identyfikacja i ustalenie przyczyny śmierci zajmą tygodnie, jeśli w ogóle się to uda. Na szczęście wygląda, że agentce Walling udało się uzyskać próbkę DNA z ciała, więc to trochę przyspieszy, ale nie mamy żadnych próbek porównawczych. My...

- Może dziesięć sekund temu nie słuchałaś... - przerwał Alpert - ale nie mamy tygodni. Mamy mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

Odwrócił się od nich i oparł ręce na biodrach, przybierając pozę, która pokazywała, jaki ciężar musi dźwigać na barkach jako jedyny inteligentny i zdolny agent na Ziemi.

- No to wróćmy tam - zaproponowała Rachel. - Może w szczątkach znajdzie się coś, co...

- Nie! - krzyknął Alpert.

Odwrócił się z powrotem do nich.

- Agentko Walling, to nie będzie konieczne. Zrobiłaś już wystarczająco dużo.

- Znam Backusa i znam tę sprawę. Powinam być właśnie tam.

- To ja decyduję, kto powinien być tam, a kto nie powinien. Ty masz wracać do biura terenowego i opisać to fiasko w papierach. Ma się znaleźć na moim biurku jutro o ósmej rano. Szczegółowa lista wszystkiego, co widziałaś w tej przyczepie.

Przerwał, żeby przekonać się, czy Rachel będzie dyskutować z tym poleceniem. Ona jednak milczała. Zdawało się, że jest z tego zadowolony.

- Słuchajcie, mam teraz na karku media. Co można im dać, żeby nie zdekonspirować wszystkiego i żeby nie przyćmić jutrzejszego występu dyrektora?

Dei wzruszyła ramionami.

- Nic. Powiedz im, że dyrektor o wszystkim powie jutro i koniec.

- To nie zadziała. Musimy im coś dać.

- Nie mów im o Backusie - odezwała się Rachel. - Powiedz, że agenci chcieli przesłuchać niejakiego Toma Wallinga w sprawie zaginięcia. Lecz Walling zaminował swoją przyczepę, która wybuchła po wejściu do niej agentów.

Alpert skinął głową. Brzmiało dobrze.

- A co z Boschem?

- Jego bym w to nie mieszała. Nie mamy nad nim żadnej władzy. Jak dotrze do niego jakiś reporter, może mu wszystko powiedzieć.

- Jeszcze zwłoki. Mówimy, że to był Walling?

- Mówimy, że nie wiemy, bo nie wiemy. Identyfikacja w toku i tak dalej. Powinno wystarczyć.

- Jak dziennikarze pójdą do domów publicznych, poznają całą historię.

- Nie poznają. Nikomu nie zdradzaliśmy całej historii.

- A tak w ogóle, co się stało z Boschem?

Na to odpowiedziała Dei.

- Złożył zeznania i zwolniłam go. Potem widzieliśmy, jak wraca samochodem do Vegas.

- Będzie trzymać gębę na kłódkę?

Dei zerknęła na Rachel, potem z powrotem na Alperta.

- Powiem tak: nie będzie starał się szukać kogoś do pogadania. A jeśli my też o nim nie wspomnimy, nie pojawi się powód, żeby ktoś inny go szukał.

Alpert skinął głową. Wsadził dłoń do kieszeni i wyciągnął telefon.

- Jak skończymy, będę musiał zadzwonić do Waszyngtonu.

A teraz przecucia mają głos: to Backus był w tej przyczepie?

Rachel zawahała się, nie chciała odzywać się pierwsza.

- Trudno w tej chwili powiedzieć - rzekła Dei. - Jeśli pytasz, czy masz powiedzieć dyrektorowi, że go mamy, to nie, teraz mu tego nie mów. W tej przyczepie mógł być ktokolwiek. Z tego, co nam wiadomo, była to po prostu jedenasta ofiara, być może nigdy się nie dowiemy, kto taki. Po prostu ktoś, kto przyjechał na panienki i kogo przechwycił Backus.

Alpert spojrział na Rachel, czekając na jej opinię.

- Lont - powiedziała.

- Co lont?

- Był długi. Tak jakby chciał, żebyśmy zobaczyła zwłoki, ale niezbyt dokładnie. I jakby chciał, żebyśmy zdążyła stamtąd uciec.

- I co z tego?

- Na zwłokach leżał czarny kowbojski kapelusz. Pamiętam, że w moim samolocie z Rapid City był facet w takim kapeluszu.

- Jezus, przecież leciałaś z Dakoty Południowej. Oni tam chyba wszyscy noszą takie kapelusze?

- Ale on był tam, ze mną. To wszystko zostało zaaranżowane. List w barze, długi lont, zdjęcia w

przyczepie i czarny kapelusz. Chciał, żeby wydoszła się stamtąd i obwieściła światu, że Backus nie żyje.

Alpert nie odpowiedział. Spojrzał na telefon w swej dłoni.

- Randal, zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiemy - ostrzegła Dei. Wsadził telefon z powrotem do kieszeni.

- Bardzo dobrze. Agentko Dei, masz tutaj samochód?

- Tak.

- Proszę teraz zabrać agentkę Walling do biura terenowego.

Odprawił je, ale przedtem jeszcze raz spojrzął krzywo na Rachel.

- Agentko Walling, proszę pamiętać: u mnie na biurku, o ósmej.

- Będzie - odpowiedziała.

35

Na pukanie odpowiedziała Eleanor Wish i to mnie zaskoczyło. Cofnęła się, by mnie wpuścić.

- Harry, nie patrz tak na mnie - powiedziała. - Tobie się wydaje, że mnie tu nigdy nie ma, że co wieczór pracuję i zostawiam małą z Marisol. To nieprawda. Przeważnie pracuję trzy, cztery noce w tygodniu, nie więcej.

Uniosłem ręce w geście poddania. Zauważyła bandaż na prawej dłoni.

- Co ci się stało?

- Skaleczyłem się czymś metalowym.

- Czym metalowym?

- To długa historia.

- Ta afera na pustyni?

Kiwnąłem głową.

- Wiedziałaś. Czy to nie utrudni ci gry na saksofonie?

Znudzony emeryturą, rok temu zacząłem brać lekcje gry u emerytowanego jazzmana, którego poznałem podczas jednej sprawy. Pewnego wieczoru, gdy byliśmy z Eleanor w dobrych stosunkach, przyniosłem tutaj instrument i zagrałem „Kołysankę”. Utwór jej się podobał.

- Właściwie to już i tak nie grałem.

- Dlaczego?

Nie chciałem jej mówić, że mój nauczyciel zmarł i muzyka na jakiś czas znikła z mojego życia.

- Mój nauczyciel chciał, żeby zmienił altowy na tenorowy -
że niby mniejsze będzie miał te narowy.

Uśmiechnęła się, słysząc ten kiepski żart. Poszedłem za nią do kuchni - stół kuchenny był w istocie obitym sukniem stołem do pokera,

przyozdobionym przez Maddie plamami po mleku. Eleanor rozłożyła na nim dla ćwiczeń sześć rozdań otwartymi kartami. Usiadła i zaczęła je zbierać.

- Nie chcę ci przeszkadzać - rzekłem. - Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, czy mogę położyć Maddie spać. Gdzie ona jest?

- Marisol ją kąpie. Ale liczyłam, że sama ją dziś położę. Ostatnie trzy noce pracowałam.

- No dobrze, nie ma sprawy. To tylko pójdę się przywitać. I pożegnać. Wieczorem wracam do siebie.

- To może jednak ją położysz? Mam nową książkę do poczytania. Leży na blacie.

- Nie, Eleanor, ty to zrób. Ja tylko chcę ją zobaczyć, bo nie wiem, kiedy tu wrócę.

- Dalej pracujesz nad tą sprawą?

- Nie, w sumie to dzisiaj wszystko się skończyło.

- W telewizji nie powiedzieli za wiele. O co tam chodzi?

- To długa historia.

Nie miałem ochoty opowiadać wszystkiego jeszcze raz. Podszedłem do blatu i zerknąłem na książkę, którą kupiła. Miała tytuł „Wielki dzień Billy'ego”, na okładce była mała stojąca na szczycie podium podczas wręczania medali olimpijskich. Na szyję zakładano jej złoty medal. Srebrny dostał lew, a

brązowy - słoń.

- I co, zamierzasz wrócić do wydziału?

Już miałem otworzyć książeczkę, ale odłożyłem ją i spojrzałem na Eleanor.

- Jeszcze się zastanawiam, ale na to wygląda.

Kiwnęła głową, jakby uważała, że sprawa jest tym samym załatwiona.

- Myślałaś nad tym? Chcesz mi coś powiedzieć?

- Nie, Harry. Zrób, jak chcesz.

Zastanawiałem się, czemu jak ludzie mówią ci to, co chcesz usłyszeć, zawsze podejrzliwie szuka się w tym podtekstów. Czy Eleanor faktycznie chciała, żebym zrobił, co zechcę? A może próbowała w ten sposób dać do zrozumienia, że nie jest zadowolona?

Zanim zdążyłem cokolwiek dodać, moja córka weszła do kuchni i stanęła na baczność. Miała na sobie piżamę w niebiesko-po-marańczowe paski, ciemne włosy były mokre i ulizane do tyłu.

- Melduje się mała dziewczynka - powiedziała.

Eleanor i ja oboje uśmiechnęliśmy się i jednocześnie wyciągnęliśmy ramiona, by ją przytulić. Maddie najpierw podbiegła do

matki. W sumie w porządku, poczułem się jednak trochę tak jak wtedy, gdy wyciąga się do kogoś rękę na powitanie, a ten ktoś jej nie zauważa albo po prostu ją ignoruje. Opuściłem ręce, parę chwil później Eleanor uratowała mnie.

- Idź, przytul tatusia.

Maddie przyszła do mnie, uniosłem ją i przytuliłem. Ważyła co najwyżej ze czterdzieści funtów. To niezwykle uczucie móc unieść w jednej ręce wszystko, co się dla ciebie liczy. Przycisnęła moką głowę do mojej piersi. Nie dbałem o to, że pomoczy mi koszulę. To było nieistotne.

- Jak tam, dziecinko?

- Dobrze. Narysowałam cię dzisiaj.

- Naprawdę? Mogę zobaczyć?

- To mnie puść.

Spełniłem polecenie, wybiegła z kuchni, tupiąc o kamienne płytki bosymi stopami. Pobiegła do dzieciennego pokoju. Spojrzałem na Eleanor, uśmiechnąłem się. Oboje znaleźliśmy tajemnicę. Nieważne, jak się ułoży między nami, zawsze będziemy mieć Madeline i to chyba wystarczy.

Znów rozległ się tupot drobnych stóp, po chwili wpadła do kuchni, ciągnąc za sobą kartkę papieru, wysoko, jak latawca. Wziąłem ją i obejrzałem. Rysunek przedstawiał mężczyznę z wąsami i ciemnymi oczami. W jednej dłoni trzymał pistolet. Naprzeciwko niego stała druga postać: narysowana czerwoną i pomarańczową kredką, brwi miała ściągnięte w ponure, czarne V, żeby zaznaczyć, że to zły człowiek.

Przykucnąłem, żeby razem z nią popatrzeć na rysunek.

- To ja, z pistoletem?

- Tak, bo byłeś policjantem.

Kiwnąłem głową. Powiedziała to jak „policjant”.

- A ten ciemny typ, to kto?

Pokazała paluszkiem postać na drugim brzegu kartki.

- To jest pan Demon. Uśmiechnąłem się.

- A kto to jest pan Demon?

- On jest wojownikiem. Mama mówi, że ty wojujesz z demonami, a on jest ich szefem.

- Rozumiem.

Spojrzałem ponad nią na Eleanor i uśmiechnąłem się. Nie byłem zły. Kochałem swoją córeczkę i jej sposób postrzegania świata. Wszystko brała tak dosłownie. Wiedziałem, że to długo nie potrwa, ceniłem więc każdą chwilę.

- Mogę dostać ten rysunek?

- Bo czemu?

- Bo jest śliczny i chciałbym go mieć na zawsze. Muszę na trochę wyjechać i chciałbym przez cały czas móc na niego patrzeć. Będzie mi o tobie przypominał.

- Gdzie jedziesz?

- Jadę z powrotem do Miasta Aniołów. Uśmiechnęła się.

- To głupie. Aniołów nie widać.

- Wiem. Ale posłuchaj, mama ma dla ciebie nową książeczkę do poczytania, o małpie Billym. Więc teraz się pożegnamy i przyjadę do ciebie, jak tylko będę mógł. Dobrze, kochanie?

- Dobrze, tatusiu.

Ucałowałem ją w oba policzki i mocno przytulilem. Potem pocałowałem w czubek głowy i wypuściłem. Wstałem z obrazkiem w dłoni i podałem jej książeczkę.

- Marisol? - zawołała Eleanor.

Marisol pojawiła się po kilku sekundach, jakby czekała na wezwanie w salonie. Kiedy słuchała poleceń, uśmiechnąłem się do niej i skinąłem głową.

- Może weźmiesz Maddie do pokoju, przygotujesz do spania, a ja zaraz przyjdę, tylko pożegnaj się z jej ojcem.

Przyglądałem się, jak mała wychodzi z niańką.

- Przepraszam cię za to.

- Za co, za ten obrazek? Nie przejmuj się. Jest wspaniały. Powieszę go sobie na lodówce.

- Po prostu nie wiem, skąd ona to wzięła. Nie mówiłam jej, że walczysz z demonami. Musiała podsłuchać, jak rozmawiam przez telefon albo coś takiego.

Już wolałbym myśleć, że sama jej to powiedziała. Pomyśl, że Eleanor z kimś o mnie w ten sposób rozmawiała - z kimś, o kim wolała nie mówić - nie był dla mnie przyjemny. Starłem się tego nie okazać.

- W porządku - odparłem. - Spójrz na to w ten sposób: kiedy pójdzie do szkoły i dzieciaki będą mówić, że ich ojciec jest prawnikiem, strażakiem, lekarzem czy kimś tam, ona będzie miała asa

atutowego. Powie, że jej tata walczy z demonami.

Eleanor zaśmiała się, coś przyszło jej do głowy.

- Ciekawe, co powie, gdy spytają ją o zajęcie matki.

Na to nie potrafiłem odpowiedzieć, zmieniłem więc temat.

- Uwielbiam jej sposób pojmowania świata, taki pozbawiony podtekstów - rzekłem, znów patrząc na rysunek. - Wiesz, to takie niewinne.

- Wiem. Ja też to uwielbiam. Ale mogę zrozumieć, że nie chcesz, by myślała, że ty dosłownie walczysz z demonami. Czemu jej tego nie wytłumaczyłeś?

Pokręciłem głową i przypomniała mi się pewna historia.

- Kiedy byłem mały i jeszcze mieszkaliśmy z matką, ona przez pewien czas miała samochód. Dwutonowego plymoutha belvedere, z automatyczną skrzynią biegów, na przyciski. Chyba pożyczył go jej adwokat czy coś takiego. Na kilka lat. I raz nagle postanowiła, że zrobimy sobie wakacje i pojeździmy po kraju. Spakowaliśmy się i pojechaliśmy, ona i ja. No i gdzieś na południu, już nie pamiętam gdzie, zatrzymaliśmy się zatankować, a z boku stacji były dwa takie krany z wodą do picia. I były tabliczki. Przy jednym kranie z napisem BIALI, przy drugim - KOLOROWI. I ja podszedłem do tej z napisem KOLOROWI, bo chciałem zobaczyć, jakiego koloru będzie woda. Zanim do niego doszedłem, matka mnie zatrzymała i wytłumaczyła mi, o co chodzi. Pamiętam to i trochę mi szkoda, że nie pozwoliła mi po prostu zobaczyć tej wody, zamiast tłumaczyć.

Eleanor uśmiechnęła się na tę opowieść.

- Ile miałeś lat?

- Nie wiem. Pewnie z osiem.

Wtedy wstała i podeszła do mnie. Pocałowała mnie w policzek, a ja jej pozwoliłem. Lekko objąłem ją ramieniem wokół talii.

- Harry, to powodzenia z tymi demonami.

- Dzięki.

- Jeśli kiedyś zmienisz zdanie, to ja tu jestem. Obie jesteście.

Kiwnąłem głową.

- Ona jeszcze zmieni twoje zdanie, Eleanor. Poczekaj, zobaczysz.

Uśmiechnęła się, choć smutno i delikatnie pogładziła mnie po policzku.

- Sprawdź, czy drzwi się zatrzasnęły, jak będziesz szedł?

- Jak zawsze.

Wypuściłem ją i obserwowałem, jak wychodzi z kuchni. Potem jeszcze raz spojrzałem na rysunek

mężczyzny walczącego ze swym demonem. Moja córka namalowała mi uśmiech na twarzy.

36

Zanim wszedłem do mojej kawalerki w Dwóch X, zatrzymałem się przy recepcji i poinformowałem pana Gupta, nocnego portiera, że będę się wymeldowywał. Powiedział mi, że wynajmowałem to miejsce na całe tygodnie, toteż moja karta została już obciążona za ten tydzień. Odparłem, że nie ma problemu, i tak wyjeżdżam. Dodałem, że pobieram rzeczy i zostawię klucz na stole jadalnym. Już miałem wyjść, ale zahałem się i zapytałem go o moją sąsiadkę, Jane.

- Tak, ona też wyjechała. Z nią to samo.
- To znaczy? Co to samo?
- Kasujemy ją za tydzień, a ona nie zostaje tygodnia.
- Słuchaj, a mogę zapytać, jak ona miała na nazwisko? Nigdy mi nie powiedziała.
- Jane Davis. Podobała ci się?

- Tak, była ładna. Gadaliśmy sobie przez balkon. Nie zdążyłem się pożegnać. Nie zostawiła adresu do przesyłania poczty czy czegoś takiego, prawda?

Gupta uśmiechnął się na sam pomysł. Jak na osobę o tak ciemnej skórze, miał bardzo różowe dziąsła.

- Nie ma adresu. Do niej nie ma.

Skinięciem głowy podziękowałem za informacje. Opuściłem recepcję, wszedłem na piętro i ruszyłem korytarzem do pokoju.

Spakowanie się zajęło mi niecałe pięć minut. Miałem kilka par koszul i spodni na wieszakach. Potem wyjąłem z szafy ten sam karton, w którym wszystko tu przywiozłem, i wypełniłem go pozostałymi rzeczami, dorzucając parę zabawek, które trzymałem tu dla Maddie. Buddy Lockridge dobrze trafił, nazywając mnie Harrym Walizą. Chociaż jeszcze trafniej byłoby - Harry Karton od Piwa.

Przed wyjściem zajrzałem jeszcze do lodówki i zauważyłem, że została jedna butelka piwa. Wyjąłem ją i otworzyłem. Zdecydowałem, że jedno na drogę mi nie zaszkodzi. Zdarzało mi się kiedyś jeździć w gorszym stanie. Zastanowiłem się nad kolejną kanapką z serem, ale zrezygnowałem, kiedy przypomniałem sobie nawyk Backusa, który w kantine w Quantico codziennie jadał grankę z serem. Wyszedłem z piwem na balkon, by po raz ostatni popatrzeć na samoloty milionerów. Wieczór był chłodny i pogodny. Błękitne światła na odległym pasie migotały jak szafiry.

Dwa czarne odrzutowce znikły, ich właściciele widocznie szybko przegrali albo wygrali. Wielki gulfstream stał na swoim miejscu, z czerwonymi kołpakami ochronnymi na wlotach silników. Zatrzymał się tu na dłużej. Zastanawiałem się, co samoloty mają wspólnego z pobytem Jane Davis w Dwóch X.

Zerknąłem na jej pusty balkon. Na balustradzie stała popielniczka, widziałem, że wciąż jest pełna wypalonych do połowy papierosów. Kawalerka mojej sąsiadki jeszcze nie została sprzątnięta.

To nasunęło mi pewien pomysł. Rozejrzałem się wokół, spojrzałem w dół na parking. Ani śladu człowieka, ani ruchu, jeśli nie liczyć ulicy, na której auta zatrzymały się na czerwonym świetle. Na parkingu nie zauważyłem ani nocnego ochroniarza, ani nikogo innego. Szybko wspiąłem się na balustradę i już miałem przeleżeć na sąsiedni balkon, gdy usłyszałem pukanie. Pospieszenie zeskoczyłem z powrotem, wszedłem do środka i otworzyłem drzwi.

Była to Rachel Walling.

- Rachel? Cześć. Coś się stało?
- Nie, nic, czego nie uleczyłoby złapanie Backusa. Mogę wejść?
- No pewnie.

Cofnąłem się, by ją wpuścić. Zauważyła pudło ze spakowanymi rzeczami.

- Jak tam poszło, kiedy wróciłaś do miasta? - spytałem.
- Dostałam opieprz od agenta prowadzącego sprawę, jak zwykle.
- Zwaliłaś wszystko na mnie?
- Tak jak ustaliliśmy. Wściekał się i kłął, ale co miał zrobić? Nie chcę teraz o nim gadać.
- No to o czym?

- Masz może jeszcze jedno takie?

Chodziło jej o piwo.

- No nie bardzo. Miałem zamiar dopić to i jechać.

- To cieszę się, że cię jeszcze złapałam.

- Chcesz trochę? Przyniosę ci szklankę.

- Powiedziałeś, że są podejrzone.

- No ale przecież mogę umyć...

Sięgnęła po butelkę i pociągnęła z niej. Podała mi ją z powrotem, patrząc mi w oczy. Potem odwróciła się i wskazała na karton.

- Czyli wyjeżdżasz.

- Tak, na jakiś czas z powrotem do LA.

- Pewnie będziesz tęsknić za córką.

- Bardzo.

- Będziesz ją odwiedzał?

- Kiedy tylko znajdę czas.

- To miło. Coś jeszcze?

- Co masz na myśli? - zapytałem, choć wiedziałem, o co jej chodzi.

- Będziesz tu wracać do czegoś jeszcze?

- Nie, tylko do niej.

Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Wyciągnąłem do niej piwo, ale ona podeszła do mnie nie po piwo. Pocałowała mnie w usta. Błyskawicznie się objeśliśmy.

Wiedziałem, że to dzisiejsze wypadki w przyczepie, fakt, że omal nie zginęliśmy na pustyni, kazały nam tak przyciskać się do siebie i przesuwac w stronę łóżka, kazały mi odstawić piwo na stolik, żebym mógł użyć obu rąk przy zdzieraniu z niej ubrania.

Padliśmy na łóżko i kochaliśmy się jak cudem ocaleni. Trwało to krótko, było nawet dość brutalne - i to z obu stron. Lecz zaspokajało w nas obojgu jakiś pierwotny popęd, by zwalczyć śmierć życiem.

Kiedy skończyliśmy, leżeliśmy spleceni na kołdrze, ona na wierzchu, moje zaciśnięte dłonie wciąż były wplątane w jej włosy.

Sięgnęła po piwo, ale je wyrzuciła i większość tego, co zostało, rozlała się po stoliku i podłodze.

- No to kaucja za pokój mi przepadła - powiedziałem.

W butelce zostało tyle, by mogła pociągnąć łyk i mi ją podać.

- To za dzisiaj - powiedziała, kiedy piłem. Dałem jej resztę.

- To znaczy?

- Po tym, co się tam stało, musieliśmy to zrobić.

- Tak.

- Seks gladiatorów. Po to tu przyszłam. Żeby cię złapać.

Uśmiechnąłem się, bo przypomniałem sobie kawał o gladiatorze ze starego filmu, który lubiłem. Ale nie powiedziałem jej tego - pewnie pomyślała, że mój uśmiech wywołały jej słowa. Pochyliła się i położyła mi głowę na piersi. Ująłem ją za włosy, tym razem delikatniej, i przyjrzałem się osmalonym końcówkom. Potem przesunąłem dłonie niżej i pogładziłem ją po plecach, myśląc, że ta delikatność jest dość dziwna, skoro moment temu byliśmy gladiatorami.

- Pewnie nie interesowałoby cię otworzenie filii swojej firmy detektywistycznej w Dakocie Południowej, co?

Uśmiechnąłem się.

- A może w Północnej? - zapytała. - Może i tam wrócę.

- Żeby mieć filię, trzeba najpierw mieć firmę.

Uderzyła mnie lekko w pierś.

- Nie wydaje mi się.

Przesunąłem się, tak że wyszedłem z niej. Jęknęła, ale pozostała na górze.

- Czyli mam wstawać, ubierać się i iść?

- Nie, Rachel. W żadnym razie.

Popatrzyłem nad jej ramieniem - drzwi nie były zamknięte na klucz. Wyobraziłem sobie pana Gupta, jak przychodzi tu, żeby sprawdzić, czy już wyjechałem, i w rzekomo pustym pokoju zastaje na łóżku

dwugłowego potwora. Uśmiechnąłem się. Nie obchodziło mnie to.

Podniosła głowę i popatrzyła na mnie.

- Co tam?

- Nic. Zostawiliśmy otwarte drzwi. Ktoś mógł wejść.

- Ty zostawiłeś. To twój pokój.

Pocałowałem ją, zauważając, że nie zrobiłem tego przez cały czas, kiedy się kochaliśmy. Kolejna dziwna rzecz.

- Wiesz co, Bosch?

- No?

- Dobry jesteś w te klocki.

Uśmiechnąłem się i podziękowałem. Kobieta może zagrać tą kartą, kiedy tylko zechce, i zawsze otrzyma tę samą odpowiedź.

- Naprawdę.

Żeby podkreślić te słowa, wbiła mi paznokcie w pierś. Przytrzymałem ją lekko jedną ręką i przetoczyliśmy się. Domyślałem się, że jestem starszy od niej z dziesięć lat, ale nie martwiło mnie to. Znów ją pocałowałem i wstałem, zebrałem rzeczy z podłogi i podszedłem do drzwi, by je zamknąć.

- Chyba jest tam ostatni czysty ręcznik - powiedziałem. - Możesz go użyć.

Nalegała, żebym pierwszy poszedł pod prysznic. Więc tak zrobiłem. A potem, kiedy się myła, wyszedłem z pokoju i poszedłem do sklepiku po jeszcze dwa piwa. Na tym chciałem poprzestać, bo miałem zaraz jechać i nie chciałem, żeby alkohol spowalniał moje reakcje. Siedziałem przy stole jadalnym, kiedy wyszła z łazienki w pełni ubrana i uśmiechnęła się, widząc dwie pełne butelki.

- Wiedziałam, że na coś się przydasz. Usiadła, stuknęliśmy się butelkami.

- Za seks gladiatorów - zaproponowałem toast.

Wypiliśmy i milczeliśmy przez chwilę. Próbowałem ustalić, co ta ostatnia godzina oznacza dla mnie - i dla nas.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O tym, jak by to się mogło skomplikować.

- Nie musi. Po prostu zobaczymy, co będzie.

To mi brzmiało inaczej niż zaproszenie do przeprowadzki do Dakoty.

- No dobra.

- Lepiej już pójść.

- Dokąd?

- Chyba z powrotem do biura terenowego. Zobaczę, co się tam dzieje.

- Może wiesz, co się stało po wybuchu z tą beczką ze spalonymi rzeczami? Zapomniałem się za nią rozejrzeć.

- Nie wiem, a czemu pytasz?

- Przedtem do niej zajrzałem. Dosłownie na chwilę. Wyglądało, że palił w niej karty kredytowe, może i dokumenty.

- Ofiar?

- Pewnie tak. Palił w niej też książki.

- Książki? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem, ale to dziwne. W przyczepie było pełno książek. Niektóre spalił, a niektóre nie. Trochę dziwne.

- Wiesz, jeśli cokolwiek z beczki zostało, ekipa dotrze do tego. Czemu nie wspomniałeś o tym wcześniej, kiedy byłeś przesłuchiwany?

- Bo dzwoniło mi w głowie i jakoś tak zapomniałem.

- Utrata pamięci krótkotrwałej spowodowana wstrząsem mózgu.

- Nie miałem wstrząsu mózgu.

- Chodziło mi o wstrząs od fali uderzeniowej. Poznałeś, jakie to książki?

- Nie bardzo. Nie miałem kiedy. Jedną tylko wyciągnąłem, bo nie całkiem się spaliła. To chyba były wiersze.

Popatrzyła na mnie, skinąłem głową, lecz nic już nie dodałem.

- Ale nie rozumiem, po co palił te książki. Zaminował całą

przyczepę, a jeszcze poświęcił czas, żeby wsadzić parę książek do beczki i spalić. Zupełnie jakby...

Urwałem i próbowałem poskładać to wszystko.

- Zupełnie jakby co, Harry?

- Nie mam pojęcia. Jakby nie chciał tego zostawiać przypadkowi. Chciał mieć pewność, że te książki ulegną zniszczeniu.

- Zakładasz, że jedno i drugie ma związek. Kto wie, może te książki spalił pół roku temu albo coś koło tego. Nie możemy łączyć tych dwóch rzeczy.

Potaknąłem. Miała rację, ale fakt ten nadal mnie dręczył.

- Ta książka leżała prawie na wierzchu - powiedziałem. - To była ostatnia rzecz palona w tej beczce. Był w niej też paragon. Na wpół spalony. Ale może uda im się go odczytać.

- Dowiem się, jak wrócę. Ale nie przypominam sobie, żebym po wybuchu widziała jeszcze tę beczkę.

Wzruszyłem ramionami.

- Ja też nie.

Wstała, ja również.

- Jeszcze jedno - odezwałem się, sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnąłem stamtąd zdjęcie i podałem jej.

- Pewnie chwyciłem je, gdy byłem w przyczepie, i potem zapomniałem. Znalazłem je w kieszeni.

Było to zdjęcie, które wzięłem z drukarki. Piętrowy dom ze starym mężczyzną stojącym obok auta kombi.

- Znakomicie, Harry. Jak ja się z tego wytłumaczę?

- Nie wiem, ale myślałem, że może będziesz chciała namierzyć ten dom albo tego faceta.

- A jaki ma to teraz sens?

- Oj, Rachel, dobrze wiesz, że to jeszcze nie koniec.

- Właśnie, że nie wiem.

Martwiło mnie, że nie chce ze mną na ten temat rozmawiać po tym, jak parę minut temu byliśmy tak blisko.

- No dobra.

Podniosłem karton i ubrania wiszące na wieszakach.

- Harry, zaczekaj. Chcesz to po prostu tak zostawić? Co masz na myśli, mówiąc, że to nie koniec?

- Oboje wiemy, że to nie były zwłoki Backusa. Jeśli ciebie i Biura to nie obchodzi, nie ma sprawy. Ale nie wciskaj mi kitu. Nie po tym, przez co dzisiaj przeszliśmy, nie po tym, co przed chwilą robiliśmy. Ustąpiła.

- Harry, słuchaj, ja nie mam na to wpływu, wiesz? Teraz czekamy, aż laboratorium coś nam przekaże. Oficjalne stanowisko Biura pewnie nie zostanie ujawnione do jutra, kiedy dyrektor zwoła konferencję prasową.

- Mam gdzieś oficjalne stanowisko Biura. Rozmawiam z tobą.

- Harry, co mam ci powiedzieć?

- Masz mi powiedzieć, że chcesz dorwać tego gościa niezależnie od tego, co jutro powie dyrektor.

Ruszyłem do drzwi, a ona za mną. Wyszliśmy z mieszkania, zatrzasnęła je.

- Gdzie masz samochód? - zapytałem. - Odprowadzę cię.

Wskazała. Zeszliśmy schodkami i podeszliśmy do auta stojącego nieopodal recepcji. Otworzywszy drzwi, odwróciła się twarzą do mnie.

- Chcę dorwać tego gościa - powiedziała. - Bardziej, niż ci się wydaje.

- No to dobrze. Będziemy w kontakcie.

- A ty, co będziesz robił?

- Na razie nie wiem. Jak będę wiedział, to cię poinformuję.

- Okay. Do zobaczenia, Bosch.

- Do widzenia, Rachel.

Pocałowała mnie i wsiadła do samochodu. Ja podszedłem do swojego, pochylając się w przejściu pomiędzy dwoma budynkami motelu. Byłem przekonany, że jeszcze spotkam Rachel Walling.

Gdy opuszczałem miasto, mogłem ominąć ruchliwy bulwar, ale postanowiłem, że nim pojedę. Myślałem, że może wszystkie te neony trochę mnie podniosą na duchu. Wiedziałem, że zostawiam tu moją córkę. Jechałem do Los Angeles, by wrócić do policji. Będę nadal widywał Maddie, ale nie będę mógł spędzać z nią tyle czasu, ile trzeba, ile bym chciał. Wyjeżdżałem, żeby wstąpić do przygnębiającej armii weekendowych ojców, którzy muszą wcisnąć swój obowiązek i swą miłość w dwudziestoczerogodzinny pobyt z dziećmi. Te myśli budziły w moim sercu mroczną grozę, przez którą nie przebiłyby się światła neonów, nawet gdyby miały miliard kilowatów. Nie było wątpliwości - opuszczam Vegas przegrany.

Kiedy znalazłem się poza obszarem zabudowanym, na drodze się przerzedziło, a niebo pociemniało. Próbowałem nie zwracać uwagi na depresję, którą spowodowała ta decyzja. Zamiast tego, prowadząc samochód, próbowałem pracować nad sprawą, śledząc logikę kolejnych posunięć z punktu widzenia Backusa, mieląc ją w głowie na drobny proszek, tak że pozostawały mi tylko pytania bez odpowiedzi. Backus, przyjąwszy imię i nazwisko Toma Wallinga, mieszkał w Clear i polował na klientów, których wozził z burdeli. Działał bezkarnie całe lata, bo wybierał idealne ofiary. Aż liczby przemówiły przeciwko niemu - policjanci z Vegas zaczęli dostrzegać prawidłowość i skompletowali listę sześciu zaginionych. Backus zapewne wiedział, że skojarzenie tego z Clear to tylko kwestia czasu. Gdy zobaczył w gazecie wzmiankę o Terry McCaleb, zdał sobie sprawę, że czas ten znacznie się skróci. A może nawet dowiedział się, że McCaleb pojechał do Vegas. Może Terry dotarł nawet do Clear. Kto wie? Większość odpowiedzi umarła wraz z McCalebem, a później w tej przyczepie na pustyni.

W tej historii było wiele niewiadomych. W tej chwili jednak wydawało się oczywiste, że Backus zwinął żagle. Planował zakończyć swą pustynną misję w rozbłysku chwały - zabijając dwoje swych protegowanych, McCaleba i Rachel, w patologicznym pokazie mistrzostwa - i pozostawić w przyczepie spalone, zniszczone zwłoki, które nie dawałyby odpowiedzi na pytanie - żyje czy nie żyje. W ostatnich latach Saddam Husajn i Osama bin Laden nieźle wyszli na takich wątpliwościach. Może Backus uważał, że jedzie na tym samym wózku.

Najbardziej niepokoiły mnie te spalone książki w beczce. Mimo że Rachel je lekceważyła, z uwagi na nieznaną okoliczność spalenia, mnie wciąż wydawały się istotne dla śledztwa. Szkoda, że nie poświęciłem więcej czasu przyjrzeniu się wyciągniętej stamtąd książce. Może nawet trzeba ją było zidentyfikować. Spalona książka zdradzała fragment planu Poety, o którym nikt dotąd nie miał pojęcia.

Przypomniał mi się kawałek paragonu, który widziałem w książce, wziąłem telefon, sprawdziłem, czy mam zasięg, i zadzwoniłem do biura numerów w Vegas. Zapytałem, czy mają tam jakąś firmę o nazwie Book Car, telefonistka odpowiedziała, że nie. Już miałem się rozłączyć, kiedy dodała, że jednak ma coś, sklep nazywający się Book Caravan na Industry Road. Powiedziałem, że mogę spróbować, i przełączyła mnie do niego.

Podjeżdżałem, że sklep będzie zamknięty, bo było już późno. Liczyłem, że odezwie się automatyczna sekretarka, na której będę mógł zostawić dla właściciela wiadomość, żeby rano do mnie zadzwonił. Lecz po dwóch dzwonekach odezwał się ochrypły głos.

- Macie otwarte?

- Całą dobę. W czym mogę pomóc?

Godziny otwarcia podpowiedziały mi, jaki to rodzaj księgarni. Niemniej i tak spróbowałem.

- Nie sprzedajecie tam jakichś tomików wierszy, prawda?

Usłyszałem zachrypnięty śmiech.

- Bardzo śmieszne - powiedział mój rozmówca. - Mieszkał raz poeta w miejscowości Karbala. Jeśli chodzi o wiersze, to niech pan spierdala.

Zaśmiał się jeszcze raz i odłożył słuchawkę. Ja także. Jego zaimprovizowana rymowanka sprawiła, że musiałem się uśmiechnąć.

Book Caravan wyglądał więc na ślepy trop. Jednak z rana trzeba będzie zadzwonić do Rachel i powiedzieć, że warto byłoby go sprawdzić pod kątem powiązania z Backusem.

Z ciemności w snopie światła z reflektorów wyłonił się zielony drogowskaz.

ZZYZX ROAD 1 MILA

Zastanowiłem się, czy zjechać i ruszyć wyboistą pustynną drogą w ciemność. Ciekawe, czy wciąż tam pracuje federalna ekipa kryminologiczna. Ale po co właściwie tam jechać? Chyba żeby spotkać się z duchami umarłych. Przejechałem tę jedną milę i minąłem zjazd, zostawiając duchy w spokoju.

Wypicie z Rachel półtorej butelki piwa okazało się błędem. Mijając Victorville, zaczynałem czuć zmęczenie. Za dużo myślenia, z domieszką alkoholu. Zjechałem na kawę do długo czynnego McDonalda, który był stylizowany na stację kolejową. Kupiłem dwie kawy i dwa ciastka posypane cukrem, usiadłem przy stoliku w starym wagonie i zagłębiłem się w McCalebowe dossier Poety. Zaczynałem już znać na pamięć kolejność raportów i ich podsumowania.

Po jednej filiżance kawy nie doszedłem do niczego i zamknąłem teczkę. Potrzebowałem czegoś nowego. Trzeba było albo odpuścić sobie w nadziei, że FBI wszystko załatwi, albo pójść jakimś nowym tropem.

Nie mam nic przeciwko federalnym. Uważam ich za najdokładniejsze, najlepiej wyposażone i najbardziej niestrudzone organa ścigania na świecie. Problemem jest dla nich wielkość i luki w komunikacji pomiędzy wydziałami, oddziałami i tak dalej, aż do poszczególnych agentów na samym dole. Opinia publiczna dopiero po katastrofach w rodzaju 11 września dowiaduje się o tym, co ludzie z branży, w tym agenci FBI, wiedzieli już dawno.

FBI jako instytucja zbyt wiele uwagi zwraca na własną reputację i o wiele za głęboko siedzi w polityce od czasów J. Edgara Hoovera. Eleanor Wish знаła kiedyś agenta, który w czasach jego rządów pracował w kwaterze głównej Biura w Waszyngtonie. Mówił, że niepisane prawo głosiło, że jeśli agent jedzie windą i wsiada do niej dyrektor, agentowi nie wolno się odzywać, nawet by go przywitać; musi natychmiast wysiąść, żeby wielka szyscha mogła jechać w spokoju i rozmyślać nad swą wielką odpowiedzialnością. Z jakiegoś powodu wryło mi się to w pamięć. Chyba dlatego, że idealnie obrazuje arogancję FBI.

Decydującym czynnikiem było to, że nie chciałem dzwonić do Gracieli McCaleb i mówić, że morderca jej męża wciąż jest na wolności i sprawę przejęło FBI. Nadal chciałem się tym zajmować. Byłem jej to winien, a ja zawsze spłacam swoje długi.

Kawa i cukier postawiły mnie na nogi, ruszyłem więc dalej w kierunku Miasta Aniołów. Kiedy dostałem się na autostradę numer 10, wpadłem w deszcz - wszyscy zwolnili niemal do zera. Włączyłem radio na KFWB i dowiedziałem się, że lało cały dzień i nie przestanie do końca tygodnia. Puścili reportaż na żywo z kanionu Topanga, którego mieszkańcy przygotowywali się na najgorsze, okładając workami z piaskiem drzwi i garaże. Groziły osunięcia ziemi i powódzie. Katastrofalne pożary lasów sprzed roku ogołociły ziemię, więc nie miało co jej związać ani wchłonąć wody. Wszystko mogło się zwalić.

Przez tę pogodę dotrę do domu co najmniej godzinę później. Zerknąłem na zegarek. Było tuż po północy. Planowałem zadzwonić do Kiz Rider dopiero z domu, ale doszedłem do wniosku, że to może być za późno. Wstukałem jej domowy numer. Od razu odebrała.

- Kiz, tu Harry. Nie zbudziłem?
 - Skądże, Harry. Jak pada, nie mogę spać.
 - Wiem, jak to jest.
 - To jak tam, masz dobrą nowinę?
 - Mam: liczą się wszyscy albo nikt.
 - Czyli co?
 - Wracam, jeśli ty też wracasz.
 - Ja nie muszę wracać, ja już tu jestem.
 - Wiesz, o co mi chodzi. Kiz, to dla ciebie ratunek. Zapędziłaś się w ślepią uliczkę. Tak jak i ja. Oboje dobrze wiemy, co powinniśmy robić. Wróćmy do tego razem.
- Czekałem. Dłuższą chwilę milczała, wreszcie przemówiła:
- Sześć się nieźle wkurzy. Odwałam dla niego masę roboty.
 - Jeśli jest takim gościem, jak mówisz, to zrozumie. Dotrze do niego. Dasz radę go przekonać.
- Znów milczenie.
- No dobra, Harry, zgoda. Wracam.

- Świetnie, czyli jutro przyjadę do was i wszystko podpiszę.
- Dobra, Harry. Czyli do zobaczenia.
- Wiedziałaś, że zadzwonię, prawda?
- Powiem tak: papiery, które masz podpisać, leżą u mnie gotowe na biurku.
- Zawsze byłaś dla mnie za bystra.
- Mówiłam poważnie, że jesteś tu potrzebny. To główny powód. Poza tym wydawało się, że długo nie przetrwasz zdany sam na siebie. Znam gości, którzy zdali odznaki i poszli na prywatnych detektywów, sprzedawców nieruchomości, samochodów, AGD, nawet książek. Większości się udało, ale nie tobie, Harry. Sądzę, że to dobrze wiesz.
- Nic nie powiedziałem. Gapilem się w ciemność poza światłem reflektorów. Kiz powiedziała coś, co obruszyło lawinę.
- Harry, jesteś tam?
- Tak. Kiz, posłuchaj, powiedziałaś „książek”. Znasz gościa, który odszedł i sprzedaje książki. Czy to Ed Thomas?
- Tak, zdał papiery z pół roku po tym, jak przyjechałam do Hollywood. Wyjechał i otworzył księgarnię w Orange.
- Wiem. Byłaś tam?
- Tak, raz gościł u niego Dean Koontz i podpisywał książki. Zobaczyłam w gazecie. To mój ulubiony autor i nie urządził za często spotkań. Dlatego się wybrałam. Przed wejściem na chodniku stała kolejka, ale Ed, gdy tylko mnie zobaczył, wciągnął mnie do środka, przedstawił Koontzowi i dostałam autograf. Było to dla mnie trochę krępujące.
- Jak ona się nazywa?
- Eee... „Strange Highways”, zdaje się.
- Zeszło ze mnie powietrze. Już myślałam, że posunę się o kolejny krok, znajdę nowy trop.
- Nie, nie, to było później - dodała Kiz. - To była „Jedyna ocalona”, ta historia o katastrofie samolotu. Zrozumiałem, na czym polega nieporozumienie.
- Nie, Kiz, jak się nazywa księgarnia Eda?
- Aaa, ona - Book Carnival. Chyba taką miała nazwę, kiedy ją kupił. Sam by ją pewnie nazwał inaczej, bardziej tajemniczo, skoro sprzedaje tam głównie kryminały i horrory.
- Book Car jak Book Carnival. Bezwiednie wcisnąłem gaz.
- Kiz, muszę kończyć. Pogadamy następnym razem.
- Rozłączyłem się, nie czekając na pożegnanie. Zerkając to na drogę, to na wyświetlacz telefonu, przepatrzyłem listę ostatnich połączeń i wybrałem numer Rachel Walling. Odebrała, zanim usłyszałem choć jeden dzwonek.
- Rachel, mówi Harry. Przepraszam, że tak późno, ale to ważne.
- Jestem zajęta - szepnęła.
- Jesteś jeszcze w biurze terenowym?
- Tak.
- Nie miałem pojęcia, co mogłoby zatrzymać ją w biurze do północy w dniu, który tak wcześnie się zaczął.
- Chodzi o tę beczkę? Spaloną książkę?
- Nie, do tego jeszcze nie doszliśmy. Coś innego. Muszę kończyć.
- Jej głos był bezbarwny, a ponieważ nie użyła mojego imienia, domyśliłem się, że są z nią inni agenci i atmosfera nie jest najlepsza.
- Rachel, posłuchaj. Coś mam. Musisz przyjechać do LA.
- Jej ton się zmienił. Chyba po nerwowości w moim głosie poznała, że to coś poważnego.
- Co masz?
- Znam następny ruch Poety.

Oddzwonię do ciebie, muszę kończyć. Rachel zamknęła telefon i wsunęła go do kieszeni bluzy. Echo w jej sercu powtarzało ostatnie słowa Boscha.

- Agentko Walling, gdyby była pani uprzejma kontynuować swój udział w rozmowie.

Uniosła wzrok na Alperta.

- Przepraszam.

Spojrzała na ekran telewizyjny za nim. Brass Doran uśmiechała się.

- Agentko Doran, proszę kontynuować.

- Właściwie skończyłam. Tyle na razie mamy. Ślady w przyczepie potwierdzają, że Backus w niej był.

Nie możemy jednak potwierdzić, że był w niej, kiedy eksplodowała.

- A co z DNA?

- Próbką DNA zebrana przez agentkę Walling, dodam, że z narażeniem życia, oraz próbki zebrane później przez ekipę przydadzą się do czegoś tylko wtedy, gdy będziemy mieli je z czym porównać. To znaczy, jeżeli skądś wytrzaśniemy źródło DNA Roberta Backusa. Albo wykorzystamy je, żeby zidentyfikować zwłoki w przyczepie jako należące do kogoś innego.

- A co z rodzicami Backusa? Nie możemy uzyskać ich DNA z...

- Już tego próbowaliśmy. Jego ojciec zmarł i został skremowany, zanim ktokolwiek pomyślał o badaniu DNA - zresztą wtedy ta technika jeszcze tak naprawdę nie istniała - a matki nigdy nie znaleźliśmy. Niektórzy myślą, że była jego pierwszą ofiarą. Zniknęła sporo lat temu bez śladu.

- Gość pomyślał o wszystkim.

- Jeśli chodzi o matkę, przypuszczalnie zabił ją z zemsty za to, że go opuściła. Trudno uwierzyć, że już wtedy starał się zlikwidować źródła DNA.

- Miałem tylko na myśli, że naprawdę mamy przesrane.

- Przykro mi, Randal, ale to wszystko, co może zrobić nauka.

- Wiem, agentko Doran. Masz coś jeszcze do dodania? Coś nowego?

- Chyba nie.

- Znakomicie. Okay, to powiem dyrektorowi właśnie to: wiemy, że Backus był w tej przyczepie, mamy na to ślady kryminologiczne i zeznania świadków. Ale na razie nie możemy zrobić następnego kroku i powiedzieć, że Backus nie żyje i koniec sprawy.

- Nie da się jakoś przekonać dyrektora, żeby na razie siedział cicho i dał nam więcej czasu na poskładanie tego wszystkiego? Dla dobra śledztwa.

Rachel omal się nie roześmiała. Wiedziała, że dobro śledztwa w Budynku Hoovera w Waszyngtonie zawsze musi ustąpić względem politycznym.

- Już próbowałem - odparł Alpert. - Odpowiedź brzmi: nie. Stawka jest zbyt duża. Przez tę eksplozję miarka się przebrała. Jeśli to Backusa tam rozerwało na kawałki, świetnie, w końcu to potwierdzimy i wszystko będzie super. Ale jeśli to nie był Backus i teraz knuje coś innego, dyrektor musi w tej chwili nagłośnić sprawę, bo konsekwencje przecieku mogą być fatalne. Dlatego wychodzi do mediów z tym, co na razie wiemy: Backus tam był, jest podejrzany o morderstwa na pustyni, trudno powiedzieć, czy żyje. Nie da mu się tego wyperswadować.

Alpert, mówiąc, że miarka się przebrała, rzucił Rachel spojrzenie, jakby uważał, że jest za to wszystko odpowiedzialna. Zastanawiała się, czy ujawnić, co powiedział Bosch, ale natychmiast zdecydowała, że nie. Jeszcze nie. Najpierw musi dowiedzieć się więcej.

- Okay, proszę państwa, to wszystko - zniecka obwieścił Alpert. - Brass, widzimy się na dużym ekranie jutro rano. Agentko Walling, proszę zostać na chwilę.

Rachel patrzyła, jak Brass znika z ekranu, który zaraz zgasł, transmisja się skończyła. Potem Alpert podszedł blisko do stołu, przy którym siedziała.

- Agentko Walling?

- Tak?

- Twoja rola tutaj się skończyła.

- Słucham?

- Skończyłaś. Wracaj do hotelu i pakuj manatki.

- Jest jeszcze dużo do zrobienia. Chcę...

- Nie obchodzi mnie, co chcesz. Chcę, żebyś się stąd zabrała. Odkąd tylko przyjechałaś, utrudniasz śledztwo. Jutro z rana masz się znaleźć w pierwszym samolocie lecącym tam, skąd przybyłaś.

Zrozumiano?

- Popelniasz błąd. Powinam brać udział w...

- Ty popelniasz błąd, dyskutując ze mną. Nie mogę się chyba jaśniej wyrazić. Masz się stąd zabierać.

Oddasz mi papiery i wsiadasz do samolotu.

Wpatrywała się w niego, próbując przekazać całą swoją wściekłość. Uniósł rękę, jakby chciał ją powstrzymać.

- Uważaj ze słowami. Mogą do ciebie wrócić i ugryźć cię w tyłek.

Rachel przełknęła gniew. Odezwała się spokojnym, opanowanym głosem.

- Nigdzie nie jadę.

Alpert wyglądał, jakby oczy miały mu wyskoczyć z orbit. Odwrócił się i machnięciem ręki wygonił Dei z sali. Potem zwrócił się znów ku Rachel i odczekał, aż usłyszy zamykające się drzwi.

- Słucham? Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że nigdzie nie jadę. Zostaję przy tym śledztwie. Bo jak wsadzisz mnie do samolotu, nie polecę do Dakoty Południowej. Polecę prosto do kwatery głównej w Waszyngtonie i prosto do Biura Odpowiedzialności Zawodowej, żeby złożyć na ciebie skargę.

- Za co? Co ty tam napiszesz?

- Że od początku używałeś mnie jako przynęty. Bez mojej wiedzy i zgody.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. No dobra. Idź sobie do BOZ-u. Wyśmieją cię i wsadzą na kolejne dziesięć lat do Badlands.

- Cherie zrobiła błąd, a potem także ty. Kiedy zadzwoniłam z Clear, zapytała, dlaczego pojechaliśmy samochodem Boscha. Potem, w hangarze, ty spytałeś o to samo. Wiedziałeś, że pojechałam samochodem Boscha. Zaczęłam się nad tym zastanawiać i doszłam dlaczego. Podrzuciłeś mi do samochodu nadajnik GPS. Wczoraj weszłam pod spód i go znalazłam. Standardowy federalny model, nawet nalepka z numerem wciąż na nim jest. Będzie w papierach, kto go pobrał z magazynu.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Ale BOZ na pewno potrafi to wszystko ustalić. Domyślam się, że Cherie im pomoże. Na jej miejscu nie wiązałabym z tobą kariery. Powiedziałabym prawdę. Że sprowadziłeś mnie tutaj w charakterze przynęty, że według ciebie mogłam wywabić Backusa z ukrycia. Założę się, że przez cały czas miałeś ekipę, która mnie śledziła. To też będzie w papierach. A mój telefon i pokój w hotelu? Założyłeś tam podsłuch?

Rachel widziała, jak oczy Alperta się zmieniają. Zaczął to wszystko analizować, już nie myślał o jej oskarżeniach, lecz o przyszłych następstwach skargi i dochodzenia. Widziała, że ujrzał własną klęskę. Agent podsłuchuje i śledzi innego agenta, wykorzystując go jako niczego nieświadomą przynętę w grze o wysoką stawkę. Przy obecnej atmosferze podejrzliwości w mediach, kiedy FBI stara się unikać wszelkich kontrowersji, jego działania nie będą mile widziane. Załatwią się z nim szybko i po cichu. Może, jak mu się poszczęści, będzie pracował ramię w ramię z Rachel w biurze w Rapid City.

- Latem w Badlands jest pięknie, naprawdę - powiedziała.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Agentko Walling? - rzekł Alpert do jej pleców. – Proszę chwilę poczekać.

39

Samolot Rachel wylądował na Burbank z półgodzinnym opóźnieniem przez deszcz i wiatr. Całe miasto spowite było szarym całunem. Ulewa sparaliżowała wszelkie życie.auta na wszystkich ulicach i autostradach ledwo się poruszały. Drogi nie były do tego przystosowane. Ani całe miasto. O świcie przepełniały się studzienki burzowe i kanały, a rzeka Los Angeles - betonowy kanał wijący się pod miastem ku morzu - z rykiem wartko płynęła. Woda była czarna, niosła ze sobą popiół z pożarów, które poczerńiły wzgórza rok temu. Wszystko to było ponure i przywodziło na myśl koniec świata. Rok temu miasto doświadczyło pożarów, teraz deszczu. Mieszkając tutaj, czasem człowiek czuje się, jakby jechał dyliżansem razem z diabłem, prosto ku apokalipsie. Spojrzenie ludzi, których widziałem tego ranka, mówiło „i co jeszcze”. Trzęsienie ziemi? Tsunami? A może jakaś katastrofa, którą sami sobie

sprowadzimy? Dwanaście lat wcześniej pożary i deszcze zwiastowały w Mieście Aniołów nadejście wstrząsów tektonicznych i społecznych. Przypuszczam, że nikt dziś nie wątpi, by mogło się to wydarzyć jeszcze raz. Skoro my jesteśmy skazani na powtarzanie własnych błędów i pomyłek, łatwo dostrzec tę samą prawidłowość w przyrodzie.

Myślałem o tym, czekając na Rachel przy krawężniku przed terminalem lotniska. Deszcz bębnił w przednią szybę, rozmywając widok. Wiatr kołysał samochodem. Myślałem o powrocie do policji, zastanawiając się, czy powtórzę własne błędy, czy może tym razem los będzie łaskawszy.

Wśród deszczu nie dostrzegłem Rachel, dopóki nie zastukała w prawą szybę. Potem otworzyła kufer i wrzuciła do środka torbę. Miała na sobie zieloną parkę z kapturem. W Dakocie pewnie dobrze chroniła ją przed żywiołami, w Los Angeles jednak wyglądała na zbyt dużą i ciężką.

- Bosch, lepiej, żebyś tym razem miał rację – powiedziała wspinając się do środka i opadając ciężko na siedzenie. Nie okazała żadnych emocji, podobnie jak ja. Tak ustaliliśmy przez telefon. Mamy postępować jak zawodowcy, dopóki nie zweryfikujemy mojego przecucia.

- A co, masz jakiś wybór?

- Nie, po prostu wczoraj wieczorem ostro pograłam z Alperem. Jeszcze jedną rzecz spieprzę i ląduję z powrotem w Dakocie Południowej, gdzie pewnie pogoda jest lepsza niż tutaj.

- No to witamy w LA.

- Myślałam, że to Burbank.

- Ściśle rzecz biorąc.

Wyjechawszy z lotniska, skręciłem w 134 i ruszyłem nią na wschód do autostrady numer 5. Jechaliśmy powoli, wśród deszczu i porannego szczytu, ominęliśmy Griffith Park i skierowaliśmy się na południe. Jeszcze nie martwiłem się o czas, ale już prawie.

Sunęliśmy w milczeniu, bo deszcz i duży ruch sprawiały, że jazda była absorbująca, pewnie jeszcze bardziej dla Rachel, która musiała siedzieć bezczynnie, podczas gdy ja kręciłem kierownicą. Wreszcie odezwała się, żeby trochę złagodzić napięcie.

- To jak, zdradzisz mi ten swój wielki plan?

- Żaden plan, tylko przecucie.

- Nie, Bosch, powiedziałaś, że znasz jego następny ruch.

Zauważyłem, że odkąd kochaliśmy się na łóżku w mojej kawalerce, zaczęła mówić do mnie po nazwisku. Zastanawiałem się, czy to część tej umowy, że mamy działać jak profesjonaliści, a może jakiś rodzaj czułości na odwrót - nazywanie kogoś, z kim było się blisko, intymnie, jego najmniej intymnym mianem.

- Musiałem cię tu sprowadzić, Rachel.

- No dobrze, to jestem. Powiedz mi wszystko.

- To Poeta ma wielki plan. Backus.

- Co chce zrobić?

- Pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem o książkach, tych w beczce i jednej, którą wyciągnąłem?

- Tak.

- Chyba się domyśliłem, co to wszystko oznacza.

Powiedziałem jej o nadpalonym kwitku, który widziałem, o tym, że uważałem, że Book Car to faktycznie Book Carnival, księgarnia prowadzona przez policyjnego eksdetektywa Eda Thomasa, ostatni cel Poety sprzed ośmiu lat.

- Przez tę spaloną książkę uważasz, że on jest tutaj i jeszcze raz spróbuje popełnić morderstwo, które udaremnił osiem lat temu.

- Właśnie.

- Bosch, to jest naciągane. Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym, zanim zaryzykowałam własny tyłek, przylatując tutaj.

- Nie ma zbiegów okoliczności, zwłaszcza takich.

- No dobra, to wyłóż mi tę historię. Pokaż profil. Wyjaśnij mi ów wielki plan Poety.

- Profil to robota dla FBI. Ja tego robić nie będę. Ale uważam, że to było tak. Wybuch w przyczepie był zaplanowany, żeby wyglądał na wielki finał. A potem, gdy tylko dyrektor wyjdzie przed kamery i powie: „dopadliśmy go”, Backus zabije Eda Thomasa. Symbolika jest idealna. Brawurowy gest, „zrobiłem z was wała”. Szach i mat, Rachel. Biuro przechwala się własnymi dokonaniem, a on

tymczasem pod samym ich nosem załatwia gościa, którego FBI uratowało poprzednim razem, co dało im pretekst do puszenia się.

- A skąd te książki w beczce? Jak to się ma do rzeczy?

- Wydaje mi się, że kupił je od Eda Thomasa. Z Book Carnival, wysyłkowo albo nawet osobiście. Może były w jakiś sposób oznaczone i można by je skojarzyć ze sklepem. A tego nie chciał, więc je spalił. Nie chciał ryzykować, że przetrwają wybuch przyczepy.

Ale później, idąc z drugiego końca, kiedy Ed Thomas już nie żyje, a Backus zapada się pod ziemię, agenci znajdują jego powiązanie ze sklepem i widzą, jak dawno temu starannie to wszystko zaplanował. To ukaże jego genialność. A tego właśnie chce, prawda? No wiesz, ty jesteś analitykiem od profili. Powiedz mi, czy się mylę?

- Byłam analitykiem. Teraz zajmuję się w Dakotach przestępstwami w rezerwatach.

Gdy minęliśmy centrum, ruch uliczny zaczął maleć. Iglice dzielnicy finansowej znikają wśród burzy. W deszczu miasto zawsze wyglądało dla mnie upiornie. Było w tym coś proroczego, co zawsze nastrojało mnie ponuro, przywodziło na myśl, że coś się w świecie zepsuło i źle działa.

- Bosch, jedna rzecz w tym wszystkim się nie zgadza.

- Co?

- Dyrektor zwołuje dzisiaj konferencję prasową, ale nie zamierza powiedzieć, że złapaliśmy Poetę. Podobnie jak ty, Biuro nie uważa, że tam w przyczepie to był on.

- No tak, ale Backus tego nie wie. Będzie oglądać to na CNN, jak wszyscy inni. Ale nie zmieni planu. Ja w każdym razie twierdzę, że dzisiaj zaatakuje Eda Thomasa. Wykona swój plan, tak czy inaczej. Jestem od was lepszy i bystrzejszy.

Pokiwała głową i zamyśliła się.

- No dobra - powiedziała w końcu. - A jeśli to kupię, to co? Co robimy? Dzwoniłeś do Thomasa?

- Jeszcze nie wiem, co zrobimy, i nie dzwoniłem do Thomasa. Na razie jedziemy do jego sklepu w Orange, otwiera o jedenastej. Zadzwoniłem, automatyczna sekretarka powiedziała mi o godzinach otwarcia.

- Dlaczego do sklepu? Wszystkich poprzednich gliniarzy Backus zabił w domach, jednego w samochodzie.

- Bo chwilowo nie wiem, gdzie mieszka Ed Thomas, no i ze względu na książkę. Domyślam się, że Backus będzie próbował zadziałać w sklepie. Jeśli się mylę, a Ed nie pojawi się w sklepie, to dowiemy się, gdzie mieszka, i pojedziemy do niego.

Rachel potaknęła, aprobując plan.

- O sprawie Poety napisano trzy książki. Czytałam wszystkie, we wszystkich było posłowie, opisujące poszczególnych uczestników sprawy. Pisali tam, że Thomas odszedł na emeryturę i otworzył księgarnię. W jednej, zdaje się, nawet była nazwa.

- No i proszę. Zerknęła na zegarek.

- Zdążymy tam przed otwarciem?

- Zdążymy. Wiadomo już, o której jest konferencja prasowa?

- O trzeciej według czasu waszyngtońskiego. Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej. Była dziesiąta.

Mieliśmy godzinę do otwarcia księgarni Eda Thomasa i dwie godziny do konferencji prasowej. Jeśli moja teoria i moje przeczucie się sprawdzą, już wkrótce staniemy oko w oko z Poetą. Byłem na to przygotowany. Czułem, jak w krwiobiegu krąży mi wysokooktanowe paliwo. Starym nawykiem zdjąłem rękę z kierownicy i klepnąłem się po biodrze. Miałem tam glocka 27 w kaburze. Nie wolno mi było nosić broni i gdybym musiał jej użyć, napytałbym sobie biedy, a to by mogło mi uniemożliwić powrót do policji.

Ale czasem ryzyko, na które się wystawiasz, dyktuje, jakie ryzyko jesteś skłonny ponieść. I chyba tym razem właśnie tak było.

W deszczu trudno obserwować sklep. Gdybyśmy zostawili włączone wycieraczki, zdradzałoby to nas na milę. Więc z początku patrzyliśmy przez szybę zmętniała od wody.

Staliśmy na parkingu pasażu handlowego przy Tustin Boulevard w Orange. Book Carnival była niewielką księgarnką, pomiędzy sklepikiem z minerałami a czymś, co wyglądało na pusty lokal. Troje drzwi dalej znajdował się sklep z bronią.

Dla klientów było tylko jedno wejście. Zanim zajęliśmy pozycję na parkingu od frontu, objechaliśmy pasaż dookoła i zobaczyliśmy tylne drzwi z wypisaną nazwą sklepu. Był tam dzwonek i napis: DOSTAWY - PROSZĘ DZWONIĆ.

W idealnym świecie obstawilibyśmy przód i tył sklepu co najmniej czterema ludźmi. Backus mógł przyjść z dowolnej strony, podszyć się pod klienta od frontu albo pod dostawcę od tyłu. Ale tego dnia świat pod żadnym względem nie był idealny. Padało i było nas tylko dwoje. Zaparkowaliśmy mercedesa w pewnej odległości od witryny księgarni, ale na tyle blisko, by wszystko widzieć i w razie czego wkroczyć do akcji.

Lada z kasą stała tuż za szybą wystawową. To działało na naszą korzyść. Gdy tylko zobaczyliśmy Eda Thomasa otwierającego sklep, ujrzyliśmy, jak zajmuje miejsce za ladą. Włożył do kasy szufladę z pieniędzmi i wykonał kilka telefonów. Nawet przez zalaną deszczem przednią szybę mogliśmy mieć go na oku, jeśli pozostawał za kontuarem. Lecz wewnątrz sklepu kryło się w mroku. Kiedy schodził ze stanowiska i podchodził do półek z tyłu, traciliśmy go z oczu i ogarniała nas panika.

Po drodze Rachel opowiedziała mi, że odkryła w swoim samochodzie nadajnik GPS, co potwierdziło, że była przez kolegów agentów wykorzystywana jako przynęta na Backusa. A teraz siedzieliśmy i obserwowaliśmy mojego kolegę z dawnych lat, w pewnym sensie używając go jako następnej przynęty. Nie pasowało mi to. Chciałem wejść i powiedzieć Edowi, że jest na celowniku, że powinien wziąć urlop i wyjechać z miasta. Ale nie uczyniłem tego - wiedziałem, że jeśli Backus obserwuje Thomasa i zauważy jakiegokolwiek odstępstwo od normy, to możemy stracić jedyną okazję do schwytania go. Toteż postąpiliśmy samolubnie, narażając życie Eda Thomasa; wiedziałem, że niebawem będę musiał zmagać się z wyrzutami sumienia. Jedyne pytanie brzmiało: jak silne będą to wyrzuty. Zależy, jak się wszystko potoczy.

Pierwsze weszły do księgarni dwie kobiety, zaraz po otwarciu. Kiedy oglądały półki, podjechał mężczyzna, zatrzymał się przed frontem i również wszedł. Był zbyt młody na Backusa, dlatego nas to nie zaalarmowało. Wybiegł w pośpiechu, nie kupując żadnej książki. Potem, kiedy dwie klientki wyszły, ściskając torby z książkami, wysiadłem z mercedesa i przebiegłem przez parking do podcienia przed sklepem z bronią.

Wspólnie z Rachel postanowiliśmy nie wtajemniczać Thomasa w nasze śledztwo, ale to nie powstrzymało mnie przed wejściem do sklepu na rekonesans. Zdecydowaliśmy, że wymyślę jakiś pretekst, nonszalancko przywitam się z Thomasem i przekonam się, czy zdaje sobie sprawę, że jest śledzony. Kiedy pierwsi klienci poszli, wykonałem swój ruch.

Najpierw stanąłem pod sklepem z bronią, bo zatrzymaliśmy się najbliżej niego. Gdyby ktoś obserwował pasaż, wydałoby mu się dziwne, że parkuję na jednym końcu i idę od razu do księgarni na drugim. Zerknąłem mimochodem na połyskującą broń wystawioną w szklanej ladzie, potem na papierowe tarcze na tylnej ścianie. Większość miała zwykłe sylwetki, na kilku jednak widniały twarze Osamy bin Ladena i Saddama Husajna. Domyśliłem się, że idą jak woda.

Kiedy facet za ladą zapytał, czy w czymś pomóc, powiedziałem, że tak sobie tylko oglądam, i wyszedłem ze sklepu. Podszedłem do Book Carnival, wpiersz przyglądając się pustej witrynie obok. Przez zamalowane szyby widziałem pudła opisane, jak mi się wydało, tytułami książek. Zrozumiałem, że Thomas wykorzystuje ten lokal jako magazyn. Był na nim napis DO WYNAJĘCIA i numer telefonu, który zapamiętałem na wypadek, gdyby później okazał się przydatny.

Wszedłem do księgarni, za ladą stał Ed Thomas. Uśmiechnąłem się, on także, rozpoznał mnie, choć widziałem, że kilka sekund mu to zajęło.

- Harry Bosch - powiedział, przypomniał sobie w końcu.
- Cześć, Ed, jak leci?

Podaliśmy sobie ręce, w jego oczach za okularami ujrzałem ciepło, które mi się podobało. Byłem niemal pewien, że nie widziałem go od czasu pożegnalnej kolacji w Sportsman's Lodge w Dolinie, sześć czy siedem lat temu. Większość włosów miał teraz siwych. Ale wciąż był wysoki, chudy, tak jak dawniej. Kiedy pisał na miejscu przestępstwa, miał zwyczaj unoszenia notatnika aż do samych oczu. To dlatego że

okulary zawsze miał o jedną, dwie dioptrie słabsze niż potrzeba. Przez tę pozę, z uniesionymi ramionami, dostał w wydziale zabójstw przezwisko Modliszka. Pamiętam, że ulotka zapraszająca na jego pożegnalną imprezę przedstawiała karykaturę Eda jako superbohatera, w pelerynie, masce, z wielkim M na piersi.

- Jak tam, interes się kręci?

- Nie najgorzej, Harry. Co cię tu sprowadza z wielkiego, złego miasta? Słyszałem, że parę lat temu odszedłeś.

- No odszedłem. Ale zastanawiam się, czy nie wrócić.

- Brakuje ci tego?

- Tak, trochę tak. Zobaczymy, jak to wyjdzie.

Wydawał się zaskoczony. Poznałem więc, że on ani trochę nie tęskni za pracą. Zawsze był moim książkowym, zawsze na obserwacje albo pracę na podsłuchu wozził w bagażniku karton książek. Teraz miał emeryturę i swoją księgarnię. Wiodło mu się dobrze, pracę miał spokojną.

- Tak sobie przejeżdżałeś?

- Nie, właściwie, to przyjechałem ze sprawą. Pamiętasz moją dawną partnerkę, Kiz Rider?

- No pewnie, była tu u mnie kiedyś.

- Właśnie o to chodzi. Trochę mi w czymś pomogła, więc szukam dla niej jakiegoś prezentu. Pamiętam, że kiedyś powiedziała, że twój sklep to chyba jedyne miejsce, gdzie można dostać książkę podpisaną przez Deana Koontza. Masz może coś takiego? Chętnie bym jej kupił.

- Zdaje się, że na zapleczu coś mi zostało. Poczekaj, sprawdzę. One dobrze schodzą, ale przeważnie mam zapas.

Zostawił mnie przy ladzie i przeszedł przez sklep ku drzwiom, które prowadziły na zaplecze. Założyłem, że to tam są tylne drzwi, przez które przyjmuje towar. Kiedy zniknął mi z oczu, przechyliłem się i zajrzałem za kontuar. Zobaczyłem mały monitor z ekranem podzielonym na cztery części. Był to widok z czterech kamer, przedstawiający: kasę, ze mną nachylonym nad kontuarem, ogólny widok całego sklepu, zbliżenie kilku półek i zaplecza, gdzie zobaczyłem Thomasa patrzącego na podobny monitor.

Zdałem sobie sprawę, że widzi, jak nachylam się nad ladą. Wyprostowałem się, pośpiesznie próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie. Po chwili wrócił Thomas z książką w dłoni.

- Znalazłeś, czego szukasz, Harry?

- Co? A, że tam zaglądałem? Tak się tylko zastanawiałem, czy masz tu jakąś ochronę. No bo wiesz, byłeś gliniarzem i w ogóle. Nie obawiasz się czasem, że przyjdzie tu ktoś, kto zna cię z dawnych czasów?

- Uważam na siebie, Harry. Nie martw się o mnie.

Skinąłem głową.

- To dobrze. To jest ta książka?

- Tak, ona to ma? Wyszło w zeszłym roku.

Pokazał mi książkę „Twarz”. Nie wiedziałem, czy Kiz ją ma czy nie, ale i tak zamierzałem ją kupić.

- Nie wiem. Jest z autografem?

- Tak, tu jest data i podpis.

- Dobra, biorę.

Kiedy on wybijał transakcję na kasie, spróbowałem nawiązać pogawędkę, która tak naprawdę pogawędką nie była.

- Widziałem, że masz tam monitor z kamerami. Nie za dużo jak na księgarnię?

- O, dziwiłbyś się. Ludzie lubią kraść książki. Tam z tyłu są egzemplarze kolekcjonerskie - drogie rzeczy, z kolekcji, które kupują i sprzedają. Jedna kamera patrzy tam cały czas, dziś rano już złapałem dzieciaka, który próbował wsunąć sobie w gacie egzemplarz „Nick's Trip”. Wczesny Pelecanos to rarytas. To by mnie kosztowało z siedemset dolców.

Dla mnie to była jakaś niesamowita suma jak na książkę. Nigdy o niej nie słyszałem, ale domyślałem się, że pewnie ma z pięćdziesiąt albo i ze sto lat.

- Zadzwońeś po gliny?

- Nie, kopnąłem go w tyłek i powiedziałem, że jak go tu jeszcze raz zobaczę, to zawołam władze.

- To dość łagodnie, Ed. Pewnie sporo złagodniałeś, odkąd odszedłeś. Coś mi się nie wydaje, żeby Modliszka tak po prostu gówniarza puścił.

Dałem mu dwie dwudziestki, a on wydał mi resztę.

- Modliszka był dawno temu. Poza tym moja żona nie uważa, żebym był taki łagodny. Dzięki, Harry. I pozdrów Kiz ode mnie.

- Pozdrowię, pewnie. Spotykasz czasem kogoś jeszcze od naszego stolika?

Nie chciałem wychodzić. Zamierzałem zdobyć jeszcze parę informacji, dlatego kontynuowałem tę gadkę. Spojrzałem mu nad głowę i zauważyłem małą kopułkę z dwiema kamerami. Była zamontowana pod samym sufitem, jeden obiektyw nachylał się nad kasą, drugi dawał ogólny widok na sklep. Świeciło tam małe, czerwone światełko, widziałem cienki czarny kabel odchodzący od obudowy i znikający w podwieszanym suficie. Kiedy Thomas odpowiadał na moje pytanie, zastanawiałem się nad ewentualnością, że Backus był w księgarni i został nagrany na taśmę.

- Nie bardzo - powiedział Ed. - W sumie zostawiłem to wszystko za sobą. Harry, mówisz, że ci tego brakuje, ale mnie ani trochę. Poważnie.

Skinąłem głową, jakbym rozumiał, choć nie rozumiałem. Thomas był świetnym policjantem i dobrym detektywem. Traktował pracę poważnie. To był jeden z powodów, dla których znalazł się na celowniku Backusa. Nie bardzo chciało mi się wierzyć w te jego zapewnienia.

- To dobrze - odparłem. - Słuchaj, tego dzieciaka, którego stąd wykopałeś, masz na taśmie? Chciałbym zobaczyć, jak próbował cię okraść.

- Nie, mam tylko obraz na żywo. Kamery są na widoku, na drzwiach znajduje się nalepka ostrzegawcza. Ma to odstraszać złodziei, tylko że niektórzy są głupi. Zestaw z magnetowidem kosztowałby drogo i byłby upierdliwy w utrzymaniu. Mam tylko podgląd na żywo.

- Rozumiem.

- Posłuchaj, jeśli Kiz już ma tę książkę, to wezmę ją od ciebie z powrotem. Sprzeda się.

- Nie, spoko. Jak ona już ją ma, to wezmę i sam przeczytam.

- Harry, kiedy ty ostatni raz czytałeś jakąś książkę?

- Kilka miesięcy temu czytałem książkę o Arcie Pepperze - rzuciłem obrażonym tonem. - Napisał ją razem z żoną, zanim umarł.

- Biografia?

- Tak.

- Mnie chodzi o powieść. Kiedy ostatni raz jakąś czytałeś

Wzruszyłem ramionami. Nie pamiętałem.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Thomas. - Jak ona nie zechce tej książki, to mi ją oddaj, sprzedam ją komuś, kto przeczyta.

- Dobra, Ed. Dzięki.

- Uważaj na siebie, Harry.

- Ty też.

Już kierowałem się do drzwi, kiedy nagle skojarzyłem – to co powiedział mi Thomas, i to, co wiedziałem o sprawie. Strzeliłem palcami i udałem, że nagle coś mi się przypomniało. Odwróciłem się do niego.

- A wiesz co, mam takiego kolegę, mieszka w Nevadzie, ale mówił, że kupuje u ciebie. Pewnie wysyłkowo. Sprzedajesz wysyłkowo?

- Pewnie. Jak się nazywa?

- Tom Walling. Mieszka aż w Clear.

Thomas kiwnął głową, ale nie był zadowolony.

- To twój kolega?

Zdałem sobie sprawę, że nadepnąłem mu na odcisk.

- No, raczej taki znajomy.

- Bo wiesz, jest mi winny forszę.

- Naprawdę? A co się stało?

- To długa historia. Sprzedałem mu parę książek z kolekcji, którą miałem, i zapłacił mi bardzo szybko. Wysłał przekaz pocztowy i wszystko było w porządku. Więc kiedy chciał następne książki, wysłałem mu je, zanim dostałem przekaz. Duży błąd. Już trzy miesiące i nie dostałem od niego ani centa. Jak zobaczysz jeszcze raz tego swojego znajomego, powiedz mu, że ma mi zapłacić.

- Powiem mu, Ed. To niedobrze. Nie wiedziałem, że ten gość jest takim kanciarzem. A jakie książki kupował?

- Interesuje się Poem, więc sprzedałem mu parę egzemplarzy z kolekcji Rodwaya. Dość stare. Bardzo fajne książki. Potem zamówił następne, kiedy dostałem inny księgozbiór do rozprzedania. I nie zapłacił za nie.

Mój puls wrzucił wyższy bieg. Thomas właśnie potwierdził, że Backus jest jakoś w to zamieszany. Chciałem już przerwać tę maskaradę i wyjawić, co się dzieje i że jest w niebezpieczeństwie, lecz powstrzymałem się. Najpierw musiałem pogadać z Rachel i ułożyć jakiś plan.

- Zdaje się, że widziałem te książki u niego - powiedziałem. - To były wiersze?

- Przeważnie tak. Opowiadania tak naprawdę go nie interesowały.

- Czy w tych książkach było nazwisko kolekcjonera? Rodman?

- Nie, Rodway. Tak, była w nich pieczęć z ekslibrisem. Cena trochę na tym ucierpiała, ale twojemu znajomemu zależało na tych książkach.

Skinąłem głową. Widziałem, jak moja teoria składa się w całość. To już było coś więcej niż tylko teoria.

- Harry, co ty kombinujesz?

Spojrzałem na Thomasa.

- To znaczy?

- No nie wiem. Zadajesz strasznie dużo...

Z tyłu sklepu rozległ się głośny dzwonek, przerywając Thomasowi.

- Zresztą, nieważne, Harry - powiedział. - Przyszły następne książki. Muszę iść przyjąć towar.

- Aha.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Obserwowałem, jak wychodzi zza lady i idzie na zaplecze. Spojrzałem na zegarek. Było południe. Dyrektor właśnie wchodził przed kamery, żeby powiedzieć o wybuchu na pustyni i o tym, że to dzieło mordercy znanego jako Poeta. Czy Backus mógł wybrać sobie właśnie tę chwilę na zaatakowanie Thomasa? Poczulem skurcz w gardle i w piersiach, jakby z pomieszczenia wypompowano powietrze. Kiedy Thomas wysliznął się na zaplecze, podsunąłem się do lady i przechyliłem, żeby popatrzeć na monitor. Wiedziałem, że jeśli Thomas zerknie na drugi ekran, będzie widział, że nie wyszedłem ze sklepu, ale liczyłem, że pójdzie prosto do drzwi.

Na ćwiartce ekranu przedstawiającej zaplecze zobaczyłem, jak Thomas nachyla się ku tylnym drzwiom i zerka przez wizjer. To, co zobaczył, najwidoczniej nie wzbudziło jego podejrzeń, skoro przekręcił zamek i zaczął otwierać drzwi. Wpatrywałem się uważnie w ekran, choć obraz był mały i oglądałem go do góry nogami.

Thomas cofnął się i wpuścił mężczyznę do środka. Facet miał na sobie ciemną koszulę i podobne szorty. Trzymał dwa pudła, jedno na drugim. Thomas wskazał mu stojący w pobliżu stół. Dostawca odstawił tam kartony, po czym zdjął z drugiego elektroniczny notes i poprosił Thomasa o potwierdzenie podpisem.

Wszystko wyglądało normalnie. Rutynowe przyjęcie towaru. Szybko odszedłem od lady i ruszyłem do drzwi. Otwierając je, usłyszałem elektroniczny dzwonek, ale nie przejąłem się tym. Wróciłem do mercedesa, biegnąc przez deszcz. Najpierw jednak schowałem książkę z autografem pod płaszc.

- Co to było, że tak się nachylałeś nad lady? - zapytała Rachel, kiedy wskoczyłem za kierownicę.

- Ma tam telewizję przemysłową. Był facet z towarem i zanim wyszedłem, chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. W Waszyngtonie jest już po trzeciej.

- Wiem. Coś się od niego dowiedziałeś czy po prostu kupowałeś książkę?

- Dużo się dowiedziałem. Tom Walling jest klientem. Albo był, dopóki nie okantował Eda na książkach Edgara Allana Poe. Kupował wysyłkowo, tak jak myśleliśmy. Ed nigdy go nie widział, wysyłał książki pocztą do Nevady.

Rachel usiadła prosto.

- Żartujesz?

- Nie. To były książki z kolekcji jakiegoś gościa, którą Ed wyprzedawał. Były oznaczone, a więc do wyśledzenia. Dlatego Backus je wszystkie spalił. Nie chciał ryzykować, że przetrwają wybuch i zostaną skojarzone z Thomasem.

- Dlaczego?
- Bo on z pewnością tu coś kombinuje. Na pewno zamierza napaść na Thomasa.

Uruchomiłem samochód.

- Dokąd jedziesz?
- Na tył, żeby sprawdzić, co z tym dostawcą. Poza tym dobrze od czasu do czasu zmienić miejsce.
- Wiesz co, nie ucz mnie podstaw obserwacji.

Nie odpowiedział, przejechałem na tył pasażu i zobaczyłem brązową furgonetkę UPS zaparkowaną przy otwartych tylnych drzwiach Book Carnival. Minęliśmy ją; przez krótką chwilę, kiedy widziałem jej tył i otwarte drzwi od zaplecza, ujrzałem na rampie faceta dźwigającego do samochodu kilka kartonów. Domyśliłem się, że to zwroty. Jechałem dalej, nie zwalniając.

- Wszystko gra? - spytała Rachel.

- Tak.

- Nie zdradziłeś nic Thomasowi, prawda?

- Nie. Trochę był podejrzliwy, ale uratował mnie ten dzwonek. Najpierw chciałem pogadać z tobą. Wydaje mi się, że musimy mu powiedzieć.

- Harry, już o tym rozmawialiśmy. Jeśli go wtajemniczymy, przypuszczalnie zacznie się inaczej zachowywać. To go może zdradzić. Jeśli Backus obserwował księgarnię, zauważy najdrobniejszą zmianę.

- A jeśli go nie ostrzeżemy i coś się nie uda, to...

Nie dokończyłem. Odbiliśmy tę dyskusję już dwa razy. Była to klasyczna sprzeczność interesów. Czy mamy zapewnić bezpieczeństwo Thomasowi, ryzykując, że stracimy z oczu Backusa? Czy narazić go na niebezpieczeństwo, żeby się do Backusa zbliżyć? Chodziło tylko o to, jak osiągnąć cel - i żadne z nas nie będzie zadowolone, obojętnie, co wybierzemy.

- Chyba nie możemy dopuścić, żeby coś się nie udało - powiedziała.

- No tak. A co ze wsparciem?

- Też uważam, że to zbyt ryzykowne. Im więcej ludzi w to wmieszamy, tym łatwiej o dekonspirację.

Kiwnąłem głową. Miała rację. Znalazłem miejsce na przeciwnym końcu parkingu, niż staliśmy wcześniej. Ale nie oszukujmy się, w środku dnia pracy było tu zaledwie kilka samochodów, toteż zwracaliśmy uwagę. Zacząłem myśleć, że może jesteśmy jak te kamery u Eda Thomasa. Odstraszenie, nic więcej. Może Backus nas zauważył i wstrzymał się z realizacją planu. Na chwilę.

- Klientka - odezwała się Rachel.

Spojrzałem na parking i zauważyłem kobietę idącą w stronę księgarni. Wyglądała mi znajomo, potem przypomniałem ją sobie ze Sportsman's Lodge.

- To jego żona. Raz ją spotkałem. Chyba nazywa się Pat.

- Myślisz, że przynosi mu lunch?

- Kto wie? A może tam pracuje.

Obserwowaliśmy przez chwilę, ale w witrynie sklepu nie było widać ani Thomasa, ani jego żony. Przejąłem się tym, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do sklepu w nadziei, że dzwonek zwabi ich do lady, gdzie stał aparat.

Ale kobieta natychmiast odebrała, a przy kontuarze nikt się nie pojawił. Szybko się rozłączyłem.

- Muszą mieć telefon na zapleczu.

- Kto odebrał?

- Żona.

- Może teraz ja się tam przejdę?

- Nie. Jeśli Backus obserwuje, pozna cię. Nie możesz się pokazywać.

- No racja, to co?

- Nic. Pewnie siedzą przy stole, który widziałem na zapleczu, i jedzą lunch. Cierpliwości.

- Dość cierpliwości. Nie podoba mi się, że tak siedzę i...

Urwała, kiedy zobaczyliśmy Eda Thomasa wychodzącego z księgarni. Miał płaszcz od deszczu, niósł parasol i walizkę. Wsiadł do samochodu, którym przyjechał z rana, zielonego forda explorera.

Przez wystawę zobaczyliśmy, że jego żona siada na stołku za ladą.

- No i proszę - powiedziałem.

- Gdzie on jedzie?

- Może na lunch.

- Nie z walizeczką. Trzymamy się go, tak?

Uruchomiłem samochód.

- Tak.

Obserwowaliśmy, jak Thomas rusza swą terenówką. Wyjechał na Tustin Boulevard i skręcił w prawo. Kiedy wchłonął go ruch, podjechałem do wyjazdu i ruszyłem za nim poprzez deszcz. Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do sklepu. Odebrała żona Eda.

- Cześć, zastałem Eda?

- Nie, nie ma go. W czym mogę pomóc?

- Czy to Pat?

- Tak, a kto mówi?

- Mówi Bill Gilbert. Zdaje się, że poznaliśmy się w Sportsman's Lodge jakiś czas temu. Pracowałem w jednym wydziale z Edem. Będę w okolicy i pomyślałem, że wpadnę do księgarni się przywitać. Ed będzie później?

- Trudno powiedzieć. Pojechał zrobić wycenę i może mu na tym zejść reszta dnia.

- Wycenę? To znaczy?

- Księgozbioru. Ktoś chce sprzedać swoje książki i Ed właśnie pojechał zobaczyć, ile to jest warte. Aż do doliny San Fernando. Z tego, co wiem, to duży księgozbiór. Powiedział, że pewnie będę sama zamykać księgarnię.

- To coś jeszcze z tej kolekcji Rodwaya? Wspominał coś, jak ostatnio rozmawialiśmy.

- Nie, to już jest prawie wszystko sprzedane. Ten facet nazywa się Charles Turrentine i ma ponad sześć tysięcy książek.

- O, to sporo.

- To znany kolekcjoner, ale chyba potrzebuje gotówki, bo powiedział Edowi, że chce wszystko sprzedać.

- Dziwne. Gość tyle czasu zbiera, a potem wszystko sprzedaje.

- Zdarzają nam się tacy.

- No dobrze, Pat, będę kończył. Odezwę się do Eda innym razem. Proszę go pozdrowić ode mnie.

- Może pan powtórzyć nazwisko?

- Tom Gilbert. Do widzenia.

Rozłączyłem się.

- Na początku rozmowy byłeś „Bill Gilbert”.

- Kurczę.

Streściłem Rachel rozmowę. Potem zadzwoniłem do biura numerów na kierunkowy 818, ale nie mieli w bazie Charlesa Turrentine'a. Zapytałem Rachel, czy ma jakieś wejścia w biurze terenowym w Los Angeles, żeby znaleźć adres Turrentine'a i ewentualnie zastrzeżony telefon.

- A ty nie znasz kogoś takiego w LAPD?

- Chyba wykorzystałem już wszystkie przysługi, jakie mi zostały. Poza tym ja jestem człowiekiem z ulicy, a ty nie.

- No nie wiem.

Wyciągnęła komórkę i zaczęła wstukiwać numer. Skupiłem się na tylnych światłach terenówki Thomasa, sunącej zaledwie pięćdziesiąt jardów przede mną autostradą numer 22. Wiedziałem, że może pojechać różnie. Skręcić na północ w 5 i pojechać przez centrum LA albo jechać dalej i skręcić w 405 na północ. Obie drogi doprowadzą go do doliny.

Po pięciu minutach do Rachel oddzwoniono z informacjami, o które pytała.

- Mieszka na Valerio Street w Canoga Park. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem, gdzie jest Canoga Park. Valerio biegnie ze wschodu na zachód przez całą Dolinę. Masz numer telefonu?

Odpowiedziała, wklepując numer do komórki. Przyłożyła ją do ucha i czekała. Po trzydziestu sekundach zamknęła telefon.

- Nikt nie odbiera. Sekretarka się odezwała.

Jechaliśmy w milczeniu i zastanawialiśmy się nad tym. Thomas minął zjazd na drogę numer 5 i jechał na północ, ku 405. Wiedziałem, że tam skręci i wjedzie przez przełęcz Sepulveda w Dolinę. Canoga Park był po zachodniej stronie. Przy tej pogodzie co najmniej godzina jazdy. Jeśli ma się szczęście.

- Bosch, nie zgub go - szepnęła Rachel.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Mówiła, że coś wyczuwa, że według niej to jest to. Że Ed Thomas być może prowadzi nas do Poety. Skinąłem głową, bo też odbierałem jakby delikatny pomruk dochodzący ze środka klatki piersiowej. Przeczuałem, że jesteśmy blisko.

- Nie bój się, nie zgubię - odparłem.

41

Deszcz dawał się Rachel we znaki. Jego uporczywość. Nie przestawał ani na moment. Po prostu spadał z nieba i uderzał w szybę nieprzerwanym nurtem, z którym wycieraczki nie dawały sobie rady. Wszystko było rozmyte. Samochody zatrzymywały się na poboczach autostrady. Na zachodzie, gdzieś nad oceanem, niebo przecięła błyskawica. Po drodze widzieli kilka wypadków, co jeszcze bardziej zdenerwowało Rachel. Gdyby im się przydarzył i straciliby przez to Thomasa, spadłby na nich straszny ciężar odpowiedzialności.

Obawiała się, że jak tylko odwróci wzrok od czerwonego blasku świateł jego samochodu, zgubią go w morzu rozmazanej czerwieni. Bosch zdawał się wiedzieć, co ona myśli.

- Spokojnie - powiedział. - Nie zgubię go. A nawet jeśli, to przecież wiemy, dokąd jedzie.

- Nie wiemy. Wiemy tylko, gdzie mieszka Turrentine. To nie oznacza, że tam są jego książki. Sześć tysięcy książek? Kto by trzymał w domu sześć tysięcy książek? Pewnie ma je gdzieś w magazynie.

Rachel zobaczyła, jak Bosch mocniej chwyta kierownicę i przyśpiesza, zbliżając się do Thomasa.

- Nie pomyślałeś o tym, co?

- No w sumie nie.

- To go nie zgub.

- Mówiłem ci, nie zgubię.

- Wiem. Tylko mi lżej, jak tak powiem.

Wskazała na szybę.

- Jak często tu tak leje?

- Prawie nigdy - odparł Bosch. - W radiu powiedzieli, że to burza stulecia. Całkiem jakby coś się zepsuło, pękło. W Malibu pewnie kanionami spływa woda. Na Palisadach obsuwa się ziemia. A rzeka wylewa. W zeszłym roku mieliśmy pożary. W tym roku pewnie deszcz. Tak czy inaczej, zawsze coś się dzieje. Tak jakby trzeba było cały czas poddawać nas próbom albo coś w tym stylu.

Włączył radio, żeby posłuchać pogody. Ale Rachel natychmiast sięgnęła, wyłączyła je i wskazała na szybę.

- Skup się na tym. Prognoza mnie nie obchodzi.

- Racja.

- Podjedź bliżej. Możesz nawet jechać tuż za nim. I tak cię nie zobaczy w tej ulewie.

- Jak będę tak jechać, to jeszcze go stuknę i co wtedy powiemy?

- Po prostu nie...

- ...zgub go. Jasne, wiem.

Następne pół godziny przejechali bez słowa. Autostrada pięła się przez góry. Na szczycie jednej z nich Rachel dostrzegła wielką kamienną budowlę. W tej szarości i mroku wyglądała na jakiś postmodernistyczny zamek. Bosch wyjaśnił, że to Muzeum Getty'ego.

Zjeżdżając w Dolinę, dostrzegli rozbłyskujący kierunkowskaz Thomasa. Bosch wjechał na pas do skrętu trzy samochody za nim.

- Zjeżdża w sto pierwszą. Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Znaczy w Canoga Park?

- Tak. Pojedzie tędy na zachód i potem znowu na północ, zwykłymi ulicami.

Bosch zamilkł, skupiając się na prowadzeniu samochodu i obserwowaniu. Po kolejnych piętnastu minutach kierunkowskaz exploraera ponownie zamigotał, Thomas skręcił w DeSoto Avenue i ruszył na północ. Bosch i Walling trzymali się za nim na ślimaku zjazdu, tym razem bez osłony innych

samochodów.

Na DeSoto Thomas niemal od razu zjechał do krawężnika w miejscu, gdzie nie wolno parkować, Bosch musiał więc przejechać obok, inaczej zdradziłby się, że go śledzi.

- Chyba patrzył na mapę - powiedziała Rachel. - Miał zapalone światło i spuszczoną głowę.
- Dobra.

Bosch wjechał na stację benzynową, okrążył dystrybutory i zatrzymał się przed wyjazdem, patrząc w lewo na explorera Thomasa. Czekał. Po minucie Thomas ruszył. Bosch zaczekał, aż go minie, zasłaniając sobie twarz trzymaną przy lewym uchu komórką - na wypadek gdyby Thomas patrzył na niego i mógł w tym deszczu coś dostrzec. Przepuścił jeszcze jeden samochód i wyjechał.

- Musi być blisko - doszła do wniosku Rachel.
- Tak.

Lecz Thomas, zanim skręcił w prawo, przejechał kilka przecznic. Bosch zrobił to samo, ale przedtem zwolnił.

- Valerio - Rachel odczytała w półmroku znak. - To tutaj.

Bosch, skręciwszy, dostrzegł światła stopu w aucie Thomasa.

Zatrzymał się trzy przecznice dalej, na środku drogi. Ulica była ślepa.

Szybko zjechali do krawężnika, kryjąc się za zaparkowanym samochodem.

- Ma zapalone światło - powiedziała Rachel. - Pewnie znowu patrzy na mapę.

- Rzeka - odparł Bosch.

- Co?

- Mówiłem ci, Valerio przecina całą Dolinę. Ale rzeka tak samo. Pewnie próbuje dojść, jak przejechać na drugą stronę. Rzeka przecina tutaj wszystkie ulice. Jego adres pewnie jest na Valerio po drugiej stronie.

- Nie widzę tu żadnej rzeki. Ogrodzenie i sam beton.

- No, nie nazwałabyś tego rzeką. Ściśle rzecz biorąc, to nie rzeka. To spływ z kanionu Aliso albo Browna. Wpływa do rzeki.

Czekali. Thomas nadal stał.

- Przy takich burzach rzeka często wylewała. Niszczyła wtedy jedną trzecią miasta. Dlatego postarali się ją uregulować. Zamknąć. Ktoś wpadł na pomysł, żeby obudować ją kamieniami, zabetonować. Tak zrobiono i od tego czasu domom podobno nic nie grozi.

- To się chyba nazywa postęp.

Bosch kiwnął głową i ponownie chwycił kierownicę.

- Jedzie.

Thomas skręcił w lewo, jego samochód na moment znikł im z oczu. Bosch ruszył spod krawężnika i pojechał za nim. Thomas podjechał na północ do Saticoy i skręcił w prawo. Przejechał przez mostek ponad strumieniem. Kiedy przejeżdżali, Rachel zajrzała do betonowego kanału i zobaczyła wzburzony nurt.

- O rany. A myślałam, że to ja mieszkam w Rapid City*. [Rapid (ang.) to między innymi bystrzyna, wartki nurt.]

Bosch nie odpowiedział. Thomas skręcił na południe w Mason i wrócił na Valerio, lecz po drugiej stronie betonowego kanału. W Valerio również skręcił w prawo.

- Ta też się kończy ślepo - oznajmił Bosch.

Pojechał prosto Mason, mijając Valerio. Rachel wpatrzyła się w deszcz i zauważyła, że Thomas wjeżdża na podjazd wielkiego piętrowego domu, jednego z pięciu na ślepych odcinkach ulicy.

- Wjechał na podjazd - powiedziała. - To tam. Jezus Maria, to ten dom!

- Który dom?

- Ten, co był na zdjęciu w przyciepce. Backus był tak pewny siebie, że nawet, cholera, zdjęcie zostawił.

Bosch zjechał do krawężnika. Nie widzieli stąd domu na Valerio. Rachel odwróciła się i zajrzała w pobliskie okna. We wszystkich panowały ciemności.

- Pewnie jakaś awaria prądu.

- Pod twoim siedzeniem jest latarka. Weź ją.

Rachel sięgnęła i wyciągnęła ją.

- A ty?

- Dam sobie radę. Idziemy.

Rachel otworzyła drzwi, ale potem popatrzyła na Boscha. Chciała coś powiedzieć, ale zawahała się.

- Co? - zapytał. - Uważaj na siebie? Nie bój się, będę uważał.

- Właściwie tak, uważaj. Ale miałam powiedzieć, że w torbie mam drugi pistolet. Może ty...

- Dzięki, Rachel, ale tym razem wziąłem swój.

Skinęła głową.

- Powinam się domyślić. A jak się teraz zapatrujesz na wsparcie?

- Jak chcesz, to zadzwoń po nich. Ale ja nie czekam. Idę tam.

Wysiadłszy z mercedesa, poczułem na twarzy i karku chłód deszczu. Postawiłem kołnierz kurtki i poszedłem z powrotem do ulicy Valerio. Rachel wysiadła i bez słowa szła obok mnie. Kiedy doszliśmy do rogu, schowaliśmy się za murem otaczającym narożną posesję i wyjrzelśmy w ślepą ulicę, by popatrzeć na ciemny dom, przed którym Ed Thomas zaparkował samochód. Ani śladu Thomasa ani nikogo innego. Wszystkie okna frontowe były ciemne. Lecz nawet w tej szarości widziałem, że Rachel miała rację. Był to dom ze zdjęcia, które zostawił dla nas Backus.

Słyszałem rzekę, choć jej nie widziałem. Kryła się za domami. Lecz jej wściekła siła była niemal namacalna nawet z tej odległości. Przy takich burzach tamtędy, po gładkich betonowych powierzchniach, spływa woda z całego miasta. Wije się przez Dolinę i między górami do centrum. A stamtąd podąża na wschód, do oceanu.

Przez większą część roku był to zaledwie strumyk. Bardziej miejski żart niż rzeka. Lecz burza budziła węża i dawała mu moc. Stawał się rynną dla całego miasta, w jego grubym kamiennym ocembrowaniu dudniły miliony, miliony litrów wody, pędząc z potworną siłą i impetem. Wspomniałem chłopca, którego rzeka porwała, kiedy byłem dzieckiem. Nie znałem go, tylko o nim słyszałem. Czterdzieści lat później nadal pamiętam jego imię. Billy Kinsey bawił się na nabrzeżu rzeki. Pośliznął się i po chwili zniknął. Ciało znaleziono zaczepione o most dwanaście mil dalej.

Matka od zawsze i często mi powtarzała... Kiedy pada...

- ...trzymaj się z dala od kanału.

- Co? - szepnęła Rachel.

- Myślałem o rzece. Uwięzionej między tymi ścianami. Kiedy byłem dzieckiem, mówiliśmy na to „kanał”. Kiedy pada jak dzisiaj, nurt jest bystry. Groźny. Kiedy pada, trzeba trzymać się z daleka od kanału.

- Ale my idziemy do domu.

- To to samo, Rachel. Bądź ostrożna. Trzymaj się z dala od kanału.

Spojrzała na mnie. Chyba rozumiała, co mówię.

- Dobrze, Bosch.

- Może ty zajdziesz od frontu, a ja od tyłu?

- Dobra.

- Bądź przygotowana na wszystko.

- Ty też.

Dom stał o trzy posesje stąd. Szybko obeszlśmy mur pierwszej z nich, potem poszliśmy na skróty przez podjazd następnej. Prześliznęliśmy się wzdłuż frontów dwóch następnych domów, aż dotarliśmy do tego, przed którym stało auto Thomasa. Rachel ostatni raz kiwnęła do mnie głową i rozdzieliliśmy się, jak na komendę wyciągając broń. Rachel podeszła od frontu, podczas gdy ja ruszyłem podjazdem na tył. Półmrok i bębnienie deszczu oraz szum potoku dawały mi wizualną i dźwiękową osłonę. Poza tym podjazd był obsadzony przysadzistymi bugenwillami, które czas jakiś nie były przycinane ani regulowane. Lecz we wnętrzu domu panowały ciemności.

Ktoś mógłby obserwować mnie przez okna, a ja bym o tym nie wiedział.

Podwórce za domem było zalane. Pośrodku wielkiej kałuży stały dwie porzewiałe podpory huštawki, w kształcie wielkich liter A, huštawek jednak nie było. Za nimi ciągnął się sześciostopowy mur oddzielający posesję od kanału. Widziałem, że woda, oszalała, wzburzona, już zbliżała się do krawędzi. Przeleje się jeszcze dzisiaj. Dalej w górę rzeki, gdzie kanał był płytszy, pewnie już przedostała się przez wał.

Skupiłem się z powrotem na domu. Od tyłu znajdował się zabudowany ganek, który nie miał rynien, deszcz więc spływał po jego ścianach kaskadami tak grubymi, że całkiem zasłaniały widok. Backus mógł sobie tam siedzieć w fotelu bujanym i bym go nie zobaczył. Szpaler bugenwilli ciągnął się wzdłuż balustrady ganku. Przykucnąłem poniżej jego krawędzi i szybko podkraǳłem się do stopni. Wszystkie trzy pokonałem jednym skokiem i wpadłem do środka. Oczy chwilę się przyzwyczajały. Po prawej stronie werandy stała biała rattanowa kanapa. Koc okrywał kształt nie do pomylenia - człowiek siedział prosto, choć wspierał się o lewą poręcz. W półprzysiadzie podszedłem bliżej i sięgnąłem na podłogę po róg koca. Powoli go ściągnąłem.

Był to starszy człowiek. Wyglądał, jakby nie żył co najmniej od wczoraj. Odór dopiero się pojawiał. Oczy miał otwarte i chodziły po nich owady, skórę - koloru białej farby w sypialni nałogowego palacza. Wokół szyi miał ciasno zaciśnięte - zbyt ciasno - plastikowe kajdanki. Charles Turrentine, jak miemam. Sądziłem także, że to on był owym starszym panem na zdjęciu, które zrobił Backus. Został zabity i pozostawiony na werandzie jak sterta starych gazet. Nie miał nic wspólnego z Backusem, był po prostu środkiem prowadzącym do celu.

Uniosłem glocka i wszedłem tylnymi drzwiami do domu. Chciałem ostrzec Rachel, ale robiąc to, pewnie zdradziłbym i swoją pozycję, i jej. Musiałem po prostu iść naprzód, coraz głębiej w mrok, aż napotkam albo ją, albo Backusa.

Drzwi były zamknięte. Postanowiłem, że obejdę dom i dołączę do Rachel od frontu. Ale kiedy obróciłem się, znów spojrzałem na ciało i do głowy wpadł mi pewien pomysł. Podsunąłem się do kanapy i poklepałem starszego człowieka po spodniach. I to było to. Usłyszałem brzęk kluczy.

Rachel była otoczona. Sterty książek stały pod wszystkimi ścianami przedpokoju. Stanęła między nimi z pistoletem w jednej ręce, latarką w drugiej i zajrzała do salonu po prawej. Jeszcze więcej książek. Wypełnione po brzegi półki na każdej ścianie. Tomy piętrzyły się na stoliku do kawy, stolikach przy sofie i każdej poziomej powierzchni. Sprawiały, nie wiedzieć czemu, że dom wyglądał na nawiedzony. Nie było to miejsce do życia, lecz posępny, mroczny loch, gdzie mole książkowe przeżerały słowa wszystkich autorów.

Próbowała iść dalej, nie zwracając uwagi na narastający lęk. Wahała się jednak, czy nie zawrócić, nie wyjść z domu, zanim ktoś ją zauważy. Lecz potem usłyszała głosy i wiedziała, że musi działać.

- Gdzie jest Charles?

- Siadaj, powiedziałem.

Dźwięk dobiegł ją nie wiadomo skąd. Bębnienie deszczu na zewnątrz, wzburzony nurt pobliskiej rzeki i piętrzące się wszędzie książki, wszystko to powodowało dezorientację, nie wiadomo było, skąd dobiega dźwięk.

Usłyszała kolejne dźwięki, kolejne słowa. Przeważnie tylko szmery, od czasu do czasu zrozumiałe słowo, przesycone gniewem lub strachem.

- Myślałeś...

Pochyliła się i położyła latarkę na podłodze. Jeszcze jej nie włączyła i nie chciała teraz tego robić. Wsunęła się w ciemniejszy kąt przedpokoju. Pokoje od frontu już wcześniej sprawdziła, wiedziała więc, że głosy dobiegają gdzieś z głębi domu.

Przedpokój prowadził do holu, z którego w trzy strony odchodziły drzwi. Wchodząc tam, usłyszała dwa męskie głosy, teraz już wyraźnie dobiegające z prawej strony.

- Pisz to!

- Nic nie widzę!

Szczęknęcie. Odgłos darcia. Ściągane z okna zasłony.

- A teraz widzisz? Pisziesz albo zaraz wszystko skończymy!

- Dobrze! Dobrze!

- Dokładnie tak, jak mówię. Raz w północnej, głuchej dobie...

Wiedziała, co to. Poznała słowa wiersza Edgara Allana Poe.

Wiedziała więc, że to Backus, choć głos miał inny. Znów wykorzystywał poezję, wrócił do morderstwa udaremnionego przed wieloma laty. Bosch miał rację.

Przeszła do pokoju po prawej. Okazał się pusty. Pośrodku stał stół bilardowy, całkowicie zastawiony stertami książek. Zrozumiała, co zrobił Backus. Udało mu się zwabić tutaj Thomasa, ponieważ mieszkaniem tego domu, Charles Turrentine, kolekcjonował książki. Wiedział, że dla takiego księgozbioru

Thomas przyjedzie.

Zaczęła się odwracać, by się wycofać, sprawdzić sąsiedni pokój. Zanim jednak zdążyła ruszyć się choćby o parę cali, poczuła na szyi dotyk zimnej lufy.

- Cześć, Rachel - powiedział Robert Backus swym operacyjnie zmienionym głosem. - Cóż za niespodzianka.

Zamarła i natychmiast zdała sobie sprawę, że nie da się go w żaden sposób wykiwać - ten człowiek znał wszystkie gierki i wszelkie podstępny. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. A był nią Bosch.

- Cześć, Bob. Dawnośmy się nie widzieli.

- Istotnie. Czy mogłabyś odłożyć tutaj broń i pójść ze mną do biblioteki?

Rachel odłożyła się sauera na stosik książek na stole do bilardu.

- Wydawało mi się, że cały ten dom to jedna wielka biblioteka.

Backus nie odpowiedział. Poczula, jak chwyta ją z tyłu za kołnierz, przyciska broń do pleców i popycha w tamtym kierunku. Przeszli do następnego pokoju. Był niewielki, stały w nim dwa drewniane krzesła o wysokich oparciach, zwrócone w stronę dużego kamiennego kominka. Nie buzował w nim ogień, Rachel słyszała wodę skapującą z komina do paleniska. Na pewno rozlewała się tam w kałużę. Okna po obu stronach kominka były zalane deszczem; nic przez nie nie widział.

- Przypadkiem jest akurat tyle krzesel, co trzeba - powiedział Backus. - Usiądź, dobrze?

Szarpieniem podprowadził ją do jednego z krzesel i wcisnął w nie. Szybko obmacał, czy nie ma przy sobie innej broni, potem cofnął się i rzucił jej coś na kolana. Rachel spojrzęła na drugie krzesło i zobaczyła Eda Thomasa. Jeszcze żył. Nadgarstki miał przymocowane plastikowymi zatrzaskowymi kajdankami do poręczy krzesła. Dwie pary kolejnych, złączonych razem, wiązało jego szyję do oparcia. Został zakneblowany płócienną serwetką, twarz miał czerwoną z wysiłku i braku powietrza.

- Bob, możesz sobie to darować - powiedziała Rachel. - Już dopięteś swego. Nie musisz...

- Załóż kajdanki na prawą rękę i przypnij do krzesła.

- Bob, proszę cię. Może...

- Rób, co mówię!

Przypięła się do poręczy. Przełożyła koniec przez zapadkowe zapięcie.

- Ciasno, ale nie za ciasno. Nie chcę, żeby zostały ślady.

Kiedy skończyła, kazał jej położyć lewą rękę na drugiej poręczy. Podszedł, chwycił ją za przedramię i spiął przegub drugą parą kajdank. Cofnął się, by podziwiać efekt swej pracy.

- No i już.

- Bob, tak dobrze nam się kiedyś pracowało. Dlaczego to robisz?

Spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się.

- Nie wiem. Ale o tym porozmawiamy później. Na razie chcę

skończyć z detektywem Thomasem. I on, i ja czekaliśmy na to dosyć długo. A ty, Rachel, pomyśl tylko: będziesz mogła popatrzeć. Cóż za niezwykła okazja.

Backus odwrócił się do Thomasa. Podszedł do niego i wyszarpnął knebel z ust. Potem sięgnął do kieszeni po scyzoryk. Otworzył go i jednym szybkim ruchem przeciął plastik wiążący prawą rękę Thomasa.

- Na czym to stanęliśmy, panie Thomas? Trzeci wers, jak się zdaje.

- Raczej koniec pieśni, powiedziałbym.

Rachel rozpoznała głos Boscha za plecami. Lecz kiedy odwróciła się, by nań spojrzeć, oparcie krzesła okazało się zbyt wysokie.

Trzymałem pistolet bez ruchu, zastanawiając się, jak sobie najlepiej z Backusem poradzić.

- Harry - odezwała się spokojnie Rachel. - Ma pistolet w lewej ręce i nóż w prawej. Jest praworęczny.

Wycelowalem i powiedziałem mu, żeby odłożył broń. Usłuchał bez wahania. To mnie zastanowiło: chyba trochę za szybko przeszedł do planu B. Była tu jeszcze jakaś broń? Jeszcze jeden morderca w tym domu?

- Rachel, Ed, wszystko w porządku?

- W porządku - odparła Rachel. - Każ mu się położyć, Harry. W kieszeni ma plastikowe kajdanki.

- Rachel, gdzie twój pistolet?

- W tamtym pokoju. Harry, każ mu się położyć!

Postąpiłem jeszcze jeden krok w głąb pokoju, potem zatrzymałem się i przyjrzałem Backusowi. Znow się zmienił. Nie przypominał już faceta, który przedstawił się jako Shandy. Nie miał brody, nie nosił czapki na siwych włosach. Twarz i głowę miał gładko ogoloną. Wyglądał całkiem inaczej.

Zrobiłem następny krok, lecz tym razem też się zatrzymałem. Pomyślałem nagle o Terry McCalebie, jego żonie, córce i adoptowanym synu. Pomyślałem o naszej wspólnej misji, o tym, jaka to strata dla świata. Ilu złoczyńców będzie chodzić na wolności przez to, że zabrakło McCaleba? Wezbrał we mnie gniew, jak rzeka za oknem. Nie chciałem kłaść Backusa na ziemi, skuwać go i przyglądać się, jak odjeżdża radiowozem, by żyć za kratami jako znana i podziwiana sława. Chciałem zabrać mu wszystko, co zabrał mojemu przyjacielowi i każdej pozostałej ofierze.

- Zabiłeś mojego przyjaciela - powiedziałem. - I za to cię...

- Harry, przestań - odezwała się Rachel.

- Przykro mi - odparł Backus. - Ale sporo pracowałem. Jak się nazywał ów pana przyjaciel?

- Terry McCaleb. Także twój kolega, a ty...

- Właściwie to zamierzałem się nim zająć. Tak, on mógłby mnie uwierać jak kamyk w bucie. Ale...

- Bob, zamknij się! - wrzasnęła Rachel. - Buty to ty mógłbyś mu czyścić! Harry, to zbyt niebezpieczne. Powal go! I to już!

Opanowałem wściekłość i skupiłem się na chwili obecnej. Odsunąłem wspomnienia o Terry McCalebie. Postąpiłem ku Backusowi, zastanawiając się, co mówi Rachel. Powal go? Czy ona chce, żebym go zastrzelił?

Kolejne dwa kroki.

- Kładź się - rozkazałem. - Z daleka od broni.

- Co tylko pan każe.

Odwrócił się, jakby odchodził od broni i szukał miejsca na położenie się.

- Może nie tu, tu jest kałuża. Kominiek przecieka.

Nie czekając na moją odpowiedź, zrobił krok w stronę okna. I nagle to zobaczyłem. Wiedziałem, co zrobi.

- Backus, stój!

Ale moje słowa go nie powstrzymały. Odbił się stopami i zanurkował głową naprzód w okno. Rama, osłabiona latami nasłonecznienia i ulew, takich jak dzisiaj, wyleciała lekko jak hollywoodzka dekoracja. Kiedy przelatywał przez nią, sygnęły się drzazgi i odłamki szkła. Szybko podbiegłem do otworu i natychmiast zobaczyłem rozbłysk lufy drugiej broni Backusa. Plan B.

Dwa trzaski jeden po drugim, usłyszałem, jak pociski świszczą koło mnie i uderzają w sufit. Skryłem się przy ścianie i na ślepo dwa razy szybko strzeliłem. Potem padłem na podłogę, przetoczyłem się pod oknem i wstałem po drugiej stronie. Wyjrzałem, Backus znikł. Na ziemi zauważyłem małego, dwustrzałowego derringera. Zapasową broń stanowił mały, dwustrzałowy pistolecik; teraz był nieuzbrojony, chyba że miał jeszcze plan C.

- Harry, nóż! - krzyknęła z tyłu Rachel. - Przetnij to!

Podniosłem nóż z podłogi i szybko przeciąłem jej więzy. Plastik łatwo ustępował. Potem odwróciłem się do Thomasa i włożyłem mu scyzoryk w prawą dłoń, żeby mógł się sam uwolnić.

- Przepraszam, Ed - powiedziałem.

Dłuższe przeprosiny mogłem odłożyć na później. Odwróciłem się z powrotem do Rachel, która stała przy oknie i wyglądała w ciemność. Podniosła pistolet Backusa.

- Widzisz go?

Podszedłem do niej. Trzydzieści jardów po lewej było koryto rzeki. Zerknąłem tam i zobaczyłem, jak nurt niesie wyrwany z korzeniami dąb. Potem coś się ruszyło. Dostrzeegliśmy, jak Backus wyskakuje zza osłony bugenwilli i zaczyna wspinać się na ogradzający kanał płot. Gdy już przechodził na drugą stronę, Rachel uniosła broń i strzeliła dwa razy. Backus opadł na zwirową ścieżkę obok kanału. Ale potem zerwał się na równe nogi i zaczął biec. Chybiła.

- Nie przedostanie się przez rzekę. Jest uwięziony po tej stronie. Biegnie do mostu w Saticoy.

Wiedziałem, że jeśli do niego dotrze, umknie. Przejdzie na drugą stronę i zniknie w dzielnicy mieszkaniowej na zachodnim brzegu albo wśród biurowców przy DeSoto.

- Ja biegnę - powiedziała Rachel. - Ty masz samochód i będziesz tam szybciej. Dorwiemy go przy

moście.

- Jasne.

Popędziłem do drzwi, przygotowując się do pościgu w deszczu. Po drodze wyciągnąłem z kieszeni telefon i rzuciłem Thomasowi.

- Ed! - krzyknąłem przez ramię. - Dzwon na policję. Potrzebne nam wsparcie.

42

Rachel wyciągnęła magazynek z pistoletu Backusa i stwierdziła, że przed oddaniem dwóch strzałów był pełny. Wcisnęła go z powrotem i podeszła do okna.

- Iść z tobą? - zapytał z tyłu Ed.

Rachel odwróciła się. Już się uwolnił. Stał z nożem w dłoni, gotów do pościgu.

- Rób, co powiedział Harry. Dzwon po wsparcie.

Weszła na parapet i wyskoczyła w deszcz. Przebiegła wzdłuż bugenwilli, aż znalazła przerwę i precyzyjnie się do płotu. Włożyła pistolet Backusa do kabury i przeszła na drugą stronę, zaczepiając o coś rękawem i rozdierając go. Opadła na żwir obok krawędzi. Spojrzała w głąb, jeszcze trochę i woda z kanału wyleje. Woda spiętrzała się kaskadami w korycie, rycząc złowrogo. Rachel popatrzyła przed siebie, wzdłuż ścieżki. Widziała, jak Backus biegnie. Był już w połowie drogi do mostu. Zerwała się i pobiegła. Strzeliła w powietrze, żeby myślał o tym, co dzieje się z tyłu, a nie o tym, co czeka go na moście.

Mercedes z poślizgiem wjechał na krawężnik na moście. Wyskoczyłem, nawet nie wyłączając silnika, i podbiegłem do balustrady. Widziałem Rachel biegnącą ku mnie skrajem kanału z uniesioną bronią. Backusa jednak nie dostrzegłem.

Cofnąłem się i rozejrzałem. Nigdzie go nie było. Pomyślałem, że to niemożliwe, by dotarł do mostu przede mną. Podbiegłem do furki obok, stanowiącej wejście na teren nad kanałem. Była zamknięta, widziałem jednak, że żwirowa ścieżka ciągnie się dalej pod mostem. To była jedyna możliwość: Backus musiał się tam ukrywać.

Szybko wspiąłem się na nią i padłem na żwir. Wstałem, oburącz trzymałem pistolet i celowałem w ciemną czelusć pod mostem. Przykucnąłem i ruszyłem w ciemność.

Hałas pędzącej wody odbijał się pod mostem głośnym echem. Most wspierał się tutaj na czterech potężnych betonowych filarach. Backus mógł z łatwością ukryć się za dowolnym z nich.

- Backus! - zawołałem. - Chcesz żyć, to wychodź! I to już!

Nic. Tylko ryk wody. Potem usłyszałem odległe wołanie i odwróciłem się do Rachel. Wciąż była sto jardów ode mnie. Krzyczała, ale woda tłumiała jej głos.

Backus kulił się w ciemności. Próbował wyprzeć wszelkie emocje i skoncentrować się na chwili obecnej. Był już w takiej sytuacji. Osaczony w mroku. Wtedy przeżył i teraz też przeżyje. Ważne, by się skupić, nabrać płynącej z ciemności siły.

Usłyszał, jak człowiek, który go gonił, woła. Był blisko. Miał broń, ale Backus miał ciemność. Ciemność zawsze była po jego stronie. Przycisnął się do betonu i starał rozpląnąć w cieniu. Uzbroił się w cierpliwość i we właściwym momencie wykona ruch.

Odwróciłem się od dalekiej sylwetki Rachel i ponownie skupiłem na sprawdzeniu przejścia pod mostem. Ruszyłem naprzód, trzymając się daleko od betonowych osłon, by nie wpaść do kanału. Sprawdziłem pierwsze dwie i znów zerknąłem na Rachel. Była teraz pięćdziesiąt jardów ode mnie. Zaczęła dawać znaki lewą ręką, ale nie rozumiałem, o co jej chodzi.

Nagle zdałem sobie sprawę ze swego błędu. Zostawiłem kluczyki w stacyjce. Backus wyjdzie po drugiej stronie mostu i wsiądzie do samochodu. Zacząłem biec, mając nadzieję, że na górze zdążę strzelić w opony. Ale myliłem się. Gdy mijałem trzecią betonową podporę, Backus zniemacka wyskoczył i uderzył mnie mocno barkiem. Przewróciłem się na plecy, a on na mnie. Ześliznęliśmy się po żwirze na samą krawędź kanału.

Chciał mi zabrać broń, oburącz ją szarpiąc. Wiedziałem, że jeśli mu się to uda, wszystko skończone, zabije mnie, a potem Rachel. Nie mogłem mu oddać broni.

Uderzył mnie lewym łokciem w szczękę i poczułem, jak mój uchwyt słabnie. Strzeliłem dwukrotnie w nadziei, że trafię w dłoń albo palec. Jęknął z bólu, ale potem poczułem, jak napiera na mnie ze zdwojoną siłą, popychany dodatkowo bólem i wściekłością.

Jego krew zalała mi dłoń i broń zaczęła mi się ślizgać w ręce. Wiedziałem już, że zaraz zabierze mi pistolet. Był w dogodniejszej pozycji i miał siłę zwierzęcia. Mogłem wytrzymać jeszcze kilka sekund, zanim dotrze tu Rachel, ale wtedy i ona mogłaby wpaść w śmiertelną pułapkę.

Zdecydowałem się więc na jedyną pozostałą możliwość. Wbiłem obcasy w żwir i wyprężyłem całe ciało. Barki przesunęły mi się poza betonową krawędź. Przesunąłem stopy i powtórzyłem to jeszcze raz. Tym razem wystarczyło. Backus jakby nagle zdał sobie sprawę ze swego położenia. Puścił pistolet i wyciągnął ręce do krawędzi. Ale i dla niego było już za późno.

Obaj zwaliliśmy się przez krawędź do czarnej wody.

Kiedy spadali, Rachel widziała to z odległości zaledwie kilku jardów. Wrzasnęła „Nie!”, jakby to mogło ich zatrzymać. Podbiegła w to miejsce, spojrzała w dół, ale nic nie zobaczyła. Popędziła wzdłuż kanału, wybiegając spod mostu. Dalej nic. Spojrzała w przód, w rwącym potoku nie widziała ani śladu żadnego z nich.

Potem dostrzegła, że Bosch wynurza się i rozgląda, jakby patrzył, gdzie się znalazł. Szamotał się z czymś pod wodą, Rachel zrozumiała, że to przez płaszcz przeciwdeszczowy. Usiłował go ściągnąć.

Przejrzała powierzchnię wody, ale nigdzie nie zauważyła tysej głowy Backusa. Znów spojrzała na Boscha, którego prąd unosił coraz dalej. Patrzył na nią. Uniósł rękę i coś wskazał. Obejrzała się i zobaczyła mercedesa stojącego na górze mostu. Wycieraczki przesunęły się tam i z powrotem, wiedziała więc, że kluczyki są w stacyjce.

Puściła się biegiem.

Woda była zimna, zimniej sza, niż sobie wyobrażałem. A byłem już osłabiony walką z Backusem. Czułem się ciężki, trudno mi było utrzymać twarz nad powierzchnią. Woda wydawała się żywa, zdawała się chwytać mnie i ściągać na dno.

Mój pistolet przepadł, Backus też. Rozłożyłem ramiona i próbowałem tak ułożyć ciało, żeby dać się ponieść prądowi, dopóki nie odzyskam trochę sił, by coś zrobić, albo dopóki nie pomoże mi Rachel.

Przypomniałem sobie chłopca, który wiele lat temu utonął w kanale. Strażacy, policjanci, nawet przechodnie usiłowali go uratować, spuszczać węże, drabiny i liny. Nie mógł ich jednak dosięgnąć i poszedł na dno. W kanale w końcu wszyscy toną.

Starałem się nie myśleć o tym, nie panikować. Odwróciłem dłonie wierzchem do góry i chyba dzięki temu lepiej utrzymywałem twarz na powierzchni. Prąd niósł mnie teraz szybciej, ale głowę miałem nad wodą. To mnie trochę podniosło na duchu. Zacząłem myśleć, że może mi się uda. Na chwilę. Wszystko zależało od tego, kiedy przyjdzie pomoc. Spojrzałem w niebo. Żadnych helikopterów ani straży pożarnej. Pomoc jeszcze nie przyszła. Tylko szara otchłań pustki w górze i spadający z niej deszcz.

Telefonista pod 911 kazał Rachel nie rozłączać się, ale nie mogła szybko, bezpiecznie i dokładnie prowadzić samochodu ze słuchawką przy uchu. Nie rozłączając się, rzuciła telefon na siedzenie pasażera. Kiedy natrafiła na następny znak „stop”, zahamowała tak gwałtownie, że spadł na podłogę, poza jej zasięg. Nie przejęła się tym. Pędziła ulicą, zaglądając we wszystkie przecznice po lewej, czy nie ma w nich następnego mostu. Gdy wreszcie go dostrzegła, ruszyła w jego stronę i zatrzymała mercedesa dokładnie nad kanałem, pośrodku pasa. Wskoczyła i podbiegła do balustrady.

Nie było widać ani Boscha, ani Backusa. Pomyślała, że pewnie ich wyprzedziła. Przebiegła przez ulicę. Ktoś zatrąbił, ale zignorowała to; podbiegła do barierki po drugiej stronie.

Dłuższą chwilę przeglądała wzburzoną powierzchnię, w końcu dostrzegła Boscha. Głowę miał nad wodą, odchyloną do tyłu, patrzył w niebo. Przeraziła się. On jeszcze żyje? Czy utonął, a nurt tylko unosi jego ciało? Niemal w tej samej sekundzie, w której odczuła strach, zauważyła ruch - Bosch machnął głową, jak to robią pływacy, żeby strząsnąć z oczu wodę i włosy. Żył i miał jeszcze jakieś sto jardów do

mostu. Widziała, że walczy, by nie koziołkować w nurcie. Wychyliła się i spojrzała w dół. Zorientowała się, co zamierza. Chciał uchwycić się jednej z belek pod mostem. Jeśli uda mu się utrzymać, można go będzie wyciągnąć i uratować.

Rachel pędem wróciła do samochodu i otworzyła bagażnik. Zajrzała tam, szukając czegoś, co mogłoby się przydać. Była w nim jej torba i niewiele więcej. Niedbałym szarpnięciem zrzuciła ją na ziemię i uniosła pokrytą wykładziną płytę. Ktoś, kto utknął za mercedesem w samochodzie, zaczął trąbić. Nawet się nie odwróciła.

Uderzyłem w środkowy filar mostu tak mocno, że straciłem dech i pomyślałem, że właśnie zламаłem sobie cztery czy pięć żeber. Ale utrzymałem się. Wiedziałem, że to moja szansa. Trzymałem się wszystkimi siłami, jakie mi jeszcze zostały.

Woda miała szpony. Czułem je, kiedy mnie opływała. Tysiące szponów, szarpiących mnie, chwytających, próbujących wciągnąć z powrotem w ciemny nurt. Woda spiętrzyła się wokół mnie, podchodząc mi do twarzy. Obejmując ramionami obie strony filaru, próbowałem trochę wspiąć się po śliskim betonie, ale za każdym razem, gdy przesuwałem się choć o kilka cali, szpony łapały mnie i ściągały z powrotem. Szybko się zorientowałem, że najlepiej będzie trzymać się i czekać.

Tuląc się do betonu, pomyślałem o swojej córce. Pomyślałem, jak krzyczy do mnie, żebym się trzymał, żebym to zrobił dla niej. Powiedziała mi, że nieważne, gdzie jestem i co robię, ona wciąż mnie potrzebuje. Nawet w takiej chwili wiedziałem, że to złudzenie, ale uspokoiło mnie trochę. Dało trochę siły, by nadal się trzymać.

W schowku były narzędzia i koło zapasowe, wszystko na nic. Wtem przez otwory w feldze dostrzegła pod spodem czarne i czerwone kable. Przewody do akumulatora.

Włożyła palce w otwory obręczy i szarpnęła ją do góry. Koło było wielkie, ciężkie i niewygodne, ale nie poddała się. Wyciągnęła je na zewnątrz i po prostu rzuciła na jezdnię. Chwyciła kable i znów przebiegła przez drogę - przejeżdżający samochód wpadł w poślizg, gdy jego kierowca wcisnął hamulec.

Znów spojrzała do wody przez barierkę i w pierwszej chwili nie dostrzegła Boscha. Potem zajrzała pod sam most i zobaczyła, jak przywiera do pionowej belki, a nurt spiętrza się wokół niego, szarpiąc go i ciągnąc. Dłonie i palce miał podrapane, krwawiące. Patrzył na nią w górę, na twarzy miał coś, co wzięła za słaćbutki uśmiech, prawie jakby jej mówił, że wszystko będzie dobrze.

Nie wiedząc, co zrobić, po prostu przerzuciła końce kabli przez poręcz. Były o wiele za krótkie.

- Cholera!

Wiedziała, że musi zejść niżej. Wzdłuż mostu biegła rura kanalizacyjna. Widziała, że gdyby na nią zeszła, mogłaby spuścić przewody jeszcze pięć stóp niżej. To mogłoby wystarczyć.

- Czy coś się stało, proszę pani?

Odwróciła się. Za nią stał mężczyzna pod parasolem. Przechodził przez most.

- W rzece jest człowiek. Proszę zadzwonić pod 911. Ma pan

komórkę? Proszę dzwonić pod 911.

Facet zaczął wyciągać telefon z kieszeni kurtki. Rachel odwróciła się z powrotem do barierki i zaczęła się na nią wspinać.

To okazało się łatwe. Ryzykowne było przejście na drugą stronę i zejście w dół, na rurę. Założyła kable na szyję i powoli spuściła jedną nogę, potem drugą. Ześliznęła się, siadając okrakiem na rurze.

Teraz już wiedziała, że do niego sięgnie. Zaczęła opuszczać kable, on wyciągnął ręce. Lecz gdy tylko je chwycił, w wodzie zakłębiło się coś kolorowego, uderzając Boscha i spychając go z filaru.

Rachel natychmiast zdała sobie sprawę, że to Backus, żywy albo martwy.

Na to nie była przygotowana. Kiedy Bosch spadał, nadal trzymał kable. Lecz jego ciężar, ciężar Backusa i impet nurtu to było zbyt wiele. Szarpnięcie wyrwało jej przewody, spadły do wody i popłynęły pod most.

- Już jadą! Już jadą!

Spojrzała na stojącego nad nią, przy barierce, faceta z parasolem.

- Za późno - powiedziała. - Poniosło go dalej.

Byłem słaby, ale Backus jeszcze słabszy. Widziałem, że nie ma już tyle siły co podczas szarpaniny na brzegu. Zepchnął mnie z filaru, bo się go nie spodziewałem, a uderzył mnie całym swym ciężarem. Lecz teraz chwycił mnie jak tonący, który usiłuje się czegoś przytrzymać.

Szamotaliśmy się, idąc na dno. Spróbowałem otworzyć oczy, ale woda była zbyt ciemna, by cokolwiek zobaczyć. Pchnąłem go mocno na betonowe dno i odwróciłem, tak że znalazłem się za nim. Owinąłem wokół jego szyi kabel, który wciąż trzymałem. Jeszcze raz i jeszcze, aż jego ręce puściły mnie i powędrowały do szyi. W płucach mnie paliło. Potrzebowałem powietrza. Odepchnąłem się od niego, by się wynurzyć. Kiedy się rozdzielaliśmy, jeszcze chwycił mnie za kostki, ale kopnąłem go i wypłynąłem.

W ostatniej swej chwili Backus zobaczył ojca. Żywego, choć dawno zmarł i został skremowany. Patrzył nań surowo, tak jak to Backus pamiętał. Jedną dłoń miał za plecami, jakby coś w niej chował. Drugą przyzywał syna do siebie. Wracaj.

Backus uśmiechnął się, potem się roześmiał. Woda wlała mu się do ust i płuc. Nie przestraszył się. Raczej się ucieszył. Wiedział, że urodzi się na nowo. Jeszcze wróci. Wiedział, że zło nie da się zwyciężyć. Przemieszcza się tylko z miejsca na miejsce i czeka.

Wynurzyłem się i łykałem powietrze. Obróciłem się w wodzie, szukając Backusa, ale znikł. Był już niegroźny, ale woda - wręcz przeciwnie. Czuję wyczerpanie. Ręce miałem tak ciężkie, że ledwo mogłem je unieść. Znów przypomniał mi się ten chłopiec, jaki musiał być przerażony, zdany sam na siebie, a wokół ze wszystkich stron szarpały go szpony.

Przed sobą widziałem miejsce, gdzie strumień spływający z kanionu wpływa do głównego nurtu rzeki. Jeszcze pięćdziesiąt jardów; wiedziałem, że tam rzeka będzie szersza, płytsza i jeszcze bardziej wezbrana. Ale w głównym kanale betonowe ściany są nachylone - mógłbym więc spróbować jakoś się wydostać, gdyby tylko udało mi się zwolnić i czegoś chwycić.

Spuściłem wzrok i postanowiłem płynąć tak blisko ściany, jak tylko się da bez obijania się o nią. Potem dostrzegłem szansę na ratunek. Sto jardów przede mną kanał unosił drzewo, które widziałem z domu Turrentine'a. Musiało się zahaczyć gdzieś pod mostem albo na płyciźnie, tak że je dogoniłem.

Resztką sił zacząłem płynąć z prądem, nabierając szybkości i zbliżając się do drzewa. To będzie moja łódź. Jak będzie trzeba, uda mi się na niej dopłynąć nawet do samego oceanu.

Rachel zgubiła rzekę. Ulice oddalały się od niej i wkrótce ją zgubiła. Nie potrafiła do niej wrócić. W samochodzie był ekranik GPS-u, ale nie wiedziała, jak obsługiwać urządzenie, wątpiła zresztą, czy przy takiej pogodzie uda się złapać sygnał z satelitów. Zjechała na bok i wściekle walnęła dłonią w kierownicę. Czowała się, jakby pozostawiła Harry'ego; jak utonie, będzie to jej wina.

Wtem usłyszała helikopter. Leciał nisko i szybko. Pochyliła się, żeby zerknąć w górę przez przednią szybę. Nic nie widziała. Wysiadła na deszcz i rozejrzała się wokoło. Wciąż było go tylko słycać.

To musi być pomoc, pomyślała. Kto inny latałby w taką pogodę? Namierzyła ten dźwięk i wskoczyła z powrotem do auta. Przy pierwszej okazji skręciła w prawo i kierowała się ku terkotowi helikoptera. Jechała z otwartym oknem, deszcz padał na nią, ale nie dbała o to. Nasłuchiwała odgłosu wirnika.

Niebawem go zobaczyła. Krążył przed nią, po prawej. Jechała dalej. Dotarłszy do Reseda Boulevard, skręciła znów w prawo i zauważyła, że właściwie są to dwa śmigłowce. Oba były czerwone z białymi napisami na bokach. Nie były to nazwy stacji radiowych ani telewizyjnych. Na obu widniały napisy LAFD. Straż Pożarna Los Angeles.

Przed nią był most. Rachel widziała zatrzymujące się samochody i ludzi podbiegających do barierek. Patrzyli w dół na rzekę.

Zatrzymała się, zjeżdżając na prawy pas, i zrobiła to samo. Podbiegła do poręczy w samą porę, by zobaczyć, jak ratują Boscha. Siedział w żółtej uprząży ratunkowej, podnoszono go na linie; wcześniej trzymał się wyrwanego drzewa, które utknęło na mieliźnie w miejscu, gdzie rzeka rozszerzała się do stu pięćdziesięciu stóp.

Gdy uniesiono go do śmigłowca, Bosch spojrzał na wzburzony nurt pod sobą. Drzewo niebawem wyrwało się z mieliżny i zawirowało w kaskadach. Nabrało szybkości i znikło pod mostem. Gałęzie uderzały w pylony i łamały się.

Rachel obserwowała, jak ratownicy wciągają Boscha do środka. Odwróciła wzrok, dopiero kiedy zniknął bezpiecznie we wnętrzu helikoptera, a ten zaczął się oddalać. I dopiero wówczas któryś z gapiów na moście zaczął krzyczeć i pokazywać na rzekę. Spojrzała tam i zobaczyła, o co chodzi. Jeszcze jeden człowiek. Lecz dla niego nie było już ratunku. Płynął twarzą w dół, ręce i ciało unosiły się bezwładnie. Wokół tułowia i szyi oplatanie miał czarne i czerwone kable do akumulatora. Ogolona czaszka przypominała podskakującą na falach zagubioną piłkę dziecięcą.

Drugi śmigłowiec utrzymywał się nad ciałem, czekając, aż utknie na mieliźnie jak drzewo, zanim zaryzykuje opuszczenie ratownika. Tym razem nie było pośpiechu.

Gdy prąd wzmógł się w przewężeniu między filarami mostu, płynny ruch ciała został zakłócony. Przewróciło się na plecy. Zanim znikło pod mostem, Rachel na moment dostrzegła twarz Backusa. Oczy miał otwarte, tyle że zalewała je woda. Lecz jej się zdawało, że gdy płynął pod most, patrzył wprost na nią.

Wiele lat temu, kiedy służyłem w wojsku, w Wietnamie, zostałem ranny w tunelu. Koledzy mnie znaleźli i zabrali helikopterem do bazy. Pamiętam, że gdy śmigłowiec się uniósł, uwożąc mnie w bezpieczne miejsce, poczułem radość, która przyćmiła ból i wyczerpanie.

Tego dnia na rzece poczułem się tak samo. Déjà vu. Udało mi się, przeżyłem. Nic mi już nie groziło. Uśmiechałem się, kiedy strażak w hełmie ochronnym owijał mnie kocem.

- Zabieramy pana do kliniki USC na obserwację! - wrzasnął, przekrzykując odgłos wirnika i deszcz. - Będziemy za dziesięć minut.

Pokazał, że wszystko jest OK. Zrobiłem to samo; zauważyłem, że palce mam sinobiałe i trzęsę się nie tylko z zimna.

- Przykro mi, że pana kolega... - krzyknął strażak.

Zobaczyłem, że patrzy na wodę przez szybkę w dolnej części drzwi, które przed chwilą zasunął. Pochyliłem się, spojrzałem i zobaczyłem Backusa. Płynął bezwładnie twarzą do góry.

- Mnie wcale nie jest przykro - szepnąłem.

Rozparłem się na składanym siedzeniu, na którym mnie umieścili. Zamknąłem oczy i kiwnąłem głową wyimaginowanemu obrazowi mego partnera, Terry'ego McCaleba, z uśmiechem stojącego na rufie swej łodzi.

43

Niebo przejaśniło się parę dni później, miasto zaczęło się suszyć i odkopywać. Na Malibu i w kanionie Topanga osunęła się ziemia. Nadbrzeżna autostrada chwilowo miała tylko dwa pasy. Na wzgórzach Hollywood zalało niżej położone ulice. Jeden dom na Fareholm Drive zmyło z fundamentów na ulicę, pozbawiając dachu nad głową pewną starzejącą się gwiazdę filmową. Deszcz pochłonął dwie ofiary - amatora golfa, który pomiędzy atakami ulewy postanowił zaliczyć kilka dołków i w trakcie zamachu kijem trafił go piorun, oraz Roberta Backusa, zbiegłego seryjnego mordercę. Poeta nie żyje, głosiły tytuły w gazetach i prezenterzy w telewizji. Jego zwłoki wyłowiono z wody przy Zaporze Sepulveda. Przyczyna śmierci: utonięcie.

Morze również się uspokoiło. Popłynąłem porannym promem na Catalinę, żeby zobaczyć się z Graciela McCaleb. Wypożyczyłem wózek elektryczny i pojechałem do jej domu. Otworzyła mi drzwi i przyjęła mnie wraz z całą rodziną. Poznałem Raymonda, adoptowanego syna, oraz Cielo, dziewczynkę, o której opowiadał mi Terry. Spotkanie z nią sprawiło, że zatęskniłem za własną córką, i przypomniało o nowej słabości, która niedługo zagości w moim życiu.

Dom był zawalony kartonami; Graciela wyjaśniła, że ulewa opóźniła im przeprowadzkę na ląd. Już jutro ich dobytek miał zostać przewieziony na barkę i przetransportowany na drugi brzeg, do portu, gdzie zabierze go ciężarówka firmy organizującej przeprowadzkę. Było to skomplikowane i kosztowne, ale niczego nie żałowała. Chciała opuścić wyspę i zapomnieć o tym, co się z nią wiązało.

Usiedliśmy przy stoliku na werandzie, żeby dzieci nie słyszały, o czym rozmawiamy. Było to sympatyczne miejsce z widokiem na

całą przystań Avalon. Trudno tu było uwierzyć, że ona naprawdę chce stąd wyjechać. Widziałem „Falę od rufy”; zauważyłem, że ktoś stoi na tyle łodzi, a jeden z włazów w pokładzie jest otwarty.

- To Buddy, tam na łodzi?

- Tak, przygotowuje ją do przeprowadzki. FBI oddało ją wczoraj bez uprzedzenia. Powiedziałabym im, żeby zabrali ją od razu do Cabrillo. A teraz spadło to na Buddy'ego.

- Co on zrobi z tą łodzią?

- Dalej będzie prowadził firmę, pływał stamtąd na czartery i płacił mi za wynajem łodzi.

Kiwnąłem głową. Brzmiało to sensownie.

- Gdybym chciała ją sprzedać, dużo bym nie dostała. Poza tym... Terry ciężko pracował nad tą łodzią. Głupio byłoby sprzedać ją teraz komuś obcemu.

- Rozumiem.

- Wiesz co, pewnie mógłbyś zabrać się na ląd razem z Buddym, żeby nie czekać na prom. Jeśli chcesz. Jeśli nie masz go jeszcze dość.

- Nie. Buddy jest w porządku. Lubię go.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nie wydawało mi się, że trzeba opowiadać jej cokolwiek o sprawie. Rozmawialiśmy już przez telefon, chciałem bowiem wyjaśnić jej wszystkie fakty, zanim trafią do mediów - a potem historia pojawiła się we wszystkich gazetach i wszystkich programach telewizyjnych. Znała wszystkie szczegóły. Do opowiedzenia zostało niewiele, czułem jednak, że na koniec powinienem złożyć jej osobistą wizytę. To wszystko zaczęło się od niej. Sądziłem więc, że także na niej powinno się zakończyć.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś - powiedziała Graciela. - Nic ci się nie stało?

- Nic a nic. Parę zadrapań i siniaków. W tej rzece to była szalona jazda.

Uśmiechnąłem się. Jedyne widoczne obrażenia, jakie odniosłem, to zadrapania na rękach i jedno nad lewą brwią.

- Ale dziękuję, że zadzwoniłaś. Przyjechałem, żeby ci podziękować i życzyć powodzenia we wszystkim.

Rozsuwane drzwi uchyliły się i weszła mała dziewczynka z książką.

- Mamo, poczytasz mi?

- Trochę później, dobrze? Mam teraz gościa, nie widzisz?

- Nie, teraz mi poczytaj.

Dziewczynka wyglądała, jakby była to sprawa życia i śmierci, skrzywiła się gotowa wybuchnąć płaczem.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Moja ma tak samo. Możesz jej poczytać.

- To jej ulubiona książeczka. Terry czytał ją niemal co wieczór.

Usadziła ją na kolanach i uniosła książkę. Zobaczyłem, że jest to taka sama książka, jaką Eleanor niedawno kupiła mojej córce. „Wielki dzień Billy'ego”, na okładce mała udekorowana złotym medalem. Egzemplarz Cielo miał krawędzie wytarte od częstego czytania. Okładka była w dwóch miejscach rozdarta i sklejoną taśmą.

Graciela otworzyła ją i zaczęła czytać.

- W pewien piękny letni dzień, u stóp wielkiej góry w Dzwoneczkowie odbyła się olimpiada dla zwierząt cyrkowych. Wszystkie zwierzęta z cyrków dostały wolny dzień i przyjechały, by startować w różnych konkurencjach...

Zauważyłem, że Graciela zmieniła głos i czytała opowieść tonem pełnym przejęcia i zaciekawienia.

- Zwierzęta stłoczyły się przed tablicą wiszącą na ścianie gabinetu pana Farnswortha. Wisiała tam lista konkurencji. Były wyścigi, sztafety i wiele, wiele innych. Duże zwierzęta podeszły blisko do tablicy i zasłoniły ją, więc mniejsze nie mogły nic zobaczyć. Mała małpka precyzyjnie się między nogami słonia, a potem wlała gruboskórnemu zwierzowi na grzbiet, żeby przeczytać listę. Billy Bing uśmiechnął się, gdy ją zobaczył. Wśród biegów znajdował się jeden pod nazwą „sprint na sto jardów”, a on wiedział, że w sprincie jest bardzo dobry.

Reszty historii już nie słyszałem. Wstałem, podszedłem do balustrady i popatrzyłem na port. Ale nic nie widziałem. Mój umysł był zbyt zajęty światem wewnętrznym. Piętrzyły się w nim pomysły i emocje. Nagle dowiedziałem się, że nazwisko Williama Binga, nabazgrane przez Terry'ego McCaleba na skrzydełku teczki, należy do mały. Uświadomiłem sobie, że tej historii jeszcze daleko do końca.

Trochę później tego dnia Rachel przysłała mnie odwiedzić. Właśnie wróciłem z wypełniania papierów u Kiz Rider w Parker Center i odsłuchiwałem na sekretarce wiadomość od Eda Thomasa. Dziękował, że uratowałem mu życie, tymczasem to ja byłem mu cały czas winny przeprosiny za to, że go od razu nie ostrzegłem. Czułem się winny z tego powodu i zastanawiałem się, czy zadzwonić do księgarni, kiedy zapukała Rachel. Zaprosiłem ją do środka i wyszliśmy na taras.

- No, niezły widok.

- Tak. Lubię go.

Wskazałem na lewo, gdzie pomiędzy hałami zdjęciowymi Warner Bros było widać kawałeczek rzeki.

- I proszę bardzo, oto potężna rzeka Los Angeles.

Zmrużyła oczy i zerknęła, w końcu ją dostrzegła.

- Kanał. Teraz wygląda cieniutko.

- Odpoczywa. Przy następnej burzy znowu się obudzi.

- Harry, jak ty się czujesz?

- Dobrze. Lepiej. Dużo spałem. Zdziwiłem się, że jeszcze jesteś w mieście.

- Zostanę jeszcze kilka dni. Właściwie to rozglądam się za jakimś mieszkaniem.

- Serio?

Odwróciłem się plecami do poręczy, żeby na nią popatrzeć.

- Jestem prawie pewna, że ta sprawa będzie moim biletem powrotnym z Dakoty Południowej. Nie wiem, do jakiego zespołu mnie przydzielą, ale chcę poprosić, żeby to było w Los Angeles. A może chciałam, dopóki nie zobaczyłam, ile tu się płaci za mieszkanie. W Rapid City płacę pięćset pięćdziesiąt miesięcznie za bardzo sympatyczne i bezpieczne lokum.

- Mógłbym ci znaleźć tu lokal za pięćset pięćdziesiąt, ale pewnie by ci się nie spodobał. Poza tym trzeba by było nauczyć się innego języka.

- Nie, to dzięki. Jeszcze poszukam. Co porabiałeś?

- Właśnie wróciłem z Parker Center. Złożyłem papiery. Wracam do pracy.

- No to chyba koniec naszych kontaktów, nie? Słyszałam, że FBI i LAPD nie gadają ze sobą.

- Tak, jest taki mur. Ale od czasu do czasu już padał. Możesz wierzyć albo nie, ale mam paru kolegów w Biurze.

- Wierzę, Harry.

Zauważyłem, że z powrotem nazywa mnie po imieniu. Ciekawe, czy to oznacza koniec naszego romansu.

- Kiedy się domyśliłaś tego o McCalebie? - spytałem.

- Co masz na myśli? Czego się domyśliłam?

- Kiedy doszłaś, że Backus go nie zabił? Że zabił się sam.

Oparła obie ręce o balustradę i spojrzała w dół, w kanał odpływowy pod rynną. Ale tak naprawdę nie patrzyła na nic.

- Harry, o czym ty mówisz?

- Dowiedziałem się, kto to jest William Bing. To małpa z ulubionej książeczki jego córki.

- I co z tego? Co to oznacza?

- Oznacza to, że poszedł do szpitala w Las Vegas pod fałszywym nazwiskiem. Źle się z nim działo, Rachel. Coś mu szwankowało. W środku.

Puknąłem się w pierś.

- Może pojechał tam ze śledztwem, a może nie. Wiedział jednak, że coś jest z nim nie tak, i wybrał się do szpitala, żeby się przebadać w tajemnicy. Nie chciał, żeby wiedziała o tym żona i rodzina. Zbadali go, wyniki były niepomyślne. Jego drugie serce miał spotkać los pierwszego. Kardio... mio... jakoś tak. W sumie wyszło na to, że umiera. Musiałby dostać następne serce.

Rachel pokręciła głową, jakby sądziła, że gadam głupoty.

- Nie wiem, skąd ty to wszystko wzięłaś, ale nie możesz przecieżyć...

- Posłuchaj, wiem to i owo. Wiem na przykład, że już zużył swoje ubezpieczenie zdrowotne, więc

gdyby miał ustawiać się w kolejkę po następne serce, straciliby wszystko - dom, łódź, wszystko. Wszystko za nowe serce.

Urwałem, po chwili mówiłem dalej, cicho i spokojnie:

- Tego nie chciał. Nie chciał także, żeby rodzina widziała, jak gaśnie i umiera na państwowym garnuszku. I nie podobało mu się to, że kto inny miałby umrzeć, żeby on przeżył. Przecież już raz przez to przeszedł.

Zatrzymałem się, żeby zobaczyć, czy tym razem również zaprotestuje i będzie mi zaprzeczać. Lecz ona milczała.

- Zostało mu tylko ubezpieczenie na życie i renta. Chciał im to zostawić. Dlatego sam podmienił sobie lekarstwa. Pod siedzeniem w jego samochodzie leżał kwitek ze sklepu ze zdrową żywnością. Zadzwoiłem tam dziś rano i zapytałem, czy mają sproszkowaną chrząstkę rekina. Mają.

- Podmienił pigułki i brał je dalej jak gdyby nigdy nic. Spodziewał się, że jeśli wszyscy będą widzieli, jak je bierze, to obejdzie się bez sekcji i sprawy potoczą się gładko.

- Ale tak się nie stało, prawda?

- Nie, ale na tę okoliczność też miał plan awaryjny. Dlatego poczekał do tego dłuższego czarteru. Chciał umrzeć na łodzi, na pełnym morzu, na wodach, które są pod federalną jurysdykcją. Miał nadzieję, że jeśli coś pójdzie nie tak, jego przyjaciele w Biurze zatroszczą się o wszystko.

- Jedyne feler tego planu polegał na tym, że nie wiedział o Poecie. Nie miał pojęcia, że jego żona do mnie przyjdzie ani że parę linijek nabazgranych na teczce doprowadzi do tego wszystkiego.

Pokręciłem głową.

- Powiniennem to zauważyć. Podmiana leków to nie w stylu Backusa. Zbyt skomplikowane. Jak metoda jest skomplikowana, przeważnie jest to ktoś bliski.

- A co z tą groźbą pod adresem rodziny? Wiedział, że ktoś groził jego rodzinie. Dostał zdjęcia dowodzące tego, że ktoś ich śledził. Mówisz, że dał sobie spokój ze wszystkim i zostawił rodzinę w niebezpieczeństwie? Nie Terry McCaleb, którego znałam.

- Może uważał, że to jemu ktoś zagraża. Jeśli on odejdzie, groźba zniknie wraz z nim.

Rachel skinęła głową, ale nie wydawała się przekonana.

- Twój łańcuch faktów wygląda ciekawie, Harry, i nic poza tym. To muszę ci przyznać. Ale dlaczego powiedziałaś, że czegoś się domyśliłam?

- No bo... na przykład, zbyłaś moje pytanie o Williama Binga. Albo wtedy w tym domu. Kiedy celowałam w Backusa, już miał powiedzieć coś o Terry'm, a ty mu przerwałaś. Tylko otworzył usta, a ty na niego naskoczyłaś. Myślę, że chciał powiedzieć, iż nie zabił Terry'ego.

- Jasne, zabójca, który wypiera się jednej z ofiar. Niebawale.

Jej sarkazm był podejrzany.

- Już się nie ukrywał. Przyznałby się do tego, gdyby to była jego sprawka. Wiedziałaś to i dlatego właśnie mu przerwałaś. Wiedziałaś, że zaprzeczy.

Odsunęła się od balustrady i stanęła tuż przede mną.

- Dobra, Harry, myślisz, że wszystko już rozpracowałeś. Doszedłeś, że wśród morderstw ukryło się jedno małe, smutne samobójstwo. I co z tym zrobisz? Pójdiesz i to rozgłosisz? W ten sposób tylko pozbawisz jego rodzinę pieniędzy. Tego chcesz? Może w nagrodę za ujawnienie tego trochę ci odpała.

Teraz z kolei ja odwróciłem się od niej i oparłem o poręcz.

- Nie, nie chcę. Po prostu nie lubię, gdy ktoś mnie okłamuje.

- Aha, rozumiem. Tak naprawdę nie chodzi o Terry'ego. Chodzi o ciebie i o mnie, tak?

- Nie wiem, o co chodzi, Rachel.

- Dobra, więc jak się dowiesz, jak to też rozpracujesz, to mi powiedz, okay?

Znienacka przysunęła się do mnie i mocno pocałowała w policzek.

- Do widzenia, Bosch. Może zobaczymy się jeszcze kiedyś, jak mi się uda załatwić to przeniesienie.

Nie odwróciłem się, nie popatrzyłem, jak odchodzi. Słuchałem, jak gniewnie tupie po tarasie, potem po klonowej podłodze wewnątrz. Usłyszałem, jak trzaskają drzwi, z nieodwracalnością, która rozbrzmiewała we mnie niczym echo. Niczym koziołkujący pocisk.

Kiedy odjechała, przez długi czas stałem na ganku, opierając się łokciami o poręcz. Domyślałem się, że nie zobaczę jej już nigdy, wszystko jedno - przeniesie się do Los Angeles czy nie. Czułem stratę. Czułem się, jakby zabrano mi coś dobrego, zanim zdążyłem się naprawdę przekonać, jak jest to dobre.

Przez chwilę próbowałem myśleć o czymś innym. Także o Terrym McCalebie. Spojrzałem na miasto i pomyślałem, że jest piękne. Deszcz oczyścił niebo, widok miałem aż do San Gabriels i oszronione śniegiem szczyty za nim. Powietrze wydawało się równie czyste i świeże jak to, którym oddychali Indianie Gabrieleño i zakonnicy z misji wiele lat temu. Widziałem, czemu spodobało im się to miejsce. To był świetny dzień na rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Podziękowania

Autor chciałby podziękować wielu osobom, które pomogły mu przy pisaniu tej książki; są to w szczególności: Michael Pietsch, Jane Wood, Pamela Marshall, Perdita Burlingame, Jane Davis, Terry Hansen, Terrill Lee Lankford, Ed Thomas, Frederike Leffelaar, Jerry Hooten i researcherka Carolyn Chris. Bardzo pomogli mi również: Philip Spitzer, Joel Gotler, Shannon Byrne, Sophie Cottrell, John Houghton, Mario Pulice, Mary Capps, Ken Delavigne, Patricia i George Companioni oraz cały personel wydawnictwa Little, Brown and Company i Time Warner Book Group.

Autorowi szczególnie przydały się dwie książki: *Zyzyx: - History of an Oasis*, autorstwa Anne Q. Duffield-Stoll oraz *Rio L.A.: Tales from the Los Angeles River*, autorstwa Patt Morrison ze zdjęciami Marka Lamoniki.

Specjalne podziękowania dla komendanta Williama Brattona i detektywa Tima Marcii z policji Los Angeles oraz agentów specjalnych Gayle Jacobs i Niny Roesberry z biura terenowego FBI w Las Vegas.